
Fergus Hume



TAJEMNICA
BROSZKI
Z OPALU



Fergus Hume
TAJEMNICA
BROSZKI
Z OPALU

Przekład Jan S. Zaus



ROZDZIAŁ I

DON KICHOT W LONDYNIE

Simon Beecot był prowincjonalnym dżentelmenem. Miał mały dochód, mały majątek i znacznie mniejszy od obu umysł. Mieszkał w Wargrove, w Essex, i spędzał leniwe godziny – których posiadał w ciągu doby aż dwadzieścia cztery – warcząc na cichą, nijaką żonę i co jakiś czas strofując opryskliwie syna. Pani Beecot, będąc do późnej starości nieustannie tyranizowana, wyglądała jak ktoś, kto zestarzał się przed czasem, ale wszelkie obelgi przyjmowała jako wyraz woli boskiej; natomiast Paula, zapalczywego młodzieńca, tego rodzaju niesprawiedliwe szykany oburzały. Syn był wyposażony w sprawniejszy umysł od swego protoplasty, zatem odczuwał do ojca naturalną niechęć. Paul pragnął sławy, co w oczach ojca-tyrana uchodziło wręcz za zbrodnię.

Jako że w rodzinie nie było innych dzieci, Paul był naturalnym dziedzicem akrów Beecota, zatem obecny ich posiadacz sugerował, iż jego syn winien czekać z założonymi rękoma, aż będzie mógł objąć w posiadanie spadek. Mówiąc wprost – pan Beecot, wywodząc się z długiej linii obiboków klasy średniej, życzył sobie, żeby jego syn poszedł w jego ślady i był takim samym obibokiem. A gdy pani Beecot zapłakana zamykała się u siebie, jej dręczyciel znajdował w Paulu właściwą osobę, na której mógł wyładowywać swoje złe humory. Czy ten chłopiec do bicia powinien rzucić dom i wyjechać? Wtedy pan Beecot musiałby zrezygnować ze swych przyjemności.

Z upływem lat pan Beecot zaostrzył ataki wywołane złym nastrojem i gdy Paul osiągnął pełen godności wiek dwudziestu pięciu lat, przestał tolerować obelgi i oznajmił, że jako pisarz zamierza zdobyć szturmem Londyn.

Rodzice, każdy w charakterystyczny dla siebie sposób, wyrazili sprzeciw. Pani Beecot wylewała żal razem ze łzami i napomknęła o pisklętach opuszczających gniazdo, podczas gdy jej mąż dyszał niczym ropucha i czerwieniał bardziej niż grzebień indora, po czym po wyrażeniu głośnego sprzeciwu opadł jak przekłuty balon.

Tymczasem Paul zwiększył ich niezadowolenie, podając dokładny dzień odejścia z domu. Kobięca część rodziny Beecotów została odprowadzona do łóżka przez służącą, użyto soli trzeźwiących, a strona męska, używając metaforycznie ostatecznego argumentu, zapięła kieszeń na ostatni guzik.

– Ode mnie nie dostaniesz ani szylinga – oświadczył pan Beecot senior, dodając do tego kilka pełnych wdzięku znaczących przymiotników.

– Nie proszę o pieniądze – odparł Paul, tłumiąc gniew – zaoszczędziłem pięćdziesiąt funtów. Nie naruszyłem kieszonkowego – dodał, widząc, że ojciec już zaczyna wyrażać sprzeciw – zarobiłem je, pisząc krótkie opowiadania.

– To jakiś przekłęty instynkt kupiecki – warknął ojciec rodziny, tym razem jednak nie używając przy tym mocniejszych słów. – Wuj twojej matki zajmował się handlem. Dzięki Bogu nikt z mojej rodziny nie maczał w tym palców, nie mieli do tego głowy. Beecotowie zawsze żyli jak dżentelmeni.

– Sądząc po twoim opisie, tato, przypominali kapustę.

– Nie bądź bezczelny. Jak śmiesz wyrażać się tak haniebnie o swojej rodzinie? Pisanie opowiadań! Też coś! Same bzdury... jak sądzę (tu kilka przymiotników). I jeszcze chcesz na nich zarobić jakieś pieniądze, no, no!

– Ja chcę tylko cię poinformować, że mam wszystko, co mi potrzebne – stwierdził Beecot junior spokojnie. – Będę żył w mieście na własny rachunek. Wrócę dopiero wtedy, gdy wyrobię sobie nazwisko i zarobię wystarczającą sumę pieniędzy.

– Nigdy, nigdy! – senior zagulgotał niczym indyk. – Jeśli już stoczysz się do rynsztoka, to tarzaj się w nim. Ja ciebie wydziedziczę!

– Doskonale. Zatem ustalone. Teraz zmienimy temat.

Jednak obaj dżentelmeni byli zbyt podnieceni, żeby porzucić tak doskonały temat. Ojciec chciał wiedzieć, czy Paul jest świadom tego, co mówi, pytał, czy czytał Biblię, a szczególnie te jej fragmenty dotyczące obowiązków dzieci w stosunku do rodziców, zwracając synowi uwagę, że jego kochana matka prawdopodobnie uschnie, a potem umrze z tęsknoty i zakończył żalosną wzmianką, że on, ojciec, straci swą podporę starości. Paul wysłuchał tego wszystkiego z szacunkiem, a potem wyraził własną opinię. Broniąc się, odparł drobiazgowo:

– Zdaje sobie sprawę, że mówię do swego ojca, szanowny panie – rzekł z przejęciem – ty nigdy nie pozwalasz mi zapomnieć o tym. Gdyby ktoś obcy odezwał się do mnie tak jak ty, prawdopodobnie rozwaliłbym mu łeb. Czytałem Biblię i znalazłem tam, że rodzice także mają obowiązki względem swoich dzieci, które na pewno nie chcą być traktowane jak kieszonkowi złodzieje. Moja matka z pewnością nie uschnie, jeżeli pozostawisz ją w spokoju co najmniej na trzy godziny dziennie. A co do mnie, jako podporze twej starości, to twój bogaty i urozmaicony język daje mi pewność, że jesteś na tyle silny, iż nie potrzebujesz mego wsparcia.

Ojciec rodziny nigdy pierwszy nie wyraził sprzeciwu i teraz też wypił szybko szklaneczkę porto – dwie poprzednie już zdążyły sprawić mu przyjemność podczas rodzinnego posiłku, kiedy miała miejsce ta rozmowa – i rzekł... – jednak nie ma co przytaczać wyrażonych przez niego uwag. Wszystkie były bardzo głośne i pozbawione sensu. Usprawiedliwiając siebie i litując się nad ojcem, Paul zakończył tę scenę, wychodząc z pokoju z niezmiennym postanowieniem. Po tym dialogu pan Beecot położył się do łóżka, robiąc żonie wykład na temat wyrządzających ogrom zła wszechobecnym na świecie przypadków ojcobójstwa. Poczawszy rodzący się w nim sprzeciw, na skutek napływu uczucia, zwanego zdrowym rozsądkiem – co mu się zdarzyło tylko raz w życiu – postanowił nie zostawiać tego problemu matce, która była zbyt słaba, by oprzeć się jego tyranii.

Wcześniej następnego dnia miało miejsce w domu prawdziwe trzęsienie ziemi. I nie bez powodu! Nie zbacząc ani o włos z wytyczonego kursu, Paul zostawił matkę i formalnie pożegnał dżentelmena nazywającego siebie najlepszym z ojców. Beecot senior, nadęty indor i tyran, teraz był bardziej przytłumiony i jakoś nie znajdował powodów do rzucania groźbami. Lecz ta fala zdrowego rozsądku napłynęła do niego zbyt późno. Paul opuścił dom rodzicielski z torbą i walizką, a jego ojciec musiał potem rzucać przekleństwa w pustkę. Nie była też obecna pani Beecot, jako że leżała w łóżku półprzytomna z żalu i smutku.

Gdy tylko Paul opuścił rodzinny dom, ojciec rodziny oświadczył, że „odeszła chwała Izraela”, usunął zdjęcie syna z salonu i zaczął rozważać, którego z krewnych – z którymi przedtem zdążył się już pokłócić – powinien adoptować. Prywatnie myślał, że było mu trochę trudno z tym chłopcem na skutek własnego uporu – który nazywał stanowczością – i teraz miał ochotę przypomnieć mu opowieść o synu marnotrawnym. Jednak ten odważny podróżnik był już poza zasięgiem słuchu i nie pozostawił swojego adresu w Londynie. Beecot, chociaż można go nazwać tyranem, ale nie głupim staruchem – był stanowczo przekonany, że Paul odziedziczył po nim optymizm i błędnie prorokował, że: „Niechybnie wróci po wydaniu tych pięćdziesięciu funtów” – mówiąc to w chwili, gdy ulegał przygnębiającej złości. – „A gdy wróci...”, w tym momencie zacisnął pięści i nie kończąc, pogroził, pokazując, że lampart nigdy nie zmienia natury.

Tak więc Paul Beecot pojechał podreperować stan psychiczny w Londynie i konsekwentnie rozpoczął realizować plan, pogrążając się w zadumie nad miską płatków owsianych w wynajętym pokoju w Bloomsbury. Tam właśnie zapisał całe ryzy papieru różnego rodzaju stylem literackim w nieskończenie wielu tematach. Przez sześć miesięcy ze zmiennym szczęściem gorliwie pukał do drzwi wydawców. Niekiedy wracał z czekiem w kieszeni, jednak częściej z kieszenią wypchaną pękatym rękopisem. Zmęczony siadał i rozważając własną niedolę, miał czas litować się nad sobą – będąc jednak z natury wesołym i pełnym optymizmu młodzieńcem o niezłomnym charakterze, usuwał z myśli wszelkiego rodzaju trudności, skupiając uwagę na otaczającym go świecie. A ten świat mógł oglądać

za darmo – bowiem był to świat widziany przez okno, świat ulicy. Tam od rana do wieczora i od zachodu słońca do świtu mógł być świadkiem ludzkich dramatów i często w znakomitym wykonaniu. Szczególnie dobrze odgrywała swą rolę najbiedniejsza warstwa społeczna, wygłodzeni ludzie byli wyjątkowo dramatyczni w radykalnym domaganiu się jedzenia. Z notatnikiem w ręce Paul oglądał spektakularne widowiska West Endu, groteskowe farsy na Strandzie, melodramaty w Whitechapel i tragedie rozgrywające się o północy na moście Waterloo. Bywało, że psuł efekt takiej sensacyjnej sceny, chwytając za spódnicę wygłodzoną heroinę, która pragnęła odbyć w rzece podróż do innego świata, lecz większą część czasu pozostawał tylko obserwatorem i plagiatorem opisującym prawdziwe życie.

Wkrótce dyrektor Universal Theatre zwerbował Paula jako aktora; dzięki czemu równocześnie pełnił podwójną funkcję – niedocenianego autora i wzdychającego kochanka. W pierwszej dorobił się dziesięciu krótkich opowiadań, kilku powieści, trzech dramatów i pliku wątpliwej jakości wierszy. Wszystko to trafiało do redaktora, dyrektora albo wydawcy, ale autorowi się nie wiodło i wreszcie powstała sytuacja, kiedy został mu w kieszeni ostatni banknot pięciofuntowy.

A do tego wszystkiego zapalczywy młodzian musiał się oczywiście zakochać. Kim było jego bóstwo i dlaczego ją uwielbiał, można dowiedzieć się z rozmowy, jaką odbył ze starym kolegą szkolnym.

A odbyło się to na Oxford Street, pewnego czerwcowego popołudnia o piątej, gdzie Paul spotkał Grexona Haya. Skręcając na rogu ulicy prowadzącej do jego pokoju na poddaszu w Bloomsbury, nasz autor poczuł, że klepie go po ramieniu ktoś w stroju rodem z Bond Street – co oznaczało, że miał na sobie doskonale skrojony płaszcz, niekiedy zwany też surdudem, jedwabny kapelusz, do tego przepisowe spodnie, orchideę w butonierce, lśniące buty i trzcinową laseczkę ze złotą rączką. Fakt, że Paul odwrócił się bez oporu i nie krzywiąc się, dowodził, że nie był mu nic winien. Na takie dotknięcie autor rodem z Grub Street* powinien odskoczyć na dużą odległość, lecz Paul, mając czyste sumienie, odwrócił się tylko

powoli i patrzył, nie rozpoznając gładko wygolonej, zimnej twarzy, którą miał teraz przed oczami.

– Beecot! – zawołał nieznajomy, szybko oceniając wzrokiem wytarty i zużyty garnitur Paula. – Tak, nie myliłem się.

Głos, o ile nie twarz, pobudził stare wspomnienia.

– Hay... Grexon Hay! – krzyknął rodzący się w bólach geniusz. – Jakże się cieszę... – I potrzęsneli ręce w szczerym uścisku.

– Ale ty... – Hay odciągnął przyjaciela na skraj chodnika, z dala od tłumu przechodniów. – Ale ty wydajesz się...

– To długa historia – przerwał Paul, rumieniąc się. – Zapraszam cię do mego zamku, wtedy opowiem ci wszystko, stary. Zostaniesz na kolacji, prawda? Zobacz... – Paul rozwinął paczkę – funt kiełbasek. Lubieś je w szkole, a ja jestem doskonałym kucharzem.

Grexon Hay zawsze potrafił kryć swe uczucia za maskami, jakie przywdziewał na swą twarz, lub za słowami, którymi sprawnie się posługiwał. Ale z Paulem – którego w szkole zawsze uważał za szczodrego kumpla, takie drobiazgi uznałby za samozdradę. W jego mniemaniu Beecot był zbyt tępy i można też dodać zbyt uczciwy – aby to wykorzystać.

– To bardzo zaskakujące – rzekł Hay, w zwykły sobie spokojny sposób. – Tak, to naprawdę zaskakujące, że chłopak po publicznej szkole Torrington, mój przyjaciel i syn bogatych rodziców, musi osobiście kupować kiełbaski.

– Zwróć jednak uwagę – rzekł Paul poważnie, prowadząc Haya do swego pokoju – że nie prosiłem ciebie o pieniądze.

– Gdybyś to zrobił, dostałbyś je – oświadczył Hay, lecz tej oferty nie należało brać zbyt dosłownie. Mówiąc, że coś zrobi, nigdy nie miał na myśli, że zamierza zrealizować swój zamiar, a dobrze wiedział, że duma nie pozwoli Beecotowi zaciągać dużych pożyczek.

Paul w prosty sposób okazał cię wdzięczności i jego twarz rozjaśniła się.

– Dobry z ciebie kumpel, Hay – stwierdził – ale nie chcę od ciebie pieniędzy. Nie! – dodał jeszcze w odpowiedzi na wymowne zerknięcie przyjaciela – wystarczy mi na moje potrzeby, a poza tym – rzucił okiem na elegancki strój dandysa – nie chcę zanadto rzucać się w oczy w West Endzie.

– Ci, którzy tak robią, zwykle są bogaci – zauważył Grexon, z lodowatym uśmiechem. – Błąd, Beecot, ty jesteś biedakiem. A tylko nędzarz może sobie pozwolić na elegancki strój.

– W takim razie ja muszę być milionerem – zaśmiał się Beecot, spoglądając na swoje wyświechtane ubranie. – Jednak wejdźmy na górę, mamy sobie wiele do powiedzenia.

– I dużo z tego to rzeczy miłe – dodał Grexon.

Paul wzruszył ramionami i wspiał się schodami do nieba.

– Może dla ciebie, jak sądzę – rzucił, odwracając się – ale z pewnością nie dla mnie. Wejdź w progi mego Zamku Ubóstwa. – I modny gość ujrzał, jak jego gospodarz zapala ogień w jednym z apartamentów, o których czytał, ale których nigdy na własne oczy nie oglądał.

Był to pasujący do wygłodniałego geniusza mały ponury pokój na poddaszu – niezbyt przytulny, nie pięknie umeblowany, ale nienagannie czysty. Podłoga częściowo pokryta była kawałkami starego, wyblakłego i zniszczonego dywanu; ściany całkowicie oblepiały strony ilustrowanych magazynów. Jedyne okno, ukazujące rząd obskurnych kominów, zostało osłonięte wyblakłą zasłoną w kolorze ciemnoczerwonym. W rogu za parawanem stało wąskie łóżko polowe przykryte wschodnim szalem w krzykliwych kolorach, a obok łóżka na podłodze znalazła miejsce duża cynowa miska z wodą. O ścianę opierał się pokracyjny regał wypełniony książkami w zniszczonych oprawkach. Przy małym kominku stała sofa wypchana końskim włosiem. Pokrywał ją – żeby nie była taka naga i śliska – puchaty, dość kosztowny koc. Po drugiej stronie kominka stał kredens, z którego Beecot szybko wyjął naczynia stołowe, noże, widelce, komplet przypraw, serwetki i inne stołowe akcesoria, wszystko w najtańszym gatunku.

Środek pokoju zajmował duży stół, pod oknem mieściło się antyczne, mahoniowe biurko z górą papierów na blacie – no i mamy całe umeblowanie Zamku Ubóstwa. Dodajmy do tego cztery biegi schodów, wiodących tu tak jak do sławnego poddasza w wierszu Thackeraya.

– Mam stąd bliżej do nieba – zachichotał Beecot po ulokowaniu gościa na sofie. – Żarcie wkrótce będzie gotowe... jestem doskonałym kucharzem, stary. Ale też i gospodynią. Czysto tu, prawda? – Zamachał z dumą widelcem, zataczając nim krąg po nędznie urządzonego pokoju. – Gdyby tak nie było, natychmiast wylałbym siebie z roboty!

– Ale... ale – jąkał się Hay, ze zdumieniem oglądając otoczenie przez monokl. – Co ty tu robisz?

– Próbuję postawić stopę na pierwszym szczeblu drabiny wiodącej do sławy.

– Ja jednak nie bardzo widzę...

– Przeczytaj biografię Balzaka, a zrozumiesz. Ludzie dali mu poddasze i głodowy zasiłek w nadziei wzbudzenia w nim uczucia obrzydzenia... Mój ojciec zrobił to samo i odciął mnie od kieszonkowego. Tu mam swoje poddasze i tu głoduję – ale nie nabieram tu uczucia obrzydzenia. – Paul wesoło podpiekał kielbaski na gorącej patelni. – I tu stoję przed tobą jak aspirujący sługa mający nadzieję zostać powieściopisarzem, dramaturgiem i co tam jeszcze... No i co ty na to? Oto musztarda. Zaczekaj. Przyrządzę ci herbatę albo kakao.

– Nigdy nie piję czegoś takiego do jedzenia, Beecot.

– No tak, świadczy o tym twój strój. Pewnie chcesz szampana. Ale, Grexon, co ty właściwie robisz?

– To samo co robią inni na West Endzie – odparł Grexon, zabierając się do kielbaski.

– To znaczy nic. No tak, w Torrington też nigdy nie lubiłeś się pracować, więc jak mógłbym się spodziewać, że teraz zmienisz swe zwyczaje.

Hay zaśmiał się i jedząc, wyjaśnił, jaka jest jego sytuacja.

– Po ukończeniu szkoły adoptował mnie bogaty wuj – mówił. – Udając się w podróż, jaką my wszyscy odbędziemy, zostawił mi tysiąc funtów rocznie, co wystarczy na pędzenie rozsądnego trybu życia. Mam mieszkanie przy Alexander Street, w Camden Hill, krąg przyjaciół i jak widzisz dobry apetyt. I tak oto, jak sądzę, idę sobie wygodnie przez życie.

– Ha! – Paul rzucił badawcze spojrzenie na swego gościa. – Na szczęście masz zdrowy żołądek i nie cierpisz na niestrawność. Pewnie masz też silne serce? Pamiętam, że w szkole...

– Och, daj spokój ze szkołą! – obruszył się Grexon i jego zimna twarz pokryła się rumieńcem. – Nigdy nie wracam wspomnieniami do tej starej budy. Byłem szczęśliwy, jak się skończyła. Ale w szkole bardzo się przyjaźniliśmy, Paul.

– Coś w stylu Jamesa Steerfortha z *Davidą Cooperfielda*, Charlesa Dickensa** – odparł Paul, odsuwając swój talerz. – Ty byłeś moim bohaterem, a ja twoim niewolnikiem, ale inni chłopcy... – Spojrzał na niego ponownie.

– Nienawidzili mnie, bo mnie nie rozumieli, tak jak ty mnie rozumiałeś.

– Jeżeli o to chodzi, Grexon, to dlaczego tak łatwo usunąłeś mnie ze swego życia? Rozstaliśmy się przed dziesięciu laty. Miałem wtedy piętnaście lat, a ty dwadzieścia.

– A teraz mamy odpowiednio – dwadzieścia pięć i trzydzieści – odparł sucho Hay. – A ty opuściłeś szkołę przede mną.

– Tak, zachorowałem na szkarlatynę i zabrano mnie do domu na kurację. Już nie wróciłem i od tego czasu nigdy nie spotkałem żadnego kolegi z Torrington.

– Nie spotkałeś? – żywo zapytał Hay.

– Nie. Rodzice zabrali mnie za granicę i próbowałem studiować na niemieckim uniwersytecie. Potem wróciłem do leniuchowania przy ojcu, aż w końcu obrzydło mi to i postanowiłem zrealizować swoje ambitne plany w mieście. – Rozejrzał się po pokoju i roześmiał. – Widzisz, jak mi z tym dobrze idzie.

– No – rzekł Hay, zapalając cienkiego papierosa, którego wyjął ze złotej papierośnicy – mój wuj, ten co umarł, posłał mnie do Oxfordu, a potem też

podróżowałem. Teraz, jak ci już mówiłem, jestem na własnych śmieciach i nie mam żadnych krewnych na świecie.

– Dlaczego się nie ożeniłeś? – zapytał Paul i zaczerwienił się.

Hay, podejrzliwy jak każdy mieszcuch, zauważył ten rumieniec i odgadł jego przyczynę. Jak większość ludzi potrafił dodawać dwa do dwóch.

– Mogę ci zadać to samo pytanie? – zapytał.

Obaj przyjaciele wpatrywali się w siebie, ale każdy widział co innego w swym koledze z dawnych, szkolnych czasów. Hay był gładko ogolony, starannie uczesany i spokojny – niemal lodowaty w zachowaniu. Miał niebieskie, zimne oczy. Nikt nie mógłby powiedzieć, o czym myśli, wnioskując z wyrazu jego twarzy. Cały czas nosił maskę, chociaż akurat w tym momencie uczucia wzięły górę i maska uchyliła trochę rąbka tajemnicy jego myśli. Mimo to twardo trzymał się narzuconej sobie zasady, kontrolując wyraz twarzy, słowa i czyny. Grexon Hay był godnym podziwu przykładem samokontroli.

Z drugiej strony Beecot – szczupły, wysoki i ciemny, niecierpliwy, z twarzą, na której można było wyczytać wszystkie jego myśli. Miał smagłą cerę, duże czarne oczy, zmysłowe usta i mały, elegancko podkreślony, wąsik. Głowę trzymał dumnie uniesioną i prezentował się trochę po wojskowemu – być może dlatego, że wielu jego przodków służyło w wojsku. Podczas gdy Hay nosił elegancki garnitur rodem z Bond Street, Paul miał na sobie dobrze skrojoną, chociaż wyświechtaną serżę. Ogólnie rzecz biorąc, prezentował się nieźle, mimo iż jego ubranie robiło żałośnie przygnębiające wrażenie.

Na podstawie tego pokoju na poddaszu i chudego posiłku złożonego z kiełbasek Hay wysnuł wniosek, który ubrał w słowa.

– Ojciec odciął cię od gotówki – stwierdził spokojnie – a jednak zamierzasz się żenić.

– Na jakiej podstawie doszedłeś do takiej konkluzji?

– Mam otwarte oczy, Paul. Widzę ten pokój i twoje ubranie. Widziałem też rumieniec na twojej twarzy, gdy pytałeś, czy jestem żonaty. A ty... czy zakochałeś

się?

– Tak – odparł Beecot, czerwieniąc się jeszcze bardziej i wysoko unosząc głowę. – Sprytnie to odgadłeś. Prorokuj dalej.

Uśmiechnął się ponuro.

– Tak, prorokuję, że gdy się ożenisz, nie będziesz dłużej żył w biedzie, ale oczywiście – dodał, patrząc przenikliwie w twarz przyjaciela – jeżeli twoja dama jest bogata.

– Jest córką handlarza używanymi książkami, jej ojciec ma firmę o nazwie „Norman” i wiem, że łączy to z lombardem.

– Hm... – Hay zamyślił się. – Pieniądze to on może zarobić raczej na tym drugim. A tak przy okazji, czy jest Żydem?

– Nie. Jest biednie wyglądającym jednookim katolikiem o manierach wystraszonego królika.

– Jednooki i wystraszony – powtórzył Hay, lecz nie zmienił wyrazu twarzy. – Godny pożądanego teścia. A córeczka?

– Sylwia. To anioł, biała lilia i...

– Oczywiście – Grexon przerwał te pochwalne pienia. – A kiedy to zamierzasz ją poślubić?

Beecot wyłowił z kieszeni niebieską, wytartą torebkę.

– Oto co posiadam: moje ostatnie pięć funtów i... – Otworzył kasetkę.

Hay ujrzał dużą broszkę w kształcie zwiniętego węża.

– Opale, brylanty i złoto – rzekł wolno, unosząc nagle wzrok. – Sprzedaj mi to.

* Ulica w Londynie – pełna zubożałych pisarzy, aspirujących poetów, wydawców i księgarń. Znajdowała się na marginesie londyńskiej elity dziennikarskiej i literackiej. Obecnie nazywa się Milton Street (przyp.tłum.).

** J. Steerforth jest przystojnym młodzieńcem. Wszyscy go znają z wrodzonego wdzięku i dowcipu. Chociaż ogólnie jest lubiany, to kolegów traktuje protekcyjnie i wyraźnie lekceważąco.

W powieści Dickensa David podziwia kolegę i traktuje go jako swego obrońcę przed surowym dyrektorem (przyj. tłum.).

ROZDZIAŁ II

DEBORAH JUNK

Pod numerem czterdziestym piątym przy Gwynne Street znajdowała się księgarnia sprzedająca używane książki, których znaczna część była prawie tak samo stara jak sam budynek. Wysmagana deszczami tablica obwieszczała wyblakłymi, zmatowiałymi złotymi literami nazwisko właściciela, a pod nią były dwa szerokie okna rozdzielone niskimi drzwiami, otwartymi w dni powszednie tygodnia od ósmej rano do ósmej wieczorem. W mrocznym środku cuchnęło stęchlizną.

Po obu stronach tego osobliwego, starego domu usadowili się rzeźnik i piekarz, reklamując się i wabiąc smakowitościami. Między księgarnią i pierwszym z tych sklepów wąski pasaż wiódł na małe podwórko, a stamtąd schodząc po kilku stopniach klienci, którzy nie chcieli być zanadto widoczni, wchodzili do piwnicy, w której mogli załatwiać transakcje z panem Normanem.

Osoba ta łączyła w sobie dwie niepowiązane ze sobą branże. Na parterze handlowała używanymi książkami, w piwnicy dokonywała zakupów biżuterii, zaopatrując ludzi w potrzebną im gotówkę.

W księgarni bladzi młodzieńcy i niechlujni, roztargnieni starsi mężczyźni, dziewczęta w okularach i wszelkiego rodzaju mądrale, szperali w starych tomach albo wymieniali uwagi z właścicielem. Natomiast do piwnicy spieszyli ludzie młodzi, ludzie rozrzutni i kobiety o niezbyt dobrej reputacji. Zwykle zjawiali się po zmroku i dokonywali transakcji, podczas których z ręki do ręki przepływało

mnóstwo pieniędzy. W dzień pan Norman grał rolę niewinnego księgarza, ale po siódmej wieczorem znikał w piwnicy i zmieniał się w najprawdziwszego właściciela lombardu, jakiego można znaleźć w Londynie. Zajmując się zwykłym handlem książkami, nie przejmował się zbytnio pieniędzmi, ale mając do czynienia z dużą gotówką i bardzo drogą biżuterią, nie szło mu już tak łatwo i zachowywał się jak Shylock*. W kontaktach z klientami interesującymi się książkami stawał się zwykłym sprzedawcą, który mało zna się na literaturze, lecz w swej podziemnej działalności był bardziej rozmowny z tymi, którzy przychodzili do lombardu, wcielał się w rolę lichwiarza i używał wielu podstępów.

Aaron Norman – takiego nazwiska używał w księgarni – przypominał człowieka, który powrócił tu z przeszłości – z ponurej przeszłości. W jednym melancholijnym oku i nerwowym tiku ust można było odczytać dręczący go smutek i obawę. Miał bladą twarz i dziwny zwyczaj zerkania przez lewe ramię, jakby spodziewał się, że w każdej chwili poczuje na nim klepięcie ręki policjanta. Sześćdziesiąt lat zaokrągliło mu ramiona, osłabiło plecy, a jedno oko niemal bez przerwy wpatrywało się w ziemię. Cierpienia pozostawiły na czole ślad w postaci zmarszczek i linii wokół cienkich warg. Mówił niskim, jakby niepewnym głosem, a gdy spoglądał w górę – co czynił rzadko – jego oczy rzucały badawcze spojrzenia, na podobieństwo zmęczonego zwierzęcia obawiającego się, że lada chwila zostanie wywleczone ze swego legowiska.

I właśnie tego dziwnego człowieka Paul Beecot spotkał w drzwiach księgarni przy Gwynne Street w dzień po wizycie Haya. Paul wiele razy odwiedzał tę księgarnię, ale nie zawsze kupował książkę. Norman znał go bardzo dobrze i już na pierwszy rzut oka poznał, witając słabym uśmiechem, gdy młody człowiek wchodził do środka. Za kontuarem stał Bart Tawsey, szczupły sprzedawca, dużo bardziej opryskliwy dla klientów niż jego szef, lecz Paul nie patrząc na niego, zwrócił się bezpośrednio do pana Normana.

– Muszę z panem rozmawiać – rzekł niecierpliwie.

– Właśnie wychodzę w ważnej sprawie – odparł Norman – ale jeżeli to nie zajmie dużo czasu...

– Chodzi o pewną broszkę, którą chcę zastawić w lombardzie.

Stary zacisnął usta, a jego oczy nabrały stanowczego wyrazu.

– Teraz nie mogę się tym zająć, panie Beecot... – rzekł głośniej niż zwykle. – Ale po siódmej...

– Już jest szósta. – Paul rzucił okiem przez ramię na kościelny zegar, wyraźnie widoczny ostatnich promieniach słońca przed zbliżającym się zmierzchem. – Nie mogę czekać.

– Dobrze, ponieważ jest pan starym klientem... antykwariatu – rzekł Aaron z naciskiem. – Mogę się zgodzić, żeby pan przyszedł kwadrans przed siódmą. Będę oczekiwał pana. Tymczasem muszę iść coś załatwić. – Mówiąc to, wyszedł ze zwieszoną głową, jednym okiem jak zwykle badawczo przeszukując ziemię pod stopami.

Paul, który podobno bardzo się spieszył, jakoś nie okazał niezadowolenia z odejścia pana Aarona i konieczności czekania na niego przez godzinę. W księgarni, mimo płonących lamp gazowych, panował półmrok. Ujrawszy uśmiech Barta Paul, młodzieniec wrażliwy i małomówny, tylko się zaczerwienił. Dobrze wiedział, że nieskrywany podziw, jaki okazywał Sylwii Norman, nie uszedł uwagi sprzedawcy, a także tej dziewczuchy, Deborah Junk, o czerwonych rękach, z nizin społecznych, spełniającej w tym domu funkcję służącej do wszystkiego. Nie żeby był przekonany, że ta dwójka całkiem oddanych Sylwii służących, wiedząc, iż odwzajemnia ona uczucia Paula, nic nie powie Aaronowi. Beecot nie mógł sobie pozwolić na zrobienie sobie wrogów z tej pary i nie zamierzał tego zrobić. Byli pospolici i nieokrzesani, ale lojalni i szczerze życzliwi.

– Dostałeś jakieś nowe książki, Bart? – zapytał Beecot, podchodząc i rozglądając się, jakby spodziewał się zobaczyć przemykającą w mroku Sylwię, widok, który byłby błogosławieństwem dla jego spragnionych oczu.

– Nie, sir. My nigdy nie dostajemy nowych książek – odpowiedział spokojnie Bart. – Ostatnia partia zawierała używane powieści wydane przed rokiem. Ale,

proszę wybaczyć, panie Beecot, nie było wśród nich nic szczególnego z wyjątkiem okładek.

– Jesteś zbyt surowy, Bart. Ja mam zamiar zostać pisarzem.

– Tak, potrzebujemy kogoś takiego, sir. Większość współczesnych autorów nie jest interesująca, to znaczy nie piszą o niczym nowym. Ale przepraszam, muszę iść na górę, sir. Panna Sylwia powiedziała, żeby ją zawiadomić, gdy tylko pan przyjdzie.

– Ach tak... tak... hm... hm... to znaczy, ona chciała obejrzeć fotografie mojego starego domu. Obiecałem jej pokazać. – Paul wyjął z kieszeni paczkę. – Mogę pójść na górę?

– Nie, sir. To byłoby niemądre. Starszy pan może zaraz wrócić i jeżeli zobaczy, że był pan u niego w domu – Bart pokazał ruchem głowy sufit – może dostać ataku.

– Dlaczego? Czy myśli, że wpadłem tu po jego srebro?

– Boże broń, sir. Ale nie o to chodzi. Wszystko co cenne – srebro, złoto, klejnoty i tym podobne... jest tam, w piwnicy. – Bart kiwnął głową w kierunku podłogi. – Ale pan Norman nie lubi, jak obcy wchodzi do jego prywatnych pokojów. Już od lat nie wpuszcza tam nikogo.

– Może boi się stracić najcenniejszy klejnot.

Bart, jak powiadają Szkoci, należał do tych, „co szybko się orientują, o co chodzi”.

– Nie opiekuje się nią tak, jak powinien, sir – stwierdził posepnie. – Ale wiem, że ją kocha i chce uczynić z niej bogatą dziedziczkę, gdy sam pójdzie do robaków. Panna Sylwia będzie wysoko ceniona. Mam nadzieję – dodał, patrząc chytrze na Paula – że ten, kto weźmie ją za żonę, nie roztrwoni zarobionego przez starego majątku.

Na tę uwagę rumieniec na twarzy Beecota pogłębił się i już chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie bocznymi drzwiami wkroczyła do księgarni masywna, ogorzała kobieta.

– No i macie! – Klasnęła dłońmi jak mała dziewczynka. – Znam jego wady i widzę, jak panienska Sylwia siedzi tam i dzierga, co tak bardzo lubi, a ja mówię, że ona „dla niego to robi” w takich pięknych barwach, a ona na to: „Och, Deborah, czy słyszysz, jak głośno bije moje serce”, więc słucham i patrzę...

W tym momencie zabrakło jej tchu i znowu zaklaskała, jakby w ten sposób chciała usprawiedliwić przerwę. Jednak Paul nie pozwolił jej dalej trajkotać, wiedząc z doświadczenia, że jak już zacznie, to nie może skończyć.

– Mogę wejść do panny Norman? – zapytał.

– Zabij mnie, posiekaj i podepcz mego trupa – rzekła Deborah uroczyście – ale nie możesz. Pan wysłałby mnie na ulicę, gdybym ośmieliła się pozwolić ci tam wejść.

Paul od dawna wiedział, jak bardzo stary był w tej sprawie stanowczy. W ciągu sześciu miesięcy znajomości z Sylwią nigdy nie otrzymał zezwolenia wejścia na górę. Dziwne, że dla Aarona było to aż tak istotne, ale kojarząc to z jego jednym okiem nieustannie patrzącym w dół i wylęknionym zachowaniem, Paul doszedł do wniosku – chociaż nie mając ku temu szczególnie przekonujących powodów – że stary coś ukrywa i czegoś się boi. Co więcej, że boi się kogoś konkretnie. Jednak niczego nie sugerował, tylko zaproponował inne miejsce spotkania.

– Czy nie mógłbym się z nią spotkać w piwnicy? – zapytał. – Pan Norman powiedział, że mam tam iść i poczekać na niego. Będziemy mieli godzinę dla siebie.

– Proszę pana – rzekła Deborah, robiąc krok do przodu niczym potykający się koń pociągowy – chyba nie chce pan iść do lombardu.

– Tak, chcę – odparł Paul łagodnie – ale nie musisz tego rozpowiadać wszystkim.

– Tu jest tylko Bart! – wykrzyknęła Deborah, rzucając surowe spojrzenie szczupłemu młodzieńcowi – i jeżeli on piśnie słówko... wyrwę mu język. Oto, co zrobię. Szkołę go na swojego męża, aby był taki, jakim chcę go mieć... żeby był dobrym chłopcem i nie gadał o tym, co go nie dotyczy.

– Nic nie wypaplam – wtrącił Bart i mrugnął porozumiewawczo. – Niech pana Bóg błogosławi, sir, widywałem już takich szanownych jak pan dżentelmenów zastawiających rzeczy w lombardzie... – znowu skinął głową w kierunku podłogi – ach, i eleganckie kobiety też, ale...

– Ugryź się w język – krzyknęła Deborah, rzucając się ku niemu jak statek miotany gwałtownym porywem wiatru. – Gadasz o tym, o czym nie masz gadać, durniu. Proszę tędy, panie Beecot, idziemy tam, gdzie stary Nick ma swoją jaskinię – on zawsze tam zasiada, gdy wybije siódma.

– Nie powinnaś tak mówić o swoim chlebodawcy – zaprotestował Paul.

– O tak, nie powinnam – prychnęła służąca wyjątkowo głośno. – I kto ma więcej racji, sir? Pracuję tu już dziesięć lat jako guwernantka, przyjaciółka, unizona, dobrze życząca towarzyszka życia panny Sylwii, a wśliznęłam się w jej życie, gdy ona miała dziesięć, a ja dwadzieścia lat. I nie chodzi o to, że jestem za stara na małżeństwo z Bartem, chociaż jemu idzie na dwudziesty rok, ale jest tak niegodziwy, jakby miał dwa razy tyle. Dobrze go znam i gdy wschodzi słońce, nie ma nikogo lepszego od niego... ledwo Bart zapali światło gazowe, już jest u starego Nicka... Bart, zajmij się swoimi sprawami i nie nadstawiaj uszu... mówię panu, nie chcę mieć podsłuchującego męża. Tędy, sir. Uważaj na stopnie.

Mówiąc to, Deborah zaprowadziła Paula do ciemnego kąta za kontuarem i jednym szarpnięciem odchyliła klapę w podłodze. Paul zobaczył drewniane stopnie wiodące w ciemność. Jednak panna Junk z najwyższego stopnia rzuciła w dół światło i uniosła latarnię, trzymając ją powyżej zaczerwienionej twarzy. Zeszła i z oddali doszło jej wołanie:

– Schodź już, schodź! – Beecot zszedł tak szybko, jak tylko mógł i wkrótce znalazł się w piwnicy. Wpierw otoczyła go nieprzenikniona ciemność, ale Deborah zapaliła dwie gazowe latarnie i odwróciła się do gościa z wyciągniętymi rękoma.

– Teraz, sir, musimy poufnie porozmawiać – powiedziała jak zwykle bez tchu. – Masz coś do zastawienia w lombardzie, prawda? Wiem, że nie przyniosłeś tego na klęczkach, na rozkaz twego despotycznego ojca.

Paul usiadł na pokracznym, mahoniowym fotelu stojącym przy dużym, prostym stole i wpatrywał się w służącą.

– Nigdy ci nie mówiłem o swoim ojcu – rzekł całkowicie zaskoczony.

– Och nie, oczywiście, że nie. – Panna Junk potrząsnęła głową. – Jednak ja nie jestem niemowlęciem karmionym piersią. Tak, pan opowiedział o nim Sylwii, a ona powiedziała mnie – bo ona wszystko mówi swojej Debbie. Niech Bóg za to błogosławi ten cudowny kwiatusek! – Mówiąc to, wymierzyła w Paula gruby, czerwony paluch. – Jeżeli kłamiesz, panie Beecot, to zaraz cię załatwię, nawet gdybym miała za to zdechnąć w więzieniu Old Bailey**.

Widząc, że Deborah znowu łapie zadyszka, Paul skorzystał z okazji:

– Nie istnieje żaden powód, dla którego nie miałabyś wszystkiego o mnie wiedzieć i...

– Oczywiście, od samego początku nigdy tak nie myślałam i... przepraszam, sir. Jednak gdy przyszedł pan tu przed sześcioma miesiącami, powiedziałam do panny Sylwii, że „on puszcza do ciebie oko, lilijko”, a ona na to do mnie: „Och, Debby, ja go kocham”. A ja wtedy: „Tak, widzę, widzę, moja piękna. On wygląda mi na dobrze wychowanego i dżentelmena z urodzenia, ale musimy się dowiedzieć, czy nas nie oszukuje i nie okłamuje, zanim stracisz, moja droga, dla niego serce”.

– Ale ja nie jestem kłamcą... – zaczął Paul, jednak znowu mu przerwała.

– Ja tam już swoje wiem! – wykrzyknęła panna Junk i po raz drugi wyciągnęła ku niemu ręce. – Myślisz, szanowny panie, że pozwoliłabym ci miłować moją ślicznotkę, gdybym nie wiedziała, czy jesteś Judaszem albo Jezebel? Gdyby tak było, niechbym już nie była zdolna wieczorem łyknąć nawet kropelki piwa. To, co powiedziałaś pannie Sylwii o swoim awanturującym się ojcu i kochanej mamie, ona powtórzyła mnie! – krzyknęła Deborah, podkreślając słowa ruchem czerwonego palca. – Wszystko co mówisz swojej ukochanej, ona powtarza starej głupiej Debby. Mówię więc do Barta: „Jeżeli mnie kochasz, jedź do Wargrove, gdziekolwiek to jest, chociaż wątpię, żeby w Anglii – i jeżeli on... to znaczy Paul nie mówi prawdy, to sama go rozszarpię, a później niech rozstrzyga sąd. No i Bart

pojechał do Wargrove i stwierdził, że mówiłeś prawdę, co znaczy, że jesteś dżentelmenem, sir, i mimo twego nerwowego taty masz nadzieję, że gdy poślubisz mój kwiatusek, uczynisz ją szczęśliwą – niech cię Bóg błogosławi. – W tym momencie Deborah wyciągnęła ręce i rozpostarła je nad głową Paula.

– Tak, to wszystko jest prawdą – Paul uprzejmie potwierdził. – Nie za bardzo zgadzam się z ojcem i przyjechałem do Londynu, żeby tu wyrobić sobie nazwisko. Mimo tego wszystkiego o czym mówisz i o czym wiesz, Deborah, przecież mogą być zwykłym łobuzem.

– Ale nie jesteś nim – stwierdziła z przekonaniem. – Dlatego Bart wszędzie ciebie sprawdzał – i on, a także ja, która będę jego prawowitą żoną, oraz mój pan, wiemy wszystko o tobie i o tym twoim mieszkaniu w Bloomsbury; dokąd chodzisz i dokąd nie chodzisz. A teraz posłuchaj, co ci powiem, szanowny panie – znowu wymierzyła w niego groźnie palcem – gdybyś nie był tym, kim powinienesz być, nigdy nie zdobyłbyś mojej pięknej panienki. Nawet gdybym musiała wyszorować podłogę z twojej błękitnej krwi... o ile jest błękitna... gdyby to, czego się Bart dowiedział, nie było prawdą. Tak jak Bóg przykazał i jak widzimy to w kamiennych rzeźbach w Kościele***. – Tu niemal się zakrztusiła.

Paul siedział przez kilka minut, w milczeniu wpatrując się w podłogę. Zastanawiał się, czy odgadł, co to wszystko znaczy? Często dziwił się, jak to możliwe, żeby Bart i Deborah Junk mogli być aż tak oddani Sylwii i sprzyjali jego zalotom, a zarazem, mimo iż byli lojalni w stosunku do swego pana, nic mu nie zdradzali, udając, że o niczym nie wiedzą.

Jednak z tego, co mu Deborah powiedziała – a nie miał podstawy, żeby jej nie wierzyć – oboje niestrudzenie drążyli, aby się przekonać, że jest człowiekiem uczciwym i mówi prawdę. Tym sposobem zezwalali na dalsze zalecanie się Paula do Sylwii i on w duszy bił im brawo za takt i okazywanie mu zaufania bez wdawania się w dyskusję.

– Mimo wszystko – rzekł głośno, podążając za swoimi myślami – to dziwne, że życzysz jej, aby mnie poślubiła.

Panna Junk udzieliła na to dziwnej odpowiedzi.

– Cieszyłoby mnie, gdyby poślubiła każdego szanowanego, ale wolnego dżentelmena, takiego na przykład jak ty – gdyby zawarła z nim małżeństwo pobłogosławione przez Kościół... z tymi kamiennymi rzeźbami, chociaż według mnie zbyt mrocznymi i ponurymi. Panie Beecot, dziesięć lat temu trafiłam na tego dziesięcioletniego aniołka, tam na piętrze; wtedy jej matka zmarła i udała się tam, gdzie będzie mogła grać na harfie. Przez te wszystkie lata nigdy nie słyszałam na górze kroków młodego mężczyzny... Słyszałam tylko moje kroki, panienci Sylwii i Barta, który zjawiał się tu przed pięciu laty jako wyrostek. I czy możesz w to uwierzyć, panie Beecot, że ja wiem o starszym panu nie więcej od ciebie? Jest dziwny i ogólnie biorąc zły; boi się zostawać sam w ciemności, roi sobie, że ktoś chce z niego zrobić latarnię, tak jak robią je z wydrążonej rzepy.

– Czego on się boi?

– Ach – Deborah westchnęła znacząco – właśnie, czego? Może policji, może duchów, ale nie widział tu ani policji, ani duchów i jeżeli jest uczciwym, szanowanym człowiekiem, to nie musi się ich bać. Jednak obawiam się, że nim nie jest, panie Beecot.

– Musi mieć jakieś powody...

Panna Junk gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu i znowu głośno parsknęła.

– O tak... ma powody – przyznała – i ośmielam się twierdzić, że w Old Bailey też by je znaleźli. Jednak wyraźnie coś go dręczy. Nie pytaj mnie, co to może być, bo i tak ci nie powiem, dlatego, że sama nie wiem. Ale cokolwiek to jest, panie Beecot, już widzę swoją pięknotkę w kłopotach.

– Skąd to wszystko wiesz? – niespokojnie wtrącił Paul.

– Słyszałam, jak się modlił – panna Junk odparła tajemniczo. – Tak, to zaraz widać, bo każdy, kto się modli, rozpozna już na pierwszy rzut oka... on się modlił ze strachu! Modlił się, prosząc, by go opatrność chroniła przed niebezpieczeństwem...

– Niebezpieczeństwem?

– Niebezpieczeństwo, tak, to właściwe słowo, nie będę ciebie oszukiwać, nawet gdybyś płacił mi więcej niż stary, chociaż on i tak mi obcina z pensji. No więc, jeśli są kłopoty, niebezpieczeństwo i grozi nam Old Bailey, ja zamierzam związać się z Bartem... A panna Sylwia – im szybciej, tym lepiej – musi mieć ukochanego mężczyznę, który da jej przyzwoite nazwisko i więcej szczęścia, niż może jej dać stara Deborah. No więc szukałam i szukałam takiego księcia z bajki, albo takiego co to pojawia się w pantomimach, a gdy ty się zjawiłeś, oddała ci swoje serce. Wtedy zaczęłam szperać, rozglądać się, wysyłałam Barta, żeby szukał i...

– Tak, tak, rozumiem... Dobrze, Deborah, możesz na mnie liczyć. Zaopiekuję się twoją panienką. Gdy tylko pogodzę się z ojcem, zaraz porozmawiam z panem Normanem.

– Nie rób tego, sir... nie...! – wykrzyknęła gwałtownie i chwyciła Paula za rękę. – On ciebie wyrzuci, nie dopuści nikogo do mojego kwiatuszka, mimo że ją kocha... Nie, nie rób tego! – krzyczała Deborah. – On ci nie pozwoli. Nikomu nie pozwalał, ani jej matce, która zmarła na serce... Musisz z nią uciec, ona musi być twoja, mimo iż jej ojciec będzie rzucał na ciebie gromy, jak to się mówi... Zabierz ją z tego miejsca niegodziwości, miejsca, gdzie grożą sądy kryminalne. – I Deborah, trzęsąc się cała, zaczęła się rozglądać po piwnicy. Nagle zamarła bez ruchu, wymierzyła palcem i wskazała głową wąskie drzwi z boku piwnicy.

– Słyszę kroki starego – wyszeptała ochryple. – Poznałabym je wśród tysiąca innych... Skrada się, zupełnie jak złodziej, prawda? Mógłbyś powiedzieć, że... Nic mu nie mów, żeśmy się widzieli.

– Ale Sylwia...! – krzyknął Paul, chwytając ją za suknię, gdy go mijała.

– Zobaczysz ją, nawet gdybym miała zapłacić za to życiem – przyrzekła Deborah i zadziwiająco bezszelestnie jak na tak hałaśliwą istotę szybko przemknęła ku kłapie w podłodze, wspięła się na schody i znikła. Paul usłyszał tylko ciche zatrzaśnięcie klapy.

Gdy klucz zazgrzytał w zamku zewnętrznych drzwi, Paul rozejrzył się po miejscu, w którym znalazł się po raz pierwszy. Było podobnej wielkości jak

księgarnia na górze, ale miało kamienne ściany, pozieleniałe od mchu i jakiegoś gatunku grzybów. Nad głową, z drewnianego sufitu tworzącego podłogę księgarni, zwisały festony gęstych, zakurzonych pajęczyn. Posadzka wyłożona była dużymi, popękkanymi w wielu miejscach płytami, gdzie w szczelinach i wilgotnych narożnikach kiełkowała rzadka, bezbarwna trawa. Na środku stał poplamiony atramentem i pokryty dziwnymi znakami duży stół. Nad stołem płonęły z ochrypłym świstem dwie gazowe pochodnie. Przy ścianie (poniżej ulicy) stały trzy pomalowane na zielono i zamknięte kasy pancerne, natomiast w przeciwległej ścianie znajdowały się wspomniane wąskie drzwi i szerokie okno z zardzewiałymi kratami, mimo to wyglądającymi na jeszcze bardzo mocne. Było tu zimno i śmierdziało stęchlizną jak w kostnicy. Znajdował się z pewnością w dziwnym miejscu do prowadzenia transakcji lombardowych, lecz wszystko co dotyczyło Aarona Normana, było dziwne.

I on sam, wchodząc właśnie do środka, wyglądał dziwnie. Paul mógł za nim widzieć krótki bieg schodów wiodących na podwórko i dalej do przejścia łączącego je z ulicą. Norman zamknął drzwi i wszedł do środka. Był blady jak chusta. Jego twarz pokrywały kropelki potu, wargi drżały silniej niż zwykle, a ręce poruszały się nerwowo. Podchodząc do Paula, który wstał na jego powitanie, dwukrotnie obejrzał się przez ramię. Beecot spoglądał na niego zdziwiony, widząc w nim kogoś, kto popełnił jakieś przestępstwo i teraz boi się, żeby nie zostało wykryte, albo osobę lękającą się, że nagle zjawi się ktoś, kto będzie miał zamiar się na nim zemścić. Poufna rozmowa z Deborah nie odbyła się bez wpływu na młodego człowieka, a Paul oczami wyobraźni widział w Aaronie kogoś zagadkowego, tajemniczego. Dziwił się w duszy, jak taki człowiek mógł wychowywać taką córkę jak Sylwia? Tego Paul nawet nie ośmielał się zgadywać.

– Tu pan jest, panie Beecot – rzekł Aaron, zacierając dłonie, jakby chłód piwnicy przeniknął go do kości. – I o co chodzi?

– Chcę zastawić broszkę – oznajmił Beecot, wsuwając rękę do kieszeni na piersi.

– Zaczekaj pan – przerwał mu Norman, wyciągając ku niemu chudą rękę. – Pozwól, że ci coś powiem. Wiele razy obserwowałem ciebie, gdy tu bywałeś. Nie domyślasz się dlaczego?

– Nie – odrzekł Paul, zastanawiając się, czy Aaron przypadkiem nie zechce rozmawiać o Sylwii i dochodząc do wniosku, że domyśla się, skąd wieje wiatr.

– No cóż – ciągnął właściciel lombardu – polubiłem cię i uważam, że taki młody człowiek jak ty nie powinien zastawiać rzeczy w lombardzie. Nie masz pieniędzy? – zapytał.

Paul zaczerwienił się.

– Bardzo mało – wyznał.

– Mimo że masz mało, powinieneś się za nie utrzymywać i nie zastawiać niczego w lombardzie – stwierdził Aaron. – Mówię to wbrew moim interesom, ale lubię cię i być może mógłbym ci pożyczyć kilka szylingów.

– Nie biorę od nikogo pieniędzy, dziękuję – rzekł Beecot, potrząsając przecząco głową. – Ale jeżeli może mi pan coś pożyczyć pod zastaw tej broszki... – Wyjął z kieszeni kasetkę. – Chciał ją ode mnie kupić mój przyjaciel, ale ponieważ należała do mojej matki, wolę ją zastawić w lombardzie, żeby móc wykupić wtedy, gdy będę zamożniejszy niż dziś.

– Dobrze, dobrze – rzekł Aaron szybko i spojrzał na pudełko. – Zrobię, co będę mógł. Pokaż ją.

Wyciągnął rękę i chwycił kasetkę z broszką. Powoli otworzył pod światłem gazowym i zajrzał do środka.

Nagle wydał okrzyk, kasetka wypadła mu z ręki i spadła na posadzkę.

– Wąż z opalu...! Wąż z opalu...! – krzyczał, jego twarz stała się purpurowa. – Zabieraj go...! Zabieraj! – krzyczał, bijąc powietrze chudymi rękoma. – Och... Opal! – I padł twarzą na oślizłą posadzkę, doznał jakiegoś ataku, albo zemdłał... tak, zemdłał.

* Shylock – fikcyjna postać stworzona przez Williama Shakespeare’a, będąca jednym z głównych bohaterów *Kupca weneckiego*. Stereotyp Żyda-skapca.

** Więzienie Newgate – dawne więzienie w Londynie, położone na rogu ulic Newgate Street i Old Bailey, u wejścia do City of London.

*** Deborah zapewne miała na myśli to, co Bóg podał w swych dziesięciu objawieniach o Kościele. List św. Pawła do Rzymian 7:4 – oraz werset 27 z Listu do Koryntian (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ III

DULCYNEA Z GWYNNE STREET

W pobliżu stacji kolei metropolitarnej Temple rozciąga się niewielki ogród z pewną ilością dość dużych drzew, okrągłą estradą dla orkiestry i kilkoma klombami kwiatów, poprzecinanymi asfaltowymi ścieżkami. Tu przychodzą pracownicy pobliskich biur, by cieszyć się odpoczynkiem „na łonie natury w mieście”, posłuchać wesołej muzyki i – w wielu wypadkach – spożyć skąpy posiłek południowy. Starsze kobiety przychodziły tu dla słońca, włączędzy dla odpoczynku, robotnicy dla palenia papierosów lub fajek, dzieci dla zabawy. W pogodne dni to miejsce jest naprawdę bardzo ładne, a ci, którzy tu bywają, czują się tak, jakby spędzali wesołe chwile w czasie wakacji na wsi w odległości rzutu kamieniem od Tamizy. Tu spotykają się też zakochani – dlatego powinniśmy zobaczyć w tym miejscu Paula Beecota czekającego na przyjście Sylwii przy posągu z brązu przedstawiającego zapaśników z Herkulanum.

Poprzedniego dnia wyszedł pospiesznie z jej domu po oddaniu starego pod opiekę Deborah. Z początku ociągał się z odejściem, żeby zobaczyć, czy odzyska przytomność, ale gdy to się stało i otworzył oczy, ponownie zemdlał na widok Paula. Dlatego Deborah, na swój szorstki, lecz praktyczny sposób, zasugerowała, że ponieważ widok Beecota „denerwuje jej pana”, lepiej, żeby odszedł. Paul wyszedł zakłopotany, ale idąc do domu, już się cieszył zapewnieniem panny Junk, że Sylwia spotka się z nim w ogrodzie – „przy tych gołych Murzynach”, dodała Deborah.

Dziwne, że widok broszki zrobił takie wrażenie na Aaronie, a to, że zemdłał, potwierdzało podejrzenie Paula, iż stary nie ma czystego sumienia. Jednak, co broszka przedstawiająca węża miałaby z tym wspólnego, tego Beecot nie mógł sobie nawet wyobrazić. Broszka z pewnością nie była jakąś dziwną i szczególnie atrakcyjną biżuterią – ale fakt, że już pierwszy rzut oka na nią spowodował, iż Norman padł nieprzytomny, było czymś przedziwnie zagadkowym.

„Najwyraźniej w umyśle starego wywołała skojarzenie z czymś nieprzyjemnym – myślał Paul i krocząc chodnikiem, ciągle szukał wzrokiem Sylwii – może ze śmiercią, bo inaczej efekt broszki nie byłby taki duży. A jednak Aaron nie znał przecież mojej matki. Hm! Co to może znaczyć?”

Podczas gdy próbował rozwiązać dręczącą go zagadkę, lekkie dotknięcie ramienia spowodowało, że się odwrócił i ujrzał uśmiechającą się do niego Sylwię. W czasie gdy on wyglądał jej nadejścia wzdłuż Embankment, Sylwia wyszła z Norfolk Street i dalej ogrodem w stronę walczących na wolnym powietrzu zapaśników. Swoim niskim głosem, który najbardziej słodko brzmiał w uszach Paula, powiedziała, patrząc na niego ciemnymi oczami:

– Nie mogę długo z tobą zostać. Ojciec ciągle jest chory i chce, żebym go pielęgnowała.

– Wyjaśnił, dlaczego zemdłał? – zapytał z obawą Paul.

– Nie, nie chciał o tym mówić. Dlaczego zemdłał, Paul?

Młody człowiek tego nie wiedział.

– Nie mam pojęcia, daję słowo – rzekł. – Zemdłał w chwili, gdy pokazałem mu broszkę, którą chciałem zastawić.

– Co to za broszka? – zapytała dziewczyna, również zakłopotana.

Paul wyjął pudełko z kieszeni na piersi, gdzie nosił je od wczoraj.

– Przysłała mi to moja matka – wyjaśnił. – Widzisz, ona domyśliła się, że jestem w trudnej sytuacji, ale przez mojego ojca nie mogła mi przysłać pieniędzy. Ta biżuteria to coś staromodnego, więc jej nigdy nie nosiła. Przysłała więc ją mnie, spodziewając się, że będę mógł dostać za nią z dziesięć funtów czy coś koło tego.

Chciał ją ode mnie kupić mój przyjaciel, ale ja zamierzam ją w przyszłości odzyskać, żeby mogła wrócić do mamy. Dlatego pomyślałem, że twój ojciec może mi pożyczyć pieniądze pod zastaw za nią.

Sylwia uważnie obejrzała broszkę. Było to z pewnością dzieło rzemieślnika z Indii, delikatnie grawerowane i bogato zdobione drogimi kamieniami. Wąż, wijący się przy szpilce broszki, miał grube sploty i był cały wysadzany opalami – dużymi na środku i małymi przy głowie i ogonie. Opale były otoczone drobnymi brylantami, a głowę zdobiło złoto, zaś język był z rubinów. Sylwia z podziwem oglądała tę piękną jubilerską robotę i kiedy odwróciła broszkę, ujrzała na płaskim, gładkim złocie wydrapaną szpilką literę „R”. Pokazała ją Paulowi.

– Pewnie twoja mama zrobiła ten znak, żeby rozpoznać swoją własność – stwierdziła.

– Moja mama ma na imię Anna – odparł Paul, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zdziwionego. – Anna Beecot. Cóż więc ta litera może mieć wspólnego z jej imieniem?

– Może to był prezent? – podsunęła Sylwia.

Paul zamknął pudełko i schował do kieszeni.

– Być może – zgodził się. – Napisałem do mamy i zapytałem, kiedy dostała tę broszkę. Ale z pewnością miała ją już od dawna – i dodał w zamyśleniu – pamiętam, że bawiłem się nią, gdy byłem małym chłopcem.

– Chyba nie powiesz mamie, że mój ojciec zemdlał na widok broszki?

– Dlaczego nie mam mówić? Czy to ważne?

Sylwia założyła ręce i patrzyła prosto przed siebie. Przez jakiś czas siedzieli na ławce w odosobnionej części ogrodu. Dochodził do nich słaby śmiech dzieci, słychać było ciche dźwięki orkiestry grającej melodie z popularnej ostatnio komedii muzycznej.

– Myślę, że to ważne – powiedziała poważnie – mój ojciec z jakiegoś powodu chce unikać rozgłosu... jak to tylko możliwe. Mówi o wyjeździe.

– O wyjeździe... Och, Sylwio, nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– On powiedział mi o tym zamiarze, gdy odwiedziłam go dziś rano, żeby zobaczyć, jak się czuje – odparła. – Zastanawiam się, czy to omdlenie miało coś wspólnego z tym pomysłem. Nigdy przedtem nie sugerował czegoś takiego.

Paul przez chwilę się zastanawiał. Wydawało się dziwne, że po tym niezwykle wydarzeniu stary nie woli raczej odpocząć w spokojnym miejscu i pozostać tam, gdzie mieszkał i żył przez ponad dwadzieścia lat.

– Pójdę i wyjaśnię to z nim – oświadczył po chwili Paul.

– Myślę, że tak będzie najlepiej, kochanie. Ojciec powiedział, że chce ciebie znowu widzieć i polecił Bartowi, żeby sprowadził ciebie, kiedy tylko się spotkacie.

– Wpadnę do niego dzisiaj po południu i może mi coś wyjaśni. A teraz, Sylwio, dość już gadania na temat innych ludzi i innych rzeczy. Porozmawiajmy o nas.

Sylwia zwróciła ku niemu twarz, na której malował się miły uśmiech. Była delikatną, filigranową kobietką o dużych, szarych oczach i miękkich brązowych włosach. Miała jasną cerę z zaróżowionymi policzkami. Z owalną twarzą, wąskim nosem i uroczo zarysowanymi ustami wyglądała bardzo ładnie i słodko. Paul kochał ją za jej zwykle smutny wyraz twarzy, ale gdy się uśmiechała, jej oblicze ulegało całkowitej przemianie, niczym pochmurne niebo, gdy przez chmury przebija się słońce. Miała doskonałą figurę; jej ręce i stopy wskazywały szlacheckie pochodzenie i chociaż szara suknia była tak skromna, że mogłaby ją nosić kwakierka, w świetle pięknego dnia prezentowała się wręcz radośnie i zbyt kownie. Wszystko co dotyczyło Sylwii, było filigranowe, czyste i przepiękne – choć przy tym beznadziejnie niemodne; mimo to ta dziwna, niezależna oryginalność w ubiorze w oczach Paula dodawała jej nowego uroku.

Miejsce, gdzie obecnie przebywali, było zbyt publiczne, żeby jawnie okazywać miłość, a siedzenie obok pięknej ukochanej, której nie mógł pocałować, stanowiło dla Paula wielką torturę. Pozostało mu tylko z rozkoszą karmić oczy pięknem Sylwii i pod osłoną jej sukni tulić w swych rękach jej drobne dłonie w szarych rękawiczkach. Dalej posunąć już się nie mógł.

– Gdybyś tak zasłoniła nas swoim słoneczny parasolem... – podsunął chytrze.

– Paul! – Sylwia wypowiedziała tylko jego imię, ale w tym jednym słowie ukryła cały wolumen, jaki mogła zawrzeć w przyganie. Dziewczyna wychowywana w odosobnieniu, jak księżniczka w zaczarowanym zamku, była wyjątkowo nieśmiała. Żarliwe spojrzenia Paula i jego zachowanie niekiedy ją zaskakiwały. Patrząc na tę delikatną, filigranową panienkę, którą adorował, niepokieszony stwierdzał ze smutkiem, że jego rycerskie okazywanie uczuć było dla niej zbyt szorstkie i pospolite.

– Nie powinnaś porzucać swej książeczki z modlitwami, Sylwio – stwierdził ze smutkiem.

– Co masz na myśli, najdroższy?

– Myślę, że jesteś tak święta... jak anioł... że jesteś jak ktoś, kogo należy uwielbiać i czcić. Przypominasz mi którąś z tych uroczych osób, o których czyta się w książkach o średniowieczu. Obawiam się, Sylwio – westchnął Paul – że jesteś zbyt delikatna i krucha. A także zbyt święta dla tego pełnego trudu i znoju współczesnego świata.

– Co za nonsens, Paul! Jestem tylko biedną dziewczyną bez pozycji i bez przyjaciół, mieszkającą przy nędznej ulicy. Jesteś pierwszą osobą, która zobaczyła we mnie kogoś atrakcyjnego.

– Nie jesteś atrakcyjna... – wtrącił z naciskiem Beecot – ty jesteś wprost boska... jesteś jak Beatrycze, jak Elżbieta z Turyngii... Jesteś całą miłością, wcieleniem piękna.

– A ty jesteś głupim chłopakiem – odparła Sylwia, rumieniąc się, lecz tak jak on kochała tego rodzaju romantyczne rozmowy. – Chcesz po ślubie zamknąć mnie w szklanym kloszu? Jeżeli to zrobisz, nie będę dłużej panią Beecot. Chcę poznać świat i dobrze się bawić.

– Wtedy inni będą ciebie podziwiać, a ja będę zazdrosny.

– Potrafisz być zazdrosny...? Paul?

– Potwornie! Nie znasz nawet połowy moich możliwości. Jestem ubogi, ale ambitny, zazdrosny i...

– Dobrze... dobrze. Nic o tym nie wiedziałam. Jesteś najlepszym chłopcem na świecie.

– Biedny ten świat, jeśli taki jestem – zaśmiał się i ścisnął drobną dłoń Sylwii. – Och, moja kochana, czy ty naprawdę tak o mnie myślisz?

– Zawsze! Zawsze! Wiesz, że tak właśnie czuję. Od chwili, gdy przekroczyłeś próg księgarni przed sześcioma miesiącami... Zakochałam się w tobie w tamtym momencie. Powiedziałam o tym Debby, a ona odparła, że powinnam... ciebie kochać.

– A gdyby Debby powiedziała, że nie powinnaś...

– Och, ona tego nigdy nie powie. Przecież wie, jaki jesteś.

Młody człowiek roześmiał się i zaczerwienił.

– Czy mam charakter wypisany na twarzy? – zapytał. – Sylwio, nie myśl o mnie za dobrze.

– To nie jest możliwe – oznajmiła. – Jesteś moim księciem z bajki.

– No cóż, w takim razie znalazłem zaczarowaną księżniczkę śpiącą w zazdrośnie strzeżonym zamku. Co powiedziałby twój ojciec, gdyby wiedział...?

Sylwia sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Boję się ojca – stwierdziła pozornie nie na temat. – Jest... taki dziwny. Czasem wydaje się, że mnie kocha, a innym razem, że nienawidzi. Nic nas nie łączy. Ja kocham książki i sztukę, lubię się weselić i stroić. On dba tylko o klejnoty. Ma ich całe mnóstwo w piwnicy. Choć nigdy ich nie widziałam – dodała Sylwia, patrząc na ukochanego. – Ale one tam są. Tak mówili Bart i Deborah.

– Czy twój ojciec wspominał o nich kiedyś?

– Nie. On nie mówi o tym, co się dzieje w piwnicy. Gdy księgarnia jest zamknięta po siódmej wieczorem, odsyła Barta do domu, a mnie i Deborah zamyka na klucz. To znaczy – wyjaśniła z obawy, żeby Paul nie myślał, iż jej ojciec jest tyranem – zamyka na klucz drzwi wiodące do księgarni. Możemy chodzić po całym domu. I tak jest do rana, gdy ojciec otwiera drzwi o siódmej i Bart zdejmuje okiennice. W ten sposób żyjemy tu od lat. Jednak w niedzielne wieczory ojciec nie

idzie spać do piwnicy, ale zabiera mnie do kościoła. Je ze mną kolację na górze, a potem o dziesiątej wieczorem zamyka drzwi na klucz.

– I śpi na górze?

– Nie. On śpi w piwnicy.

– Niemożliwe. Tam nie ma miejsca do spania.

Sylwia wyjaśniła:

– Jest też inna piwnica... mniejsza... obok tej dużej z sejfami. Drzwi prowadzące do niej znajdują się w ciemnym kącie prawie pod linią ulicy. Ta mała piwnica wyposażona jest tak jak sypialnia i ojciec sypiał w niej całe życie. Przypuszczam, że boi się, że ktoś może mu ukraść klejnoty. Nie sądzę, żeby to było zdrowe miejsce – dodała trafnie – i często rankami sprawiał wrażenie chorego i trzęsły mu się ręce.

– Sylwio, czy twój ojciec pije alkohol?

– O, nie, Paul! Jest abstynentem i złości się na tych, którzy piją w nadmiarze. Kiedy raz Bart przyszedł do księgarni podchmielony, ojciec wyrzuciłby go z pracy, gdyby nie Deborah.

Paul milczał zamyślony. Często odnosił wrażenie, że Norman pił alkohol; chociaż sądząc po bladej twarzy, nie można było wnioskować, że pada ofiarą tej słabości. Jednak często drżały mu ręce, a skóra wyglądała na napiętą i chorą i jej połysk sugestywnie wskazywał na uleganie temu nałogowi. „Albo pije alkohol, albo pali opium”, pomyślał Paul, jednak słysząc zaprzeczenie Sylwii, milczał.

– Muszę już wracać do domu – powiedziała, wstając.

– O, nie, jeszcze nie – błagał.

– No dobrze, zostanę więc kilka minut, ponieważ mam ci coś do powiedzenia – stwierdziła i usiadła. – Paul, myślisz, że to honorowo dla ciebie i dla mnie tak zaręczyć się bez zgody mojego ojca?

– No... – Beecot zawahał się. – Ja uważam, że to nie jest dobre. Powinienem nie bać się powiedzieć wszystkiego twojemu ojcu; ale jestem biedny i gdyby się dowiedział, że odważyłem się podnieść na ciebie oczy, zakazałby mi spotykać się

z tobą. Ale jeśli chcesz, powiem mu o wszystkim, chociaż to może oznaczać nasze rozstanie na zawsze.

– Paul – położyła stanowczo na jego ramieniu drobną rączkę – ojcowie całego świata nie mogą nas rozdzielić. Często sama miałam zamiar wszystko mu powiedzieć, ale on jest taki dziwny. Bywa, że przez cały dzień nie odezwie się do mnie słowem, a czasem gada tak surowo, chociaż w niczym nie zasłużyłam na naganę. Boję się o niego – mówiła dziewczyna z drzeniem. – Mówiłam to już przedtem i teraz powtarzam. To dziwny człowiek i ja w ogóle go nie rozumiem. Chcę ciebie poślubić i odejść stąd na zawsze.

– Dobrze, jeśli chcesz, weźmiemy ślub, ale będziemy klepać biedę.

– Nie możemy tego zrobić – odparła przygnębiona Sylwia. – Poza tym, że jest dziwny i surowy, nadal jest moim ojcem i niekiedy bywa miły i uprzejmy. Muszę pozostać z nim do końca.

– Do jakiego końca?

Sylwia potrząsnęła głową, coraz bardziej przygnębiona.

– Kto to wie? Paul, mój ojciec boi się, że umrze nagłą śmiercią.

– W wyniku napaści? – zapytał Beecot, myśląc o tym, co powiedziała Deborah.

– Tego nie wiem. Ale codziennie o szóstej po południu idzie do kościoła i gorąco się modli. Deborah mówiła mi, że często widziała go, jak zostawał w kościele bardzo długo. Ojciec boi się każdego obcego, który wchodzi do księgarni... Ja tego nie rozumiem! – wykrzyknęła z przejęciem. – I to mi się wcale nie podoba. Chcę, żebyś mnie poślubił i zabrał stąd, Paul; ale, och! Jaka ja jestem samolubna!

– Moja najdroższa... gdybym mógł... Ale pieniądze...

– Och, pieniądze nie są najważniejsze. Muszę uciec z tego domu. Gdyby nie Deborah, bałabym się jeszcze bardziej. Często myślę, że ojciec oszalał. Ale dość – wstała i wygładziła spódniczkę – nie mam prawa tak mówić, chociaż chcę, żebyś wiedział, co czuję. Porozmawiam z ojcem i powiem mu, że zaręczyliśmy się.

Gdyby zabronił nam małżeństwa, ucieknę z tobą, Paul – zadeklarowała biedna Sylwia ze łzami w oczach. – Mówiąc tak o moim ojcu, jestem niedobłą córką...

Beecot z całej duszy pragnął chwycić ją w objęcia, serdecznie uściskać i scałować z oczu łzy, ale powstrzymywało go publiczne miejsce i nie wolno mu było pocieszyć jej w tak skuteczny sposób. Mógł tylko zapewnić o swej miłości. Opuścili ogród, kierując się na Strand.

– Sam pomówię z twoim ojcem – oznajmił. – Trzeba skończyć z tym przymusowym milczeniem. Poza tym jestem dżentelmenem i nie widzę powodów, żeby twój ojciec miał co do mnie obiekcje.

– Wiem, że jesteś tym wszystkim, co reprezentuje dobro i prawdę – stwierdziła Sylwia, osuszając oczy. – Gdybyś taki nie był, Debby nie pozwoliłaby ci zaręczyć się ze mną – zakończyła dziecinnie.

– Debby zrobiła wywiad na mój temat – rzekł ze śmiechem Paul. – Tak! Wysłała Barta do Wargrove i tam dowiedziała się wszystkiego o mnie i o mojej rodzinie, a także o moim szanownym ojcu. Chciała być pewna, że jestem godny miłości jej najdroższej Sylwii.

– No i teraz jestem twoją ukochaną – wyszeptała Sylwia, zaciskając dłoń na jego rękę – a ty jesteś najbardziej uroczym ukochanym na tym świecie.

Paul był tak oczarowany jej słowami, że mimo publicznego miejsca chciał chwycić ją w objęcia i uściskać, ale Sylwia szybko odeszła wzdłuż Gwynne Street, machając mu dłonią. Paul przez chwilę szedł za nią, ale po chwili uznał, że nie byłoby rozsądne odprowadzać jej do księgarni, gdzie podejrzliwy staruch mógłby go dostrzec, zatem zrezygnował i skierował się ku swemu mieszkaniu.

Znalazszy się blisko Bloomsbury, spotkał Grexona Haya, który przechadzał się, machając laseczką.

– Szukałem ciebie – rzekł, witając Paula na swój zwykły sposób. – Dręczyła mnie myśl, że jesteś spłukany, chociaż z reguły nie należę do tych, co bawią się w sentymenty. Więc pozwól, że pożyczę ci piątkę.

Paul potrząsnął przecząco głową.

– Mimo wszystko dziękuję ci.

– Dobrze, no to sprzedaj mi broszkę.

Beecot spojrział prosto w oczy Haya, który wydawał się przyjmować jego spojrzenie spokojnie.

– Co wiesz o tej broszce? – spytał.

– O co ci chodzi? To indyjska robota. Wiem tylko tyle. Chcę ją dać w prezencie pewnej damie i jeżeli zechcesz mi ją sprzedać, kupię ją, ty będziesz miał pieniądze, a ja w ten sposób ustrzelę dwa ptaszki jednym strzałem.

– Nie chcę jej sprzedawać – rzekł Paul, rozglądając się. Jego wzrok zatrzymał się na porządnie wyglądającym mężczyźnie stojącym po drugiej stronie ulicy, sprawiającym wrażenie robotnika, bowiem nosił na ramieniu torbę z narzędziami. Niby gapił się na wystawę sklepu, ale – Paul odniósł bardzo silne wrażenie – wydawał się obserwować jego i Haya. Ponieważ jednak nie miało to większego znaczenia, więc Paul przeniósł z powrotem wzrok na Grexona i kontynuował rozmowę.

– Próbowałem zastawić ją w lombardzie Aarona Normana – poinformował szkolnego kumpla.

– Ile ci zaproponował? – zapytał Hay, ziewając.

– Nic. Stary zemdlął, gdy pokazałem mu broszkę. Dlatego pytałem ciebie, czy wiesz coś o tym przedmiocie.

Hay potrząsnął przecząco głową i spojrział z ciekawością na Beecota.

– A ty coś wiesz? – zapytał. – Wydaje mi się, że masz jakieś przeczucia.

– Tak, moim zdaniem jest w niej coś dziwnego – przyznał Paul. – Ale dlaczego Norman zemdlął na jej widok?

Hay znowu ziewnął.

– Lepiej zapytaj o to swego jednookiego przyjaciela. Wydaje mi się, że mówiłeś, iż ma jedno oko.

– Tak i w dodatku jest przerażony. Jednak w broszce z opalem i węzem nie ma nic takiego, co mogłoby spowodować, że zemdlął.

– A może zasłabł na widok węża – zasugerował Grexon – coś takiego wpływa na niektórych ludzi. Niektórzy nienawidzą kotów, inni trzepoczących skrzydłami ptaków. Może twój jednooki przyjaciel ma wstręt do węży i nie potrafi znieść ich widoku?

– To byłoby jakieś wytłumaczenie... – odparł po chwili Beecot. – Aaron to dziwny gość. Powiedziałbym, że to „człowiek z przeszłością”.

– No, no, wzbudziłeś we mnie ciekawość – stwierdził Grexon, śmiejąc się. – Tak mi się zdaje, że będę musiał zajść do księgarni i rzucić na niego okiem.

– Może pójdziesz ze mną, gdy tam się wybiorę – zaproponował Paul. – Miałem zamiar odwiedzić go dziś po południu; ale nie zrobię tego, póki nie otrzymam wiadomości od mojej matki.

– Na jaki temat?

– Chcę wiedzieć, skąd ma tę broszkę.

– Bzdura – stwierdził Hay pogardliwie – za dużo o tym myślisz. Kogo to obchodzi, z jakiego powodu właściciel lombardu mdleje? A ja do księgarni chcę iść po to, żeby poznać damę twego serca. No więc, kiedy się zdecydujesz, daj mi znać, znasz mój adres. Do zobaczenia, stary. – I ta dostojna osoba wolnym krokiem oddaliła się, najwyraźniej dając do zrozumienia, że nic na tym świecie nie jest w stanie jej poruszyć.

Za to Paul był coraz bardziej niespokojny. Im dłużej myślał o epizodzie z broszką, tym bardziej wydawał mu się on dziwny. A w dodatku zastanawiało go to wszystko, co Sylwia opowiedziała mu o osobliwych zwyczajach ojca. Wtedy też postanowił napisać do matki i teraz właśnie wspinał się po schodach, gdy nagle usłyszał: „Przepraszam pana” i zobaczył tuż przed sobą tego robotnika z narzędziami i fajką.

– Przepraszam, sir – rzekł mężczyzna uprzejmie – chodzi o dżentelmena, z którym pan rozmawiał. Zna pan jego nazwisko, sir?

– Co on ma, u diabła, z panem wspólnego? – zapytał gniewnie Paul.

– Nic, poza tym, że jest mi winien pieniądze z niezapłaconego rachunku.

– To idź i powiedz mu, żeby ci je zwrócił.

– Nie znam jego adresu, sir.

– Och, daj mi pan spokój! – Paul zdenerwował się, ale mężczyzna mówił dalej:

– To niebezpieczny człowiek... ja takiego nazywam „mężczyzną na rynku”...

szanowny panie. Niech pan uważa. – I po tych słowach szybko odszedł.

Paul stał zdumiony.

Czego chciał ten robotnik. I czy to był naprawdę robotnik?

ROZDZIAŁ IV

NIEPRZEWIDZIANE

Przez następne kilka dni Paul nie zbliżał się do Gwynne Street, chociaż bardzo tego pragnął. Będąc zakochany, z trudem znosił brak kontaktu z Sylwią nawet przez kilka godzin; mimo to nie odwiedzał jej z dwóch powodów. Po pierwsze czekał na odpowiedź pani Beecot, chciał bowiem przekazać Aaronowi informację, skąd matka ma tę broszkę. Pomyślał, że w ten sposób zyska względy starego i być może, przez pewnego rodzaju spoufalenie, dowie się, dlaczego widok broszki tak na niego wpłynął.

Drugim powodem był fakt, że nie chciał sprzedawać broszki, a jedynie zastawić ją w lombardzie, żeby jej nie stracić. Fundusze, którymi dysponował, spadły do kilku szylingów. Odwiedzenie redakcji groszowego tygodnika skutkowało odrzuceniem trzech opowiadań jako zbyt długich i niepasujących do ich linii. Co prawda wydawca podczas krótkiej rozmowy przyznał, że styl Paula podoba mu się i wypłaciłby mu trzy funty, gdyby przysłał opowieść napisaną na pewien, lubiany przez czytelników temat. Paul bynajmniej nie zamierzał ulegać sugestiom i pomysłom innych – szczególnie że chodziło o tematy banalne i bardzo sensacyjne – jednak usiadł do pracy, jako że gwałtownie potrzebował pieniędzy i napisał to, co potencjalnie mogło mu przynieść gotówkę. Po kilku próbach w końcu osiągnął poziom, który mógł zadowolić redaktora – niezbyt wysoki, ale też nie za niski – który jednak doprowadził do przyjęcia opowiadania. Z trzema złotymi funtami w kieszeni i uczuciem radości w sercu – każdy bowiem sukces

wydawał się zbliżać go do Sylwii – wrócił do swego podniebnego królestwa, gdzie czekał na niego spodziewany list.

Był napisany chłodnym, nieco chaotycznym stylem, tak charakterystycznym dla pani Beecot, ale wyraźnie z prawdziwie matczynym uczuciem miłości. Po dwóch stronach żalenia się na jego nieobecność i opisywania, jak głowa rodziny usiłuje podtrzymać ją na duchu w czasie nieobecności syna, pani Beecot przeszła do wyjaśnień sprawy broszki.

Dlaczego pytasz mnie o broszkę z opalu, drogi chłopcze?, pisała pani Beecot swym koślawym charakterem pisma. Wiem tylko, że twój ojciec kupił ją w lombardzie w Stowley, małym miasteczku w Midlands. Twój ojciec, przejeżdżając tamtędy, trafił na nią całkiem przypadkowo. A ponieważ ja zawsze uważałam, że opale przynoszą nieszczęście, chciał, żebym się przekonała, jaka jestem głupia i przesądna. Dlatego właśnie kupił tę broszkę i przywiózł do domu. Później, jeśli dobrze pamiętam, otrzymał z lombardu list, w którym właściciel pisał, że jego asystent omyłkowo sprzedał mu ten przedmiot i że w chwili kupna przez twojego ojca jeszcze nie upłynął termin jej odkupienia. Właściciel lombardu poprosił o zwrot broszki za zwrotem pieniędzy, jakie za nią ojciec zapłacił. Dobrze wiesz, jaki jest twój ojciec – kategorycznie odmówił zwrotu i jednocześnie zaczął nalegać, żebym ją nosiła. Co było robić, posłuchałam go, ale miałam nieprzyjemny wypadek, bowiem spadłam z wysokiego dwukołowego powozu, którym ojciec kazał mi jeździć. Jestem przekonana, że albo cała ta broszka, albo te opale, przynoszą nieszczęście. Po jakimś czasie ojciec o niej zapomniał, więc pozwoliłam, żeby leżała w mojej kasetce z biżuterią. Przez wiele lat jej nie nosiłam i nadal myślę, że przynosi pecha, a ponieważ ty potrzebujesz pieniędzy, drogi chłopcze, postanowiłam wysłać ci ją. Nie musisz jej zastawiać w lombardzie, tak jak pisałeś. Ja już nigdy nie chcę widzieć na oczy tej broszki. Jeśli zaś chodzi o twoje zdrowie... itd... itd.

Tak pani Beecot pisała swym charakterystycznym rozwlekłym stylem, niepozabawionym błędów gramatycznych. Ale Paul dostrzegł w tej prostej opowieści ślady tyranii ojca, który nakazał nosić broszkę żonie. Klejnot, którego nienawidziła i zabobonnie wzbraniała się go posiadać. Paul dobrze pamiętał epizod z dwukólką. Pan Beecot, na swój uprzejmy sposób, nie wykazywał cierpliwości wobec lęków żony i nigdy nie tracił okazji, żeby postawić ją w nieprzyjemnej sytuacji, aby mogła – jak to nazywał – nabrać „hartu ducha”.

Paul, składając list, westchnął na myśl o sytuacji matki. Przeżywała ciężkie chwile z dominującym mężem. „Nie mogę wprost uwierzyć, że wyszła za niego z własnej nieprzymuszonej woli – myślał – zapewne została do tego w jakiś sposób zmuszona”.

Jednak w liście nie znalazł żadnego wyjaśnienia, dlaczego Norman zemdłał. Z pewnością dziwne było, że właściciel lombardu, z którego pochodziła broszka, domagał się jej zwrotu, a podany przez niego powód wydawał się co najmniej wątpliwy. Jednak Paul nie tracił czasu na rozmyślanie o tym, ale postanowił przekazać Aaronowi wszystkie informacje otrzymane od matki.

Od Sylwii otrzymał dwa listy, w których pisała między innymi, że jej ojciec teraz już czuje się dobrze i pyta o Paula, nalegając, żeby go odwiedził.

Mój ojciec wydaje się darzyć ciebie sympatią, pisała Sylwia, więc jeśli będziesz taki miły – taki jak tylko ty potrafisz – to być może nie będzie bardzo zły, gdy powiesz mu, żeśmy się zaręczyli.

Paul uznał to za dobrą radę, która może odnieść pozytywny skutek. Jeżeli sprawy miały potoczyć się w prosty, uczciwy i honorowy sposób, a Paul nie chciał, żeby toczyły się inaczej, musiał wyznać Aaronowi swą miłość do Sylwii.

Po podjęciu decyzji o ponownym spotkaniu z Aaronem Paul zaczął rozmyślać o Grexonie Hayu. Od ich ostatniego spotkania dzentelmen ten nie pojawił się na poddaszu w Bloomsbury, a nawet nie napisał ani słowa. Paul obawiał się, że Hay – którego uważał za największego spryciarza na świecie – mógł spotkać się ze starym

i jak mawiają nasi zamorscy kuzyni – „odpowiednio go nakręcić”. Zachowanie Normana i jego dziwny styl życia ani trochę nie dziwiły Paula, ale jako że nie był obytym światowcem, zapragnął rady swego starego szkolnego przyjaciela, który od ich przypadkowego spotkania zdawał się wykazywać chęć uczynienia dobrego uczynku, deklarując kupienie broszki, żeby w ten sposób zabezpieczyć Paulowi pieniądze na życie. Zatem Beecot napisał do Grexona Haya na adres Camden Hill, donosząc mu, że pewnego dnia o pewnej godzinie zamierza zjawić się na Gwynne Street. Grexon odpowiedział, że jest do dyspozycji Paula i przyjdzie tam według życzenia, szczególnie po to, aby zobaczyć Dulcyneę z Gwynne Street.

To ostatnie rozśmieszyło Paula. „Pewnie Grexon myśli, że ze mnie prawdziwy Don Kichot – pomyślał – który przyjechał do Londynu, by zmierzyć się z wiatrakami prasy. Jednak mimo iż wydawał się wyraźnie szalony, ten Don Kichot nie był głupi i Grexon z pewnością uzna to, gdy zobaczy moją Dulcyneę, niech ją Bóg błogosławi. Hm...! Tak się zastanawiam, czy Hay mógłby uspokoić mojego ojca i sprawić, żeby życzliwiej traktował moje literackie ambicje. Grexon to nie głupi kumpel, tylko dobry przyjaciel, więc...

W tym momencie Paul zamyślił się – incydent z robotnikiem ostrzegającym go przed Hayem wywołał w nim jednak pewien niepokój. Ciągłe powracał mu w pamięci zwrot „mężczyzna na rynku”. Dlaczego ktoś tak nazwał Grexona Haya i co to ma właściwie znaczyć? Paul nigdy wcześniej nie słyszał takiego określenia. Co więcej, Beecot wnioskował z pewnych symptomów, że mężczyzna z torbą na narzędzia wcale nie był robotnikiem. Bardziej sprawiał wrażenie kogoś, kto grał tę rolę. Ktoś, kto obserwuje ich obu, a potem zaczepia tylko Paula, z pewnością jest postacią budzącą podejrzenie. Beecot żałował, że zbył tak szybko tego typu i nie zdążył dowiedzieć się, dlaczego zachował się w ten sposób. Historia z długim pieniężnym była absurdalna – ten mężczyzna wspominał coś o niezapłaconym rachunku – jednak gdyby Grexon był mu rzeczywiście winien pieniądze, „robotnik” z pewnością znałby nazwisko i adres wierzyciela, albo podążył za nim, zamiast nagabywać Paula. W sumie incydent ten zaskoczył Paula niemal w takim samym stopniu jak utrata przytomności Aarona i postanowił w tej

sprawie przepytać Grexona. Jednak nigdy nie myślał, żeby Hay był kimś więcej niż tym, na kogo wyglądał – salonowcem o wystarczających dochodach, by żyć w miarę wygodnie. Gdyby Paul w to wątpił, nie zaprosiłby Grexona, żeby udał się razem z nim na Gwynne Street. A jednak tak zrobił i zostało wyznaczone miejsce spotkania – zatem już nic więcej nie było do powiedzenia. I salonowiec zjawił się punktualnie na miejscu spotkania.

– Zawsze przychodzę o umówionej godzinie – wyjaśnił, gdy Paul gratulował mu punktualności. – Nic tak bardzo nie irytuje mnie jak czekanie, więc niezmiennie praktykuję to, co zawsze przestrzegałem – punktualność. No, Paul, a jak się czuje nasza Dulcynea z Gwynne Street?

– Czuje się bardzo dobrze – odparł Paul, który był jeszcze na tyle młody, żeby łatwo się rumienić. – Nie widziałem jej od kilku dni. Czekałem na list od matki na temat broszki, żeby móc wyjaśnić Aaronowi, skąd ją miała. Stary się niewątpliwie tym zainteresuje.

– Och, ta kłopotliwa broszka! – westchnął Grexon na swój zwykły obojętny sposób. – Nie chcę nic na jej temat już słyszeć. Raczej porozmawiajmy o Dulcynei.

– A może lepiej o tobie – wtrącił Paul.

– Nie jest to interesujący temat – stwierdził Hay, wstając, gdy Paul otworzył przed nim drzwi poddasza. – Wiesz już o mnie wszystko.

– Nie! Nie wiem, dlaczego nazywają cię „mężczyzna na rynku”.

Hay zaczerwienił się i nagle odwrócił.

– Co to ma znaczyć? – zapytał na pozór bardzo spokojnie.

– Nie wiem, co to ma znaczyć – powtórzył za nim Paul. – Pamiętasz tego robotnika z torbą na narzędzia, stojącego po drugiej stronie ulicy, gdy ostatni raz rozmawialiśmy ze sobą?

– Nie. – Hay patrzył badawczo na Paula. – Nie zwracam uwagi na takie typy. A dlaczego?

– Ponieważ pytał mnie, kim jesteś i gdzie mieszkasz. Wydaje się, że jesteś mu winien jakieś pieniądze.

– Bardzo prawdopodobne – zgodził się łagodnie Hay. – Jestem wielu ludziom winien pieniądze, ale jeśli ten człowiek chciał je ode mnie otrzymać, musiał znać moje nazwisko i adres.

– Ja też tak myślałem – odparł Paul – ale najdziwniejsze jest to, że kazał mi na ciebie uważać i nazwał cię „mężczyzną na rynku”. Co to w ogóle znaczy? Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

– Zgadza się – Hay mówił spokojnie, schodząc po stromych schodach. – „Mężczyzna na rynku” znaczy tyle, że jest wolnego stanu, do wzięcia i chce się żenić z jakąś spadkobierczynią, mającą wystarczającą rentę czynszową. Ale dlaczego taki typ miałby o tym mówić?

Paul wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może odgadł, że zamierzam zaprowadzić cię do Sylwii i ostrzegł mnie przed tobą, bo jak wynika z tego, co mówił, mógłbyś mieć na nią chrapkę.

– Ach! Zatem ta twoja Dulcynea jest spadkobierczynią z rentą czynszową? – zapytał Hay, ostrożnie poprawiając monokl. – Jeśli tak, to mnie nie musisz się obawiać. Jestem już zaręczony i niedługo nie będę „rynkowy”. Jaki tupet miał ten gość, żeby zwracać się do ciebie i gadać o mnie takie bzdury. Przypuszczam – dodał z suchym śmiechem – że nie będę musiał się bronić.

– Tak, to rzeczywiście są bzdury – odparł łagodnie Beecot. – Jednak w gruncie rzeczy to dziwaczne, że ten człowiek mówił do mnie w ten sposób. Posłałem go do diabła.

– I gdyby poszedł do diabła, z pewnością by go spotkał – brzmiała obojętna odpowiedź. – Rozwalę mu łeb za wtrącanie się w nie swoje sprawy. A teraz odbierz telegram, który przyniósł ten chłopak.

Grexon zszedł ze schodów, wyprzedzając Paula i pierwszy zobaczył stojącego w drzwiach posłańca.

– Szefie, czy tu mieszka ktoś o tym nazwisku? – zapytał chłopiec, podając mu szarą kopertę.

Beecot ze zdumieniem ujrzał na niej swoje własne nazwisko.

– Kto może do mnie pisać? – zdziwił się, odbierając telegram. – Zaczekaj, chłopcze, może będzie odpowiedź. – I rzucił okiem na treść:

Nie sprzedawaj broszki, tylko odeślij – przeczytał zdumiony. – *Twój ojciec jest wściekły. Matka.*

Spojrzał na chłopca.

– Masz formularz? – zapytał.

Chłopiec wyjął formularz i ogryzek ołówka. Beecot napisał, że broszkę odeśle następnego dnia.

Po odejściu chłopca Paul pomacał kieszeń na piersi i wyjął zniszczoną, starą, niebieską kasetkę.

– Prawdę mówiąc, miałbym ochotę natychmiast ją odesłać – powiedział głośno.

– O co chodzi? – zapytał Hay, stając w drzwiach i ziewając. – Mam nadzieję, że nie są to złe wieści?

– Znowu chodzi o broszkę.

Hay roześmiał się.

– Z tego co mówiłem, wynika, że Potwór pochodził od Frankensteinia – stwierdził. – Zatem odeślij ją do pani Beecot, jak sądzę... i sprawa załatwiona. – Rzucił okiem na kasetkę. – Widzę, że ciągle nosisz ją przy sobie – zakończył od niechcenia.

– Tak – rzekł Paul, schował kasetkę do kieszeni i ruszył ulicą razem z przyjacielem. Następnie postanowił zasięgnąć jego opinii i zacytował mu treść telegramu pani Beecot.

– Ojciec pewnie odkrył, że mama wysłała mi ją i wpadł w szal.

– No cóż, odeślij ją i miej to z głowy – odparł niecierpliwie Hay. – Ta broszka zaczyna cię już męczyć, Beecot. Jeżeli nie masz pieniędzy, naprawdę mogę ci pożyczyć.

– Nie, dziękuję, mam uczciwie zarobione trzy funty. Nie mówmy więcej o broszce. Odeślę ją jutro. Powiedz mi – chwycił rękę przyjaciela – powiedz mi coś

o tym człowieku.

– Ten mężczyzna... ten rzekomy robotnik... – mówił jakby z roztargnieniem Hay. – Och, z niego taki sam robotnik jak ja!

– Zgadza się, mnie też przyszło na myśl, że to oszust.

– Detektyw nigdy nie zrobi tego dobrze – stwierdził spokojnie Grexon.

Paul zatrzymał się w chwili, gdy skręcali w Oxford Street.

– Co? Więc ten człowiek był detektywem?

– Tak sędzę na podstawie twojego opisu i tego, co mówił. Tak naprawdę to kocham się w mężatce. Zawsze zachowywaliśmy się poprawnie i nikt nie mógł nam nic zarzucić. Jednak jej mąż okazał się bestią i zażądał rozwodu. Od pewnego czasu zacząłem podejrzewać, że mnie śledzi. A teraz dzięki tobie, Paul, jestem tego pewien. Może teraz zrozumiesz, dlaczego ten człowiek ostrzegł ciebie przede mną i mówił, że jestem „mężczyzną na rynku”.

– Rozumiem – rzekł Paul z wahaniem – ale chyba nie będziesz miał z tego powodu kłopotów, Hay.

– Och, nie martw się o mnie. Nie zachowam się niegodnie, jeżeli to masz na myśli. To ten mąż popełnił błąd, nie ja. Przy okazji, możesz mi go opisać?

– Tak. Rudy, z brodą, o rumianej twarzy, kulejący.

– Wszystko się zgadza – rzekł Hay z pogardą. – Udawał kulawego, broda fałszywa, włosy to peruka, a na twarzy róż – nieudolny kamuflaż. Założę się, że następnym razem, śledząc mnie, będzie błady i udający dżentelmena. Znam sztuczki takich osobników.

I obaj przyjaciele jakiś czas rozmawiali na ten temat, potem Hay opisał Paulowi ową zameżną kobietę, którą adorował, ale Paul skarcił go za tego rodzaju amory.

– To nie jest w porządku, Hay – mówił stanowczo – nie będziesz szanował kobiety, która zdradza i porzuca męża.

– Jeszcze go nie porzuciła, sir Galahadzie – zaśmiał się Grexon. – Na Jowisza, ależ z ciebie niewiniątko!

– Kobiety oczywiście są aniołami – stwierdził Hay, idąc Gwynne Street. – To podstawowa reguła, jaką trzeba przyjąć, uprawiając miłość. Ale mamy tu anioły w dwóch postaciach, Dulcynea jest...

– Oto jesteśmy na miejscu – przerwał mu szybko Paul. W jakiś sposób irytowało go gadanie tego zatwardziałego grzesznika na temat Sylwii i zaczynał już myśleć, że Grexon Hay bardzo się zepsuł – nie żeby uważano go w szkole Torrington za wybitnie uczciwego i prawego. Tak naprawdę to Paul pamiętał, że nie był szczególnie lubiany.

Nie miał jednak czasu gruntowniej zastanowić się nad tym, bo w tym momencie w drzwiach księgarni ukazał się Aaron. Gdy Paul się zbliżył, właściciel lombardu akurat wyszedł na chodnik.

– Wejdz – polecił. – Chcę z tobą rozmawiać prywatnie... w cztery oczy – dodał, rzucając przestraszone spojrzenie na Haya.

– W takim razie – wtrącił Hay, puszczając rękę Paula – zostawiam cię, Dulcynea musi poczekać na następną okazję. Idź i załatw to, co masz do załatwienia. Zaczekam na zewnątrz.

Paul podziękował przyjacielowi spojrzeniem i wszedł do księgarni za starym.

– Broszka – rzekł Aaron stłumionym szeptem – masz ją ze sobą? Daj mi... szybko... szybko.

W księgarni nie było nikogo, Bart najwyraźniej został gdzieś wysłany. Drzwi wiodące na schody, po których Sylwia tak często schodziła, były zamknięte i nikt nie mógł słyszeć ich rozmowy.

– Mam broszkę – rzekł Paul – ale...

– Daj mi... daj mi ją – dyszał Aaron. – Kupuję... za wysoką cenę. Mów, ile chcesz.

– Dlaczego chce ją pan tak bardzo kupić? – zapytał zdumiony Beecot.

– To moja sprawa – odparł Norman, nagle przybierając władczy ton. – Chcę ją mieć; podobają mi się kamienie – zakończył cicho.

– I dlatego pan zemdlał? – spytał Paul podejrzliwie.

– Nie. – Mężczyzna zbladł i ciężko dysząc, oparł się o kontuar. – Skąd masz tę broszkę? – zapytał, próbując z wyraźnym wysiłkiem zachować spokój.

– Dostałem od matki, a ona dostała ją od mojego ojca...

– Beecot... Beecot... – powtarzał stary, przesuając nerwowo palcami po wargach. – Ja dotąd nie znałem nikogo o tym nazwisku... a ty nie jesteś szpiegiem... Łajdak... a...a... – Pochwycił zdumiony wzrok Paula i nagle zmienił ton. – Przepraszam, ale ta broszka przypomina mi coś, co jest związane z kłopotami...

– Widział już pan ją kiedyś?

– Tak... to jest, nie... nie pytaj. – Chwycił się za gardło, jakby się dusił. – Nie mogę o tym mówić. Nie ośmielam się... Skąd miał ją twój ojciec?

Paul, coraz bardziej zdumiony, wyjaśnił. Aaron słuchał, niespokojnie poruszając chudymi rękoma i z jednym okiem wlepionym w twarz Paula.

Kiedy młody człowiek skończył, stary siedział, gryząc paznokcie.

– Tak, tak – mruczał do siebie – pewnie poproszą o zwrot. Ale nie zostanie zwrócona. Zostanie sprzedana mnie, panie Beecot.

– Przykro mi, ale nie mogę jej sprzedać – odparł uprzejmie Paul. – Moja matka zatelegrafowała, żebym ją zwrócił. Ojciec odkrył, że mi ją dała, i nie był zadowolony z tego powodu.

– Powiedziałaś matce, że mi ją pokazałaś?

– Nie. Nie było takiej potrzeby.

– Niech cię Bóg za to błogosławi. – Mężczyzna ciężko dyszał, wyciągając czerwoną chusteczkę. – Oczywiście, że nie ma takiej potrzeby – zachichotał nerwowo. – Nie trzeba mówić o zastawianiu w lombardzie czegokolwiek... nic porządnego... hm... hm... – Wytarł twarz z potu i oblizał blade wargi. – No więc, nie chcesz mi tego sprzedać?

– Nie mogę. Ale mogę zapytać mamy, czy mi pozwoli.

– Nie, nie! Nie rób tego... nic nie mów... nic nie mów. Nie chcę tej broszki. Nigdy jej nie widziałem... co to za broszka? Och, nie mów mi o niej – przez chwilę

tak bełkotał.

– Panie Norman – rzekł poważnie Beecot – co to za historia z tą broszką?

Aaron zamachał rękoma i cofnął się za kontuar.

– Nie, nie. Nie pytaj mnie. Co to za historia? Nie znam żadnej historii o broszce... o jakiej broszce?... nigdy jej nie widziałem... nigdy... och... – Nagle urwał z ulgą, widząc, jak do księgarni wchodzi dwie blade dziewczyny w okularach. – Klientki. Czego panie sobie życzą? Czym mogę służyć? – I z tymi słowami wyskoczył zza kontuaru, kierując na nie całą uwagę, ale jednocześnie rzucając okiem na zakłopotanego Paula.

Jednak ten młody dżentelmen doszedł już do wniosku, że dalsza rozmowa z Aaronem nie będzie możliwa i wnioskując z jego zachowania, że nie wszystko z nim jest w porządku, wyszedł z księgarni. Postanowił osobiście odwieźć broszkę do Wargrove i wypytać o nią mamę. Może się dowie, dlaczego naprawdę chciała jej zwrotu, czy rzeczywiście żądał tego ojciec. Może wyjaśni tę tajemnicę.

– Sprzedałeś broszkę? – spytał Grexon, gdy szli znowu razem Gwynne Street.

– Nie. Muszę ją wysłać z powrotem matce i...

– Stój! – krzyknął Hay, potykając się. – Skórka pomarańczy... och! – pośliznąwszy się, pchnął Paula na jezdnię. W tym właśnie momencie szybko nadjechało auto. Zanim Hay zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, Paul znalazł się pod kołami pojazdu.

ROZDZIAŁ V

ZMARTWIENIE

– Och, Debby... – szlochała Sylwia – on umrze... umrze...

– Nie umrze, moja kochana – odparła służąca, pieszcząc delikatne rączki dziewczyny. – Ci młodzi mają w sobie tyle żywotów co koty. Niech cię Bóg błogosławi, mój kwiatuszku, on będzie zdrów i gotów stanąć przed ołtarzem, zanim zmieni się moda... a to stanie się bardzo szybko – dodała Deborah, trąc zadarty nos. – Bo oni zawsze się zmieniają, a moda ich zmienia.

Obie panie znajdowały się w salonie nad księgarnią. Był to nisko sklepiiony pokój, długi i wąski, z oknami wychodzącymi na tył i front, bowiem ciągnął się przez całą szerokość budynku. Z okien wychodzących na tył domu widać było obskurne małe podwórko, ale Norman wypełnił je witrażami w ciemnych kolorach, żeby nikt nie mógł przez nie wyraźnie widzieć. Dlaczego tak zrobił, było dla Sylwii tajemnicą, chociaż Deborah podejrzewała, że stary chciał, aby nikt nie mógł rozróżnić ludzi przychodzących do tylnych schodów po siódmej wieczorem. Z okien od frontu można było widzieć ulicę i domy po drugiej stronie. Na parapetach okiennych Sylwia ustawiła doniczki z kilkoma marnymi kwiatami sprawiającymi jej dużą radość. Pokój umeblowany był i zapełniony różnego rodzaju dziwnymi rupieciami – meble i bibeloty pochodziły z niezliczonych akcji kupna i sprzedaży Aarona. Były tam japońskie parawany, perskie dywaniki modlitewne, stoliki w stylu Ludwika XIV, arabskie kafelki, porcelana z Worcester,

pianino tak stare, że mogło śmiało pochodzić z Arki Noego, oraz wiele innych przedmiotów. Wśród tej zbieraniny Sylwia kwitła niczym wspaniały kwiat.

Lecz w tej chwili ten kwiat jakby przywiędł i wydawało się, że grozi mu śmierć z braku słońca. Słońca, które mu zabrano w osobie ukochanego.

Świadkiem wypadku był Bart. Szybko wrócił do domu, żeby powiedzieć o nim Sylwii. Szok, jaki wywołała wiadomość, był taki wielki, że biedna dziewczyna zemdląca, po czym sprzedawca został poważnie zbesztany przez Deborah za swą głupotę. Kiedy Sylwia odzyskała przytomność, natychmiast zażądała powtórnego widzenia z Bartem, od którego tym razem dowiedziała się, że Paula zabrano do szpitala Charing Cross.

– Wyciągnęli go spod kół pojazdu, panienko, był blady jak welon. Ten dżentelmen, który szedł z nim ulicą, pośliznął się i pchnął, przewracając go prosto pod parowy wehikuł – jak Bart opisał ostatni triumf techniki. – Temu dżentelmenowi było jednak strasznie przykro, ale z jakąś dziwnie zimną krwią, jakiej jeszcze u nikogo nie widziałem, pomógł przetransportować pana Beecota do dorożki i odjechał z nim. Potem poszedłem do pani.

– No i pięknie przekazałeś jej wieść o wypadku – mruknęła Deborah, odprowadzając go do drzwi. – Wracaj do księgarni, ty durniu od papierkowej roboty. Mój mąż nigdy nie będzie takim głupcem. Zaręczyny zerwane.

– Och, Debby! – skomlał Bart, który, co dziwne, mimo ostrych słów był czule obejmowany przez tę korpulentną dziewczynę. Chociaż równie dobrze mogła to robić ze zwykłego przyzwyczajenia.

– Zastanów się nad sobą – rzuciła mu, zatrzaskując drzwi przed nosem. – I nic nie mów panu – krzyknęła jeszcze za nim – bo inaczej znowu zemdleje jak jakiś pijany tchórzliwy zając!

Tak więc Aaron nie wiedział, że człowiek, który miał przy sobie broszkę, został potrącony przez pojazd mechaniczny i zapewne przebywa w szpitalu. Sylwia i Deborah próbowały sprawiać tak beztroskie wrażenie, na ile je było stać i teraz zastanawiały się, w jaki sposób zorganizować spotkanie Sylwii z ukochanym.

Deborah odważnie oznajmiła, że zamierza zabrać dziewczynę do miasta, żeby kupić nową sukienkę – to znaczy, żeby ją dla niej wybrać, bowiem miała zapłacić z własnej pensji – i w ten sposób pewnego popołudnia wymknęły się z Sylwią z domu i poszły razem do szpitala. Tam usłyszały, że Paul ma złamaną rękę i został lekko ranny w głowę. Jednak nie ma zagrożenia życia i chociaż nie pozwolono im zobaczyć się z pacjentem, wróciły mocno podniesione na duchu. Mimo wszystko Sylwia często miewała złe przeczucia, myśląc, że te dobre wieści w każdej chwili mogą ustąpić złym. Deborah nieustannie ją pocieszała i codziennie zasięgała w szpitalu aktualnych wieści. Wracała zawsze, mówiąc:

– Zdrowieje, czuje się coraz lepiej i nabiera kolorów jak zachodzące słońce.

W tej sytuacji Sylwia z czasem stawała się coraz weselsza i ostatecznie wrócił jej dawny dobry nastrój.

W tym czasie obie kobiety zaczęły coraz bardziej zwracać uwagę na dziwne zachowanie Aarona. Stary oświadczył nagle, że sprzedaje księgarnię i przechodzi na emeryturę, po czym szybko pozbył się książek, sprzedając je za niewiarygodnie niskie ceny. Czy podobnie postąpił z klejnotami i precjozami z lombardu, tego nikt nie wiedział, ale na pewno kasta mędrców hinduskich dobrze na tym zarobiła. W ciągu tygodnia pomieszczenia księgarni zostały opróżnione i nie zostało nic poza pustymi półkami ku obrzydzeniu Barta, który jak Otello stwierdził, że jego zawód umarł. Następnego dnia miały zostać sprzedane meble i kiedy Deborah pod koniec tygodnia pocieszała Sylwię, auto już odjechało. Czy Aaron zamierzał przenieść swoje gospodarstwo, tego stary nie mówił i to szczególnie martwiło Sylwię. Bała się, że już więcej nie zobaczy ukochanego i zwierzyła się z tego Deborah.

– Zobaczysz go i to już dziś! – wesoło zawołała służąca. – Jeśli jednak chodzi o tę sukienkę, to jakoś nie mogę się zdecydować, czy ma być ciemny róż, czy lila, bo obie pasują do mojej karnacji. To nie jest tak jak z tym kremem z pączków róży pasującym dla ciebie, mój aniołku, ta suknia musi pasować dla mnie i twój papa nie może zakwestionować mojego wyboru.

– Ależ, Debby, oszukiwanie ojca w ten sposób wydaje się niestosowne.

– Masz rację – zgodziła się Debby – jest niestosowne. Musimy to dziś wieczorem omówić – ty i ja, jak bym to określiła w duecie, moja piękna. Nie musiałyśmy się przed nim kryć i wykręcać się.

– A jednak robiłyśmy to, Debbie, i to przez sześć miesięcy – przypomniała Sylwia.

– Ja jestem twarda i odważna – stwierdziła gwałtownie Deborah – więc nie mów, że tylko ty potrafiłaś trzymać język za zębami, bo tak nie było, mój kwiatuszku. Wiele razy mówiłaś do mnie: „Och, powiedz mojemu tacie”, a ja wiele razy mówiłam do ciebie, „Nie moja droga, nie o Józefie, kimkolwiek by on był!”.

– A teraz, Debbie, sobie przypisujesz całą zasługę!

– A kto ma szersze ramiona? Ty czy ja, mój kwiatuszku? – zapytała Debby czule. – Jestem tak samo niegodziwa jak Bart, a to już mówi wiele, zobacz, jak on wpycha w siebie jedzenie, aż przykro patrzeć. Nigdy nie chciałam mieć takiego monstrum za męża. A tu...! – krzyknęła Deborah i zaczęła się krzątać. – A tu chodzi o sukienkę, jak sądzę w kolorze ciemnego rózu, czy może lila, w mocnym, jaskrawym kolorze. No i co o tym myślisz, mój dzbanuszek miodu?

Pod koniec tej burzliwej dyskusji inicjowanej przez Deborah obie panie udały się bynajmniej nie do jakiegoś sklepu z damskimi fatalaszkami, gdzie miałyby rzekomo zamówić sukienkę dla Sylwii – chociaż na sposób jezuicki i tak poszły tam później – lecz do szpitala, gdzie ku radości Sylwii pozwolono im zobaczyć się z Paulem. Wychudzony i blady, czuł się jednak dobrze i był w całkiem niezłym nastroju.

– Kochanie – rzekł, całując Sylwię w rękę, podczas gdy Deborah siedziała sztywno na sąsiednim łóżku z wielką torbą i grając odpowiednią rolę, wpatrywała się w nich wielce wymownym wzrokiem.

– Teraz szybko wyzdrowieje. Mój widok wpłynie na niego bardziej niż wszystkie lekarstwa – cieszyła się Sylwia.

– Też tak myślę. – Debby z wdziękiem pociągnęła nosem. – Ale gdzie te wszystkie barwy sadów i klombów na twym obliczu?

– Och, Debby – zaśmiała się Sylwia – masz pewnie na myśli storczyki...* – i spłonęła żywym rumieńcem.

– Myślę, moja mała, że to tak jak z za dużymi na twoje stopy damskimi pantofelkami, jak te błyszczące, które były w tej bajce za małe... Ale, ale zajmuję wam cenny czas na gruchanie, więc zamykam usta i zatykam uszy, abyście mogli wywnętrzyć swoje uczucia, moi drodzy, jeśli usprawiedliwisz mi tę swobodę, sir i będziesz łaskaw wybaczyć, że byłam dla mojej kochanej dziewczynki tak czuła, jak ty byłeś dla niej.

– No nie, z tym nie mogę się zgodzić – odparł Paul i znowu ucałował dłoń Sylwii, cały czas trzymając ją w swej dłoni podczas rozmowy. – Kochanie, jak dobrze, że przyszłaś mnie odwiedzić!

– Ale to może być ostatni raz, Paul – rzekła Sylwia, próbując powstrzymać łzy – dam ci mój nowy adres i napiszę.

– Och, Sylwio, co się stało?

– Mój ojciec sprzedał wszystkie książki i sprzedaje dom. Wyprowadzamy się. Nie wiem dokąd.

– Pewnie najbardziej pasowałoby mu Tumbuktuk** – wtrąciła nagle Deborah. – On chce się ukryć w mysiej dziurze. Dlaczego, tego nie wiem.

– Ale ja wiem – rzekł Paul w zamyśleniu. Domyślał się, że Aaron przeprowadza się z powodu broszki, chociaż dlaczego to robi, pozostawało tajemnicą. – Sylwio – zapytał – czy twój ojciec był świadkiem mojego wypadku?

– Nie, Paul. Był wtedy zajęty w księgarni. Wypadek widział Bart, ale Debby poleciła, żeby nic nie mówił ojcu.

– Bo mógłby znowu zemdleć – uzupełniła Debby. – Ten człowiek jest słaby, chociaż Samson pomyślałby... ach i Goliat też, ale co to mnie obchodzi. O co pan pytał, panie Beecot?

Paul nie odpowiedział, tylko zadał Sylwii kolejne pytanie:

– Pamiętasz broszkę z opalu, tę, którą ci pokazywałem?

– Tę z wężem?

– Tak, zniknęła.

– Zniknęła, Paul?

Młody człowiek ze smutkiem skinął głową.

– Jestem wściekły – rzekł cicho – moja matka chciała, żebym ją zwrócił. Chciałem odesłać jak najspieszniej, ale uniemożliwił mi to wypadek, podczas którego jakimś cudem ją straciłem. Nie było jej w kieszeni mojego ubrania, gdy je sprawdzano, chociaż pytałem o nią natychmiast po odzyskaniu przytomności. Mój przyjaciel też nie mógł nic powiedzieć w tej sprawie.

– Ładny mi przyjaciel... to przecież on przyczynił się do wypadku – wtrąciła Deborah z kilkukrotnym pociągnięciem nosem. – Tak, piękny z niego przyjaciel, sir, nie ma co mówić.

– To nie była jego wina, Deborah. Pan Hay pośliznął się na skórcie pomarańczy i potracił mnie. Byłem zaskoczony i upadłem na środek jezdni, wprost pod nadjeżdżające auto. Panu Hayowi było niewypowiedzianie przykro i odwiedza mnie codziennie, przynosi książki, owoce i inne rzeczy.

– Tyle przynajmniej może robić – rzuciła służąca – po tym eleganckim wkopaniu człowieka do szpitala. Widziałam go z okna, gdy byłem w księgarni, gadał z jakimś podejrzanym łobuzem, który powinien siedzieć w ciupie, i obserwowałam, jak ten typek rynsztokowy pali niedopałek cygara. Potem patrzę na tego pańskiego przyjaciela i myślę, no, no, cudowny z ciebie elegant z tą twarzą bez wyrazu jak kamień. To zły człowiek.

– Nie, Deborah, mylisz się, pan Hay jest moim przyjacielem.

– Ale moim to on nigdy nie będzie – upierała się Debby. – Bo gdyby tkwiąca w nim cała niegodziwość wystąpiła na jego twarzy, pryszczki byłyby tak wielkie i tak gęste jak sadza w londyńskiej mgle. Nie, panie Beecot, nie nazywaj go tym, czym ja nie mogłabym go nazwać, ale Judaszem, nie ma w tym Belzebubie śladu Cezara.

Beecot uznał, że powstrzymywanie tej gadatliwej kobiety jest daremne i odwrócił się, by szeptem zwrócić się do Sylwii, podczas gdy Debby mruzczała

i szemrała w pobliżu jak strumień, tyle że czasem na tyle głośno, iż zagłuszało szepty zakochanych.

– Sylwio – rzekł cicho Paul – chcę, żebyś przysłała do mnie ojca.

– Dobrze, Paul. Ale dlaczego chcesz się z nim widzieć?

– Ponieważ musi wiedzieć, że się kochamy. Nie wydaje mi się, żeby był aż tak twardy i nieczuły, jak ty twierdzisz, i wstyd mi, że wcześniej z nim o tym nie rozmawiałem. Lubię zachowywać się honorowo i obawiam się, Sylwio kochanie, że nie postępowaliśmy całkiem uczciwie z twoim ojcem.

– Też tak myślę, Paul, i zamierzam porozmawiać z nim od razu, gdy wrócimy do domu. Podaj mi swój adres, abym mogła, gdy niespodzianie się wyprowadzimy, napisać do ciebie.

Beecot podał jej adres w Bloomsbury, a także adres domu rodzinnego w Wargrove, w Essex.

– Pisz, adresując na moją matkę – poradził – żeby list nie wpadł w ręce ojca.

– Byłby zły, gdyby wiedział? – zapytała nieśmiało dziewczyna.

Paul roześmiał się tylko na samą myśl o wściekłości swego protoplasty.

– Wściekłby się, moja droga – rzekł – jednak nie ma to żadnego znaczenia. Bądź mi wierna, a ja będę wierny tobie.

W tym momencie weszła pielęgniarka, żeby wyprosić gości. Paul już dość się nagadał i powinien odpocząć. Debby już chciała ostro zaprotestować, ale uspokoiła się, gdy Sylwia podniosła upominająco palec. Paul poprosił Debby, żeby udała się do jego mieszkania w Bloomsbury i przyniosła mu każdy list adresowany do niego.

– Spodziewam się wiadomości od matki i muszę też napisać jej o wypadku – rzekł. – Nie chcę sprawiać kłopotu panu Hayowi, ale ty Debby...

– Niech pana Bóg błogosławi, panie Beecot, to żaden kłopot – wtrąciła wesoło służąca. – Lepiej mnie w zaufaniu powiedzieć to, co pan chce, niż temu wstrętному pawiowi, któremu nie można ufać. Takim wzrokiem patrzą przestępcy, a jemu wyraźnie z oczu patrzy to, co ja widzę...

– Musicie już panie iść – przerwała pielęgniarka.

– Och, dziękuję, proszę pani, ale ja mam swoją własną panią i tylko jej jestem zobowiązana okazywać posłuszeństwo.

– Debby, Debby – mruknęła Sylwia i po ucałowaniu Paula na pożegnanie, co Debby usiłowała ukryć przed pielęgniarką, stając przed nią i zasłaniając widok, obie wyszły.

Pielęgniarka zaśmiała się, układając poduszki Paula.

– Co to za dziwna kobieta, panie Beecot.

– Bardzo – przyznał Paul. – Tak niestała i tak szczerą jak igła kompasu.

Tymczasem Debby, nieświadoma tej pochlebnej oceny, prowadziła Sylwię do sklepu z materiałami, gdzie przyczepiła się do ohydny karmazynowy materiał, z którego poleciła uszyć „prostą suknię bez żadnych fidrigałków”, na koniec parsknęła: „Zwyczajny krój, prostota, to wszystko, o co mi chodzi. A jeśli z materiału coś zostanie, możesz razem z suknią przysłać do domu, przyozdobie piórami i wykorzystam do stroju na uroczystość weselną. To tyle, moja droga”, zakończyła Debby, gdy wychodziły ze sklepu, żeby wsiąść do autobusu, który zawiózł je na Gwynne Street.

– Zawsze widzisz mnie tak samo ubraną – prosto i skromnie i bez żadnych zbędnych ozdób, na ile mnie stać, zupełnie tak jak wtedy gdy jestem zajęta praniem.

– Czyli ekonomicznie, Debby.

– Lubię używać takich mądrych słów, panno Sylwio. To takie słownikowe określenia, specjalnie dla ciebie, mój kwiatuszku, jednak różne dwuznaczniki i wyrazy złości nigdy nie były mi miłe – już od kiedy miałam dziewięć lat i stałam przy wannie z praniem...

Debby w ten sposób mówiła w drodze do domu. Po przybyciu do pokoju nad księgarnią zostali w nim Aarona, sprawiającego wrażenie bardziej wylęknionego i zastraszonego niż zwykle, ale patrzącego na obie kobiety ze złością.

– Gdzie byłaś, Sylwio? – zapytał.

Dziewczyna nie odpowiedziała wprost, tylko spojrzała na Deborah. Pokojówka miała mniej skrupułów i zaczęła wyrzucać z siebie jakieś nieskładne zdania, aż w końcu Sylwia przerwała je z wyrazem zdecydowania na ładnej buzi.

– Nie, Debby – rozkazała – pozwól, że ja powiem. Ojciec, poszłam odwiedzić pana Beecota w szpitalu Charing Cross.

– I nie może pan zrobić dla mojego kwiatuszka mniej, niż tylko... – szybko wtrąciła Debby, żeby uniknąć burzy. – Dziewczyny są dziewczynami, chociaż pan o nich myśli, sir, że są lalkami albo manekinami i...

– Trzymaj język za zębami, kobieto! – wrzasnął dziko Norman. – Pozwól mi mówić. Dlaczego pan Beecot jest w szpitalu?

– Został potrącony – odparła krótko Sylwia – i ma złamaną rękę. Uderzyło go auto na Gwynne Street. Chce się z tobą widzieć, żeby powiedzieć, że coś stracił.

Norman zbladł jeszcze bardziej niż zwykle i na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Wąż z opalu! – wykrzyknął.

– Tak, broszka, którą mi pokazał.

– Pokazał ci! – krzyknął Aaron z jękiem. – I co ci o niej powiedział? Co... co... co... prawdę, czy... – Dławiła go wściekłość.

Debby chwyciła Aarona za rękę i pociągnęła na środek pokoju, jakby był piórkiem. Potem cofnęła się przed Sylwią z wyciągniętymi rękami, patrząc na niego groźnie jak lwica.

– Możesz mnie uderzyć, sir, podbić oczy i puścić krew z nosa, jeśli chcesz, ale nie tkniesz mego najdroższego skarbu, nawet gdybym miała tu umrzeć.

Aaron był oszołomiony buntem i przez moment patrzył na nią z wściekłością. Potem znowu zrobił się nieśmiały, jakby uległy i rzucił dziwne spojrzenie przez ramię.

– Wyjdź z pokoju, Deborah – rzekł łagodnym głosem.

Wierna pokojówka zareagowała, siadając z założonymi rękoma.

– Powstrzymaj, sir, swe dzikie konie – powiedziała, ciężko dysząc – bo tylko one mogłyby mnie stąd wyciągnąć.

Potem głośno krzyknęła, aż zatrzęsł się cały pokój.

– Ha! – zawtórował jej Norman. – Nie bój się mnie, Sylwio! – Wytarł nerwowo twarz. – Chcę tylko wiedzieć, co się stało z broszką. Lubię opale... i chcę ją kupić od pana Beecota. On jest biedny... potrzebuje pieniędzy. Mogę zapłacić za... za tę broszkę...

Przy ostatnim słowie z trudem zaczerpnął powietrza i znowu zerknął przez ramię.

Sylwia, bynajmniej nie okazując strachu, podeszła do niego i chwyciła starego za rękę. Obserwująca ich Deborah przysunęła bliżej krzesło, tak jakby przygotowywała się do ewentualnej interwencji w razie potrzeby.

– Drogi ojczy – rzekła Sylwia – pan Beecot nie wie, gdzie jest broszka. Została mu skradziona podczas wypadku. Jeżeli zechcesz się z nim zobaczyć, może ci opowie...

– Nie powie mi, gdzie jest broszka – przerwał Aaron, próbując zachować spokój. – Dobrze, dobrze, teraz nie ma to już znaczenia. – Spojrzał niespokojnie na Sylwią. – Możesz mi wierzyć, dziecko, kiedy mówię, że to nie jest już ważne.

Parsknięcie Deborah wyraźnie wskazywało, że ma wątpliwości. Sylwia rzuciła jej pełne wyrzutu spojrzenie, na co Deborah wstała i bez przekonania jednak przytaknęła mu.

– Oczywiście, sir, to nie ma znaczenia – oświadczyła łagodnym głosem. Aaron skrzywił się. – Moja kochana dziewczynka wierzy ci, chociaż to może być kłamstwo, ale tacy porządni ludzie jak ty, mój panie, którzy chodzą do kościoła, gdy nikt tego nie widzi, nigdy nie kłamią bez zajknięcia.

– Skąd wiesz, że chodzę do kościoła? – spytał Norman z warknięciem złapanego w sidła zwierzęcia.

– Ach, sir, panu na zdrowie! W moim wieku nie doznaje się olśnień, nie jestem już taka młoda, jaką bym chciała być... Kościół pana cieszy i – co tu dużo gadać –

chodzi pan tam regularnie jak w zegarku. Panie, miej nas w swej opiece!

Ostatnie zdanie Deborah wygłosiła tak głośno, że jej pan rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękoma, szczerząc zęby jak wściekły pies.

– Kobieto – wydyszał z trudem – ty jesteś szpiegiem? Namówili ciebie, żebyś mnie śledziła, chcąc zaprowadzić mnie na szubienicę... – Przerwał i zadrżał. Jego wściekłość nagle ostygła i zataczając się, padł na kanapę z twarzą ukrytą w dłoniach. – Nie, to nie to... Och, te lata bólu i grozy! Aby dojść do tego... do tego... Deborah... nie sprzedawaj mnie. Nie rób tego. Dam ci pieniądze... jestem bogaty. Lecz jeśli wąż z opalu... jeżeli opal... – Wstał i zaczął machać rękami, jakby bijąc nimi powietrze.

Sylwia, która jeszcze nigdy nie widziała ojca w takim stanie, cofnęła się ze zgrozą, lecz Deborah, wykazując zwykły dla siebie spryt i rozsądek, chwyciła ze stołu karafkę z wodą i chlusnęła jej zawartością w twarz starego. Przez chwilę kaszlał, trząsł się i wycierał wodę, a potem znowu osunął się na sofę. Jednak zbliżający się atak minął i po chwili uniósł wzrok, a jego głos był już tak samo spokojny jak wyraz twarzy.

– Co to wszystko...? – zapytał drżącym głosem.

– Nie, ojciec – odparła Sylwia, klękając przy nim. – Nie wolno ci wątpić w uczciwość Debby, jest wierna i tak pewna jak stal.

– Gdzie jesteś, Deborah? – zapytał słabo Aaron.

– Ona ma rację – Deborah potwierdziła słowa Sylwii i objęła ją. – Jestem taka tak długo, jak długo nie krzywdzisz mojego kwiatuszka.

– Nie chcę jej skrzywdzić...

– ...zarówno jej uczuć, jak i ciała – uzupełniła Deborah, tak silnie i ciasno obejmując Sylwię, aby uniemożliwić jej odpowiedź – i nie zniszczysz jej miłości, nawet, gdy będziesz próbował, bo ja do tego nie dopuszczę.

– Miłości... – powtórzył automatycznie Aaron. Wydawał się bardziej zajęty myślami o swoich kłopotach niż o wizycie Sylwii u młodego mężczyzny.

– Miłość i pan Beecot – wtrąciła Deborah – ona chce go poślubić.

– Dlaczego nie... – rzekł Aaron spokojnie. – Powinna za niego wyjść.

Sylwia padła mu do stóp.

– Och, ojcie... ojcie. Kryłam to przed tobą przez sześć miesięcy. Wybacz mi...

Wybacz mi – płakała.

– Moja droga – odparł, podnosząc ją delikatnie – tu nie ma nic do wybaczenia.

* Gra słów: *orchards* – sady; *orchids* – storczyki, Deborah zapewne wymówiła niewyraźnie to słowo (przyp. tłum.).

** Deborah oczywiście miała na myśli Timbaktu, w Afryce, uważane w owym czasie za kompletnie dziki koniec świata (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ VI

HAŁAS W NOCY

Deborah i Sylwia były ogromnie zdumione, że Aaron tak obojętnie przyjął ujawnienie tego, co tak długo trzymały w tajemnicy. Spodziewały się burzy z piorunami, a jednak gdy sekret został ujawniony, pan Norman przyjął to tak spokojnie, jakby wiedział o wszystkim od samego początku. Rzeczywiście, wydawał się całkiem obojętny, biorąc za rękę Sylwię, a potem sadowiąc ją obok siebie na sofie, gdy nagle wrócił do tematu broszki.

– Tak, na pewno powinienem zobaczyć się z panem Beecotem – mruknął niewyraźnie. – Szpital Charing Cross... oczywiście. Pójdę jutro. Chciałem się dowiedzieć co ze sprzedażą mebli, ale to może poczekać. Wpierw chcę dostać broszkę... tak... tak. – Otwierał i zaciskał dłonie w jakiś dziwny, niespokojny sposób.

Córka i służąca spojrzały po sobie zakłopotane, nie wiedząc, co myśleć o tak dziwnej reakcji ojca na tajemnicę córki. Dotąd nigdy nie wykazywał szczególnego zainteresowania życiem Sylwii, która pozostawiana była głównie opiece panny Junk, chociaż niekiedy napomykał, że zostanie jego spadkobierczynią i będzie mogła poślubić kogoś niezamożnego, ale pozycją równego sobie. Miłość do Paula Beecota zniweczyła ten plan, ale teraz Aaron nie miał nic przeciwko temu. Sylwia, myśląc wyłącznie o Paulu, była teraz zadowolona, jej twarz przybrała pogodny wyraz, natomiast Deborah pociągnęła kilka razy nosem, co zawsze wskazywało na to, iż chce uwolnić umysł od niewygodnego tematu.

– Dobrze, sir – rzekła, zakładając ręce i drapiąc się po łokciu – myślę, że dzieci to nie jakieś śmieci, które można w ten sposób deptać. Pytam więc... – wyciągnęła rękę, wskazując Sylwzię – twoja to córka czy nie?

– Moja córka – odparł łagodnie Aaron. – Dlaczego pytasz?

– Bo nie interesujesz się tym, iż powinna zawrzeć małżeństwo, które zostało już kiedyś zawarte w Niebie.

Norman uniósł głowę niczym koń bojowy na sygnał trąbki wzywającej do ataku.

– Kto mówił o małżeństwie? – zapytał ostro.

– Drogi ojciec – Sylwia powiedziała łagodnie. – Czyżbyś nie słyszał? Kocham Paula i chcę za niego wyjść za mąż.

Aaron nie spuszczał z niej wzroku.

– On do ciebie nie pasuje – odpowiedział.

– To mężczyzna, którego kocham! – krzyknęła Sylwia, tupiąc zgrabną nóżką.

– Miłość... – rzekł Norman z melancholijnym uśmiechem. – Nie ma czegoś takiego, dziecko. Mówiąc o nienawiści, mówimy o czymś, co istnieje – ponownie zacisnął dłonie w pięści – nienawiść jest tak okrutna jak grób.

– Tak, jestem tego pewna, sir, tylko co to ma wspólnego z moją pięknotką? Jeśli zaś chodzi o miłość, to ona istnieje, Bart o niej mówił, czując ją w głębi serca, tak jak i ja ją czułam. Wyczytałam też w „Family Herald” – nagle Deborah wyjaśniła bez związku – że ci z arystokracji padają na kolana, błagając o zgodę na ślub. Bart przez dwa tygodnie co wieczór padał na kolana, błagając o pozwolenie, zanim je wyznał właściwie, a ja mówiłam... mówiłam, że...

– Możesz się zamknąć? – przerwał Aaron ze złością. – Trajkoczesz i trajkoczesz, aż mnie rozbolała głowa. Rozpraszasz mnie.

– Chcę ci rozjaśnić w głowie, sir – odparła panna Junk – widząc, że nie interesujesz się życiem swojej ślicznotki.

Norman chwycił palcami brodę Sylwii i uniósł ją, aby móc spojrzeć w oczy.

– Dziecko, czy ty naprawdę go kochasz? – zapytał poważnie.

– Och, ojcze! – wyszeptała Sylwia i zamilkła. Aaronowi wystarczył wyraz jej oczu i odwrócił się z westchnieniem.

– Nic o nim nie wiesz – powiedział w końcu.

– Proszę mi wybaczyć, sir, to moje paplanie – odezwała się nieśmiało Deborah – ale my wszystko doskonale wiemy. Jest przystojnym, młodym dżentelmenem z długim rodowodem i w kościołach widnieje wiele kamiennych figur jego imiennika Pawła – przynajmniej tak mi mówił Bart. Beecot nosi jego imię i jest tak samo jak on niezłomny i silny.

– Może mi to łaskawie bliżej wyjaśnisz, Sylwio – rzekł, odwracając się niecierpliwie od służącej.

– Tak, powinnam ci to już wcześniej wyjaśnić – powiedziała dziewczyna cicho, ale bardzo wyraźnie. – Pokochałam Paula w chwili, gdy zobaczyłam go wchodzącego do naszej księgarni. Potem wiele razy wracał tu i często rozmawialiśmy. Oznajmił, że mnie kocha, a ja mu oświadczyłam, że również go kocham. Deborah chciała wiedzieć, kim on jest i czy to dobry człowiek. Z tego, co się dowiedziała od ludzi, Paul wydawał się tym wszystkim, co reprezentuje dobro i szlachetność, a także to, co nazywamy wysokim poziomem moralności i co jest warunkiem czystej miłości. Pewnego świątecznego dnia Deborah wysłała Barta do Wargrove w Essex, gdzie mieszkają rodzice Paula i gdzie dowiedział się, że Paul opuścił dom, ponieważ chce zostać pisarzem. Paul jest bardzo lubiany w Wargrove i wszyscy dobrze o nim mówią, więc Deborah uznała, że możemy się zaręczyć i...

– I czy ma pan coś przeciwko temu, sir? – zapytała zjeżona Deborah.

– Nie – odparł po chwili Aaron – ale powinnaś mi była o tym powiedzieć.

– Tak, powinniśmy – przyznała Sylwia szybko – ale Paul i ja baliśmy się, że powiesz „Nie!”.

– Moje dziecko – rzekł stary poważnie – jeżeli pragniesz poślubić miłego i dobrego człowieka, nie będę miał nic przeciwko temu, Sylwio. Przez wiele lat ciężko pracowałem i zarobiłem dużo pieniędzy, które pozostawię tobie w spadku. Kiedy umrę, będziesz bogata. On jest biedny.

– Paul... tak, on jest biedny. Lecz co z tego?

– Wielu ojców uważałoby to za minus dla męża córki – kontynuował Aaron, nie zwracając uwagi na jej słowa – ale nie ja. Powinnaś poślubić Paula przed moim wyjazdem do Ameryki.

– Boże! – wykrzyknęła Deborah. – Po co pan tam jedzie, co pan będzie tam robił?

– To już moja sprawa – odparł sucho Aaron – wyjadę tak szybko, jak tylko się da. Sprzedałem książki, a meble zostaną spieniężone przed końcem tygodnia. Klejnoty zabieram, żeby sprzedać je w Amsterdamie i w przyszłym tygodniu wyjeżdżam za granicę. Kiedy za dwa tygodnie wrócę, możesz poślubić pana Beecota. To dobry młody mężczyzna. Aprobuję go w całej rozciągłości.

Deborah prychnęła w swój charakterystyczny sposób.

– Mnie się wydaje, że cieszysz się panie, porzucając moją ślicznotkę – mruknęła tak cicho, aby nie można było jej usłyszeć.

– Och, ojciec – krzyknęła Sylwia, zarzucając ręce na szyję Normana – jakiś ty dobry! Tak bardzo cię kocham.

– Mam nadzieję, że ta miłość będzie trwać nadal – stwierdził cynicznie ojciec i usunął ręce dziewczyny, ku skrywanemu oburzeniu Deborah. – Jutro odwiedzę pana Beecota i osobiście mu o tym powiem. Jeżeli dojdziemy do porozumienia – bo musi spełnić jeden warunek – zanim udzielę zgody, pozwolę, byś otrzymała pewną sumę na życie. Następnie pojedę do Ameryki, a kiedy umrę, zostaniesz dziedziczką całego majątku... tak, kiedy umrę... – powtórzył, jak zwykle rzucając trwożliwe spojrzenie przez ramię. – Jednak nie chcę jeszcze umierać – oświadczył stanowczo – a przynajmniej mam nadzieję, że nie będę musiał.

– Jesteś wystarczająco zdrowy, ojciec.

– Tak! Tak, ale zdrowi ludzie także umierają na dziwne sposoby.

Deborah z niecierpliwością interweniowała.

– Cieszę się, że pragnie pan szczęścia swojej lilijki, sir – rzekła, kiwając głową z ukontentowaniem – ale może pan zmienić zdanie, jeżeli pan Beecot nie dojdzie

z panem do porozumienia.

– Nie dojdzie do porozumienia? – zapytał Aaron. – W sprawie tego układu... co tam się dzieje?

Aaron przerwał, patrząc niezdecydowany, potem dodał gwałtownie, podchodząc do drzwi.

– Niech tylko pan Beecot da mi węża z opalu – rzekł – a będzie miał swoją Sylwią i dość pieniędzy na życie.

– Ależ ojcie, przecież broszka znikła! – krzyknęła Sylwia z niepokojem.

Ale jej słowa padły już w pustkę, bowiem Norman pospiesznie wyszedł z pokoju i zbiegł schodami szybciej niż zwykle. Sylwia, w swej chęci wyjaśnienia tego, chciała też wybiec za nim, ale Deborah zatrzymała ją łagodnie, lecz zdecydowanie.

– Nie budź śpiących bestii, jeśli mnie kochasz!

– Co chcesz przez to powiedzieć, Debby? – zapytała Sylwia bez tchu.

– Nic szczególnego – odparła panna Junk enigmatycznie – ale twój ojciec chce cię sprzedać za tę paskudną broszkę, za klejnot, którego tak bardzo pragnie i za który gotów jest zapłacić każdą cenę. Zostałaś wystawiona na sprzedaż za broszkę, mój ty słóiczku z miodem. Dla mnie to haniebane... tak, haniebane... – I Deborah prychnęła na dowód skrajnej wściekłości.

– To nieważne, Debby. Ojciec wyraził zgodę na moje małżeństwo z Paulem i daje nam dość pieniędzy na życie. Paul napisze dużo książek i jego ojciec przyjmie go znowu do domu. Och... och!... – Sylwia zakończyła wesoło. – Jaka jestem szczęśliwa.

– I będziesz szczęśliwa, o ile ja z tego powodu nie umrę! – krzyknęła Deborah, krzywiąc się. – W tym wszystkim tkwią jakieś tajemnice, o których nie mam pojęcia. Ameryka... po co on jedzie do tej Ameryki? Co z tą broszką i po co zamyka się na noc w piwnicach? Tak jak na sądzie policyjnym w Old Bailey – mówiła panna Junk, marszcząc czoło. – To mi się nie podoba. Mój promyczku, gdy ty już zostaniesz żoną pana Beecota, wtedy ja będę taka szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Zaskoczona Sylwia otworzyła szerzej szare oczy. Była trochę zaniepokojona.

– Och, Debby, czy nie sądzisz, że z ojcem dzieje się coś niedobrego?

Panna Junk prywatnie myślała, że dzieje się coś niedobrego, ale zarzuciła swe silne ramiona na szyję Sylwii i zbyła to pytanie westchnieniem.

– Nie, moja kochana, nie ma żadnych tajemnic, to tylko moja głupia wyobraźnia. Kwiaty pomarańczy, promienie narzeczeńskiego słońca, to twoje przeznaczenie, moja ty panno Sylwio, chociaż powinnam cię już nazywać panią Beecot. – Deborah potarła nos.

– Dla ciebie na zawsze pozostanę Sylwią.

– Niech cię Bóg błogosławi, moja ty ptaszyno, ale nie prosź mnie, żebym zamieszkała razem z tym zwariowanym ojcem pana Beecota, który będzie mi dyktował, co powinnam, a czego nie powinnam robić. – Debby zamachała rękoma jak wiatrakami. – O Boże, jaka ja jestem roztrzepana, przecież to pora kolacji, a ty, zakochana czy nie, jeść musisz i należy przestrzegać godzin posiłków.

Kiedy Bart z zadowoleniem usłyszał radosną wiadomość, wyraził jednak ubolewanie, że pan Norman jedzie do Ameryki. Nie łudził się, że stary zabierze go ze sobą, a nie chciał stracić miejsca pracy.

Deborah przyrzekła, że jeśli Aaron zechce „przetransportować” Barta – jak to ujęła – to ona się temu sprzeciwi. Potem przedłożyła plan, zgodnie z którym ona i Bart, mając co nieco zaoszczędzonych pieniędzy, założą pralnię.

– Znam też takie piękne suche miejsce – mówiła przy kolacji do swego przysłego męża – na przedmieściach, przy drodze do Essex, czyli tam gdzie moja ślicznotka będzie po ślubie mieszkać, razem z tymi zwariowanymi rodzicami męża. To miejsce nazywa się Jubileetown przy Victoria Avenue. Słodki dworek za dwadzieścia funtów rocznie, na który zawsze patrzyłam z przyjemnością. A w pobliżu, po wyjściu za mąż za murarza, zamieszka moja siostra, żeby w razie potrzeby pomóc rodzinie.

– Rodzinie? – powtórzył Bart, sprawiając wrażenie przestraszonego.

– Oczywiście... oni zawsze pomogą, chociaż jeszcze za wcześnie na imiona dla dzieci. Ja będę prała, a ty, Bart, zajmiesz się wózkiem i nie myśl, że będzie inaczej.

– Ja nie chcę inaczej – wtrącił Bart czule – zawsze cię kochałem, Debby, najdroższa.

– Ach – panna Junk odparła mądrze – cierpliwie cię wszystkiego uczyłam. Ależ ty byłeś trudnym dzieckiem, Bart!

– Taaak... – pan Tawsey zaczął gwałtownie połykać jedzenie. – I dziś widziałem siebie takiego, jaki byłem.

– Pewnie w lustrze.

– Boże, Debby, nie. Tu, w księgarni. Przyszedł tam bachor cały w łachmanach, z brudną, tłustą gębą, podobny do mnie, gdy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy. Wchodzi do księgarni i zaraz pyta o książkę. A ja: „A jaką byś chciał?”, na to on rozgląda się po półkach i widzi, że są puste. „Widzę, że wszystko sprzedaliście”, gada, więc ja na to skaczę i szybko chwytam go za kark i mówię: „gadaj, jak się nazywasz!” – Tray, Debby, on się nazywa Tray. To ten sam chłopak, który rozmawiał z tym zimnym dżentelmenem, który był z panem Beecotem w chwili, gdy uległ on wypadkowi.

– Tray... to imię psa – zauważyła Deborah – starego psa. Pasuje do ulicznika. Jeśli zaś chodzi o pana Haya, to nie pytaj, czy jest dżentelmenem, czy nim nie jest – bo nie jest. O czym on mógł gadać z tym ulicznikiem, z Trayem?

– I jaką to, ten ulicznik, Tray, chciał kupić książkę? – spytał Bart. – Chociaż to jego przyjście tutaj można też uznać za zwykłą bezczelność.

Deborah skinęła głową.

– Tak też było. A co ty robiłaś, gdy byłeś takim samym nędznym, brudnym ulicznikiem, Trayem? Nie jedz tak łapczywie, staraj się, żeby każdy kęs służył twemu zdrowiu i długiemu życiu. Nie będziesz się tak obżerał, gdy będziemy prowadzić pralnię.

Aaron następnego dnia, po odbyciu konferencji z brokerem zajmującym się sprzedażą używanych mebli, poszedł po południu do szpitala Charing Cross.

Księgarnia była już pusta i miała zostać zamknięta, lecz Bart rutynowo opuścił żaluzje i niepokieszony kulił się za kontuarem. Przyszło kilku starych klientów, którzy nie słyszeli o wyprzedży książki i byli rozczarowani, dowiedziawszy się, że Aaron jest nieobecny. Ich utyskiwania sprawiły, że Bart pogрузił się w jeszcze głębszej rozpacz. Niemniej był dla wszystkich bardzo uprzejmy, chociaż jego zachowanie uległo całkowitej zmianie, gdy do dawnej księgarni wszedł Hindus, proponując kupno sznurowadeł do butów.

– Niczego nie sprzedajemy i niczego nie kupujemy – rzucił mu Bart gwałtownie.

Ale Hindus nawet nie drgnął i stał w drzwiach nieruchomo niczym posąg z brązu. Miał niestarannie zawiązany wokół małej głowy brudny czerwony turban, nosił nieświeżą, niegdyś białą, bluzę, ciemnoniebieskie spodnie i pantofle z podwiniętymi do góry czubkami na nagich stopach. Miał czarne, błyszczące oczy, starannie przystrzyżone wąsy dziwnie kontrastujące z brudnym, niechlujnym strojem.

– Hoka jest biedny; Hoka potrzebuje pieniędzy – zawodził monotonie, ale jednocześnie niespokojnie błędził oczami po dawnej księgarni. – Dać Hokaowi... dać... – I wyciągnął sznurowadła.

– Nie chcę, już ci mówiłem! – krzyknął Bart niecierpliwie. – Jeżeli nie przestaniesz, wezwę gliny.

– Hej! Hej! Kto ukradł osła?* – wykrzyknął ochrypły głos i za domokrężnym Hindusem ukazała się uśmiechnięta twarz, która gwałtownie wymagała umycia, a nad nią kręcone brudne włosy.

– Zostaw tego chłopca w spokoju, dobrze? On jest ze mną. Nie widzisz?

– Więc zabieraj się stąd z tym twoim chłopcem! – Bart krzyknął oburzony. – Jeżeli on nie rozumie królewskiej angielszczyzny, to przecież ty ją rozumiesz, Tray.

Tray wskoczył na środek dawnej księgarni i zrobił minę w kierunku Barta, wkładając palce do ust, aby je rozszerzyć, i wywracając oczami. Hoka, który przez cały czas nie uśmiechnął się, nie wykazywał też zamiaru poruszenia się. Bart

rozwścieczony tym, że blokuje drzwi i tańcem wojennym Traya, wskoczył na kontuar. Zamachnął się, chcąc zadać cios w głowę ulicznika, jednak chybił, upadł i rozłożył się na całą długość lady. W następnej chwili Tray już tańczył nad nim z drwiąco wysuniętym językiem. Wtedy Hokar dziwnie się uśmiechnął.

– Kali! – rzekł do siebie. – Kali!

Nie sposób przewidzieć, jak ta scena zakończyłaby się, lecz gdy Bart starał się wstać i przewrócić Traya, do pomieszczenia wszedł Aaron i ostro krzyknął do Hindusa:

– Co to ma znaczyć?

Tray przestał tańczyć na ciele Barta i wydał ostry gwizd, wkładając do ust dwa brudne palce, potem rzucił się między nogi Normana i uskoczył w bok, umykając. Hokar stał, wpatrując się w księgarza i po chwili wskazał palcem.

– Jedno oko – rzekł spokojnie – niedobrze...!

Aaron już zamierzał spytać, czy to obelga i co ona ma znaczyć, gdy Hindus podszedł do kontuaru i położył coś na nim, po czym odszedł i usłyszano, jak jego głos cichnie gdzieś w dole ulicy.

– Hokar jest biedny... Hokar, chrześcijanin.

– Co tu się dzieje? – zapytał Norman, pomagając Bartowi wstać.

– Byłbym usatysfakcjonowany, wiedząc to – odparł Tawsey, patrząc na szefa nieprzytomnym wzrokiem. – To chyba jacyś wariaci. – I opowiedział mu o zjawieniu się Hindusa, a potem ulicznika. – Jeśli chodzi o tego Traya – warknął – to rozwalę mu ten cholerny łeb, jeśli go znowu spotkam... tak po mnie skakać... ech! Widziałem go już wtedy, gdy pan Beecot został potrącony.

– Byłeś świadkiem tego wypadku? – zapytał pan Norman, wpatrując się w niego jednym okiem.

– Tak – odparł wolno Bart – byłem; ale Deborah powiedziała, żebym nic nie mówił. Pan Beecot został potrącony przez auto, a jego przyjaciel – ten zimny gość z monoklem – wywłócił go spod kół tej maszyny przy pomocy Traya i razem przenieśli go na chodnik.

– Hm! – Aaron oparł brodę na ręce i mówił bardziej do siebie niż do swego sprzedawcy. – Więc Tray był wtedy obecny, hm... – Bart po wyszczotkowaniu ubrania podszedł do kontuaru i spojrzał na to, co na nim zostawił Hoka.

– Co to jest? Cukier trzcinowy! – wykrzyknął, smakując językiem. – Gruboziarnisty, brązowy cukier! Cała garść. – I wyciągnął dłoń z cukrem ku swemu panu. – Co może oznaczać pozostawienie tego przez tego hinduskiego brudasa?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – warknął Aaron. Wydawało się, że nie jest w dobrym nastroju. – Wyrzucić to! – Co Bart zrobił, zrzędząc i znowu przeklinając bezczelnego ulicznego domokrążcę.

Norman nie poszedł na górę do kobiet, tylko zszedł do piwnicy, gdzie zajął się przeglądaniem zawartości trzech kas pancernych. W środku znajdowało się wiele małych skrzyneczek wypełnionych wszelkiego rodzaju oszlifowanymi i nieoszlifowanymi klejnotami oraz wyrobami jubilerskimi w postaci naszyjników, bransolet, gwiazd wpinanych we włosy, broszek i tiar. Klejnoty i biżuteria lśniły w świetle płonących lamp gazowych i Aaron pieścił je tak, jakby były żywymi istotami.

– Wy, moje piękności – szeptał do siebie, z jednym okiem wpatrzonym w skarby. – Sprzedam was, chociaż serce mi się kraje nad stratą tylu pięknych rzeczy. Jednak muszę... muszę... a potem wyjeżdżam... nie do Ameryki... och, moje kochane, nie! Ale na morza południowe. Oni mnie tam nie znajdą... nie... nie! Będę bogaty... i wolny. Sylwia może wyjść za mąż i to ją uszczęśliwi. Ale wąż... – mówił ochryple – och, ten wąż z opalu! Lombard. Stowley... tak... wiem. Wiem. Oni chcą go odzyskać, ale nie mogą. Ja kupię go od Beecota w zamian za Sylwię. Jest stracona... stracona. – Szepcząc do siebie, spojrzał przez ramię ze strachem. – Może oni już ją mają i dlatego... dlatego... – Podskoczył, zgarnął błyskotki i przeniósł na stół – dlatego muszę wyjechać... daleko.

Wyciągnął kilka niewielkich woreczków i wypełnił je biżuterią, po czym zawiązał i zapieczętował. Następnie z westchnieniem zamknął kasę i zgasił światła.

Nie opuścił piwnicy przez klapę w podłodze dawnej księgarni, ale wyszedł tylnymi drzwiami i wspiął się po schodach prowadzących na boczną uliczkę.

– Jeżeli przyjdą – myślał, idąc w gęstniejącym mroku – nic już tu nie znajdą. Nic! Nic! – I ścisnął silniej woreczki.

Sylwia niecierpliwie czekała na piętrze na powrót ojca po jego wizycie w szpitalu. Obie z Deborah chciały usłyszeć wieści na temat stanu zdrowia ukochanego Sylwii i jak zareagował na wiadomość o zezwoleniu na małżeństwo. Ale Aaron nie przyszedł na kolację, chociaż zwykle zjawiał się na niej punktualnie. Bart wyjaśnił, kiedy go o to zapytały, że jego pan zszedł do piwnicy i prawdopodobnie jeszcze tam przebywa. Tymczasem on sam, zgodnie z utartym zwyczajem opuścił żaluzje i wyszedł. Sylwia i Deborah zjadły skromny posiłek i położyły się do łóżek; Sylwia już bardzo zaniepokoiła się nieobecnością ojca. Na ulicy było coraz mniej przechodniów, noc stawała się coraz ciemniejsza, a lampy słabo rozjaśniały ciemność i ledwie oświetlały osoby, które jeszcze przemykały się Gwynne Street. Nie była to bowiem ruchliwa ulica i po zmroku przechodziło nią niewiele osób, a po jedenastej nie można tu było spotkać żywego ducha. Nawet patrolującego policjanta, którego nieobecność wprost rzucała się w oczy.

Sylwia zapadła w niespokojny sen. Śniła o Paulu, ale nie był to miły sen – wydawało się jej, że widzi go w kłopotach. Nagle obudziła się zupełnie przytomna. Usiadła na łóżku. Gdzieś z oddali doszedł ją słaby krzyk, a potem dwanaście uderzeń dzwonów zegara kościelnego oznajmiających północ. Czekala, wstrzymując oddech, lecz krzyk się nie powtórzył. Siedziała w ciemności, nadsluchując, aż dzwony wybiły kwadrans. Potem usłyszała miarowe kroki policjanta przechodzącego ulicą. Sylwia była przerażona. Dlaczego, tego nie wiedziała, ale wyskoczyła z łóżka i wbiegła do pokoju Deborah.

– Wstawaj! – krzyknęła. – Dzieje się coś złego.

Deborah natychmiast się obudziła i zapaliła lampę. Po wysłuchaniu opowieści Sylwii wstała i obie zeszły po schodach. Drzwi na dole nie były – co dziwne – zamknięte na klucz. Deborah otworzyła je i zaglądając do środka dawnej księgarni, nagle wydała okrzyk zaniepokojenia zmieniający się w krzyk zgrozy.

Na podłodze leżał Aaron ze związanymi rękoma i nogami.

* Prawdopodobnie chodzi tu o odwołanie się do Ewangelii wg św. Łukasza 14:29-34. Chociaż jak Jezus mógłby ukraść osła, skoro Bóg jest właścicielem wszystkiego? Skoro jego syn coś bierze, to jak mógłby to ukraść? (przyp. tłum.).



– Spójrz! Spójrz – zawołała Sylwia, krztusząc się – jego usta!

ROZDZIAŁ VII

PRZERAŻAJĄCA NOC

– Cofnij się! Cofnij się, mój skarbie! – krzyczała Deborah, jej pierwszą myślą było oszczędzić Sylwii tego widoku.

Lecz dziewczyna, pamiętając ten pełen cierpienia okrzyk, jaki ją obudził, zbyt słaby, żeby dotarł do śpiącej twardym snem służącej, minęła ją i wbiegła do środka. Wysoko uniesiona przez Deborah lampa rzucała jasny krąg światła na podłogę, a w jego centrum Sylwia ujrzała ciężko dyszącego ojca. Miał w bolesny sposób ciasno ze sobą związane stopy i ręce na plecach. Głowa zdawała się przymocowana do podłogi. W końcu ciało (które sprawiało wrażenie kompletnie bezwładnego) nagle wykręciło się na bok, chociaż głowa nadal pozostała niemal bez ruchu.

Obie kobiety, przerażone tym widokiem, stały jak zamurowane, trzymając się za ręce.

– Spójrz! Spójrz! – zawołała Sylwia, krztusząc się – jego usta!

Deborah spojrzała i wydała jęk grozy, usta Aarona były zamknięte i przeszyte błyszczącym klejnotem.

Deborah, ciągle jęcząc, pochyliła się, nie mogąc z przerażenia wydobyć z siebie głosu i ujrzała błyszczące brylanty i diamenty, zobaczyła połyskujące kamienie, a potem czerwone, iskrzące się jak promienie zachodzącego słońca. I wtedy zobaczyła też broszkę z węzem z opalu i to, że wargi Aarona były ze sobą złączone przebitą przez nie szpilą broszki. Wąż zdawał się więc na jego ustach i twarzy wyrażającej bezgraniczne cierpienie.

– Och, nieszczęśnik! – krzyczała Deborah, padając na kolana z lampą nadal wysoko uniesioną nad głową. – Sylwio, zobacz...!

Dziewczyna jęknęła i impulsywnie uklękła, próbując palcami odpiąć okrutną szpilę przebijającą wargi ojca. Jeszcze żył, słyszały jego oddech i widziały błyszczące oczy; ale jego twarz, gdy na nią patrzyły, stawała się coraz czarniejsza, a oczy zaczęły się otwierać i zamykać konwulsyjnie. Deborah postawiła lampę na podłodze i starała się unieść jego głowę. Jednak nie mogła oderwać jej od podłogi. Związane nogi wyrzucał w górę i opadały bezwładnie z głuchym łoskotem. Szeroko otwarte oczy zdawały się wpatrywać w sufit niewidzącym wzrokiem, oddech ustał i ciało znieruchomiło.

– Nie żyje – rzekła Deborah, chwytając Sylwię. – Pomocy! Pomocy!

Jej głos odbił się echem w pustym pomieszczeniu po księgarni. Odpowiedź nie nadeszła. Na ulicy nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć jej wołanie. Lampa stojąca na nagiej podłodze oświetlała przerażający widok: ciało z zapieczętowanymi ustami, lśniąca klejnoty i na tle ściany cienie dwóch kobiet. Deborah wpatrywała się w martwego pana, ale głowa Sylwii była ukryta na jej piersiach tak, aby nie widzieć tego horroru. Z każdą chwilą przedłużała się ta dziwna, pełna grozy cisza.

Sylwia próbowała poruszyć głowę, lecz Deborah przycisnęła ją mocniej do piersi.

– Nie rób tego, moja piękna... nie rób – szeptała.

– Muszę... Ja... och! – Dziewczyna uwolniła głowę z jej czułych ramion i rzuciła okiem na makabryczną scenę. Zatoczyła się kilka kroków do przodu, a potem zaczęła się osuwać na plecy, ale Deborah w porę chwyciła ją i gdy Sylwia, dzięki Bogu, zemdlała, zniosła ją na piętro i nieprzytomną położyła do jej łóżka. Potem szybko zeszła na dół, zamknęła na klucz drzwi wiodące z księgarni na schody i ponownie spojrzała na ciało, ciągle leżące bez ruchu z jednym okiem wpatrującym się w sufit. Deborah z fascynacją ptaka zahipnotyzowanego przez węża podkradła się bliżej i dotknęła głowy nieboszczyka. Poruszyła nią i znowu usiłowała unieść nad podłogę. Ale i tym razem stwierdziła, że nie może tego

zrobić. Zebrała wszystkie siły i inteligencję i zaczęła oglądać jego głowę i szyję. Z przerażeniem ujrzała na szyi cienki, mocny miedziany drut znikający w otworze w podłodze. Najwyraźniej tak ciasno opasywał szyję, iż głowa była przytrzymywana przy podłodze. Drut wpijał się głęboko w skórę, dławiąc okrutnie mężczyznę. Deborah z jękiem grozy puściła głowę i pobiegła do mieszczącej się w rogu klapy w podłodze. Ten, kto zamordował Aarona Normana, tylko tam mógł się ukryć. Lecz kłapa ani drgnęła i wtedy przypomniała sobie, że była zamykana na zasuwkę od wewnątrz. Zatem w ten sposób nie mogła złapać mordercy.

– Drzwi frontowe – wykrztusiła i pobiegła je odryglować. Rygle dały się łatwo odsunąć, ale drzwi były też zamknięte na klucz; Aaron zwykle odbierał do nich klucz od Barta. Deborah musiała więc wrócić do ciała, podeszła z obrzydzeniem do zwłok i przeszukała kieszenie oraz całe ubranie. Mężczyzna był kompletnie ubrany, nawet miał na sobie zwykle noszony płaszcz. Ale klucza nie znalazła i zaczęła się zastanawiać, co teraz robić. Prawdopodobnie ten klucz jak zwykle wisi spokojnie na haczyku w piwnicy. Musiała użyć nietypowego sposobu – wtedy przypomniała sobie, że szyba okienna jest cienka i krucha, więc rzuciła się do okna z nadzieją jej zbitcia. Jednak grube okiennice były zamknięte i Deborah stwierdziła, że zostały zamknięte w domu. W rozpaczy, bowiem puściły jej nerwy, otworzyła drzwi wiodące na schody i skacząc po trzy stopnie, wspięła się po nich do salonu. Otworzyła okno i weszła na parapet między doniczki kwiatów Sylwii. W momencie gdy kalkulowała skok z okna, usłyszała miarowe kroki policjanta i wyciągając szyję, Deborah zobaczyła go leniwie krocącego ulicą i rzucającego światłem latarni w okna i drzwi domów. Tej nocy była pełnia i dlatego ulica była nadzwyczaj dobrze oświetlona, bo poświata księżycowa dodatkowo rozjaśniała przestrzeń między domami. Zbierając siły do ostatecznego wysiłku, Deborah krzyknęła tak głośno jak tylko mogła i zobaczyła, jak zaskoczony posterunkowy rozgląda się dookoła, patrzy w górę, a potem w dół na chodnik, żeby przekonać się, skąd dochodził krzyk.

– W górę... w górę... och, spójrz w górę, głupcze! – wrzeszczała Deborah. – Morderstwo... Och, morderstwo! Wyważ drzwi, wezwij policję. A nich cię!

Pomocy...! Pomocy...!

W tym momencie znalazła się już w kręgu światła, którym policjant oświetlał ją w nocnej koszuli, gdy kurczowo trzymała się parapetu.

– Dlaczego robi pani tyle hałasu? – krzyknął gniewnie policjant.

– Morderstwo, głupcze! – krzyczała Deborah. – Mój pan został zamordowany. Numer czterdzieści pięć... drzwi są zamknięte na klucz... wyważ je. Policja!... Policja!

Zanim zdążyła dokończyć, policjant zagwizdał, podbiegł do drzwi księgarni i wparł się w nie ramieniem.

Deborah wróciła do salonu i zbiegła na dół, ale mimo grozy i rozkojarzenia przerażeniem nie zapomniała zamknąć za sobą na klucz drzwi na schody, żeby nikt nie niepokoił Sylwii. Po drodze zarzuciła na ramiona gruby szal, który chwyciła ze swojego pokoju. Musiała się czymś dodatkowo okryć, bowiem miała na sobie tylko nocną koszulę. Nieszczęsna kobieta była jednak zbyt przerażona, żeby przejmować się czymkolwiek, i po znalezieniu się na dole w dawnej księgarni, słysząc walenie, natychmiast podbiegła do zamkniętych drzwi. Pomiędzy poszczególnymi uderzeniami Deborah mogła też słyszeć tupot biegnących stóp.

– Nie mam klucza! – krzyknęła przez dziurkę od klucza. – Wyważ drzwi! Morderstwo! Morderstwo!

Z jej słów i hałasów można było wywnioskować, że wydarzyło się coś strasznego w tym domu i posterunkowy podwoił wysiłki. Deborah odskoczyła do tyłu po ostatnim okrzyku, gdy drzwi runęły na podłogę i do środka wpadło trzech policjantów z wyciągniętymi pałkami i latarniami rzucającymi błyski światła jak gwiazdy. Na podłodze ciągle stały lampy rzucające dość jasne, żółte światło na ciało.

– Mój pan! – wykrztusiła Deborah i wskazała je drżącym palcem. – Martwy... piwnica... – I przerwała.

Policjant chwycił ją za rękę, ale kobieta wyrwała się.

– Nie, nie zemdleję... nie... ja nie zemdleję – jąkała się – piwnica... patrz.... patrz...

Podbiegła i uniosła głowę. Gdy policjanci zobaczyli miedziany drut znikający w podłodze, natychmiast zorientowali się, o co jej chodzi.

– Pasaż na zewnątrz! – krzyknęła Deborah, wskazując kierunek. – Kłapa w podłodze – podbiegła do niej – zaryglowana od środka, mordercy są w piwnicy.

– Ilu ich jest? – zapytał policjant, gdy kilku posterunkowych pobiegło do pasażu.

– Och, wy cholerni głupcy, skąd mam wiedzieć! – krzyknęła Deborah ze złością. – Może być jeden, ale może ich być dwudziestu. Idźcie i złapcie ich... za to wam płacą. I wyślijcie kogoś pod numer dwudziesty przy Park Street, Bloomsbury, po Barta.

– Kto to jest Bart?

– Idźcie i sprowadźcie go! – krzyczała Deborah, wściekła, że się ociągają. – Numer dwudziesty Park Street, Bloomsbury. Och, co za noc! Muszę iść i zobaczyć, co z panną Sylwią, która zemdlą! – Po tych słowach podeszła do zamkniętych drzwi na schody, a za nią podążył policjant. – Odejdź! – krzyknęła Deborah, odpychając go. – Nie masz tam nic do szukania, idę obejrzeć moją chorą ślicznotkę. Ona jest niewinna. Odejdź i zajmij się swoją robotą.

Była rozkojarzona i z trudem zdawała sobie sprawę z tego, co mówi, ale mężczyzna cofnął się i Deborah wspięła się po schodach do pokoju Sylwii, gdzie znalazła biedną dziewczynę ciągle nieprzytomną.

W tym czasie przybył inspektor policji i jeden z policjantów złożył mu raport z tego, co tu się wydarzyło, gdy Deborah wszczęła alarm z okna. Inspektor wysłuchał spokojnie i zbadał ciało.

– Uduşony miedzianym drutem – stwierdził, podnosząc wzrok. – Niech któryś z was idzie po lekarza. Drut przechodzi przez podłogę – dodał, dotykając ciągle zaciśniętego na szyi drutu – i musi być gdzieś od spodu przymocowany. Zbadajcie piwnicę.

W czasie gdy to mówił i gdy jeden z gorliwych policjantów pobiegł po lekarza, dobiegł ich odgłos otwieranej na siłę klapy w podłodze. Do księgarni wpadł policjant i zasalutował na widok przełożonego. Zapalono lampy gazowe.

– Wyważyliśmy tylne drzwi, sir – zameldował – to znaczy tylne drzwi do piwnicy. Były zamknięte na klucz, ale nie zaryglowane. W piwnicy niczego nie znaleziono, wszystko było w porządku, a jeśli chodzi o drut – wskazał drut dławiący szyję – to zwisa z sufitu i do jego końca przymocowany jest krzyż z drewna.

– Do kogo należy ten sklep?

– Do Aarona Normana – wyjaśnił policjant, który patrolował ulicę. – Handlował tu używanymi książkami, spokojny, nieszkodliwy, bojaźliwy człowiek.

– Nikt więcej?

– Nie, sir. Przechodziłem Gwynne Street mniej więcej kwadrans po dwunastej i wszystko wydawało się spokojne i bezpieczne. Gdy później wracałem – jakieś dwadzieścia minut... albo dwadzieścia pięć minut później... zobaczyłem kobietę kurczowo trzymającą się okna na piętrze i wołającą „morderstwo!”. Zareagowałem na jej wołanie i wyważyliśmy drzwi.

Inspektor Prince położył na podłodze głowę martwego i podniósł się z klęczek, kiwając potakująco głową.

– Pójdę na górę zobaczyć się z tą kobietą – rzekł. – Dajcie mi znać, kiedy przybędzie lekarz.

Na piętrze zapalił światła gazowe i obejrzał salon, a potem, po przejściu przez kuchnię do jadalni, inne pomieszczenia. W sypialni zastał puste łóżko, ale usłyszał czyjś głos w sąsiednim pokoju. Otwierając drzwi, usłyszał pisk i znalazł się przed Deborah, która pospiesznie narzucała na siebie jakieś części garderoby.

– Nie wchodzić! – krzyknęła, wyciągając ręce. – Zajmuję się panną Sylwią.

– Nonsens – rzekł inspektor, brutalnie odsunął ją na bok i wszedł do pokoju. Na łóżku leżała najwyraźniej nieprzytomna Sylwia, ale gdy na nią spojrział, głęboko westchnęła i otworzyła oczy.

Deborah objęła rękoma Sylwię i zaczęła do niej czule przemawiać. Po chwili Sylwia siedziała już na łóżku zdezorientowana.

– Co się dzieje? – zapytała, a następnie jej wzrok padł na policjanta. – Och, gdzie jest mój ojciec?

– Nie żyje, kochanie – odparła Deborah – nie wstawaj.

– Tak... pamiętam... ciało na podłodze... wąż na ustach... Och... och! – i znowu zemdlą.

– Do licha! – krzyknęła Deborah z goryczą – zobacz, co narobiłeś!

– Zaraz... zaraz – mówił inspektor Prince, tak uprzejmie jak to tylko było możliwe, jękając się. – Ja jestem tu na służbie. Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Gdyby użył pan tych swoich cholernych oczu, zobaczyłby, że stało się morderstwo – rzuciła ostro panna Junk. – Pozwól mi zaopiekować się moją ślicznotką.

W tym momencie do pokoju wszedł wysoki, młody mężczyzna. Był to lekarz.

– Policjant powiedział, że znajdę pana tutaj – rzekł przyjemnym głosem. – Zbadałem ciało, inspektorze. Ten człowiek nie żyje... został uduszony... i to w okrutny sposób miedzianym drutem, który przeciął mu gardło, nie mówiąc już o tym... – Lekarz podał policjantowi broszkę.

– A niech to! – krzyknęła impulsywnie Deborah. – Myślę, że ona jest przyczyną wszystkiego. – I zaczęła z zapalem rozcierać rękę Sylwii.

– Kim jest ta młoda dama? – zapytał lekarz. – Moją następną pacjentką?

– Tak, mogłaby nią być – odparła panna Junk. – Jest pan lekarzem, ale nie wiem, czy może pan pomóc przywrócić jej przytomność.

– Zrób wszystko co w twojej mocy – wtrącił Prince – a pani niech zejdzie ze mną na dół. Chcę zadać kilka pytań.

Deborah nie była głupia, wiedziała, że inspektor był zdecydowany zmusić ją, aby zrobiła wszystko, czego sobie życzy. Poza tym Sylwia znalazła się teraz w rękach lekarza i Deborah czuła, że ten może jej bardziej pomóc i doprowadzić do świadomości wszystkie zmysły.

Po kilku pożegnalnych gestach wyszła z pokoju i zeszła na dół razem z inspektorem. Okazało się, że w tym czasie policja nie dokonała żadnych nowych odkryć.

Prince przepytał nie tylko posterunkowego z Gwynne Street, który zdał raport, ale wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Na północ i południe Gwynne Street widziano wielu podejrzanych, ale Prince niczego więcej nie mógł się w tej sprawie dowiedzieć, więc uwagę skupił na służącej.

– Doskonale, a teraz proszę mi powiedzieć, co pani wie? – zaczął. – Nie musi pani mówić nic, co mogłoby jej zaszkodzić.

– Mnie! – krzyknęła Deborah, z wyrazem oburzenia na twarzy. – Obraża mnie pan. Wiem na temat tego, kto to mógł zrobić, tyle, co nowo narodzone dziecko. No, no! A my płacimy podatki, żeby być obrażani przez takich jak pan, panie policjancie.

Była bardzo podenerwowana i wielu ludzi mogłoby czuć się urażonymi i stracić panowanie nad sobą – jednak inspektor Prince był nadal spokojnym i opanowanym policjantem, bowiem z doświadczenia wiedział, jak postępować z tego rodzaju gwałtownymi kobietami z niższych sfer. Po prostu odczekał, aż z Deborah wyparuje złość, i łagodnie zadał jej kilka pytań. Deborah, uważając je za sensowne, zmieniła ton, stała się rozsądna i odpowiedziała na wszystko. Inspektor zręcznie z nią postępując, po kilku minutach dowiedział się, co się w tym domu wydarzyło tej przerażającej nocy, od chwili gdy Sylwia położyła się spać i od momentu gdy usłyszała daleki krzyk cierpienia.

– A to stało się właśnie tak, jak powiedziała panna Sylwia – kończyła swą opowieść Deborah – zaraz przed wybiciem przez zegar kościelny godziny dwunastej.

– I po kwadransie zeszłyście na dół?

– Tak, zaraz jak panna Sylwia mnie obudziła – dodała Deborah. – Była przerażona wszystkimi siedmioma zmysłami i nie mogła się otrząsnąć. Tak,

zeszłyśmy na dół dopiero dwadzieścia po dwunastej i zobaczyłyśmy... to... – I Deborah, kobieta, o tak silnych nerwach, zadrżała.

– Hm... – inspektor mruknął i zamyślił się. – Tak... więc morderca miał czas uciec.

– Proszę wybaczyć, sir, ale oni, albo on czy też ona, czyli ci, co zamordowali mego pana, byli na dole, w piwnicy, gdy myśmy zobaczyły ciało – ale wtedy nie było to, jak pan to nazwał, „ciało”.

– Proszę dokładnie powiedzieć, co pani ma przez to na myśli?

Deborah powiedziała i zrobiła to z takim bogactwem szczegółów, że nawet uodporniony na tego rodzaju zeznania inspektor czuł, jak na jego urzędowych plecach tworzy się gęsia skórka. W tej zbrodni było coś bezlitosnego. Ten człowiek został związany jak baran wleczony na rzeź, z ustami zapieczętowanymi szpilą broszki, aby nie mógł krzyczeć, a potem na oczach swego dziecka i służącej powoli dusił się drutem przeciągniętym do piwnicy. Jeden z policjantów przyniósł świder, którym najwyraźniej wywiercono otwór, aby przez niego przeciągnąć drut. Wiertło ciągle było zabrudzone wiórami.

– Do kogo to należy? – inspektor zapytał Deborah.

– Do Barta – odparła, przyglądając się zaskoczona – używał go razem z innymi narzędziami do robienia skrzynek dla mego pana. Zawsze musiałam sprzątać po nim, gdy robił to na podwórku, kiedy oczywiście była dobra pogoda – zakończyła Deborah, pociągając nosem.

– Gdzie jest ten Bart?

– W łóżku, jak przyzwoity człowiek, który ma zostać moim mężem – wyjaśniła panna Junk cierpko. – Powiedziałam jednemu z tych leniwych policjantów, żeby poszedł i sprowadził go tutaj z Bloomsbury.

– Ktoś już poszedł po niego – poinformował inny policjant. – Czy to nie Bart Tawsey?

– Pan Bartholomew Tawsey, jeśli łaska – uzupełniła służąca wyniośle. – Mam nadzieję, że wkrótce tu się zjawi, żeby mnie bronić.

– Jest pani zupełnie bezpieczna – zapewnił ją Prince sucho, gdy równocześnie jego podwładny, uśmiechając się, patrzył na jej nieporządny strój i teraz niezbyt urodziwą, napuchłą i zaczerwienioną z emocji twarz. – Ale co z tą broszką, o której pani mówiła, że jest przyczyną całej tragedii?

Deborah odpowiedziała z wyrazem wyraźnego zmęczenia.

– Może mnie pan zabić, ale nie mam już siły o tym mówić – powiedziała. – Ta broszka należy do pana Paula Beecota.

– Gdzie on jest?

– W szpitalu Charing Cross, jeśli już chce pan wiedzieć. To narzeczony mojej ślicznej panienci, ale niech pan nie myśli, że to ona...

– Nikogo nie oskarżam – oświadczył poważnie inspektor – ale musimy zbadać do samego dna wszystko, co dotyczy tej strasznej zbrodni.

– Ach, niech już będzie tak, jak pan mówi – jęknęła panna Deborah – z tym węzem na jego biednych ustach i z tym jego wykręcającym się ciałem, które chciało się uwolnić... Ale oto i moja śliczna. – I panna Junk bez namysłu przebiegła cały sklep, wykrzykując słowa otuchy w stronę wchodzącej Sylwii.

Prince spojrział na martwego mężczyznę i na węza z opalu, którego trzymał w ręce.

– Ten tkwi na jednym końcu sprawy, a tamten na drugim. Co może łączyć broszkę z ciałem?

ROZDZIAŁ VIII

WERDYKT SĘDZIÓW PRZYSIĘGŁYCH

Jak można się było tego domyślić, morderstwo Aarona Normana stało się ogromną sensacją. Jednego dnia to nazwisko nie było znane, następnego znalazło się na ustach milionów. Dziwne okoliczności zbrodni, okrywająca ją tajemnica, odrażające okrucieństwo, z jakim posłużono się broszką w kształcie węża z opalu, żeby zamknąć usta człowieka, który w tym czasie powoli się dusił, niezwykle zwiększały zainteresowanie. Było to morderstwo godne pióra Wilkie Collinsa albo Emila Gaboriau. Niekiedy o tego rodzaju zbrodni można przeczytać w powieści, ale nie słyszano, żeby zdarzyła się w realnym życiu. W tym wypadku realne życie przekroczyło granice fikcji.

Mimo całej dociekliwości policji, wszystkich artykułów w gazetach oraz wszystkich teorii wysuwanych przez ludzi, którzy nie wiedzieli wiele o tej sprawie, nie posunięto się ani o krok w kierunku wyjaśnienia tajemnicy, kto zamordował Aarona Normana. Przypuszczano, że uczestniczyło w tym co najmniej dwóch ludzi; bowiem nawet tak słaby fizycznie człowiek, jakim był zmarły, z pewnością nie pozwoliłby się związać jednemu napastnikowi, bez względu na to, jak ten byłby silny. W tym wypadku musiało dojść do starcia i gdy córka zamordowanego usłyszała krzyk wołający o pomoc, z całą pewnością usłyszałaby też odgłosy bójki, jaką Norman stoczył, walcząc o życie. A jednak usłyszała tylko daleki, stłumiony krzyk, który prawdopodobnie był skutkiem przebijania szpilą broszki warg, celem

ich zapieczętowania na zawsze. Potem mężczyzna wolno się dusił, w ostatniej fazie wręcz na oczach przerażonej córki.

Biedna Sylwia doznała poważnego wstrząsu na skutek przeraźliwego widoku umierającego ojca i przez kilka dni chorowała. Wierna Deborah opiekowała się nią niczym niewolnica, nie wpuszczając nikogo, poza lekarzem, do pokoju chorej. Bart Tawsey, którego wyciągnięto z łóżka i sprowadzono na Gwynne Street, pozostał w pustej księgarni i spełniał wszystkie obowiązki domowe, które wskazała mu panna Junk jako niezbędne. Zrobiła z niego kucharza dla siebie i Sylwii – wcześniej już go szkoliła w tym kierunku, aby był przygotowany w razie nagłej potrzeby i cieszył się jej zaufaniem.

Bart robił też obchód, sprawdzając, czy dom jest zamknięty i zaryglowany na noc. Sypiał na zaimprovizowanym pościeli pod kontuarem. Deborah, której nerwy były już zszarpane grozą, jakiej doznała, nalegała, żeby Bart pozostał na miejscu, ochraniając ją i Sylwię. Mężczyzna nie był mocarzem, ale mimo drobnej budowy był dość silny i – co najważniejsze – miał odwagę koguta-wróbla, zatem stojąc na straży domu Deborah, nie bał się i mógł opiekować się jej chorą panią.

Jednym z pierwszych gości panny Norman był suchy, pomarszczony, podobny do małej mężczyzna, który oświadczył, że nazywa się Jabez Pash i jest prawnikiem zmarłego. Dodał też, że od lat zajmuje się interesami Aarona i zna wszystkie jego tajemnice. Jednak, gdy policja zaczęła go przepytawać, nie rzucił ani odrobiny światła na tajemnicę morderstwa. Natomiast wiedział o czymś dziwnym, związanym z tą sprawą, co przekazał detektywowi, który teraz został wyznaczony do prowadzenia tej sprawy.

Ten nowy funkcjonariusz policji był człowiekiem gadatliwym, o sympatycznej twarzy, brązowych oczach i włosach, o smagłej cerze. Nosił też, dobrze dopasowany do całości, brązowy garnitur, brązowe buty, brązowy kapelusz i brązowy krawat – tak naprawdę to całe jego ciało, twarz, ręce i ubranie, wszystko było brązowe, i ten kolor sprawiał raczej dziwny efekt.

– On chyba jest ufarbowany – rzekła panna Junk, gdy go ujrzała. – Jednak brąz jest lepszy od czerni, panno Sylwio, chociaż teraz, biedna moja, musisz nosić

czerni, z nadzieją na lepsze czasy.

Brązowy człowiek, który przedstawił się jako Hurd, a także bardziej przyjaźnie jako „Billy” Hurd, po przepytaniu wszystkich, od których miał nadzieję dowiedzieć się czegoś, co mogłoby wyjaśnić tajemnicę morderstwa, spotkał się również z panem Pashem.

– Co pan wie o tej sprawie, sir? – brązowy człowiek zapytał uprzejmie.

Pash skrzywił twarz w sposób uzasadniający porównywanie go do małpy. Mógł przypominać wierny wizerunek jednego z tych świrniętych stworzeń, a gdy zaczął bardzo szybko i nieskładnie mówić skrzeczącym głosem, podobieństwo stało się całkowite.

– Nie mam pojęcia, dlaczego mojego szanownego klienta spotkała taka śmierć – rzekł – ale mogę nadmienić, że odwiedził mnie w wieczór swej śmierci i powierzył mi cztery woreczki klejnotów. Przynajmniej oświadczył, że zawierają klejnoty dlatego, że woreczki były zapieczętowane, a ja oczywiście ich nie otworzyłem.

– Czy mogę je zobaczyć? – zapytał Hurd uprzejmie.

Prawnik podskoczył do sąsiedniego pokoju i kiwnięciem zaprosił Hurda do środka.

Wkrótce obaj przeglądali sejf, w którym spoczywały cztery woreczki z szorstkiego, białego płótna, zawiązane grubymi sznurami i zapieczętowane.

– Dziwne przedmioty – rzekł pan Pash, przeżuwając słowa i patrząc na detektywa jak małpa, jakby ten miał chęć zawołać na niego „Jacko!”* – i chociaż ani w ranek morderstwa, ani przedtem nic o nich nie słyszałem, przyszedł do mnie ktoś obcy z wiadomością od mego szanownego klienta, że mam mu dać te woreczki.

– Co to był za człowiek?

– No... – odparł Pash, pocierając ostro zarysowany podbródek – mógłbym go opisać jako żeglarza. Ale pewnie marynarz byłoby lepszym określeniem. Silnie zbudowany, z ogorzałą twarzą, ale pewnie bardziej od picia alkoholu niż

wysmaganą morskimi wiatrami, jednak poruszał nogami w jakiś taki marynarski sposób.

– Jakie podał nazwisko? – pytał Hurd, szybko zapisując w notesie opis tego człowieka.

– Nie podał. Zapytałem, kim jest i odpowiedział mi.... z wieloma przekleństwami, których nie będę cytował... że to nie mój interes. Nalegał na wydanie mu woreczków, które zabierze do pana Normana, ale ja mu nie uwierzyłem. No, tak – dodał prawnik dobitnie – nie wierzyłem mu. Pan Norman zawsze osobiście prowadził interesy i nigdy – wiem z doświadczenia długoletniej współpracy – nie zatrudniał zastępcy. Odpowiedziałem temu nieznanemu żeglarzowi, temu marynarzowi, jakby go pan nazwał, który cuchnął rumem, tym – jak wiemy – żeglarskim trunkiem... No więc, panie Hurd, odpowiedziałem, że te woreczki osobiście przykażę panu Normanowi... i tyle. Moje biuro mieści się przy Chancery Lane i jak pan zapewne wie, stąd jest niedaleko do Gwynne Street, więc natychmiast wyruszyłem tam.

– W towarzystwie tego żeglarza?

– Nie. Powiedział, że zaczeka na mój powrót, aby przyjąć przeprosiny, gdy na spotkaniu z moim szanownym klientem przekonam się o jego uczciwych zamiarach. Po przyjeździe na Gwynne Street dowiedziałem się, że pan Norman nie żyje i wtedy natychmiast zabezpieczyłem woreczki, umieszczając je w sejfie, czyli tu, gdzie teraz je pan widzi.

– A ten marynarz? – zapytał Hurd, bacznie przyglądając się panu Pashowi.

Prawnik wciągnął policzki i oparł stopę na szczeblu krzesła.

– Och, mój urzędnik powiedział mi, że opuścił biuro po pięciu minutach od mojego wyjścia, mówiąc, że nie może dłużej czekać.

– Czy od tego czasu widział go pan?

– Więcej go już nie widziałem. Wierzę, że udało mi się ocalić własność mego klienta.

– Czy Norman był bogaty?

– Tak, istotnie, był bardzo bogaty, ale nie dorobił się majątku na sprzedawaniu używanych książek. W rzeczywistości – Pash delikatnie złożył opuszki palców – był dobry w ocenianiu kamieni szlachetnych.

– Jako właściciel lombardu – wtrącił Hurd sucho. – Dowiedziałem się wszystkiego w tej sprawie od jego pracownika, Barta Tawseya. Opuśćmy ten temat i przejdźmy dalej.

– Ja mogę pójść tylko tak daleko, żeby poinformować pana, iż panna Norman prawdopodobnie odziedziczy fortunę wartości pięciu tysięcy rocznie, poza zawartością tych woreczków... To znaczy – dodał mądrze pan Pash – o ile te klejnoty nie zostaną wykupione z lombardu.

– Istnieje taka możliwość? – zapytał Hurd, zbierając się do wyjścia.

Pash przewrócił oczami i wydał policzki, a potem zaczął się tak wiercić, że detektyw myślał, iż zamierza dać mu pokaz akrobatyczny.

– Tego nie mogę być pewny – odparł łagodnie – jeszcze nie przejrzałem dokumentacji leżącej w sejfie mego zmarłego szanownego klienta. Nigdy nie pozwolił mi przeczytać swego testamentu. Także umów dzierżawnych – owszem, posiadał pewne nieruchomości, być może zastawione, obciążone kredytami hipotecznymi... tak... inwestycje... tak... on wtajemniczał mnie we wszystko, z wyjątkiem ważnych spraw zapisanych w ostatniej woli. Ale większość ludzi tak dziwnie się zachowuje, chociaż pan by się tego nie spodziewał, panie Hurd. Choć nigdy niczego nie dzierżawią, nie wynajmują czy też nie nabywają nieruchomości bez konsultowania się ze swym prawnym doradcą, to jednak w sprawach dotyczących testamentów (tych najważniejszych dokumentów) wielu woli podejmować decyzje we własnym zakresie. W efekcie powstaje wiele sporów w związku z wadliwie sporządzonymi dokumentami dotyczącymi spraw spadkowych.

– Na zdrowie prawnikom! No, muszę zająć się odszukaniem tego pańskiego żeglarza.

– Myśli pan, że on jest mordercą?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł Hurd z uśmiechem. – I nigdy nie powiem, póki nie będę całkiem pewny.

– To może być trudne do ustalenia w tej sprawie – stwierdził prawnik.

Detektyw Billy uśmiechnął się uprzejmie i wzruszył brązowymi ramionami.

– Tak trudne, że może nigdy nie zostanie ustalone – zgodził się. – Przecież pan wie, jak dużo tajemnic nigdy nie odkryto. Podejrzewam, że ta z Gwynne Street będzie jedną z nich.

Hurd dowiedział się dużo na temat broszki z opalu od Sylwii i Deborah, a to co mu powiedziały, skutkowało wizytą w szpitalu Charing Cross, u Paula Beecota.

Młody mężczyzna był bardzo zmartwiony. Jego ręka szybko zdrowiała, stawała się coraz sprawniejsza i lekarze zapewniali, że będzie mógł opuścić szpital za parę dni. Otrzymał list od matki, którą poinformował o swoim wypadku. Opłakiwała jego nieszczęście, czego mógł się wyraźnie domyślić, bowiem pismo miejscami rozmazały łzy. Żaliła się też, że domowy tyran nie pozwolił jej pojechać do Londynu, żeby odwiedzić rannego syna. Już sam ten fakt był dość irytujący, ale Paula bardziej zdenerwował artykuł w gazecie, opisujący straszną śmierć Aarona. Tak bardzo go poruszył, że dostał wysokiej temperatury i lekarze zabronili mu czytać gazety. Na szczęście Paulowi udało się uspokoić nerwy i gdy przybył Hurd, pozwolono mu się z nim zobaczyć. Policjant usiadł na brzegu łóżka i przedstawił się pacjentowi. Beecot przyglądał mu się badawczo, aż w końcu rozpoznał go.

– To pan był tym robotnikiem, który mnie zaczepił – stwierdził ze zdumieniem.

– Tak, panie Beecot. Słyszałem, że nie zastosował się pan do mojego ostrzeżenia w stosunku do swego przyjaciela, pana Grexona Haya.

– Ach! Więc cały czas znał pan jego imię i nazwisko!

– Oczywiście. Rozmawiałem z panem tylko po to, żeby go przed nim ostrzec. On może panu zaszkodzić.

– Ależ to mój szkolny kolega – odparł z gniewem Beecot.

– To wcale nie czyni go lepszym towarzyszem – odrzekł Hurd. – Ale, panie Beecot, o tej sprawie porozmawiamy innym razem. Teraz, ponieważ wolno mi

z panem pozostać przez krótki czas, chcę pana zapytać o węża z opalu.

Paul usiadł, chociaż Hurd usiłował do tego nie dopuścić.

– Co pan o tym wie? Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

– Wiem bardzo mało, ale chcę wiedzieć więcej. Jak już mówiłem, nazywam się Billy Hurd i jestem detektywem, któremu państwo powierzyło wyjaśnienie tej sprawy.

– Morderstwa Normana?

– Tak! Czytał pan gazety?

– Niektóre, ale za mało. Lekarze zabrali mi i...

– Powoli, panie Beecot. Mówmy tylko o najważniejszym. Skąd pan miał tę broszkę?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? Pewnie podejrzewa mnie pan?

Hurd roześmiał się.

– Nie. Ale pan przez cały czas krążył w orbicie tej broszki. I ta broszka została w okrutny sposób użyta do zapieczętowania ust zamordowanego i mnie, a także inspektorowi Prince'owi, wydaje się, że cała tajemnica morderstwa kryje się w odnalezieniu jej pierwotnego właściciela, zatem proszę mi o niej opowiedzieć wszystko, co pan wie – zakończył Billy, otwierając notes.

– Zrobię to, jeżeli pan powie mi o panie Norman. Jestem z nią zaręczony, chcę się z nią ożenić i słyszałem, że jest chora.

– Już jest z nią dużo lepiej – rzekł Hurd, trzymając w palcach ołówek – niech się pan nie martwi. Ta młoda dama ma się całkiem dobrze... a gdy się pan z nią ożeni, będziesz miał za żonę bogatą dziedziczkę, czego dowiedziałem się od prawnika zajmującego się sprawami majątkowymi zmarłego.

– Nie dbam o to, czy zostanie bogatą spadkobierczynią. Może pan przekazać jej ode mnie wiadomość?

– Rzecz jasna. Jaka to wiadomość? – Hurd, mimo że był detektywem, był też współczującym człowiekiem.

– Proszę ją poinformować, jak mi przykro i że przyjdę się z nią zobaczyć, gdy tylko będę mógł opuścić ten przeklęty szpital. Dziękuję za życzliwość, panie Hurd. Chce pan wiedzieć o... tak, o tym węźu z opalu, który wydaje się źródłem wszystkich kłopotów? Więc proszę posłuchać... – i Paul przekazał detektywowi wszystko, co wie, kończąc opowieść w momencie wypadku.

Hurd słuchał uważnie.

– Och... – rzekł znacząco – więc pan Grexon Hay był wtedy z panem? Hm...! Nie sądzi pan, że celowo wepchnął pana pod auto?

– Nie! – zaprzeczył zaskoczony Paul, wpatrując się w detektywa. – Jestem pewny, że nie. Jaką miałby z tego korzyść?

– Pieniądze, tego może pan być pewien – wyjaśnił Hurd. – Ten dżentelmen nigdy niczego nie robi bez nadziei na znaczną nagrodę. Ale spokojnie! Porozmawiamy o tym, kiedy będzie się pan czuł lepiej, panie Beecot. A więc mówi pan, że broszka zniknęła?

– Tak. Zapewne wysunęła mi się z kieszeni, gdy wpadłem pod koła auta. W okolicy włóczy się wielu próżniaków i żebraków, którzy mogli natychmiast podskoczyć i zwinąć ją z ulicy. Dałem ogłoszenie do gazet.

Hurd potrząsnął głową.

– Daremny wysiłek – rzekł. – Co sobie pan pomyślał, słysząc, że tej broszki użyto do zapieczętowania ust zamordowanego?

– Zapomniałem o tym – odparł cicho Paul. – Moja pamięć...

– Nie jest już tak dobra, jaką była – Hurd wstał. – Kończymy, widzę, że jest pan zmęczony. Do widzenia.

– Proszę zaczekać! Będzie mnie pan informował o postępie sprawy?

– Oczywiście, jeśli tylko lekarze pozwolą. Do widzenia. – I Hurd wyszedł zadowolony z uzyskanych informacji.

Dana mu przez Paula wskazówka zaprowadziła go do Wargrove, gdzie miał nadzieję dowiedzieć się czegoś od pana Beecota.

Jednak pan Beecot przyjął go niechętnie, wygłaszając wiele kąśliwych uwag pod adresem zamieszanego w tę sprawę syna, które wywołały oburzenie Hurd, bowiem Paul zyskał już jego sympatię. Z Wargrove Hurd udał się do Stowley, w Buckinghamshire, gdzie przepytał właściciela lombardu, którego asystent bezprawnie sprzedał przed wieloma laty broszkę Beecotowi. Tam też dowiedział się faktu, który posłał go z powrotem do pana Jabeza Pasha w Londynie.

– Twierdzę, sir – rzekł Hurd, gdy znowu znalazł się w prywatnym pokoju prawnika – że to ten pański marynarz zastawił w lombardzie opalową broszkę z węzem, mniej więcej przed dwudziestu laty.

– Niemożliwe – rzekł prawnik, krzywiąc się, jakby coś przeżuwał.

– Tak było naprawdę. Właściciel tego lombardu jest stary, ale dobrze zapamiętał klienta i podany przez niego opis pasuje jak ulał do tego, kto przyszedł do pana po odbiór woreczków z klejnotami.

Pan Pash, wydymając policzki, zamyślił się.

– Hm! – zaczął – dwadzieścia lat to długi szmat czasu. Człowiek sprzed dwudziestu lat i człowiek dzisiejszy mogą być całkiem różnymi ludźmi.

– Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają – odparł Hurd spokojnie. – Podejrzewam, że akurat pan nie zmienił się za bardzo.

– Nie – zarechotał prawnik, nieco rozbawiony. – Zestarzałem się, ale nie zmieniłem wyglądu.

– Z tym żeglarzem mogło być podobnie. Zastawił ten przedmiot na nazwisko David Green.

– Fałszywe, jak sędzę.

– Uważa pan, że to on jest mordercą?

– Zanim coś takiego stwierdzę, muszę wpierw udowodnić, że broszka ponownie weszła w jego posiadanie – rzekł ponuro Hurd. – Skoro jednak broszka zniknęła podczas wypadku ulicznego pana Beecota, to nie wiem już, co mógłbym w tej sprawie więcej zrobić. Dziwne, że człowiek, który zastawił broszkę tyle lat

temu, nagle znowu się nią zainteresował i to w dniu gdy została użyta w związku z tą potworną zbrodnią.

– Tak, to jest dziwne. Gratuluję panu tej sprawy, panie Hurd. To niezwykle interesujące wnikać w nią.

– Ale równocześnie bardzo trudne – stwierdził z przygnębieniem Hurd. – I teraz, mówiąc prawdę, nie wiem, co dalej robić. Zebrałem już wszystkie, jakie mogłem zebrać, dowody, ale obawiam się, że werdykt sądu przysięgłych będzie brzmiał: „Morderstwo z premedytacją dokonane na pewnej osobie przez osobę lub osoby nieznane”.

Hurd, w przeciwieństwie do innych detektywów, zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń i tymi słowami udowodnił, że jest dobrym prorokiem. W dochodzeniu uczestniczyło wielu ludzi, którzy równie dobrze mogliby się trzymać z dala od wszystkiego, co dotyczyło identyfikacji zabójcy. Sylwia i Deborah zeznały dowodowo, w jaki sposób morderstwo zostało popełnione – lecz na tej podstawie nie można było ustalić, kto to zrobił. Przypuszczano, że morderca, albo mordercy, uciekli, gdy Deborah pobiegła na piętro, żeby krzyczeć przez okno, że popełniono zbrodnię. W tym czasie policjant patrolujący Gwynne Street nie widział domu i mogli z łatwością – o ile było ich kilku – uciec do piwnicy, a potem przez pasaż na ulicę, aby wtopić się w tłum przechodniów na Strandzie, których nawet o tej porze było wielu. Zabójca, czy zabójcy, mogli też pójść w kierunku Drury Lane i dalej na Oxford Street. Jednak bez względu na to, w którą stronę uciekli, ani jeden z licznych policjantów znajdujących się tej fatalnej nocy na służbie w tej dzielnicy nie dostrzegł żadnych podejrzanych osób. Biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności morderstwa, powszechnie uznano, że musiała je popełnić więcej niż jedna osoba – mordercy przyszli nocą, popełnili ten okrutny czyn i zniknęli, nie pozostawiając za sobą śladów. Zjawienie się człowieka, którego pan Pash nazwał „żeglarzem”, z pewnością było dziwne, i wielu było przekonanych, że motywem zbrodni mógł być rabunek.

– Ten silny mężczyzna mógł z łatwością obezwładnić tak słabego i mizernego człowieka, jakim był Norman i obrabować go – dowodzili ci samozwańczy

teoretycy. – Ale po przekonaniu się, że nie ma przy nim klejnotów, prawdopodobnie dowiedzieli się z posiadanej przez niego notatki, że zostały zdeponowane u jego prawnika, zatem następnego dnia rano usiłowano je od niego odebrać... – i tak dalej, i tak dalej.

Jednak inni przeciwko tej teorii przedstawili okrutne okoliczności popełnienia morderstwa. Żadna kradzież nie tłumaczyła użycia broszki do zapieczętowania ust zamordowanego. Ponadto duszenie nieszczęśnika na oczach córki było wyrafinowanym okrucieństwem, które sprawiło, że sprawę przestano kwalifikować jako tylko zwykły rabunek. Ostatecznie jeden człowiek (według policji) nie mógłby tego dokonać i zrealizować tylu makabrycznych detali.

Tak więc po przeprowadzeniu śledztwa, zadaniu wielu pytań i zebraniu dowodów, przeanalizowaniu szczegółów i teorii, przedyskutowaniu za i przeciw, sędziowie przysięgli byli zobowiązani wydać wyrok. I brzmiał on tak, jak pan Hurd przewidział.

„Umyślnie dokonane morderstwo na pewnej osobie przez osobę lub osoby nieznane”. I wszyscy wyrazili zgodę, że jest to jedyny słuszny wniosek, do jakiego można było dojść.

Oczywiście gazety natychmiast podjęły ten temat, pytając, co policja zrobiła, żeby nie dopuścić do popełnienia tak potwornej zbrodni w tak zaludnionej okolicy światowej metropolii. „Jak mogło do tego dopuścić cywilizowane społeczeństwo...” i tak dalej. Mimo to społeczeństwo z zadowoleniem przyjęło do wiadomości, iż policja i przysięgli wywiązali się ze swych obowiązków. Odbyło się śledztwo, wydano werdykt, szczątki Aarona Normana złożono w grobie, a z gazet wszyscy się dowiedzieli, że jego córka została bogatą spadkobierczynią. „Milion w gotówce” – pisały gazety, jak zwykle kłamiąc.

* „Jacko” to postać z kanadyjskiej opowieści o gorylu, którego złapano w 1884 roku w Kolumbii Brytyjskiej (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ IX

ZAMKI NA LODZIE

Tak więc Aaron Norman, sprzedawca używanych książek z Gwynne Street, nie żył i został pochowany – a można też dodać, że został zapomniany. Tylko Sylwia i osoby z nią związane pamiętały starego i jego nieszczęsny koniec, jednak ogółowi udało się o nim zapomnieć w cudownie krótkim czasie. Równocześnie w tym samym czasie miały miejsce inne wydarzenia, które bardziej interesowały czytelników gazet i niewielu już zaprzętało sobie głowę dziwną zbrodnię przy Gwynne Street. Ci, którzy o niej wspominali, wyrażali najczęściej opinię, że mordercy nigdy nie zostaną wykryci, jednak w tym wypadku bardzo się mylili. Jeżeli pieniądze mogą się przyczynić do wykrycia osoby lub osób, które tak okrutnie zamordowały Aarona Normana, to jego córka, a zarazem spadkobierczyni, była zdeterminowana, twierdząc, że odziedziczonych pieniędzy nie można lepiej spożytkować. Natomiast Billy Hurd, wiedzący wszystko o sprawie, która go niezwykle zainteresowała ze względu na otoczkę tajemniczości, i posiadający wiele wskazówek, został wyznaczony do prowadzenia dalszego śledztwa.

W czasie gdy Londyn wciąż jeszcze wrzał tragedią i niezwykłością popełnionej zbrodni, pan Jabez Pash zjawiał się w chaotycznie umeblowanym salonie w domu przy Gwynne Street, żeby odczytać testament. Pomijając już wszystko, musiał przedstawić oficjalnie ostatnią wolę zamordowanego. Deborah i Bart, który z woli swego pana zostali wskazani na świadków, poinformowali pana Pasha o istnieniu tego dokumentu, który został znaleziony w jednym z trzech sejfów w piwnicy. Okazało się, że był to krótki, zwięzły dokument, jakiego nie sporządziłby żaden

rozsądny człowiek rozdysponowujący pięć tysięcy rocznie. Aaron był zdolnym biznesmenem i Pash, jako profesjonalista, poczuł oburzenie, że pozostawił po sobie tak niespójny testament.

– Dlaczego nie przyszedł do mnie i nie spisał poprawnie swojej ostatniej woli rozdysponowującej majątek? – zapytał, stojąc w piwnicy przed otwartym sejfem z kawałkiem papieru w ręce.

Deborah, stojąc blisko podparta pod boki, roześmiała się głośno.

– Myślę, że mój pan był przekonany, iż wydał już na pana dość pieniędzy, sir. Życzę panu wszystkiego najlepszego, panie Pash, ale jeśli ten testament jest poprawny pod względem formalnym, to o co chodzi? I nie mów mi, że coś tu jest nie tak i że moja piękna panienska nie odziedziczy fortuny.

– Och, testament jest w porządku – odparł Pash, krzywiąc się – ale chodźmy do salonu. Czy jest tam panna Sylwia?

– Tak, sir, i dzięki panu Paulowi kolory już jej wróciły.

Pash spojrzał podejrzliwie na służącą.

– Kto to jest pan Paul?

– Nikt nie może o niego pytać w tak opryskliwy sposób – odparła Deborah. – To dżentelmen, którego zamierza poślubić.

– Ach, to ten co miał wypadek! Spotkałem go, ale zapomniałem imienia.

Panna Junk energicznie skinęła głową.

– I, dzięki Bogu, nie został rozszarpany na strzępy – stwierdziła. – Bo czy mogłabym pozwolić, żeby mój promyczek słońca poślubił niekompletnego człowieka? Na szczęście nie pozwoliła na to opatrność! – zawołała Deborah w wybuchu wdzięczności. – A teraz siedzi tam na górze, obejmuje moją lilijkę i osusza jej kochane oczy z łez.

Pan Pash wcale nie był zadowolony z tych nowin i potarł gwałtownie nos.

– Gdyby ostatnia wola została spisana właściwie – rzucił agresywnie – to mógłby zostać wyznaczony odpowiedni opiekun, a tej młodej damie nie pozwolono by roztrwonić spadku.

– Raczy pan wybaczyć, panie Pash – odparła obrażonym tonem Deborah – ale to małżeństwo, jak mówią, zostało już zawarte w niebiosach i tam moja piękna została z nim połączona. Pan Beecot nie ma pieniędzy, ale mój aniołek widzi w nim wszystko co najlepsze i czego tylko pragnie. To mojej ślicznotki całe – dodała służąca, grożąc palcem – szczęście, więc nie waż się go zakłócić.

– Nic takiego nie powiedziałem, poza wyrażeniem żalu, że młoda dama o dochodach pięciu tysięcy rocznie chce tak pochopnie zawrzeć małżeństwo – stwierdził sucho pan Pash i wychodząc z piwnicy, wspiął się po schodach.

– To nie jest pochopne małżeństwo! – krzyknęła Deborah, nie przestając cały czas mówić. – Mają za sobą już sześć miesięcy gruchania i gdyby moja królowna chciała sobie kupić męża, to mogła to zrobić, prawda? A teraz idź pan po prostu na górę i odczytaj w sposób właściwy tę ostatnią wolę bez zbytnich komentarzy, aby nie stwarzać kłopotów. Ja jestem łagodna – ciągnęła Deborah goniąc małego prawnika po schodach na piętro – taka łagodna jak zwietrzałe piwo, póki mnie ktoś nie zdenerwuje; ale jeśli to zrobisz, to ja...

Pan Jabez Pash wyłączył swoje prawnicze uszy i wszedł do salonu, gdzie zobaczył zakochanych siedzących na sofie przy oknie.

Paul obejmował Sylwię, jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Beecot miał rękę na temblaku i był blady, ale jego oczy błyszczały jak zawsze i twarz promieniała szczęściem. Sylwia również sprawiała wrażenie szczęśliwej. Wiedza o tym, że jest bogata, że Paul zostanie jej mężem, przepełniały kielich jej pragnień i szczęścia po brzegi. Co więcej, zaczynała już dochodzić do siebie po szoku, jaki wywołała śmierć ojca, i teraz marzyła tylko o tym, żeby uciec z Gwynne Street, z domu, w którym doszło do tej okropnej tragedii.

– No cóż – rzekł pan Pash, biorąc głęboki oddech i wciągając policzki – nie tracisz czasu, młodzieńcze.

Paul zaśmiał się, lecz nie zmienił pozycji. Sylwia zarumieniła się i uniosła głowę, ale Paul nadal trzymał ją zdrową ręką, jakby chciał przeciwstawić się panu Pashowi i całemu światu.

– Zbieram pączki róż, tyle ile tylko mogę, panie Pash – wyjaśnił, niedokładnie cytując miłosny wiersz Herricka*.

– No i zebrał pan bardzo ładny – uśmiechnął się prawnik – ale, czy mogę prosić o pani uwagę, pączku róży?

Sylwia uwolniła się od ręki ukochanego i mocno zarumieniona poważnie skinęła głową. Widząc, że zaczyna się sprawa formalna, zeszła z nieba na ziemię, ale w skrytości ducha miała nadzieję, że ten tępy, mały prawnik, będący kawalerem i który nigdy w swym życiu nie był zakochany, szybko załatwi sprawę i zniknie, zostawiając ją samą z jej księciem z bajki. Deborah odgadywała jej myśli instynktem wiernej przyjaciółki i natychmiast zwróciła jej uwagę.

– To tylko testament, kwiatuszku – szepnęła dość głośno – ale jeżeli rozboli cię głowa, wysłucha go za ciebie pan Beecot.

– Chcę, żeby pan Beecot wszystko słyszał – stwierdził sucho Pash – jeśli ma poślubić moją młodą i szanowną klientkę.

– Jesteśmy zaręczeni za zgodą mego biednego ojca – rzekła Sylwia, chwytając rękę Paula. – Nie poślubię nikogo innego, tylko Paula.

– A Paul poślubi anioła – wtrącił młody mężczyzna z czułym uściskiem – nawet gdyby miał go utrzymywać o chlebie z masłem.

– Och, myślę, że będziecie mieli mnóstwo chleba i masła – zauważył prawnik. – Panno Norman, znaleźliśmy „wolę”, o ile to – dodał pogardliwie pan Pash, wyciągając dokument – można nazwać „wolą”.

– Jest zupełnie w porządku, prawda? – zapytała Sylwia z niepokojem.

– Mam na myśli formę, pismo i papier, młoda damo. W świetle prawa jest to poprawnie napisana ostatnia wola. Jest też należycie podpisana i poświadczona.

– Ja i Bart podpisaliśmy ją własnymi nazwiskami, kochanie – wtrąciła Deborah. Pash zmarszczył brwi, dając znak, żeby zamilkła.

– Ten testament – rzekł, wpatrując się w dokument – składa się z kilku linijek i testator pozostawia cały swój majątek „mojej córce”.

– Twojej córce! – krzyknęła Deborah. – Przecież pan nie jest żonaty!

– Ja czytam to, co tu jest napisane – warknął Pash, rumieniąc się i kontynuując czytanie dokumentu: – „Zostawiam całą rzeczywistą i osobistą własność, jaką będę posiadać w dniu śmierci, mojej córce”.

– Sylwii Norman! – wykrzyknęła Deborah, ściskając swoją najdroższą.

– I tu się pani myli – skorygował Pash, pokazując tak zwaną „ostatnią wolę” – imię „Sylwia” nie zostało wymienione.

– Czy to coś zmienia? – zapytał spokojnie Paul.

– Nie. Panna Norman jest jedyną córką, jak mniemam.

– No i jedynym jego dzieckiem – dodała Deborah – zatem wszystko w porządku. No to, moja śliczna, masz już te klejnoty i pięć tysięcy rocznie.

– Och, Paul, to mnóstwo pieniędzy! – Sylwia krzyknęła przestraszona. – Co my z tym wszystkim zrobimy?

– No cóż, pobierzemy się i oczywiście będziemy szczęśliwi – rzekł Paul, nie tak bardzo rozradowany pieniędzmi jak tym, że ta cudowna dziewczyna zostanie jego żoną – będzie cała jego!

– Jest jeden problem – ciągnął pan Pash po zastanowieniu się. I ponownie wyciągnął testament z kieszeni – i tym problemem jest imię.

– Jakie imię? – zapytała Sylwia, a Deborah powtórzyła za nią jak echo.

– Pani imię – Pash zwrócił się bezpośrednio do Sylwii. – Prawdziwe nazwisko pani ojca brzmi Krill – Lemuel Krill.

Sylwia była zaskoczona. Deborah wydała swój specyficzny okrzyk: „Boże!”.

Jednak zachowanie Paula nie uległo zmianie. Zakładał, że to wszystko jest częścią tajemnicy morderstwa i broszki z opalu. Niewątpliwie pan Lemuel Krill, alias Aaron Norman, miał jakiś powód, żeby się czegoś bać i jakikolwiek by on był, stał się przyczyną jego tajemniczej, tragicznej śmierci. Ale Paul milczał i nie zdradzał swych myśli.

Przez kilka minut panowało milczenie.

– Boże... – powtórzyła Deborah – a ja nic o tym nie wiedziałam. – Czy on podał w testamencie to nazwisko? – Wskazała ostatnią wolę.

– Tak! Podpisał go „Lemuel Krill” – odparł Pash. – Dziwię się, że pani tego nie zauważyła od samego początku.

– Dlatego, panie Pash, że nie było na to czasu – wyjaśniła Deborah, jak zwykle podparta pod boki. – Mój gospodarz szybko spisał testament, krótko przed śmiercią.

Pan Pash skinął głową.

– Tak, widzę datę – rzekł. – Wszystko się zgadza... całkowicie.

– Mój pan – kontynuowała Deborah, patrząc na Paula – nigdy całkowicie nie doszedł do siebie po tym omdleniu, gdy pokazałeś mu broszkę z opalu. I spisując tę ostatnią wolę, kazał mnie i Bartowi podpisać ją naszymi nazwiskami jako świadkom. Ale wtedy przysłonił swoje nazwisko kawałkiem czerwonej bibuły. Ani na moment nie przyszło mi do głowy, że nie podpisuje się Aaron Norman, czyli tym nazwiskiem, które znamy.

– To nie było jego prawdziwe nazwisko – oświadczył Pash. – Podałem wam jego prawdziwe nazwisko i znałem je od wielu lat.

– Wie pan, dlaczego zmienił nazwisko? – zapytał spokojnie Beecot.

– Nie, proszę pana, nie wiem. Ale nawet gdybym wiedział, nie jestem pewien, czy ujawnienie tego komuś nieznanemu byłoby zgodne z prawem.

– On nie jest kimś nieznanym! – krzyknęła zirytowana Sylwia.

– Niech będzie, no to młodemu dżentelmenowi, którego widziałem tylko dwa razy w życiu. Dlaczego pan o to pyta, panie Beecot?

– Zastanawiałem się, czy zmiana nazwiska miała coś wspólnego z morderstwem – rzekł Paul z wahaniem.

– W jaki sposób? – rzucił Pash ze złością. – Przecież ten człowiek nie spodziewał się, że zostanie zamordowany?

– Panie Pash, może pan już zacząć przeproszać, bo nie jesteś w temacie – stwierdziła Deborah. – Mój pan spodziewał się, że rozwalą mu głowę, czy wyprują flaki, albo poderzną gardło...

– Deborah! – szybko wtrącił Paul. – Denerwujesz Sylwię!

– Nie przejmuj się, moja kochana – usprawiedliwiała się służąca – to tylko takie głupoty starej Debby. Ale mój pan, jaki on tam był, moja piękna, chodził do kościoła i modlił się przeciwko ludziom, których nigdy nie nazwał, i nigdy nie oglądał się przez lewe ramię, sypiając w zaryglowanej piwnicy i zawsze z jednym okiem ponuro wbitym w ziemię. Sąd Old Bailey, sądy policyjne, oto co mu ciągle krążyło po głowie, obojętnie co by powiedzieć.

– Nic nie mówię – szybko odparł Pash, chwycił kapelusz i obrócił się ku drzwiom. Ale nie wychodził, tylko mówił dalej: – Pan Lemuel Krill nie raczył mnie aż do tego stopnia uhonorować swoim zaufaniem. Zjawił się tu ponad dwadzieścia lat temu i rozpoczął działalność biznesową. Byłem wtedy oczywiście dużo młodszy i powierzył mi swoje interesy, ponieważ podałem umiarkowane warunki. Wiem o nim wszystko jako o Aaronie Normanie – dowodził z naciskiem Pash – ale o Lemuelu Krillu nie wiem nic, z wyjątkiem imienia i nazwiska. Ani też nie chcę wiedzieć. Niech młodzi ludzie – zakończył prawnik z naciskiem – nie wywołują wilka z lasu i nie rozdrapują starych ran.

– Co ma pan przez to na myśli? – Sylwia zapytała zaskoczona.

– Nic... on niczego nie ma na myśli – pospiesznie wtrącił Paul, uznając, że dziewczyna przeszła już wystarczający wstrząs. – Ale co z tą zmianą nazwiska?

– Ach tak! – I prawnik sformułował pytanie: – Chodzi o to, czy panna Sylwia nazywa się Krill, czy Norman?

– Jej nazwisko w mgnieniu oka zmieni się na Beecot! – krzyknęła Deborah. – I teraz to już nie ma znaczenia i nie powinno mieć w ogóle żadnego znaczenia. Zostaw więc tego Krilla i stary sąd Old Bailey, jeśli Old Bailey jest tym zainteresowany, mój skarbie, i zostaw w spokoju pannę Norman, aż uderzą dzwony i zmienią moją ukochaną narzeczoną, którą dotąd była, w pannę młodą. – I Deborah energicznie pokiwała głową.

– Szkoda, że ojciec nie wymienił mego imienia w testamencie – rzekła cicho Sylwia – a poza tym powinnam wiedzieć, jak się naprawdę nazywam.

– Osobiście niewiele wiem na temat prawnego aspektu tego testamentu – Paul zwrócił się do prawnika.

– To testament sporządzony przez dyletanta – wtrącił gładko Pash.

– Chciałbym jednak wiedzieć, czy będzie jakiś problem z udowodnieniem jego legalności?

– Nie sądzę. Jeszcze nie przejrzałem wszystkich sejfów w piwnicy i mogę w nich znaleźć akt małżeństwa matki i ojca panny Krill... Och, przepraszam, panny Norman. A także świadectwo urodzenia. Musimy udowodnić, że panna Sylwia jest córką mego zmarłego szanownego klienta.

– Co to znaczy?! – krzyknęła Deborah. – O co tu chodzi, ja wiedziałam, że jej matka umarła. Jest wystarczająco prawowitą córką i...

– Nie ma potrzeby krzyczeć – przerwał jej gniewnie Pash. – Wiem o tym tak samo dobrze jak ty; muszę jednak postępować, jak dyktuje mi rozum. Muszę udowodnić to, co zawiera testament i potwierdzić, że wszystko jest tam w porządku. – Jednak bojąc się ingerencji wygadanej Deborah, zaraz dodał: – Do widzenia! – I opuścił pokój.

Jednak nie udało mu się tak łatwo umknąć Deborah, która ciskając zjadliwe uwagi na temat prawniczych zwyczajów, skoczyła za nim i zbiegła aż na parter do drzwi wyjściowych.

Paul i Sylwia zostali sami, patrzyli na siebie, uśmiechali się i padali sobie w ramiona. Odczytano testament, pieniądze przypadły Sylwii, co dawało dobrą perspektywę na przyszłość – zatem uznali, że nie należało wizycie Pasha poświęcać więcej uwagi.

– Zrobił wszystko, co wypada zrobić – stwierdził Paul. – Nie widzę więc powodu, żeby wtrącać się w to, co należy do obowiązków innych!

– Jestem naprawdę bogatą kobietą, Paul – oświadczyła Sylwia z zadowoleniem.

– Tak realnie i prawdziwie, jak ja jestem biedakiem. Myślę, że być może – mówił ze smutkiem Beecot – mogłaś wybrać dla siebie bardziej pasującego...

Sylwia przesunęła ładną dłonią po jego wąsach.

– Nie chcę tego słuchać, Paul! – zawołała gwałtownie, tupiąc nóżką. – Jak śmiesz tak mówić? Jesteś teraz wszystkim, co kocham na tym świecie po stracie biednego ojca... który... który już nie żyje! – I zaczęła płakać. – Nie kochałam go tak, jak powinnam, Paul.

– Bo on... on nie pozwolił ci się za bardzo kochać.

– N... n... nie – Sylwia mówiła, osuszając oczy chusteczką Paula. – Sama już nie wiem dlaczego. Czasem był miły, a czasem nie. Nigdy go nie rozumiałam i wiesz przecież, Paul, że nie potraktowaliśmy go do końca uczciwie.

– Masz rację – Paul zgodził się szczerze. – Jednak on nam wybaczył.

– O tak, wybaczył nam biedak! Był bardzo miły, mówiąc, że możemy się pobrać i ofiarował nam pieniądze. Widziałeś się z nim?

– Tak. Przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu. Nie powiedział ci, gdy wrócił do domu, Sylwio?

– Potem już go nie widziałam – szlochała dziewczyna. – Nie wszedł na górę, tylko wyszedł z domu, a ja położyłam się spać. Tej nocy zostawił też drzwi prowadzące na schody niezamknięte na klucz, czego zwykle przedtem nigdy nie robił. Potem zamknął na klucz drzwi wejściowe do księgarni. Deborah nie znalazła klucza w jego ubraniu, ale gdy zeszła do piwnicy, wisiał na gwoździu. Tej nocy, Paul, ojciec robił wszystko inaczej niż zwykle.

– Wydawał się mieć jakiś problem psychiczny – stwierdził łagodnie Paul – i uważam, że ma to związek z broszką. Rozmawiając ze mną w szpitalu, oświadczył, że pozwala ci wyjść za mnie za mąż, i że wyznaczy nam dochód finansowy, o ile dam mu broszkę z węzem, żeby mógł ją zabrać do Ameryki.

– Dlaczego tak zależało mu na tej broszce? – zapytała zaciekawiona Sylwia.

– Ach! – odparł Paul z naciskiem. – Gdybyśmy mogli to wiedzieć, wiedzielibyśmy też, kto go zabił i dlaczego.

Sylwia na słowa przypominające jej tak świeżą w jej pamięci tragedię znowu zapłakała, lecz płacz nie wskrzesi zmarłego, więc Paul, szczerze zmartwiony

widokiem jej łez, otarł je już po raz setny w ciągu ostatnich dni i usiadł na sofie obok ukochanej. „Tak – pomyślał – budujemy tu zamki na lodzie”.

– Coś ci powiem, Sylwio – rzekł po chwili zastanowienia. – Kiedy już wszystko zostanie ustalone i minie kilka tygodni, wtedy się pobierzemy.

– Och, Paul, zrobimy to dopiero po upływie roku! Pomyśl o uczczeniu pamięci mego biednego ojca.

– Myślę o tym i powtarzam tylko to, co twój ojciec mi powiedział. Dziwne są okoliczności tej sprawy i fakt, że zostawił cię z całym majątkiem bez opiekuna. Ty wiesz, że ja kocham cię taką, jaka jesteś i mogę cię wziąć za żonę bez pensa przy duszy, ale jeżeli się wkrótce nie pobierzemy, a ja nie nabędę praw twojego męża, możesz być nagabywana przez mężczyzn chętnych poślubienia cię dla pieniędzy. – W tym momencie Paulowi przyszedł na myśl Grexon Hay.

– Ależ ja nie będę na nich zwracała najmniejszej uwagi! – wykrzyknęła Sylwia, rumieniąc się. – A Debby ich wyrzuci. Ja tylko cię kocham, najdroższy.

– Zatem poślubisz mnie za miesiąc – odrzekł natychmiast Paul. – Nie możesz zostawać w tym ponurym domu i nie będzie ci tu przyjemnie, nawet z twoją wierną Deborah. Nie, kochanie, pobierzemy się, a potem wyjedziemy za granicę, na rok albo dwa, aż zapomnisz o tych wszystkich smutnych wydarzeniach. A ja mam nadzieję, że przez ten czas pojednam się z ojcem i będziemy mogli złożyć wizytę w Wargrove.

Sylwia zamyśliła się. Wiedziała, że jej sytuacja jest naprawdę trudna. Nie знаła nikogo odpowiednio kompetentnego, kto mógłby zostać jej przyzwoitką, a Deborah się do tego nie nadawała. Pan Pash mógłby być jej opiekunem, tylko że nie należał do krewnych. Natomiast Paul jako mąż mógł ją chronić, dbać o majątek, czego Sylwia, jak sądziła, nie mogła zrobić sama. Tego rodzaju myśli sprawiły, że wyraziła zgodę na wcześniejsze małżeństwo.

– Naprawdę nie przypuszczam, żeby ojciec miał coś przeciwko temu.

– Jestem zupełnie pewien, że postępujemy tak, jakby sobie tego życzył – stwierdził zdecydowanie Beecot. – Jestem wdzięczny losowi, że sprawił, iż

poznałem ciebie, Sylwio, i pokochałem, zanim zostałeś bogatą spadkobierczynią. Teraz nikt nie może powiedzieć, że wychodzę za ciebie dla czegoś więcej niż ty sama! Moja podwójna radość polega na tym, że poślubiając cię, ratuję od tego, co mogłoby się wydarzyć, gdybyś nie była ze mną zaręczona.

– Wiem, Paul. Jestem taka młoda i niedoświadczona.

– Jesteś aniołem – rzekł, obejmując ją. – Jednak musimy jeszcze coś zrobić... a mianowicie polecić Pashowi, aby ogłosił nagrodę za ujawnienie mordercy twego ojca.

– Ale pan Pash powiedział, że nie należy wywoływać wilka z lasu – sprzeciwiła się Sylwia.

– Wiem, jednak wobec zupełnie naturalnego współczucia, a także dla tej miłości, jaką cię darzył ojciec, musimy wywołać tego wilka. Proponuję nagrodę w wysokości pięciuset funtów.

– Dla kogo? – zapytała Sylwia, wyrażając tym samym zgodę.

– Dla każdego, kto wskaże mordercę. Myślę, że nagrodę zdobędzie Hurd. Niezależnie od jakiegokolwiek nagrody i tak działa w imieniu skarbu państwa, a ponadto lubi odkrywać tajemnice. Zostaw to mnie, Sylwio. Zatem wyznaczmy nagrodę za wykrycie mordercy...

– Aarona Normana – szybko wtrąciła Sylwia.

– Nie – rzekł poważnie Paul. – Lemuela Krilla.

* Robert Herrick – angielski duchowny i poeta (1591–1674). Najbardziej jest pamiętany z wiersza pod tytułem: *Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły*.

Rwijcie róż pąki, póki młode,

Czas pierzcha w bystrym pędzie:

Kwiat, co dziś stroi się w urodę,

Jutro umierać będzie.

(Przekład: Stanisław Barańczak).

ROZDZIAŁ X

GROM Z JASNEGO NIEBA

Powód, dla którego Paul zamierzał rozreklamować nazwisko Lemuel Krill, był zupełnie oczywisty. Przekonany był, że w przeszłości ojca Sylwii można będzie znaleźć przyczynę zmiany nazwiska i zamieszkania na Gwynne Street. I właśnie w przeszłości, kiedy jeszcze nie sprzedawał używanych książek i nie prowadził lombardu, można będzie trafić na motyw zbrodni. Dlatego wyznaczono nagrodę za wykrycie mordercy Lemuela Krilla, o pseudonimie Aaron Norman, licząc, że to ujawni coś z jego poprzedniego życia. A gdyby to coś wyszło na jaw, zdobyto by nowy ślad, a wtedy już szybko dałoby się dojść do prawdy. Taki tok rozumowania przedstawił Paul Hurdowi.

– Myślę, że może mieć pan rację, panie Beecot – stwierdził dobrotliwie detektyw, sprawiając przy tym wrażenie bardziej brązowego niż ziarnko kawy. – Przepytałem dwóch służących, sąsiadów i trzech klientów, których udało mi się znaleźć. Aaron Norman żył bardzo spokojnie i przyzwoicie, ale Lemuel Krill mógł pędzić zupełnie inny tryb życia i prosty fakt, że zmienił nazwisko, pokazuje, że miał coś do ukrycia. Jeżeli dowiemy się, jaki był motyw morderstwa, wtedy znajdziemy mordercę.

– Morderca! – powtórzył Paul. – Zatem zakłada pan, że był tylko jeden?

Hurd wzruszył ramionami.

– Kto to wie? – rzekł. – Ja mówię ogólnie. Wnioskując z dziwnych okoliczności popełnienia zbrodni, skłonny jestem zakładać, że uczestniczyła w niej

tylko jedna osoba. Jednak najlepiej będzie, jeżeli wydrukujemy ulotki informujące o wyznaczeniu nagrody w wysokości pięciuset funtów. To tyle pieniędzy, że niejeden zrobi dużo, żeby je dostać, i może ktoś się zjawi z takimi szczegółami o panu Krillu, że poprowadzą nas do rozwiązania tajemnicy śmierci Normana.

– Spodziewam się, że to ty, Hurd, zdobędziesz tę nagrodę.

Detektyw skinął głową.

– Ja też się tego spodziewam. Niedawno poślubiłem najśłodszą żoneczkę na świecie i chcę jej zagwarantować poziom życia, do jakiego przywykła. Poślubiłem ją, chociaż jestem tylko zwykłym, nieznanym łowcą złodziei, a nie jakimś popularnym czy wręcz słynnym detektywem.

– Ale rozwiązanie tej tajemnicy przyniesie ci wiele dobrego i staniesz się ogólnie znany.

– Tak, z pewnością – zgodził się szczerze Billy – i jeśli poza samą nagrodą uzyskam awans, a przez to dodatkowe pieniądze, to chętnie z tego skorzystam. Może być pan pewien, panie Beecot, że zrobię wszystko co w mojej mocy. A przy okazji... – dodał – słyszał pan, że do pana Pasha przychodzą ludzie po odbiór zdeponowanych w lombardzie klejnotów? Że chcą je odkupić?

– Nie. Kto działa w ich imieniu? Może ten marynarz?

Hurd potrząsnął przecząco głową.

– Nie, nie jest taki głupi – rzekł. – Nie! Przychodzą ci, którzy zastawili w lombardzie klejnoty i chcą je teraz odzyskać... to znaczy odkupić. Pash prowadzi swój biznes bardzo fachowo i będzie przechowywał klejnoty przez wyznaczony prawem czas, żeby wszyscy, którzy zechcą je mieć z powrotem, mogli to zrobić. Może je więc sprzedać, a to oznacza więcej gotówki dla panny Norman... Przy okazji, zakładam, że pozostanie przy nazwisku Norman?

– Dopóki nie zrobię z niej pani Beecot – rzekł Paul z uśmiechem.

– No – powiedział bardzo serdecznie Hurd – ufam, że oboje będziecie bardzo szczęśliwi. Myślę, że panna Norman zyska dobrego męża, a pan najśłodszą żonę na świecie.

– Każdy uważa swoją żonę za najśłodsza na świecie – zaśmiał się Beecot. – No, a teraz gdy sprawa została już ustalona i wie pan, co robić, proszę mi powiedzieć, dlaczego ostrzegał mnie przed Grexonem Hayem.

– Hm... – detektyw spojrzał prosto w oczy Paula – a co pan o nim wie, sir?

Beecot opisał swą wczesną przyjaźń z Hayem w szkole Torrington, a następnie opowiedział o spotkaniu na Oxford Street.

– Na pierwszy rzut oka – dodał szczerze Paul – nie zauważyłem w nim nic takiego, co podsunęłoby mi myśl, że to zły człowiek.

– To zupełnie oczywiste. Ma pan o nim dobrze myśleć, bowiem nie wie o nim nic złego, panie Beecot. A mimo to Grexon Hay to „mężczyzna na rynku”.

– Użył pan już tego określenia wcześniej, co to znaczy?

– Proszę zapytać Haya. On najlepiej to wyjaśni.

– Tak, zapytałem go i on powiedział, że mężczyzna na rynku to mężczyzna dostępny na rynku małżeńskim.

Hurd zaśmiał się.

– Pomysłowe, ale nieprawdziwe.

– Nieprawdziwe!?

– Oczywiście. Pan Hay wie o tym najlepiej. Gdyby tak nie było, to nawet nie przyszedłoby mu na myśl, że zwykły robotnik będzie kogoś ostrzegał przed nim.

– On się domyślał, że pan nie jest robotnikiem – stwierdził Paul – i dał mi do zrozumienia, że ma *liason* z mężatką, i że to jej mąż polecił panu, by mnie śledził.

– Myli się pan. Moje zainteresowanie panem Hayem nie wynika z postępowania rozwodowego. Ten dżentelmen jest zbyt samolubny, by kochać kobietę, i zbyt ostrożny, żeby wplątywać się w aferę rozwodową, gdzie istnieje poważne ryzyko narażenia się na niebezpieczeństwo. Nie! On jest po prostu „na rynku”, a co to właściwie znaczy, tego nikt nie wie lepiej od niego.

– No cóż, wobec tego jestem ignorantem.

– W takim razie należy pana oświecić, sir, i mam nadzieję, że to co panu powiem, przyczyni się do zerwania znajomości z tym typem, szczególnie teraz, gdy

będzie pan bogaty za pośrednictwem swej przyszłej żony.

– Pieniądze panny Norman należą tylko do niej – sprostował Paul, rumieniąc się. – Nie mam zamiaru żyć za to, co ona odziedziczy.

– Oczywiście, że nie, ponieważ jest pan człowiekiem honoru. Ale mogę się założyć o wszystko, że pan Hay nie miałby takich skrupułów i gdy tylko się dowie, że masz bogatą żonę, spróbuje za twoim pośrednictwem wyciągnąć od niej pieniądze.

– I wtedy się rozczaruje – odparł spokojnie Beecot. – Być może nie jestem wtajemniczony w wasze londyńskie układy, ale nie jestem też głupi i proszę mnie oświecić, tak jak pan mówił.

Hurd skinął głową i ujął kciukiem i palcem wskazującym brodę.

– „Mężczyzna na rynku” – wyjaśnił wolno – to „społeczny bandyta”.

– Ciągle nie rozumiem, Hurd.

– Dobrze, powiem więc jaśniej – Hay to jeden z tych eleganckich szubrawców, którzy zawsze żyją na czyjś koszt. On nie ma pieniędzy i...

– Proszę mi wybaczyć, ale mówił, że wuj zostawił mu tysiąc rocznie.

– Ba, mógł nawet podwoić tę kwotę, ale to tylko zwiększyłoby kłamstwo. Nie ma ani pensa. Teraz, gdy jest spłukany, praktykuje na innych to, co kiedyś praktykował na sobie. Hay to dobrze wychowany, atrakcyjny i elegancki, pozornie budzący zaufanie młody człowiek. Ma pięknie umeblowane mieszkanie i trzyma lokaja. Obraca się w podejrzanym towarzystwie, jako że ludzie uczciwi, którzy go znali, już dawno z nim zerwali, nie chcąc mieć z nim nic wspólnego. Jest też szulerem i sponsorem oszustów. Pożycza pieniądze od każdego, kto jest na tyle naiwny, żeby mu pożyczać. Bywa na Piccadilly, Bond Street i Burlington Arcade, gdzie zawsze prezentuje się elegancko, choć jest nijaki, a jednak w pewien sposób fascynujący. Jeżeli upatrzy sobie jakąś ofiarę, zawsze stara się z nią zaznajomić na wszystkie możliwe sposoby, a potem zaczyna ją osaczać. Jednym słowem, panie Beecot, można powiedzieć, iż pan Hay to jak Kapitan Jastrząb, a ci, których oszukuje, są jak gołębie.

Paul był bardzo zaskoczony tymi wiadomościami i boleśnie odczuł to, co usłyszał o starym, szkolnym kumplu.

– Nie sprawia takiego wrażenia – powtórzył.

– Oczywiście, wcale mu na tym nie zależy – przyznał detektyw. – Doskonale się maskuje. Obecnie jest jednym z najniebezpieczniejszych ludzi na miejskim rynku. Jego rówieśnik, którego oskubał przed dwoma laty, stracił wszystko i popadł w kłopoty z jakąś kobietą. Hay był zamieszany w tę ohydłą sprawę. Krewni ofiary – nie chcę podawać ich nazwiska – zwrócili się do mnie, żebym się tym zajął. Wysłałem więc tego młodego szlachcica daleko i teraz podróżuje, aby otrząsnąć się z doznanego szoku. Hay wiedział, że go obserwujemy. Kilka razy ostrzegałem pana przed nim. Prędzej czy później pośliznie się i wpadnie, a wtedy będzie miał do czynienia ze mną. Och, ja wiem, jak on poluje na klientów w modnych hotelach, eleganckich restauracjach, w teatrach i tym podobnych miejscach. Jest sprytny, zdążył już ostrzyc wiele owieczek i złapać wiele gołębi, z których jednego udało mi się uratować, ale jak dotąd jest na tyle przebiegły, że nie udało mi się go na coś przyłapać. Kiedy zobaczyłem pana razem z nim, panie Beecot, pomyślałem, że muszę pana przed nim ostrzec.

– Obawiam się, że nie miałby ze mnie wiele pożytku – stwierdził Paul – jestem za biedny.

– Ale teraz będzie pan bogaty za pośrednictwem przyszłej żony i Hay dowie się o tym.

– Powtarzam, pieniądze panny Norman nie mają nic wspólnego ze mną i będę to podkreślał tak długo, jak długo sprawa będzie w pańskich rękach, panie Hurd...

– Tak jak teraz – wtrącił detektyw.

– Zamierzam poślubić pannę Norman, a potem udamy się na jakiś czas w podróż.

– Bardzo mądra decyzja. Ominie pan Haya szerokim łukiem. Jeśli jednak spotka go pan, proszę nie wspominać, że rozmawiał ze mną na jego temat. Lecz

gdy zechce na pana zarzucić sieci niczym Kapitan Jastrząb, musi pan mieć się na baczności.

– Będę pamiętał i dziękuję za ostrzeżenie.

I po tych słowach rozstali się. Hurd udał się drukować ulotki, a Paul wrócił na Gwynne Street, żeby razem z Sylwią przygotować się do zbliżającego się ślubu. Deborah była w siódmym niebie, zachwycona, że jej ukochana panienka wkrótce zawinie do bezpiecznej przystani i będzie się cieszyć opieką szanowanego mężczyzny. Wiedząc, że sama wkrótce nie będzie się już musiała nią opiekować, powiedziała Bartowi Tawseyowi, że ich małżeństwo odbędzie się w tym samym czasie co młodej pary, i że pralnia rozpocznie działalność, kiedy tylko państwo Beecot wyjadą na kontynent.

Bart oczywiście wyraził zgodę, on zawsze zgadzał się z Deborah – i wszystko zostało pięknie zaaranżowane.

Tymczasem Pash ciągle zajmował się testamentem, opłatami za pogrzeb i pochówek, a także ulokowaniem Sylwii jako pełnoprawnej właścicielki masy spadkowej. W jednym z sejfów znaleziono jej świadectwo urodzenia, a także świadectwo ślubu Aarona Normana na nazwisko Lemuel Krill. Pash wyraźnie miał wątpliwości, czy to małżeństwo było zawarte legalnie, bowiem na akcie widniało nazwisko „Norman”, które w istocie było pseudonimem. Poślubił Lilian Garner, którą nazwano „starszą panią”, ale kim była w rzeczywistości, skąd pochodziła i jaką zajmowała pozycję społeczną, tego nie wiedziano. Krill zawarł małżeństwo w cichym, niewielkim kościele miejskim i Pash przyjął, że wszystko jest w porządku. Pani Krill – albo Norman, za jaką ją miano – po ślubie mieszkała z mężem tylko rok, może nieco dłużej, potem zmarła, zostawiając Sylwię pod opieką męża. Kolejno zajmowało się nią kilka piastunek, do czasu gdy Deborah osiągnęła odpowiedni wiek, aby zająć się młodą panienką. Wtedy Norman odprawił wszystkie pozostałe i Deborah została jedyną służącą Sylwii i Aarona, aż do jego tragicznej śmierci. Rzeczywiście, wszystko sprawiało wrażenie prawnie unormowanej sytuacji i nic już nie stało na przeszkodzie, żeby Sylwia weszła w posiadanie dziedzicznego majątku.

Pash był w to zaangażowany przez kilka tygodni i w tym czasie wszystko toczyło się gładko. Paul zamierzał składać codzienne wizyty Sylwii w domu przy Gwynne Street do czasu, gdy stanie się jego żoną. Deborah, która szukała miejsca do wynajęcia na swoją pralnię, otrzymała propozycję, jaka ją zadowoliła ze względu na umiarkowaną cenę. Tymczasem Sylwia grzała się w promieniach słońca miłości przyszłego męża, a Hurd ciągle bez powodzenia polował na mordercę pana Normana. Ulotki z jego wizerunkiem, prawdziwym nazwiskiem i opisem okoliczności śmierci, zostały rozesłane po całym kraju od Land's End po John-O'Groats – jednak jak dotychczas nikt się nie zgłosił po nagrodę. Nazwisko Krill było dość rzadkie i zmarły najwyraźniej nie miał krewnych, dlatego, że nikt nie interesował się ulotkami poza tymi, którzy okazaliby zawiść komuś, komu przypadłaby nagroda za wskazanie mordercy.

Pewnego dnia Deborah, przeszukując piwnicę, znalazła kawałek papieru, który wpadł za jeden z sejfów. Nie ruszono ich z miejsca całymi latami i papier musiał tkwić tam od dłuższego czasu. Deborah, zawsze mająca nadzieję, że coś może ujawnić przeszłość Sylwii albo dać wskazówkę, kim jest morderca, przyniosła ten papier swojej panience. Okazało się, że było na nim kilka linijek tekstu listu bez zakończenia. Ale te kilka linijek okazało się niezwykle interesujących.

Moja droga córko, kiedy umrę, dowiesz się, że poślubiłem twoją matkę pod nazwiskiem Lemuel Krill. I to jest moje prawdziwe nazwisko, lecz z niezbędnych przyczyn chcę, abyś nadal nazywała mnie nazwiskiem Norman. Jeżeli nazwisko Krill przedostanie się do gazet, wywoła ogromne kłopoty. Ukryj to, proszę, i nie ujawniaj. Powiem ci, gdzie znaleźć przyczynę, dla której piszę...

Ten list kończył się nagle i był bez podpisu. Normanowi najwyraźniej przerwano pisanie, położył pewnie papier na wierzchu sejfu, skąd zsunął się tam, gdzie teraz znalazła go Deborah, ukazując się wszystkim – chociaż zbyt późno, by móc spełnić zawartą w nim prośbę.

– Och, Paul – rzekła Sylwia z przerażeniem, gdy oboje to czytali – co z ulotkami? Zostały już rozesłane, ujawniając prawdziwe nazwisko mego ojca.

– Tak, to niefortunne – przyznał Paul, marszcząc brwi. – Mimo wszystko twój ojciec zapewne niepotrzebnie się martwił. W ciągu dwóch tygodni ulotki zniknęły i wydaje się, że nikt nie zainteresował się tą sprawą.

– Myślę, że jednak powinniśmy to sprawdzić i się tym zająć – stwierdziła Sylwia z niepokojem.

– To nie takie łatwe. Ulotki zostały szeroko rozproszone i ich zgromadzenie jest już prawie niemożliwe. No i, poza tym, w tym temacie machina już poszła w ruch. Przez ten czas wszyscy zdążyli się już dowiedzieć, że Aaron Norman jest Lemuelem Krillem, zatem te kłopoty – o ile rzeczywiście nam grożą – bez względu na to co zrobimy i tak nadejdą.

– Co to może być? – zapytała z obawą.

Paul potrząsnął głową.

– Bóg raczy wiedzieć – odparł z ciężkim sercem. – Z pewnością w poprzednim życiu twego ojca jest coś, o czym nie chciałem, żeby wiadano, a co w konsekwencji doprowadziło do jego śmierci. Ale od chwili gdy padł cios i pan Aaron odszedł od nas, nie wiem, jaki to może mieć wpływ na ciebie, kochanie. Zwrócę na to uwagę Pasha i zobaczę, co powie. Spodziewam się, że on więcej wie o przeszłości twojego ojca, niż ma ochotę nam wyjawiać.

– Ale jeżeli pojawią się te kłopoty, Paul...

– To zostawisz je mnie – przerwał, całując ją. – Najdroższa... dlaczego tak zbladłaś... cokolwiek się wydarzy, zawsze jestem przy tobie. Razem z Deborah. Ona jest tak wierna jak pułk żołnierzy.

Sylwia poczuła się pocieszona, a Paul schował znaleziony fragment listu do kieszeni i poszedł zobaczyć się z Pashem w jego biurze przy Chancery Lane.

W poczekalni zatrzymał go zuchwały łobuziak z beczelną twarzą i o takim samym zachowaniu.

– Pan Pash jest zajęty – rzekł ów chłopak – i musi pan poczekać, panie Beecot.

Paul spojrział na tego typka o kręconych włosach, zachowującego się niczym kłująca igła.

– Skąd znasz moje nazwisko? – spytał. – Nigdy przedtem nie spotkaliśmy się.

– Tak, jestem tu nowy – rzekł urwis – pragnę zasłużyć na szacunek i przestać być ulicznikiem, który nawet nie wie, kim jest. Nazywam się Tray i to ja, razem z tym niegrzecznym dżentelmenem, który dał mi za to pensa, pomagałem wyciągnąć pana spod kół auta.

– Och, a więc to ty pomagałeś – rzekł Paul z uśmiechem. – No to masz tu szylinga. Jestem ci bardzo zobowiązany, panie Tray. Ale z tego, co mówiła Deborah Junk, byłeś ulicznikiem. Jak to się stało, że trafiłeś tutaj?

– Już o tym mówiłem. – Tray perorował z miną ważniaka. – Gazety są do niczego i w deszczową pogodę wszystko cię boli. No więc postanowiłem się zmienić w dobrego chłopaka – wyszczerzył złośliwie zęby – i teraz chodzę do szkoły dla obdartusów, żeby zostać świętym. Kierownik mówił, że jestem obiecującym przypadkiem i poprosił pana Pasha, żeby mi pomógł co niedzielę. Bierze sobie wtedy do biura chłopców i ja zostałem jednym z nich. – Tray podrzucił szylinga, złapał, splunął na niego na szczęście i wrzucił do kieszeni całkiem porządnych spodni. – Zamierzam zostać Lordem Burmistrzem i być kimś takim jak Wittington.

– No – rzekł rozbawiony Beecot – mam nadzieję, że udowodnisz, co jesteś wart.

Tray mrugnął.

– Hola! Jestem taki jak zawsze, biorę zapłatę za to, co robię i nic więcej – znowu mrugnął, sprawiając wrażenie łobuziaka, czyli tego, kim zawsze był.

Paul jednak miał wątpliwości co do aktu miłosierdzia pana Pasha i rozbawiony zamierzał kontynuować tę zabawną rozmowę, gdy otworzyły się drzwi i ukazał się w nich adwokat, sprawiający wrażenie wzburzonego. Gdy ujrzał Paula, szybko cofnął się do pokoju.

– Właśnie chciałem posłać Traya po pana – rzekł wyraźnie zdenerwowany. – W związku z Krillem wyszło na jaw coś nieprzyjemnego.

Beecot wstał i wyjął z kieszeni skrawek papieru.

– Spójrz pan na to – rzekł – a zobaczysz, że ojciec próbował ostrzec Sylwię.

Pash szybko przebiegł wzrokiem tekst niedokończonego listu.

– Wielce niefortunne – rzekł, składając go i wydymając policzki – ale jest już za późno. Nazwisko Krill figurowało na ulotkach – także i jego wizerunek... i teraz...

– Co, teraz? – zapytał Paul, widząc, że prawnik się waha.

– Proszę wejść, sam pan zobaczy – rzekł Pash, wprowadzając Paula do swego biura.

Siedziały tam dwie kobiety. Starsza, w wieku ponad pięćdziesięciu lat, wyglądająca na zdecydowanie mniej, miała świeżą cerę i była dość pulchna. Miała pełne usta, na jej twarzy malował się wyraz pewności siebie, w niebieskich oczach widniało zdecydowanie. Jej gęste włosy były siwe. Poza wdowim nakryciem głowy ubrana była *à la* Maria Antonina i prezentowała się bardzo ładnie w pełnym rozkwicie późnej kobiecości. Miała silne, raczej duże dłonie, a gdy zdjęła czarne rękawiczki, Paul ujrzał na palcach mnóstwo tanich pierścionków. W sumie była to sprawiająca przyzwoite wrażenie, dobrze ubrana wdowa – ale zdecydowanie nie dama.

Damą nie była też siedząca obok niej dziewczyna, wykazująca tak duże do niej podobieństwo, że bez wątpliwości dało się stwierdzić, że jest jej córką. Ta sama świeża cera, pełne, czerwone usta i niebieskie oczy o twardym, zdecydowanym wyrazie. Tylko włosy miały barwę złota, a poza tym była bardzo elegancko ubrana. Również w czerni.

– To – rzekł Pash, wskazując starszą kobietę, która teraz uśmiechała się – to jest pani Lemuelowa Krill.

– Żona mężczyzny, który nazywał siebie Aaronem Normanem – uzupełniła wdowa – a to – wskazała siedzącą obok dziewczynę – jest jego spadkobierczyni.

ROZDZIAŁ XI

KUKUŁCZE GNIAZDO

Paul przeniósł wzrok z dobitnie i głośno przemawiającej kobiety o świeżej karnacji na małą postać prawnika, skulonego na swym fotelu, i na jego pomarszczoną twarz sprawiającą teraz wrażenie sfinksa. Przez moment nie mógł mówić, tak był zaskoczony tym zdumiewającym oświadczeniem. Młodsza kobieta wpatrywała się w niego twardymi, stanowczymi, niebieskimi oczami, a na jej pełnych ustach igrały nikły uśmieszek. Matka też obserwowała go z zainteresowaniem i jakimś dziwnym podziwem, tak jakby była zafascynowana jego młodzieńczą urodą, mimo niezbyt eleganckiego ubioru.

– Nie rozumiem, co pani powiedziała – w końcu wykrztusił Beecot. – Panie Pash...?

Prawnik ocknął się i zwięźle zreferował sprawę.

– O ile dobrze zrozumiałem – zaczął nerwowo i ze złością – te panie twierdzą, że są żoną i córką Lemuela Krilla, którego znano pod nazwiskiem Aarona Normana.

– Mnie jednak chodzi o jego prawdziwe nazwisko – oświadczyła starsza kobieta, głębokim, dźwięcznym kontraltem, ukazując godny podziwu kompletny zestaw zębów. – Ulotki ogłaszające nagrodę za wykrycie mordercy miały wydrukowane prawdziwe imię i nazwisko mojego zmarłego męża.

– Norman nie był twoim mężem, pani! – krzyknął oburzony Paul.

– Zgadzam się z panem. Moim mężem był Lemuel Krill. Przeczytałam też w gazetach, które docierają nawet do tak spokojnej i małej wsi jak Hants, gdzie mieszkam, że został zamordowany Aaron Norman. Nigdy nie myślałam, że to ten sam mężczyzna, który porzucił mnie przed dwudziestoma laty, zostawiając z jedynym dzieckiem na wychowaniu. Ale ulotki ofiarowujące nagrodę zapewniały, że Norman i Krill to jedna i ta sama osoba. Dlatego – wstała, wpatrując się przenikliwie w młodego mężczyznę – przyjechałam tu, aby obejrzeć posiadłość. Z gazet dowiedziałam się, że moja córka odziedziczyła miliony.

– Nie miliony – Pash szybko wtrącił. – Gazety przesadziły. Pięć tysięcy rocznie, proszę pani, i zostały one zapisane Sylwii.

– Kim jest Sylwia? – zapytała pani Krill, tak jakby cytowała dialog z Szekspira.

– Jest córką pana Normana – odparł szybko Paul – i jest zaręczona ze mną.

Oczy pani Krill wędrowały od stóp do głowy i z powrotem po nędznym ubraniu Paula. Spojrzała na swoją towarzyszkę. Dziewczyna roześmiała się pogardliwie.

– Obawiam się, że będzie pan rozczarowany, tracąc bogatą żonę, sir – stwierdziła słodko starsza kobieta.

– Jeszcze niczego nie straciłem – odparł ostro Paul. – I nie dbam o pieniądze.

– Oczywiście, że nie – pani Krill wtrąciła ironicznie.

– Mnie tylko zależy na Sylwii Norman...

– Z którą ja nie mam nic wspólnego.

– Jest córką pani męża.

– Ale nie moją. Moją córką jest Maud. Legalna córka Lemuela i moja – dodała znacząco.

– Wielkie Nieba! – wykrzyknął Beecot, z twarzą bladą jak kreda. – Co pani chce przez to powiedzieć?

Pani Krill uniosła gęste, siwe brwi, wzruszyła pulchnymi ramionami i wykonała pełen wdzięku ruch białą ręką.

– Muszę coś wyjaśnić? – zapytała spokojnie.

– Tak, uważam, że jest taka pilna potrzeba! – krzyknął głośno Beecot. – Nie pozwolę, żeby panna Norman straciła spadek, albo...

– Albo pan go straci, proszę pana. To zupełnie zrozumiałe. Niemniej jestem pewna, że mnie i moją córkę będzie chronić prawo tego kraju. Córka zostawia to w moich rękach.

– Tak – potwierdziła dziewczyna głosem równie dźwięcznym, a zarazem miękkiem jak jej matka – zostawiam to w rękach mamy.

Paul usiadł i z jękiem ukrył twarz w dłoniach. Nie myślał i nie przejmował się za bardzo stratą pieniędzy, rozmyślał nad tym, jak odczuje to Sylwia. Wtem błysnęła mu nowa dająca nadzieję myśl.

– Pan Norman był żonaty z matką Sylwii pod swoim własnym nazwiskiem. Nie udowodni pani, że małżeństwo to nie było ważne.

– Ja wcale tego nie chcę robić. A kiedy zawarto to małżeństwo?

Beecot spojrzała na prawnika, który odpowiedział:

– Dwadzieścia dwa lata temu. – I podał dokładną datę.

Pani Krill zaczęła grzebać w czarnej marokańskiej torebce i wyciągnęła wytartą, pomietaną niebieską kopertę.

– Pomyślałam, że to może być potrzebne – powiedziała, podając Pashowi. – To mój akt małżeństwa. Trzydzieści lat temu poślubiłam Lemuela Krilla, a ponieważ ciągle jeszcze żyję, obawiam się, że późniejsze jego małżeństwo... – Tu uśmiechnęła się nijako i znowu wzruszyła ramionami. – Biedna dziewczyna! – rzekła z fałszywym współczuciem.

– Sylwia nie potrzebuje pani litości! – krzyknął Beecot, dotknięty tą insynuacją.

– W rzeczy samej, sir – odparła pani Krill ze smutkiem, wyglądem sprawiając wrażenie podstępnej kocicy – ale obawiam się, że będzie potrzebowała współczucia wszystkich rozsądnie myślących ludzi. Wielu wyrażałoby się o niej niepochwlebnie, gdyby wiedzieli, kim jest, lecz moje kłopoty nauczyły mnie wyrozumiałości i litości. Powtarzam, biedna dziewczyna.

– A ja powtarzam, ona nie potrzebuje pani litości – rzucił z naciskiem Paul, unosząc wysoko głowę – i niech pani nie zapomina o testamencie.

Świeże kolory pani Krill zmieniły się w ciemną biel, a w oczach ukazały się błyski.

– Testament – powtórzyła wolno. – Zakwestionuję go, jeżeli nie okaże się dla mnie korzystny. Jestem wdową po tym człowieku i domagam się pełnej sprawiedliwości. Ponadto – kontynuowała, zwilżając językiem pełne wargi – jak zrozumiałam z tego, co wyczytałam w gazetach, pieniądze zostały zapisane córce pani Krill.

– Zgadza się. Sylwii Krill.

– Norman, sir. Ona nie ma prawa do innego nazwiska. Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego mam się panu tłumaczyć. Jeżeli zdecyduje się pan dać tej dziewczynie swoje nazwisko, to będzie z pańskiej strony dobry uczynek, bo teraz to biedne stworzenie jest nikim.

Ostatnie słowa wypowiedziała wolno, aby Paul w pełni odczuł dżgnięcie tego żądła.

Paul milczał. Nie był w stanie dyskutować o tym, co ta kobieta powiedziała. Jeżeli może udowodnić swoje małżeństwo sprzed trzydziestu laty, to Krill albo Norman, bez względu jakie by nosił nazwisko, popełnił bigamię i w świetle prawa Sylwia była bękartem. A że to małżeństwo może być udowodnione, Paul dobrze wiedział, obserwując zachowanie prawnika studiującego dokument, który wyciągnął z wytartej, pogniecionej, niebieskiej koperty.

– Jednak zgodnie z zapisem w testamencie pieniądze należą się Sylwii – twierdził z uporem. – Będę bronił jej praw.

– Oczywiście – oświadczyła ironicznie pani Krill. – Rozumiem, taka żona z pięcioma tysiącami...

– Poślubię Sylwię, nawet gdyby nie miała centa przy duszy.

– Rzeczywiście, sir, to jedyny sposób, w jaki może ją pan poślubić. Jeżeli pan pozwoli, pošlę jej dwadzieścia funtów na ślubną wyprawkę.

Paul wstał i znowu uniósł wysoko głowę.

– Jeszcze pani nie dostała tych pieniędzy – rzucił buntowniczo.

Pani Krill, zupełnie tym nieporuszona, niezmiennie się uśmiechała.

– Jestem tu, aby je dostać. Zgodnie z testamentem, o którym pan mówił – dodała, zwracając się do Pasha. – Jeśli dobrze zrozumiałam tego dżentelmena – wskazała Beecota – pieniądze zostały zapisane córce pana Krilla. Jak brzmi jej imię – Maud czy Sylwia?

Pash rzucił ze złością na biurko dokument.

– Nie wymienił imienia. Ten dokument jest wadliwie sformułowany i testator po prostu zostawia po swojej śmierci cały swój majątek „mojej córce”.

– Mając oczywiście na myśli obecną tu Maud. Zatem gratuluję ci, kochanie – zwrócił się do dziewczyny, teraz zarumienionej i wyglądającą na szczęśliwą. – Twój ojciec wynagrodził nas za swoje okrucieństwo i porzucenie.

Paul, widząc, że nie ma już nic do powiedzenia, ruszył do drzwi. Opuścił go zdrowy rozsądek i wygłosił jeszcze „pożegnalną mowę”:

– Jestem pewien, że pan Krill pieniądze zostawił w spadku Sylwii.

– O nie! – odparła wdowa. – Zostawił je swojej córce, tak to zostało zapisane w testamencie. I dlatego ta druga dziewczyna nic nie dostanie.

– Pash! – krzyknął Beecot, zwracając się z rozpaczą do małego prawnika.

Ale stary prawnik tylko potrząsnął głową i zassał policzki.

– Przykro mi, panie Beecot – rzekł tonem współczucia – lecz według testamentu pieniądze z pewnością należą się dziecku zrodzonemu w związku małżeńskim. Mam tu akt małżeński – położył na nim małpią łapkę – ale oczywiście muszę jeszcze zadać wiele pytań.

– Naturalnie – zgodziła się uprzejmie pani Krill. – Moja córka i ja od wielu lat mieszkamy w Hants, Christchurch. Prowadzimy tam gospodę – nie jakąś dużą gospodę, ale taki mały zajazd na obrzeżach wsi. Pięć tysięcy rocznie to dla nas ogromna zmiana po wielu latach biedy. Pan, panie Pash, oczywiście będzie w tej sprawie reprezentował mnie i moją córkę.

– Pan Pash działa na rzecz Sylwii! – krzyknął Paul, nadal stojąc przy drzwiach. Prawnik znalazł się w obliczu kłopotliwego dylematu.

– Jeżeli to, co mówi pani Krill, jest prawdą, nie mogę kwestionować faktów – stwierdził ze złością – a przez to nie mogę nie zająć się tą sprawą. Udowodnij mi, pani, że byłaś prawowitą żoną i teraz jesteś wdową po moim zmarłym kliencie i że to jest prawowita córka mego szanownego klienta, a wtedy będę panią reprezentować.

Obfite piersi pani Krill unosiły się i opadały, a jej oczy błyszczały triumfalnie. Rzuciła dumne spojrzenie Beecotowi, ale w tym momencie młody człowiek patrzył na prawnika.

– Szczury uciekają z tonącego statku – rzekł z goryczą. – Nie wróżę ci powodzenia, Pash.

– Każdy, kto chroni wdowę i sierotę, może liczyć na powodzenie – odparł poważnie Pash i Paul zdegustowany wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

W poczekalni zobaczył Traya grającego farthingami* w dziecięcą grę i zajmującego się zabawianiem kolejnego gościa – pana Grexona.

– Ty tutaj, Beecot? – zdziwił się ów dżentelmen chłodno. – Myślałem, że ten łobuziak powiedział ci, że mnie tu wpuścił?

Ów łobuziak, chowając monety, wykrzyknął:

– Hej, to wy się znacie? Nic mi mój pan nie powiedział. On tam jest zajęty tymi dwoma paniami... – mówił, uśmiechając się złośliwie, co Paula rozdrażniło. – Wymęczyły pana, panie Beecot?

– Skąd znasz nazwisko pana Beecota? – zdziwił się Hay spokojnie.

– Boże, sir! Czy to nie pan i ja wyciągnęliśmy tego pana spod kół auta?

– Och! – Grexon nagle doznał olśnienia. – To ty wtedy tam byłeś? Umyłeś twarz, więc cię nie poznałem. No, Beecot, coś mi wyglądasz na zaniepokojonego.

– Mam powód. Odkąd ty i ten chłopak wyciągnęliście mnie spod auta – rzekł Paul, przenosząc wzrok od jednego na drugiego – nie wiem, co wtedy stało się z broszką.

– Ja też nie wiem – Grexon szybko odpowiedział. – Już o tym rozmawialiśmy. Jeśli pamiętasz, wyraziłem na ten temat swoją opinię, że została zabrana z ulicy przez zmarłego Aarona Normana, a potem posłużyła do zapieczętowania jego ust. Tylko w ten sposób mogę wnioskować, jak ją straciłeś.

– Nie widziałeś, że wypada z mojej kieszeni?

– Wtedy wróciłbym tam i zabrał ją – rzekł Hay, poprawiając monokl. – Może chłopak ją widział.

– Widział, co? – zapytał Tray, który śledził ich pilnie, nadstawiając wielkie uszy.

– Starą, niebieską, aksamitną saszetkę z broszką w środku – wyjaśnił cierpko Beecot.

– Gdybym ją zobaczył – rzekł chłopak zuchwale, potrząsając żywo głową – z pewnością chwyciłbym ją, a pan kazałby mi oddać, bo mógłbym przekazać paserowi, który dałby mi za nią dużo forsy. O Boże – mówił Tray, szczerze rozczarowany. – Nigdy nie znalazłem niczego, co wypadłoby z pana kieszeni. To nie skończyłoby się dobrze. – I splunął.

Paul patrzył uważnie na chłopca, który odwzajemnił mu się szczerym, niewinnym spojrzeniem. Wyraźnie mówił to wszystko poważnie i na serio biadał nad straconą szansą zgarnięcia biżuterii mogącej przynieść mu dużo pieniędzy. Poza tym, gdyby ukradł broszkę, nie mówiłby tak otwarcie o paserze i o tym, co by mu za nią dał. Haya Paul nie podejrzewał o kradzież tak błahej rzeczy. Hay, na tyle, na ile był bystry i przebiegły, wznosił się na wyższe sfery oszustw i z pewnością nie traciłby czasu ani też nie ryzykowałby kradzieży czegoś, co mogłoby przynieść mu marny zysk.

– Dlaczego nie zaangażowałeś detektywa do szukania broszki? – rzekł Hay z uśmiechem.

– Ona w tej chwili znajduje się w posiadaniu detektywa – odparł ponuro Paul – ale chcemy wiedzieć, jak doszło do przekłucia nią warg Normana.

– Tego nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić. Chyba że znalazł ją na ulicy. Gdyby potem ją zgubił, musiałby zgubić też na tej ulicy, przy której stary mieszkał, ale mówiłeś mi, że bardzo chciał mieć tę broszkę.

– Przecież nie było go tam wtedy?

– Kogo? – wykrzyknął nagle Tray. – Tego jednookiego starucha? Kiedy wezwano ambulans, łapiduchy krążyły dookoła, on zjawił się, tańcząc jak krab wyrzucony na brzeg.

Beecot pomyślał, że to dziwne, przecież Deborah, Bart i Sylwia mówili, że Norman nic nie wiedział o wypadku. A potem sam Norman nie wspominał o tym, gdy złożył wizytę w szpitalu na kilka godzin przed swoją śmiercią.

– Nie sądzę, żeby to była prawda – zwrócił się ostro do Trya.

– Oczywiście, że to prawda – oburzył się chłopiec. – Ten stary zjawił się, tańcząc w błocie i rzucając słowa jak jakiś wielki pan... hej!

Beecot odwrócił się plecami do chłopca. Nie było warto z nim dyskutować. Norman rzeczywiście mógł się pojawić na scenie wypadku i podnieść broszkę. Paul pomyślał, że musi powiedzieć o tym Hurdowi, a tymczasem wyciągnął rękę do Haya. Mimo złej opinii, jaką o nim usłyszał, nie widział powodu, dla którego nie miałby być dla niego uprzejmy. Równocześnie postanowił być czujny.

– Chwileczkę – rzekł Grexon, chwytając wyciągniętą rękę. – Mam ci coś do powiedzenia. – I odciągnął Paula na bok. – Przyszedłem do Pasha w pewnym interesie, który może przynieść mi trochę pieniędzy. Ten twój wypadek to była bardzo niefortunna sprawa, Beecot, więc myślę, że mógłbyś przyjąć ode mnie jakieś dwadzieścia funtów.

– Nie, ale mimo to bardzo dziękuję – odparł Paul z wdzięcznością, ale również z pewną dozą ostrożności. – Będę dalej walczył. Poza tym to był przypadek.

– Jednak pechowy – stwierdził Hay, jakoś serdeczniej niż zwykle. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. Czy twoja ręka już w porządku?

– Och, dużo z nią lepiej. Całkowicie będzie zdrowa za jakiś tydzień, do dwóch.

– A tymczasem co będziesz robił?

– Będę się starał żyć jak przedtem – odparł Paul ostrożnie. Nie chciał ujawniać planów mężczyźnie, do którego nie miał już pełnego zaufania.

– Jesteś twardy – stwierdził chłodno Hay. Był zły, że nie wyszły mu te przyjazne podchody. – Dobrze, więc jeżeli nie chcesz przyjąć pożyczki, pozwól, że pomogę ci w inny sposób. Zapraszam do siebie na obiad. Będzie też młody wydawca, porozmawiaj z nim, może zaproponuje ci coś. Jest mi bardzo zobowiązany i możesz być pewien, że użyję całego wpływu, żeby był ci przychylny. To wypadnie za tydzień, w następny wtorek... w tym czasie nie angażuj się w nic.

Paul uśmiechnął się.

– Nie mam żadnych zobowiązań – oznajmił z chłopięcym uśmiechem – dziękuję. Zobaczę, czy będę mógł przyjść. Obecnie mam kłopoty, Grexon, poważne kłopoty.

– A nie powinieś – rzekł Hay, uśmiechając się. – Dobrze wiem, dlaczego nie przyjąłeś mojej pożyczki. W gazetach pisali, że twoja Sylwia, twoja Dulcynea, odziedziczyła milion. A ty masz się z nią ożenić. Chyba... – dodał nagle – że to bogactwo zawróci jej w głowie i nie będzie chciała ciebie poślubić. Czy ona należy do tego typu dziewcząt?

– Nie – odparł szybko Paul – jest tak wierna mnie, jak ja jestem wierny jej. Ale mylisz się z tym milionem. To tylko pięć tysięcy rocznie i może nawet tego nie odziedziczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie jestem upoważniony, aby to ci wyjaśniać. Ale nawiązując do twojego obiadu – dodał, szybko zmieniając temat – przyjdę, jeżeli uda mi się wydostać garnitur z lombardu.

– Zatem liczę na ciebie – rzekł Hay, bezbarwnym tonem – chociaż nie pozwalasz mi, żebym pomógł ci odzyskać garnitur. Ten wydawca dużo może dla ciebie zrobić. Na Jowisza, co to za przystojna dziewczyna?

Ostatnie zdanie wymruczał pod nosem. W drzwiach pojawiła się właśnie panna Maud Krill. Mijając dwóch młodych ludzi, przechodząc obok Grexona, potknęła się, potrącając jego kapelusz, za co wylewnie przeprosiła. Panna Krill, która sprawiała bardzo młodzieńcze wrażenie – o czym Paul przekonał się, siedząc w biurze prawnika – uśmiechnęła się i ukloniła, ale oszczędziła sobie słowa „dziękuję”. Pani szła eskortowana przez zdradzieckiego Pasha, który zacierając dłonie, kłaniając się, cały tonął w uśmiechach. Najwyraźniej był przekonany, że opowieść wdowy odpowiada prawdzie i Paul czuł, że robi mu się niedobrze na myśl o nowinach, jakie będzie musiał przekazać Sylwii. Pash, widząc młodzieńca i spotykając jego oburzony wzrok, szybko wycofał się do swego gabinetu, niczym królik do nory. Wdowa żeglowała na swój spokojny, majestatyczny sposób, nie patrząc na Paula i jego towarzysza. Jednak Paul instynktownie wiedział, że doskonale ich obu widzi.

– To matka, jak sądzę – rzucił Hay, poprawiając monokl w oku – przystojna para. Boże, Paul, ta młoda kobieta... ech?

– Być może uda ci się ją poślubić – wtrącił Paul.

Hay wyprostował się sztywno.

– Nie żenię się z młodymi kobietami spotykanymi na ulicy... jakkolwiek byłyby atrakcyjne – oznajmił oziębło. – Nic o takich kobietach nie wiem.

– Pash może ci je przedstawić, jeżeli uważasz, że warto.

– A po jakie licho? – obruszył się Hay.

– No... – Beecot impulsywnie opowiedział mu, jakie na niego spadło nieszczęście. – To żona i córka Aarona Normana, *alias* Krilla. Córka dziedziczy pięć tysięcy rocznie, więc ożeń się z nią i bądź szczęśliwy.

– A twoja Dulcynea? – zapytał Hay, ze zdumienia upuszczając monokl.

– Ona ma mnie i moją biedę – rzekł Paul, odwracając się i spieszenie odchodząc. Hayowi nie udało się go zatrzymać. Obejrzał się na końcu ulicy i zobaczył Grexona, jak wchodził do biura prawnika. Gdyby Hay był tym, kim miał być

według Hurda, Paul mógł odgadnąć, że wypytywał teraz Pasha o spadkobierczynię,
na ile jej konto bankowe będzie duże i bezpieczne.

* Jeden farthing = $\frac{1}{4}$ pensa – moneta obecnie wycofana z obiegu (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XII

NOWE ŻYCIE

Beecot z oczywistych przyczyn nie wrócił na Gwynne Street. Z trudem przełknął gorzką pigułkę, jaką zaaplikowała mu opatrność. W miejsce pewnej przyszłości z Sylwią stanął oko w oko z dotąd dręczącą go biedą, bez szansy szybkiego poślubienia dziewczyny, ale z obowiązkiem powiedzenia jej, że nie ma ona prawa do żadnego nazwiska. Paul nie był tchórzem i impulsywnie chciał natychmiast pójść i poinformować Sylwią o porażce w uzyskaniu fortuny. Było jednak już późno i pomyślał, że pozostaje mu zostawić złe wiadomości do jutra, żeby oszczędzić wydziedziczonej dziewczynie łez i bezsennej nocy. Dlatego po późnym spacerze po nadbrzeżu Tamizy wrócił na swoje poddasze.

Na plus dla młodego człowieka należy przypisać, że osobiście mało się martwił z utraty pieniędzy, ale bardzo bolał nad tym, że Sylwia nie została bogata. Był zdolny zagwarantować jej niewielki dochód, ożenić się z nią i bez wahania dać jej ochronę ze swego nazwiska. Nie był jeszcze sławny, poróżnił się z ojcem i mógł jedynie podzielić się z Sylwią swym gorzkim ubóstwem – ubóstwem, które mogło stać się jeszcze bardziej gorzkie na tym zimnym i ponurym poddaszu.

Miał jednak jeszcze coś innego do rozważenia. Paul napisał do ojca list z wyjaśnieniem okoliczności zaręczyn z Sylwią, prosząc w nim o ojcowskie błogosławieństwo. Wspomniał też, że jego przyszła żona będzie miała pięć tysięcy rocznie dochodu. Taki tyran, jakim był Beecot senior, kochał pieniądze i chociaż sam był dobrze sytuowany, zawsze chętnie pomnożyłby rodzinny majątek.

Przekupując go bogactwem przyszłej żony, Paul nie wątpił, że zwalczy jego chorobliwy opór i Sylwia zostanie powitana jako najśłodsza i najbardziej pożądana synowa na świecie.

Paul wyobrażał sobie, że z czasem Sylwia zmiękczy nieugięte serce ojca, a tym samym uszczęśliwi też panią Beecot. Od matki otrzymał list z gratulacjami za zaręczyny z bogatą i dobrą kobietą, która zagwarantuje mu niezależność od domowego tyrana. Pani Beecot zadawała też dużo pytań na temat Sylwii, z nadzieją, że dokonał dobrego wyboru, jednocześnie podkreślając, iż żadna dziewczyna na tym świecie nie jest warta jej syna. Paul odpowiedział na jej list, podkreślając doskonałość Sylwii w porównaniu z jego marnością, a pani Beecot zaakceptowała z radością te dobre wieści. Lecz list napisany do Beecota seniora pozostał bez odpowiedzi i Paul zaczynał już myśleć, że nawet szansa posiadania bogatej synowej nie złamie uporu starego dżentelmena.

Lecz właśnie gdy po samotnym, męczącym spacerze po nabrzeżu dotarł na swoje poddasze, znalazł list od ojca i otworzył go z trwogą. Okazało się, że zawierał radosne wieści. Pan Beecot dziękował niebiosom za to, że Paul nie był takim głupcem jak on w zamierzchłej przeszłości i ta aluzja sprawiła, że nagle doznał uczucia, iż dotyczy ona jego zaręczyn z kobietą bogatą, podczas gdy ojciec nie zrobił tego, zaręczając się z jego matką. On – Beecot senior – zdawał sobie sprawę, że Paul postępuje źle, nie pamiętając, co powinien zrobić najlepszemu z ojców – ale te zaręczyny z bogatą dziewczyną, z perspektywą zamieszkania z bogatą żoną, wszystko niwelują, i Beecot senior, okazując bezmiar szlachetności, wybacz mu całą przeszłość i wiele wykroczeń Paula (tu wypomnił mu je detalicznie) i z radością powita synową. Potem jednak Beecot znowu pokazał prawdziwe oblicze, nalegając, by ślub odbył się w Wargrove i konieczność zatajenia faktu, iż ojciec Sylwii został zamordowany. W rzeczywistości stary dżentelmen nic nie zostawia młodej parze i aranżuje wszystko na swój własny, samolubny sposób, nawet wybór miejsca ślubu – no i oczywiście domu, w którym mieli zamieszkać. Wspomnianym przyszłym gniazdkiem młodej pary miał być jeden z jego własnych domów, którego nie mógł wynająć ze względu na jakąś

głupią opowieść, że jest nawiedzony przez duchy. Pan Beecot mógł go podarować Paulowi w prezencie ślubnym, pozbywając się w ten sposób nieruchomości nieprzynoszącej dochodu, a jedynie straty, a równocześnie odgrywając rolę wielkodusznego ojca. Mimo tego sielankowo głupiego uporu i ponurych poglądów Beecot senior był z pewnością w pewnym zakresie osobnikiem przebiegłym, co Paul mógł wyczytać w każdej linijce jego egoistycznego listu.

Jednak zasadniczym punktem był fakt, że stary wydawał się gotów zapomnieć przeszłość i zaakceptować Sylwię. Paul chciał wrócić do domu, nie będąc już na utrzymaniu ojca, ale dlatego żeby zagwarantować matce spokój na starość – a dobrze wiedział, że Sylwia ze swoim łagodnym charakterem i złotym sercem może dać pani Beecot dużo szczęścia. Matka odżyła, odkąd Paul się zakochał i postanowił ożenić, natomiast Beecota seniora interesowały tylko pieniądze i tylko za nie mógł się zdobyć na przebaczenie i przyzwoite zachowanie.

Teraz jednak wszystko uległo zmianie. Z tonu listu Paul wywnioskował, że ojciec nigdy nie wyrazi zgody na małżeństwo z dziewczyną – nie tylko pozbawioną nazwiska – ale też bez grosza przy duszy. Jednak prawda i tak musiała wyjść na jaw i jeżeli Beecot senior odmówi zgody na małżeństwo, młodej parze pozostawało to zrobić bez usankcjonowania ślubu przez ojca. Taka sytuacja, pomyślał Paul, spowoduje, że będzie musiał ciężiej pracować, aby w rozsądnym czasie zapewnić Sylwii w miarę dostatni dom.

Tak więc młody człowiek, stając w obliczu nowej sytuacji, odważnie napisał do ojca i wyjaśnił, w jaki sposób Sylwia straciła fortunę, ale oznajmił też z całym urokiem naiwnej młodości, że nie odstąpił od zamiaru poślubienia jej. Jeżeli Beecot senior, pisał Paul, udzieli swej zgody na małżeństwo, to prosi, by przyznał młodej parze niewielki dochód do czasu, aż małżonek będzie zarabiał tyle, by zaspokoić podstawowe potrzeby. Jeżeli nie udzieli swej zgody, Paul stanowczo oznajmił, że będzie pracował jak niewolnik, by utrzymać dom dla swej ukochanej, jednak nic na świecie nie zmusi go, żeby wyrzekł się Sylwii.

Po napisaniu listu do ojca Paul napisał do matki, wymieniając okoliczności tego, co się stało i błagając ją, żeby stała po jego stronie. Chociaż czuł ze

ściśniętym sercem, że pani Beecot była zbyt wątłą trzcina, aby szukać w niej oparcia. Skończył pisać listy i wysłał je przed północą. Potem położył się spać i fantazjował, że te złe wieści to tylko jakaś bzdura, złudzenie i że Sylwia będzie z nim szczęśliwa jako żona.

Lecz zimne, szare światło świtu uzmysłowiło mu brutalną rzeczywistość i poczuł niepokój niepozwalający mu zjeść śniadania. Całe przedpołudnie spędził, pisząc opowiadanie, za które obiecano mu kilka suwerenów i w drodze na Gwynne Street podrzucił tekst do tygodnika, który go przyjął. Paul z ciężkim sercem układał w myślach to, co ma powiedzieć Sylwii, jednocześnie nie chcąc okazywać jej swego przygnębienia. Idąc ulicą, uniósł głowę, uśmiechnął się i pewnym krokiem wszedł do dawnej księgarni.

Wchodząc, już od progu usłyszał, jak jakaś ciężka kobieta zbiega z hałasem po schodach i po chwili poczuł, że Deborah chwytą go za rękę. Miała silnie zaczerwienioną twarz, była wyraźnie wściekła. Słyszał, jak Bart stuka skrzynkami w piwnicy, składając do nich rzeczy Deborah przygotowane do przeprowadzki do Jubileetown, gdzie został już zabezpieczony przez Pasha dom przeznaczony na pralnię i teren na suszarnię. Paul nie miał czasu pytać, co się dzieje. Patrząc na zapłakaną twarz służącej, domyślił się, że wie już najgorsze, a zatem i Sylwia musiała też usłyszeć nowiny.

– Tak! – wykrzyknęła Deborah, widząc nagle blednące policzki Paula i trzęsąc jego ręką, jakby chciała ją wyrwać. – Ona wie, ona wie... och, Boże, chroń nas od takich nieszczęść... i teraz siedzi, wypłakując dla pana, panie Beecot, swe śliczne oczęta. Ona myśli, że teraz rzuci ją pan, ale jeżeli pan to zrobi! – krzyczała Deborah, z następnym szarpnięciem – to lepiej, żeby pan został zatłuczony na śmierć, zanim stanie przede mną, gdy jestem w tym stanie. Widząc pana przez okno, zbiegłam na dół spytać, co pan zamierza, bo jeśli porzuci pan moje serduszko, to... to... – Tu Deborah przerwała, zaczerpnęła tchu i znowu szarpnęła ręką Paula.

– Deborah – rzekł spokojnie, uwalniając rękę – kocham Sylwię dla niej samej, a nie dla pieniędzy.

Deborah wyrzuciła silne ręce w górę, a przez to zarzuciła fartuch na zaczerwienioną twarz.

– Wiedziałam...! Och, wiedziałam – powtarzała, tłumiąc szloch. – Tak... ja wiedziałam, pan Paul jest dżentelmenem, bez względu na wszystko on się z nią ożeni... ożeni się z moją kochaneczką... ożeni się, chociaż nie będzie mógł opłacić ślubu. Ale Debby zapłaci z własnej kieszeni, gdy ruszy pralnia. Wszyscy wiedzą, że my tu mieszkamy razem w tej samej biedzie, ja i Bart, i że sami nie jesteśmy zdolni uszczęśliwić panny Sylwii. Panny Sylwia Krill i Norman zarazem – dodała Deborah z naciskiem – bez względu na to czy ta kocica będzie się chytrze uśmiechać, czy prężyć pazurki, zedrze z niej to oślizłe futerko... taaa!

– Widzę, że już wszystko wiesz – rzekł Paul, gdy tylko udało mu się wtrącić słówko.

– Wiem wszystko! – Deborah nieomal wrzasnęła, ściągając z głowy fartuch i ukazując błyszczące oczy – i pewnego dnia zobaczę tę zapchlona małpę Pasha w Old Bailey. Och, gdybym wiedziała, jaki jest, nigdy nie powierzyłabym mu spraw pralni, chociaż mogło wyjść gorzej. O, tak...! A tę panią Krill, z tą kocicą, niech ją... och, z tą Krill, uśmiechającą się jak Jezabel*.

– Czy ona widziała się z Sylwią? – zapytał ostro Beecot.

– Tak, widziała, wpuściliśmy ją, nie wiedząc, kim jest. I był tu też ten małpiszon razem z tym kociątkiem – i tak jakby pan powiedział – szpiclowali. Kiedy usłyszałam hałas, pomyślałam o panu Paulu, lecz moja najdroższa zbladła jak jeden z tych tanich gipsowych posążków, jakie chłopcy sprzedają na ulicach, i widzę, że ona... że ona mówi... „Och, Paul”, proszę wybaczyć, że wymieniam pańskie imię, sir, bez pytania.

– Niech ją Bóg błogosławi za to, że pomyślała o mnie – odrzekł czule Beecot.

– Ach, ona zawsze o panu myśli, sir. Złote serduszko i dziękuję niebiosom, że panna Sylwia przyjęła mnie do siebie jak własną matkę...

Paul skinął głową.

– Takie odwoływanie się do łaski niebios teraz nic nam nie da – stwierdził ze smutkiem – musimy się wziąć do roboty i zrobić wszystko co w naszej mocy.

– Nie ma szans, żeby prawnik wysłał te kobiety do czubków, sir?

– Ta starsza była prawowitą żoną twojego pana. Tak wydaje się uważać Pash i teraz jest naszym wrogiem. – W tym momencie Deborah zacisnęła duże pięści i wydała cichy okrzyk wściekłości. – Matka Sylwii poślubiła twojego pana później, a ponieważ jego była żona jeszcze żyje, Sylwia jest...

– Nie! – krzyknęła Deborah, machając ręką – nie wymawiaj tego!

– Sylwia jest biedna – Paul dokończył spokojnie. – Myślałaś, że co chcę powiedzieć, Deborah?

– To, co ta kobieta powiedziała, obrażając moją dziewczynkę, ale wypchnęła ją za drzwi, mówiąc jej, kim sama jest. Wyszła obrażając mnie z kolei, Barta i znowu moje słoneczko – wykrztusiła Deborah prawie z płaczem – i żądając, żebyśmy się stąd wynieśli. Tak, wyniesiemy się, choćby i dziś, Bart już wszystko pakuje. Słyszę, jak tam stuka i wierzę, że chętnie stuknąłby w głowę pani Krill.

– Idę na górę, zobaczyć się z Sylwią. Nie, Deborah, nie idź ze mną. Przyjdź za kilka minut. Potem wspólnie naradzimy się, co robić.

Deborah pokiwała głową na zgodę.

– Niech moja ukochana dziewczynka znajdzie ukojenie w twych ramionach, sir – mówiła, podążając za nim do stóp schodów. – Powiedz jej, że twe serce należy do niej, a ja wiedziałam, iż tak będzie.

Beecot zastał Sylwię w salonie na kanapie z twarzą ukryta w dłoniach. Słyszając jego kochane, znajome kroki, uniosła głowę i zerwała się na nogi. W następnej chwili szłochała z głową na piersiach Paula, a on pocieszał ją, jak tylko potrafił, wszystkimi znanymi sobie słowami.

– Moja najdroższa, moja najśłodsza, najukochańsza... – szeptał, głaszcząc jej piękne, brązowe włosy – nie płacz. Dużo straciłaś, ale masz mnie.

– Kochany – płakała – myślisz, że to prawda?

– Obawiam się, że tak, Sylwio. Ale znam młodego prawnika, mojego przyjaciela, z którym porozmawiam w tej sprawie.

– Ale Paul, przecież moja matka mogła nie wyjść za mąż za mojego ojca...

– Ale wyszła, Sylwio, chociaż pani Krill była już wcześniej jego żoną. Twój ojciec popełnił bigamię, a ty, biedne dziecko, musisz teraz za to płacić.

– No dobrze, ale jeżeli nawet małżeństwo nie było prawomocne, to pieniądze zostały zapisane nam.

– Tobie, kochanie – poprawił Beecot, podprowadzając ją do kanapy – ale zapis w testamencie jest nieprecyzyjny, użyto tylko dwóch słów: „mojej córce”. Wszyscy myśleliśmy, że chodzi o ciebie, ale teraz, gdy pojawiła się na scenie legalna żona, pieniądze muszą trafić do jej córki. Och, Sylwio! – krzyknął Paul, tuląc ją do piersi. – To głupio, że twój ojciec nie napisał „mojej córce, Sylwii”. Wtedy wszystko byłoby jasne. Ale brak imienia jest dla nas tragiczny w skutkach. Prawo zakłada, iż spadkodawca miał na myśli córkę uświęconą sakramentem.

– A czy ja nie jestem jego prawowitą córką? – zapytała drżącymi wargami.

– Ty jesteś moją ukochaną Sylwią – wyszeptał Paul, całując jej włosy – ale nie mówmy już o tym. Porozmawiam z moim przyjacielem prawnikiem, chociaż boję się, wnioskując z zachowania Pasha, że pani Krill będzie potrafiła dobrze uzasadnić swoje roszczenia. Gdyby istniała szansa utrzymania ciebie jako dziedziczki majątku, Pash tak łatwo nie wyrzekłby się reprezentowania twojej osoby.

– Ze względu na ciebie, Paul, bardzo mi przykro z powodu tych pieniędzy.

– To co potrafię zarobić, jest pewne – odparł wesoło – ale chciałbym liczyć co roku na pięć tysięcy. Mam jednak ciebie, a ty masz mnie, chociaż przez jakiś czas nie będziemy mogli się pobrać...

– Nie pobierzemy się, Paul! Och, dlaczego?

– Najdroższa. Jestem biedny, nie mogę pograżać ciebie w nędzy.

Sylwia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ja też teraz jestem biedna. – Rozejrzała się po pokoju. – Tu nic nie należy już do mnie. Mam tylko trochę ubrań. Pan Pash powiedział, że pani Krill może

wszystko zabrać. Pozwól, że wyjdę za ciebie za mąż, kochanie – wyszeptła, starając się go przekonać – i zamieszkamy u ciebie na poddaszu. Będę gotować i cerować, będę twoją najukochańszą żoneczką.

Beecot jęknął.

– Nie kuś mnie, Sylwio – rzekł, odsuwając się od niej. – Ja teraz po prostu nie mogę się z tobą ożenić. Z tego co zarabiam, udaje mi się zaledwie opłacić czynsz. Nie, kochanie, musisz pójść do Debby, do jej pralni, a ja będę pracował dzień i noc, aby zdobyć fundusze na nasze wspólne życie. Potem weźmiemy ślub i...

– Ale twój ojciec, Paul?

– On nic dla nas nie robi. Zgodził się na nasze małżeństwo, jak sądzę, wyłącznie z powodu twojego majątku. Teraz, gdy już wie, że nie masz pensa przy duszy – o czym napisałem mu w nocy, z pewnością zabroni mi małżeństwa z tobą.

– O, Paul! – Sylwia była przerażona.

– Moja najdroższa – chwycił ją w ramiona – czy myślisz, że tuzin ojców mógłby mnie zmusić do wyrzeczenia się ciebie? Nie, moja miłości, moja duszko, moje serce – na dobre i złe będziemy razem. Ty zostaniesz z Debby w Jubileetown, dopóki nie będę zarabiał na tyle dużo, żebym mógł powitać cię w naszym domu, może w nie bogatym, ale naszym własnym. Najdroższa, nie porzucaj nadziei i ufaj w boską opatrzność, która nas połączyła. Ona nad nami czuwa, wiedząc, czego się boimy. Nie płacz, kochanie.

– Nie płaczę tylko dla samego płakania – szlochała Sylwia, kryjąc twarz na jego piersi i mówiąc nieskładnie – ale jestem taka szczęśliwa...

– Mimo złych wieści? – zapytał z uśmiechem.

– Tak... tak... dlatego, że ciągle chcesz się ze mną ożenić. Mimo że jestem biedna... i nie mam... że jestem bezimienna... i że...

– Najdroższa, wkrótce będziesz nosiła moje nazwisko.

– Ale pani Krill powiedziała...

– Nie chcę słyszeć, co powiedziała! – krzyknął porywczo Paul. – To zła kobieta. Widziałem to zło wyryte na jej uśmiechniętej twarzy. Nie mówmy o niej.

Do czasu opuszczenia tego miejsca nie spotykaj się z nią. Moje kochane małe serduszko – szeptał czule Paul – kiedy opuścisz ten nieszczęśliwy dom, niech całe zło pozostanie w nim i należy do przeszłości. A ty ze mną rozpoczniesz nowe życie. Nie płacz, Sylwio. Przyszła Debby.

Sylwia uniosła głowę i rzuciła się w objęcia wiernej służącej.

– Och, Debby, on nadal mnie kocha. Ożeni się ze mną, gdy tylko będzie mógł.

Deborah roześmiała się i wytarła łzy Sylwii szorstkim fartuszkiem.

– Ty głupiutki kwiatuszku! – zawołała głośno. – Ty głupiutka pszczołko, oczywiście, że on ciągle nosi ciebie w swym sercu. Będziesz panną młodą, tak jak i ja będę panną młodą, chociaż nie równie piękną jak ty i wszystko cudownie zalśni w klejnotach i perłach.

– Debby... jestem... jestem taka szczęśliwa!

I Debby ulokowała swą młodą panienkę w ramionach Paula.

– Niech pan uczyni moją lilijkę szczęśliwą. Boże, jeżeli wydarzy się wam coś złego, pamiętajcie, że zawsze staną w waszej obronie silne ręce Debby, tak samo zdolne do prania jak i do... chociaż ta pralnia... och, Boże... – i potarła nos, który zaczynał już przybierać barwę czerwoną – o co to pan, panie Beecot miałeś mnie zapytać?

– Czy masz dość pieniędzy na opłacenie rocznego czynszu?

– Tak, ja i Bart zaoszczędziliśmy wspólnie sto funtów. Na pewno starczy na czynsz i urządzenie pralni, to znaczy na to, co ja nazywam pralnią – mówiła Deborah stanowczo – nieniszczącą majtek, niedrącą prześcieradeł ani też niestrzępiącą kołnierzyków. Daj mi tylko wannę, a zobaczysz, ile z niej wyciągnę pieniędzy.

– Deborah, teraz jestem jeszcze zbyt biedny, żeby brać sobie Sylwię za żonę. Dlatego chcę, żeby zatrzymała się u ciebie do czasu, gdy będę mógł stworzyć dla niej odpowiedni dom.

– A gdzie niby miałyby się zatrzymać, jak nie u głupiej Debby. Chciałabym to wiedzieć? Mój kwiatuszku, chodź i zostań królową pralni.

– Mogę gromadzić rachunki, prowadzić księgi... – zaczęła Sylwia, teraz już uśmiechając się.

– Niczego nie będziesz prowadzić – odparła Debby, pociągając nosem – ja i Bart wszystko zrobimy sami. Tego błogosławionego dnia przeniesiemy się do Jubileetown z całym naszym dobytkiem. A pan, panie Beecot?

– Ja przyjdę zobaczyć, jak się urządziliście, a potem wrócę do siebie i będę pracować dla Sylwii. Nie chcę, żeby zbyt długo zostawała u ciebie.

– Zostanie tak długo, jak tylko będzie chciała! – krzyknęła Debby, ściskając Sylwię – aż ta kocica Krill...

– Zabierze to, co chce i kiedy zechce.

– Deborah – dodał Paul znacząco – mimo tego co się stało, nie zamierzam zrezygnować z szukania mordercy twojego pana.

– Zabiła go ta kocica, Krill – warknęła Debby – chociaż nie mam na to dowodów.

* Postać ze Starego Testamentu, żona Achaba, zm. w r. 843 p.n.e. Symbol kobiety bez skrupułów, zdeprawowanej, niegodziwej i zuchwałej (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XIII

OPINIE DETEKTYWA

Tak jak się Paul spodziewał, następny list od ojca zawierał odwołanie tego wszystkiego, co tak uszczęśliwiło go w poprzedniej przesyłce. Pan Beecot senior zapisał wiele stron obelgami – zawsze lubił demonstrować tego rodzaju bełkot, niczym rozzłoszczona, narzekająca baba. Odwołał zgodę na małżeństwo i rozkazał, aby syn natychmiast – co podkreślił – zrezygnował z wszelkiej myśli o uczynieniu Sylwii swoją żoną. Byłoby trudno, pisał Beecot senior, przyjąć ją jako synową, nawet z jej majątkiem, wiedząc, że jest kobietą bez pozycji społecznej i że była córką zamordowanego kupca, ale wiedząc teraz, że jest biedna, a co gorsza, bez nazwiska, zabronił Paulowi przekazać jej uprawnienia do szanowanego nazwiska Beecot, które on sam nosił z dumą. W liście było więcej tego rodzaju dywagacji, których Paul już nawet nie czytał – i kończył się nadętym poleceniem, które syn miał natychmiast spełnić, przybycia do dworu i padnięcia plackiem u stóp swego ciężko zranionego ojca.

Na tę despotyczną epistołę młody człowiek wysłał kilka linijek odpowiedzi. Napisał, że zamierza poślubić Sylwię i że nic go nie zmusi do wyrzeczenia się jej, a także, że nie spotka się z ojcem tak długo, póki ten nie przypomni sobie, że jest jego synem i Anglikiem, a nie niewolnikiem. Paul podpisał się pod listem bez zwrotu: „Twój kochający syn”, bowiem nie czuł miłości do tego apodyktycznego starca, który nie potrafił zapanować nad swoimi złymi emocjami.

Tak więc teraz znał już najgorsze. Rozdzwięk między nim a ojcem był większy niż kiedykolwiek przedtem; teraz miał tylko swą młodość i własny umysł i na tym mógł polegać, budując życie dla siebie i dom dla Sylwii. Dziwne, lecz to, co napisał ojcu, podniosło Paula na duchu, przygotowując do walki o szczęście ukochanej.

Sylwia, pod dowództwem Deborah i eskortą Barta Tawseya, z torbą i bagażem opuściła zgodnie z planem dom przy Gwynne Street i urządziła się w Różanym Domku, w Jubileetown. Budynek był mały i w otaczającym go ogrodzie nie rosła ani jedna róża. W istocie został zbudowany stosunkowo niedawno i wtedy nie było tu żadnego ogrodu, a dom stanął na gołej działce o powierzchni jednego ara, z terenem na zapleczu mogącym śmiało służyć jako suszarnia na słońcu. Zlokalizowany był na nowym przedmieściu, w gruncie rzeczy niemal na wsi, dlatego Sylwia mogła cieszyć zmęczone oczy widokiem zielonych pól i wspaniałych drzew, o czym już zapomniała, żyjąc w kamiennej miejskiej pustyni. Przydzielono jej najlepszy pokój i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było napisanie listu do Paula z prośbą, żeby przybył do Różanego Domku, aby być świadkiem na ślubie Deborah z Bartem.

– Gdyby nie było tu pana Paula – mówiła świeżo upieczona oblubienica – mój Bart nie byłby mi w pełni użyteczny, a nie chciałabym, żeby się pętał bezczynnie. Już ja go znam. Organizowanie i uruchamianie firmy to dla mnie niełatwa rzecz, chyba że mi pomogą i – jak to się mówi – zajmą się robotą papierkową. A poza tym jakiś mężczyzna powinien sypiać w tym domu, na wypadek gdyby zjawili się włamywacze. Oczywiście nie może tu sypiać bez małżeńskiego błogosławieństwa. I właśnie o to chodzi.

Deborah, jak mówią Amerykanie, była typową „kombinatorką” – czyli osobą przedsiębiorczą – nastawioną na sukces. Wezwała wikarego z parafii i długo opisywała mu swoją osobę, pomijając fakt, że wcześniej mieszkała przy Gwynne Street. Nie chciała, żeby cień morderstwa rzucił mrok na jej nowy dom. Pastor, dobra, poczciwa dusza, wiedział, że Deborah służyła w szacownej rodzinie (ale gdzie, o tym nie wspomiano), w której ojciec i matka już nie żyli i że to ona

właśnie sprowadziła ich jedyną córkę do swego domu, gdzie będzie traktowana jak dama. Potem Deborah domagała się, żeby ogłoszono przedślubne zapowiedzi i zaaranżowała, że Bart na jakiś czas zamieszka na plebanii. Tak się stało i przez trzy niedziele Deborah miała przyjemność wysłuchiwać zapowiedzi, że Bart Tawsey i ona wkrótce zostaną mężem i żoną. A potem odbył się ślub.

Przyszła pani Tawsey nie miała krewnych, ale Bart przedstawił babcię z londyńskich slumsów, która ku zgorszeniu młodej pary na weselu piła dzin.

Paul wystąpił w roli drużby Barta, a Sylwia w prostej, czarnej sukni, była druhną Deborah. Pani Purr, babcia Barta, wyraziła sprzeciw, widząc czerń na weselu, twierdząc, że to sprowadzi nieszczęście i opowiedziała wiele przerażających historii, jakie wydarzyły się ludziom noszącym takie pogrzebowe stroje. Lecz Deborah nie zgodziła się z nią i nie zabroniła Sylwii nosić czarnej sukni.

– Co?! – wykrzyknęła w swoim zwykłym stylu – moja słodka ślicznotka, która prosi o pobłogosławienie mojego ślubu, nie ma prawa nosić czarnej sukni? Zdumiewa mnie pani, pani Purr, bo jako kobieta wiekowa winna pani wiedzieć lepiej. Wątpię, czy w ogóle jesteś babcią Barta. Ja jestem uczciwa, ciężko pracuję i biorę w tym czasie ślub, nie miałam kłopotów mężami, więc nie gadaj tak do mnie, jeśli łaska. Mam swój honor... – Tu pociągnęła nosem.

– Powiedziała, co wiedziała – mruknęła pani Purr.

– Ha! – zareagowała Deborah pogardliwie. – Chciałabym widzieć, jak na moje polecenie szorujesz niczym Bart.

Przy ołtarzu, gdy ceremonia dobiegła końca, nowo wykreowana pani Tawsey chwyciła męża za rękę i nie zdając sobie sprawy ze swej siły, potrząsnęła nią. Bart był niski, szczupły i z natury nerwowy, więc w silnym uścisku ręki żony zaczął się trząść jak galareta.

– Bart, jesteś mój – mówiła do niego, gdy drużba z druhną, czuląc się do siebie, szli przed nimi. – Mówię sobie to, co ty powinienes mi powiedzieć, ale ty już nie pamiętasz słów. Przysięgnij mi – ale bez przekleństw, jak to ty zawsze... – że

będziesz mnie kochał, będziesz mi wierny i będziesz posłuszny swej najdroższej żonie.

Bart, ciągle jeszcze wstrząśnięty, z trudem złapał oddech i podał ramię swojej pani, która od teraz miała rządzić jego życiem. Deborah pocałowała go głośno i demonstracyjnie, prowadząc triumfalnie do Różanego Domku.

W domu pani Purr przygotowała prosty posiłek i Paul złożył młodej parze życzenia zdrowia i szczęścia. Pani Purr wzniosła toast dżinem i jak to było w jej zwyczaju, pokropiła go łzami. Ta pani Purr była ponurą, łzawą starą babą i już otwierała usta, żeby ujawnić im, co myśli o instytucji małżeństwa, gdy powstrzymała ją pani Tawsey.

– Niech nikt mi tu nie skamle! – krzyknęła energicznie. – Nie życzę sobie, żeby moje wesele zamieniać w pogrzeb. Powstrzymajcie języki, pani Purr i ty, Bart, który przed chwilą przysięgałeś swej prawowitej żonie miłość, wierność i posłuszeństwo, a wtedy cała ceremonia dobiegnie szczęśliwie do końca.

Bart spełnił jej życzenie, a później Paul ze śmiechem zapowiedział, że musi już iść. Gdy dochodził do bramy, spotkał panią Purr, która go wyprzedziła i teraz zaczęła do niego mrugać tajemniczo.

– Czymkolwiek się zajmujesz, sir – zaczęła chuda staruszka, krzywiąc wysuszoną twarz – nigdy nie zadawaj się z Trayem.

– Tray... – powtórzył zaskoczony Paul – ten chłopak od pana Pasha?

– Od niego i innych. Znam jego babcię, tę starą pijaczkę, a w dodatku dumnie się z tym obnoszącą. Do niej bardziej pasują nosze niż pocałunki takiego młodego przystojniaka jak ty. Ten chłopak, takie ladaco, po prostu wykorzystuje ją – szeptała babcia Purr znacząco.

– Ale dlaczego mam się go wystrzeżać? – zapytał Beecot zaciekawiony.

– Kiwnięcie głową jest jak mrugnięcie okiem do ślepego... – zakrakała pani Purr, nie kończąc przysłowia. – Po prostu zostaw w spokoju tego bachora z jego własną niegodziwością. Pewnego dnia i tak skazą go na galery.

– Ale chciałbym wiedzieć...

– No dobrze, więc nie dowiesz się, sir! Widziałam to, co widziałam i o tym, co widziałam, nie powinnam mówić. Zatem dobrej nocy, sir. – I pani Purr podreptała nową, zwirową ścieżką, a następnie weszła do Różanego Domku, zostawiając za sobą woń dżinu.

Beecot z trudem przyswajał sobie to, co mu powiedziała, tak dziwna była rzucona przez nią aluzja. Najwyraźniej wiedziała coś, co łączyło go z Trayem, i Paul zastanawiał się teraz po raz pięćdziesiąty, czy chłopiec podniósł wtedy z ulicy broszkę z opalu. Postanowił jednak zostawić tę sprawę na później. Pani Purr, którą Deborah zatrudniła do prasowania, zawsze była dostępna i Paul postanowił, że musi wiernie przekazać Hurdowi kwestię, czy Tray był zamieszany w znalezienie broszki. Detektyw jak nikt inny może to ustalić z tak chytrym chłopakiem jak ten ulicznik. Tym sposobem Paul przestał myśleć o tajemniczej aluzji pani Purr i szybkim krokiem skierował się ku najbliższemu przystankowi autobusowemu, skąd niebieski wehikuł zawiózł go do dzielnicy Bloomsbury. W drodze na swoje poddasze cały czas marzył o Sylwii i chociaż zostawił ją w biednym domku, był wdzięczny za bezpieczne schronienie w ramionach Deborah Tawsey.

O piątej po południu Paul dotarł do drzwi schodów wiodących do jego pokoju na poddaszu i tu poczuł na ramieniu dotknięcie ni mniej, ni więcej tylko ręki pana Billy’ego Hurda. Jednak Paul poznał go dopiero po głosie, bowiem stojący przed nim dżentelmen nie przypominał osoby, którą znał jako brązowego detektywa. Teraz pan Hurd miał na sobie stój wieczorowy, najlepsze patentowe buty oraz ściśle dopasowane białe rękawiczki. Na głowie nosił wypolerowany, lśniący jedwabny kapelusz i wywijał laseczką ze złotą rączką. Poza tym miał na sobie błękitny płaszcz z aksamitnym kołnierzem i mankietami. Ale głos, jaki Paul usłyszał, niewątpliwie należał do Hurda, chociaż twarz zupełnie go nie przypominała. Miał długie, ciemne włosy, czarny bujny wąs przystrzyżony *á la Kaiser*, w oku tkwił nieruchomo monokl. Hurd był teraz cudownie zmieniony.

– Hurd – rzekł Paul, zamierając ze zdumienia.

– Zdradził mnie głos. Ale teraz... – powiedział to zmienionym głosem i akcentem – czy teraz poznałby pan mnie, *mon ami*? – i zakończył iście paryskim wzruszeniem ramion.

– No nie. Dlaczego udajesz Francuza, Hurd?

– Bo w tej postaci nie jestem Hurdem, panie Beecot. Oto *comte de la Tour, à votre service*. – I pokazał cienką błyszczącą wizytówkę z wygrawerowaną koroną.

– No, hrabio – rzekł Beecot ze śmiechem – co mógłbym dla pana zrobić?

– Wejdźmy do pańskiego pokoju – rzekł pseudo-hrabia, wspinając się po schodach – musimy coś omówić.

– Spodziewam się, że nie będą to złe nowiny?

– Ach, mój biedny przyjacielu – odparł detektyw swoim zwykłym głosem – o ile się orientuję, wysłuchałeś już dość złych wieści. Jednocześnie stracić żonę i majątek... Ech, jaka to straszna strata!

– Z pewnością straciłem majątek – przyznał Beecot, zapalając lampę – ale żony nie straciłem i wkrótce będzie moja, gdy tylko zaoszczędzę wystarczająco dużo, żeby zagwarantować jej lepszy dom od tego, co ma teraz.

Monsieur le Comte de la Tour usiadł z wdziękiem arystokraty i rozpiął płaszcz, ukazując nieskazitelną biel koszuli.

– Co? – zapytał, unosząc ciemne brwi. – Czy to znaczy, że ożeni się pan z tą dziewczyną?

– Oczywiście – odrzekł Paul z gniewem. – A pan myślał, że jestem jakimś bydlakiem?

– A co z pieniędzmi?

– Dla mnie są bez znaczenia. Ja kocham Sylwię, a nie jej pieniądze.

– A co z nazwiskiem? Jej akt urodzenia...

– Dam jej moje nazwisko i niech tylko ktoś ośmieli się powiedzieć słówko obrażające moją żonę!

Hurd wyciągnął rękę, chwycił rękę Beecota i serdecznie nią potrząsnął.

– Daję słowo, jest pan prawdziwym mężczyzną, co lepsze od bycia dżentelmenem – stwierdził serdecznie. – Wiem wszystko od pana Pasha i wyrażam pełen szacunek dla pana, panie Beecot – tak, pełen szacunek.

Paul wpatrywał się w niego.

– Musiał się pan wychowywać w dziwnych warunkach, Hurd, żeby teraz prawić mi takie zaskakujące komplementy. Przecież każdy mężczyzna winien postępować tak jak mężczyzna, a nie jak szubrawiec.

– Ach, ale jak pan wie, w moim zawodzie miałem do czynienia z wieloma szubrawcami, co uściło moją moralną wrażliwość. A teraz miło mi spotkać takiego honorowego mężczyznę jak pan, panie Beecot. Już od pierwszego wejrzenia polubiłem pana i postanowiłem pomóc panu w ustaleniu, kim jest morderca Aarona Normana.

– Ma pan na myśli Lemuela Krilla.

– Wolę używać nazwiska, jakiego obaj używaliśmy od początku – stwierdził Hurd – więc, jak już powiedziałem, pomogę panu odszukać mordercę, a teraz pomogę też odzyskać pieniądze.

Paul usiadł i wlepił wzrok w gościa.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał. – Pieniądzy nie można już odzyskać. Skonsultowałem się z przyjacielem prawnikiem i przekazałem mu sprawę, odkąd ta mała Pash nas porzucił. Mój przyjaciel powiedział, że skoro w testamencie nie wymieniono imienia, to bez wątpienia Maud Krill dziedziczy cały majątek. Poza tym dowiedziałem się, że przedstawiony akt małżeński jest legalny. Pani Krill przed trzydziestoma laty niewątpliwie poślubiła Aarona Normana pod jego prawowitym nazwiskiem.

– No tak, to jest w porządku – przyznał Hurd, wyciągając z kieszeni elegancką srebrną papierośnicę stanowiącą część jego maskarady. – Pani Krill jest istotnie wdową po zamordowanym, a idiotycznie napisany testament daje pięć tysięcy rocznie jej córce, która obecnie znajduje się pod całkowitym wpływem matki. Jak już powiedziałem, to jest w porządku. Jednak nie byłbym zaskoczony, gdybym się

dowiedział, że w minionym życiu Aarona Normana zaistniały pewne okoliczności, które doprowadziły do porzucenia przez niego żony, a które teraz mogłyby zmusić panią Krill do kupienia milczenia, dającego pannie Norman na przykład prawo do połowy spadku. Czyli mogłaby liczyć na ponad dwa tysiące rocznie, prawda?

– W ten sposób nie zechce odzyskać pieniędzy – rzekł Beecot, nabijając fajkę i podając zapalną Hurdowi. – Jeżeli pieniądze trafią do Sylwii w sposób legalny, to w porządku, inaczej nie będzie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Hurd znacząco rozejrzał się po ponurym poddaszu i wzruszył ramionami.

– Myślę, że się pan myli, panie Beecot. Pan nie może jej sprowadzić tutaj.

– Nie mogę. Muszę zarobić pieniądze, żeby móc dać jej lepszy dom.

– Mogę panu w tym pomóc?

– Nie wiem jak. Ja chcę zarobić na pisaniu.

– No – rzekł Hurd, którego angielszczyzna dziwnie kontrastowała z wyglądem francuskiego hrabiego. – To niezły pomysł zostać pisarzem, pod warunkiem że ma się odpowiednie koneksje. Znam gazety i wydawców. Czy próbował pan, panie Beecot, napisać powieść kryminalną?

– Nie. Chcę pisać na wyższym poziomie.

– To nie będzie pan pisał na wyżej płatnym poziomie – odparł chłodno Hurd. – Znam gazetę, która może zapłacić – to znaczy, zapłaci, jeśli ja pana polecę – sto funtów za dobrą intrygę detektywistyczną. A panu przecież o to chodzi.

– Ale ja nie potrafię ułożyć tego rodzaju intrygi... jakiejś zawilej intrygi.

– Ależ to jest bardzo proste. Ustawiasz swoje postacie tak i tak, potem mieszasz je ze sobą. Dam panu przykład z mojej własnej praktyki detektywa i zapożyczając ode mnie kanwę intrygi, będziesz miał gotową fabułę, którą może pan zamieścić w odcinkach w gazecie, o której mówię. I na początek będzie pan miał te sto funtów.

– Przyjmę je z wdzięcznością – odparł Beecot, głęboko poruszony – ale doprawdy nie wiem, dlaczego poświęca pan tyle trudu, żeby mi pomóc.

– Dlatego, że jest pan Anglikiem i dżentelmenem – stwierdził detektyw z naciskiem. – Mam kochającą żoneczkę, która w pewnym sensie przypomina mi biedną pannę Norman. Poza tym, choć może wydać się to dziwne, jestem chrześcijaninem i wierzę, że winniśmy pomagać tym, którzy potrzebują pomocy. Ja miałem ciężkie życie, panie Beecot, zanim zostałem detektywem i długo musiałem się uczyć, zanim zrozumiałem, iż modlitwa może zostać wysłuchana. Ale to wszystko nie jest na temat – kontynuował szybko Hurd, z pewnym nerwowym skrepowaniem, którym Anglik zwykle maskuje to, co u niego jest lepszą częścią. – Rozejrzę się, żeby znaleźć coś dla pana, a tymczasem pójdę na spotkanie przy kartach, gdzie przy okazji spotkam się też z panem Grexonem Hayem.

– Ach, ciągle więc pan go podejrzewa?

– Tak i nie bez poważnego powodu. Ma teraz nowy obiekt do obrabiania – lorda George’a Sandala, syna lorda... ale nie będę wymieniał nazwisk, jednak ja jestem czujny. Hay nie zna mnie w roli *comte de la Tour*. Jest co prawda cwaniakiem, ale ja jestem lepszym!

– Mówi pan dobrze po francusku?

– Miernie. Ale gram cichą rolę i niewiele mówię. Zamykam usta i otwieram oczy. Jednak przyszedłem tu po to, żeby panu oznajmić, że chcę ustalić, kto zamordował Aarona Normana.

– Ale ja nie mogę panu, panie Hurd, ofiarować za to żadnej nagrody – oznajmił Paul z westchnieniem.

– Och, nie ma sprawy. Wdowa, za radą Pasha, podwoiła nagrodę. Teraz wynosi ona tysiąc funtów, więc warto o nią zawalczyć, prawda?

– Hm...! – mruknął Paul markotnie. – Nie sądzę, żeby aż tak bardzo kochała męża.

Brązowe oczy Hurda rzuciły ogniste błyski, pokazując, że był podekscytowany, chociaż pozornie zachowywał się odpowiednio oziębłe.

– Tak – przyznał niefrasobliwie – z pewnością nie odgrywa roli zapłakanej wdówki w odpowiednio przesadzony sposób, ale teraz ma pieniądze –

a przynajmniej ma je jej córka – a to wychodzi na to samo. Wynajęły pokój w modnym hotelu na West Endzie i rozglądają się za domem do kupienia. Wszystkim rządzi stara i to ona stanie się kolejną ofiarą pana Haya.

– Co? On zna panią Krill? Nic mi o tym nie mówił.

– I słusznie. Nie znał ich, gdy obie panie przyszły do biura Pasha. Ale Hay, szukając bogatej żony, poprosił adwokata, żeby przedstawił go paniom, które były nim oczarowane. W ciągu kilku dni odrobił zaległości w stosunku do córki i teraz ciągle im towarzyszy w szukaniu domu. Mam nadzieję, że córka się w nim zakocha, ale to czy matka pozwoli na małżeństwo, tego nie jestem pewny.

– Z pewnością nie po tak krótkiej znajomości.

Hurd pochylił się, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zmienił zamiar.

– Doprawdy, sam nie wiem... Hay to przystojny mężczyzna, a co więcej fascynujący. Będzie się pan jeszcze z nim widział?

– Nie. Co prawda zaprosił mnie do siebie, ale te wszystkie kłopoty sprawiły, że wyleciało mi to zupełnie z głowy. Dlaczego pan pyta?

– Dlatego, że gdyby chciał się z panem widzieć, niech pan mu nie odmawia i idzie do niego.

– Przecież ostrzegał mnie pan przed nim.

– I teraz też ostrzegam – odparł detektyw sucho. – Proszę nie żądać ode mnie wyjaśnień, bo ich nie udzielę. Ale niech pan do niego idzie, jeżeli pana zaprosi i niech się pan pogodzi... szczególnie z panią Krill.

– Czy mogę ją u niego spotkać? – zapytał ze wstrętem Paul.

– Wyobrażam sobie, że tak. W końcu jest pan zaręczony w córką zamordowanego, a pani Krill – nie biorę pod uwagę jej narzędzia, córki Maud – podobno jest sprytna. Z pewnością nie spuści oczu z pana i panny Norman.

– Dlaczego? Ma już pieniądze i nie potrzebuje zwracać na nas uwagi.

Hurd w sugestywny sposób zamknął jedno oko.

– Pani Krill nie może być pewna tych pieniędzy, mimo że ma je prawnie według dziewięciu paragrafów na dziesięć. Pamięta pan ten skrawek papieru, który

znalazła służąca?

– W którym Norman ostrzegał Sylwię przed ujawnieniem jego poprzedniego nazwiska?

– Tak. Otóż to był niedokończony list. Przypuszczam, że ktoś staremu przerwał, lecz zdążył napisać w kilku wierszach – tu Hurd wyjął kopię ze swego notesu i odczytał: – *Jeżeli nazwisko Krill przedostanie się do gazet, wywoła ogromne kłopoty. Ukryj to, proszę, i nie ujawniaj. Powiem ci, gdzie znaleźć przyczynę, dla której to piszę...* i na tym list się kończył, ale – mówił Hurd, chowając list – pani Krill może jednak wiedzieć, z jakiego powodu Aaron Norman pisał ten list, a być może ten powód nie był dla niej zbyt przyjemny.

– Nadal nie rozumiem – rzekł oszołomiony Paul.

– No – przyznał detektyw, wstając i nakładając elegancki kapelusz – przyznaję, że to trochę mętne. Nie mam powodu podejrzewać pani Krill.

– Wielkie nieba, Hurd, chyba nie myślisz, że zamordowała swego męża?

– Nie. Mówiłem już, że nie mam powodu jej podejrzewać. Jednak ogólnie rzecz ujmując, nie lubię tej kobiety. Norman porzucił żonę z jakiegoś nieprzyjemnego powodu, z powodu, jak szczerze wierzę, mającego coś wspólnego z jego śmiercią. Nie twierdzę, że pani Krill go zabiła, ale jestem przekonany, że zna okoliczności, które mogą doprowadzić do ustalenia, kim jest morderca.

– W takim wypadku mogła zaoszczędzić swoje tysiąc funtów.

– Otóż to. Jeśli wie, to dlaczego podwaja nagrodę? Kobieta prostolinijna i szczerza podałaaby powód, ale ona jest osobą pokrętną; nie chciałbym mieć w niej wroga.

– Wydaje mi się, że jednak pan ją podejrzewa – stwierdził Paul sucho, mimo to z wyraźnym zaciekawieniem.

Hurd wzruszył ramionami.

– Nie, ale jestem na to przygotowany – odparł i ruszył ku drzwiom. – Nie jestem niczego pewien i chwilami błędzę. Istnieje ślad wiodący w przeszłość pani Krill oraz nikła wskazówka wypisana na tym skrawku papieru. Stary powinien był

zostawić jakiś dokument, który zapewne rozwiązałby całą zagadkę. Jednak mamy do dyspozycji jedynie niejasne aluzje.

– To prawda, ale nic więcej nie znaleziono.

– Niemniej jednak – kontynuował Hurd – prośba, żeby wydać klejnoty temu marynarzowi, napisana była pismem Normana i podpisana jego nazwiskiem.

– Sfałszowana.

– Nie. Pash, który zna się na pismach lepiej niż ktokolwiek, powiedział, że ten dokument jest autentyczny. Zatem, panie Beecot, co sprawiło, że Aaron Norman napisał tę prośbę dotyczącą swojej własności – przynajmniej jej części – i podpisał ją tuż przed śmiercią swoim nazwiskiem?

– Może zrobił to w dobrej wierze.

– Nie. Gdyby tak było, posłaniec by nie zniknął, gdy Pash wyruszył na Gwynne Street. On wiedział, co prawnik tam znajdzie, więc próbował od Pasha wyłudzić klejnoty. A ten skrawek papieru – Hard uderzył się w piersi – oraz domaganie się wydania klejnotów znajdujących się w posiadaniu Pasha to są tropy, którymi teraz podążę.

– A broszka z opalu? – zapytał Paul.

Hurd potrząsnął ponuro głową.

– Jej związek ze sprawą mnie nie dotyczy – wyznał.

ROZDZIAŁ XIV

KOLACYJKA U PANA HAYA

Detektyw dotrzymał słowa. Kilka dni później Paul został przedstawiony wydawcy tygodnika i otrzymał zamówienie na opowiadanie, które miał napisać przy współudziale pana Hurda. Wydawało się, że ów wydawca był dobrym znajomym detektywa, który wyplątał go z jakichś kłopotów karcianych. Wydawca okazał swą wdzięczność, a ponieważ w opowiadaniu zostało wykorzystane doświadczenie Hurda, nie mogło ono nie zainteresować czytelników. Ponadto Paul został zatrudniony do pisania krótkich opowiadań, które wydawca chciał zamieszczać w swoim tygodniku. W rzeczywistości Paul stał się bardzo szybko prawą ręką tego dżentelmena, który życzliwie odnosił się do osób wywodzących się z cyganerii artystycznej. Nazywał się Scott i szczególnie polubił Paula.

– Dam ci trzy funty tygodniowo – rzekł Scott, patrząc na niego zza dużych okularów i przeczesując żółtymi od tytoniu palcami długą, siwą brodę – możesz się za to utrzymać, ale żeby na to zarobić, przedstaw mi pomysły planowanych opowiadań. Potem co jakiś czas pogadaj z Hurdem i napisz coś, co – jestem tego pewien – będzie interesujące. Hurd ma mnóstwo dziwnych doświadczeń.

Była to prawda. Detektyw żeglował po dziwnych wodach, ale najdziwniejsze były te, które wiązały się ze sprawą Gwynne Street. Jednak swych późniejszych doświadczeń z tej sprawy nie przekazywał Scottowi, bowiem ten nie potrafił trzymać języka za zębami – co, jak Hurd podkreślił w rozmowie z Paulem, było w tej sprawie absolutnie nie do zaakceptowania.

– Jeżeli utrzymamy to w tajemnicy – argumentował – i pozwolimy, żeby wszyscy uznali, iż sprawa została zamknięta, będziemy mogli odwrócić od niej uwagę i w ten sposób spowodować, aby sami się z czymś zdradzili.

– Chciałbym wiedzieć, czy pan ma na myśli jedną, czy dwie osoby – rzekł rozdrażniony Paul, bowiem jego nerwy były napięte do granic wytrzymałości. – Wpierw mówił pan „morderca”, potem znowu „mordercy”.

– Nooo... – odparł Hurd, przeciągając samogłoski z uśmiechem – błędę w ciemności i jestem tylko z ciała i krwi ludzką istotą, a nie postacią wykreowaną na potrzeby pańskich opowiadań. Szukam po omacku i rozglądam się w poszukiwaniu światła. Jedna osoba, dwie osoby, trzy, a nawet cztery – kto wie, ile osób bierze w tym udział. Nie spiesz się, panie Beecot. Ja wierzę w to, co mówił pewien obcokrajowiec: „Bez pośpiechu, ale i bez wytchnienia”*.

– Tak pisał Goethe.

– Zatem Goethe był człowiekiem rozsądnym. Z pewnością czytał Biblię. A więc „nie spiesz się, gdy masz kłopoty” – tak było napisane w Piśmie Świętym.

– Doskonale – zgodził się Beecot. – Proszę więc robić to, co uważa pan za najlepsze.

– Mam taki zamiar – odparł Hurd chłodno. – Moje motto to spiesz się powoli. Pan właściwie jest już ustawiony wystarczająco, żeby przeżyć i ma pan perspektywy na przyszłość. Młoda dama czuje się wystarczająco szczęśliwa w towarzystwie kobiecego grenadiera, mimo jej skromnego domostwa. Pani Krill i jej córka cieszą się pięcioma tysiącami rocznie, a pan Grexon Hay tym, że ma w perspektywie oskubanie, kiedy to tylko będzie możliwe, tego młodego kurczątko, lorda George’a Sandala. A ja stoję z boku, czekam i obserwuję. Gdy nadejdzie czas, rzucę się na...

– Ach – wtrącił Paul – i oto jest pytanie. Na kogo?

– Na jednego, dwóch albo trzynastu – odrzekł Hurd spokojnie. – Moje kurczątko nie są jeszcze gotowe pod topór, więc ich nie liczę. Przy okazji, czy ten pański dawny kolega szkolny nadal jest tak przyjaźnie do pana usposobiony?

– Owszem. I sam nie wiem dlaczego, bo na pewno nie wyciśnie ze mnie ani centa. Jutro wydaje u siebie kolacyjkę, na którą zostałem zaproszony.

– Niech pan idzie – rzekł detektyw z naciskiem – ale niech pan nic nie mówi o kontaktach ze mną.

– Posłuchaj, Hurd, nie będę tam odgrywał roli szpiega, jeśli to ma pan na myśli.

– Nic takiego nie miałem na myśli – odparł poważnie detektyw. – Ale jeżeli spotka pan na tej kolacji panią Krill i jeżeli ona coś powie o swej przeszłości, to chciałbym wiedzieć, co to było.

– Och, nie sądzę, żeby to zrobiła – stwierdził z ulgą Beecot. – Mnie tak samo jak panu, o ile nawet nie bardziej, zależy na znalezieniu mordercy. Prawda – jak twierdzą – leży w ujawnieniu całej przeszłości pani Krill, tej przeszłości, która obejmuje okres, zanim Krill stał się Normanem. Pani Krill może znać tę przeszłość, a ja spróbuję wyciągnąć od niej wszystko, co tylko się da. Jednak Hay nie ma nic wspólnego z morderstwem i nie będę go szpiegował.

– Bardzo dobrze. Niech pan robi to, co chce, lecz jeżeli Hay nie ma nic wspólnego z tą sprawą, mimo wszystko uważam, że to on ukradł panu broszkę z opalu wtedy, gdy został pan wypchnięty na ulicę.

– A zatem Hay musi wiedzieć, kto zabił Normana! – wykrzyknął podekscytowany Paul.

– Chyba wie – zgodził się spokojnie Hurd – a więc teraz rozumie pan powód, dla którego tak bardzo interesuję się tym dżentelmenem.

– Jednak nie jest pan tego pewien.

– Oczywiście. Jak już powiedziałem, poruszam się w ciemności. Lecz Hay to człowiek niebezpieczny i zrobi wszystko, żeby zgarnąć pieniądze. Musiał mieć coś wspólnego ze zniknięciem broszki, tego jestem pewien, a jeśli tak, to wie więcej, niż chce powiedzieć. Poza tym... – Hurd zawahał się. – Nie! Powiem to panu później.

– Co pan powie później?

– Coś o Hayu, co pana zadziwi i sprawi, że zacznie pan myśleć, iż jednak ma coś wspólnego z morderstwem. Tymczasem niech się pan dowie jak najwięcej od pani Krill.

– Jeżeli ją tam spotkam – rzekł Paul, wzruszając ramionami.

Niewątpliwie Hurd więcej wiedział, niż zamierzał ujawnić Beecotowi, którego – mimo iż lubił i szanował – nie obdarzył pełnym zaufaniem. Detektyw zdecydował się, że wyjaśni mu pewne sprawy, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, tymczasem trzymał język na wodzy i poruszał się w obłokach, niczym homeryckie bóstwo. Ale jego oczy badały wszystko, co łączyło się ze zmarłym Aaronem Normanem, pośrednio i bezpośrednio, chociaż nikt nie wiedział, że jest przez niego obserwowany.

Paul nie miał skrupułów, żeby wycisnąć z pani Krill, co tylko się da. Co prawda nie wyobrażał sobie, żeby była zdolna zabić męża i zapewne nie znała osoby, albo osób, które uśmierciły tego nieszczęśnika w tak okrutny sposób. Lecz motywu zbrodni należało szukać w przeszłości Normana, a tę pani Krill zapewne znała.

Dlatego Paul z zadowoleniem stwierdził, że pani Krill i jej córka są gośćmi na kolacji Haya.

Pokoje tego dżentelmena były nieduże, ale luksusowo urządzone. Zajmował mieszkanie należące niegdyś do swego lokaja i urządził je w stylu godnym sybaryty. Lokaj i jego żona opiekowali się nadal Hayem, a na dodatek ten rozleniwiony dżentelmen zatrudniał szczupłego służącego o chytrym wyrazie twarzy, sprawiającego wrażenie, iż wie więcej, niż powinien. Panująca tam atmosfera była niewyraźna i wielce podejrzana, co Paul – prostolinijny młody człowiek – odczuł zaraz po wejściu do niewielkiego saloniku.

Urządzony był odpowiednio filigranowo, z dobrym smakiem zarówno co do koloru, jak i umeblowania. Sprawiał wrażenie bardziej kobiecego pokoju, a pan Hay nie szczędził kosztów w uczynieniu go miłym dla oka i wygodnym dla ciała. Przeważającą tonacją była jasna żółć i światło elektryczne sączyło się przez kuliste ambry o barwach cytryny. Meble Louisa Quinze były tapicerowane wzorem

pierwiosnków i leżało tam mnóstwo perskich modlitewników. Oraz wschodnich draperii. Ściany zdobiły akwarele i wewnątrz tego filigranowego pokoju odbijało się w wielu lustrach.

Na kominku wesoło płonął ogień, chociaż wieczór nie był zbyt chłodny. Wszystko tu wyglądało zachwycająco i robiło przyjemne wrażenie. Paul nie mógł oprzeć się porównaniu tego emanującego ze wszystkich stron luksusu ze smutkiem i biedą jego gołego poddasza. Ale z rozgrzewającą jego serce miłością Sylwii nie zamieniłby swego poddasza na cały splendor mieszkania Grexona Haya.

Przy ogniu siedziały dwie kobiety. Pani Krill w czerni, majestatyczna i spokojna jak zwykle. Na piersiach nosiła brylanty, w czarnych włosach miała wpięte jubilerskie gwiazdy z drogocennymi kamieniami. Chociaż już niezbyt młoda, nadal prezentowała się niezwykle atrakcyjnie; jej ręce i szyja były białe i pięknie ukształtowane. Była też doskonale ubrana od czubka głowy po dość duże stopy. Witając Paula, którego przedstawiał jej gospodarz, leniwie poruszała pięknym wachlarzem.

– Z zadowoleniem witam pana, panie Beecot – powiedziała niskim głosem. – Kiedy ostatnio się widzieliśmy, nasza rozmowa należała raczej do niezbyt miłych. Jak się miewa panna Norman?

– Zupełnie dobrze – Paul odparł grzecznie, tak grzecznie jak tylko go było na to stać. Robił, co mógł, żeby być uprzejmy, chociaż było to trudne wobec faktu, że ta masywna, ugrzeczniiona kobieta ograbiła Sylwię z jej majątku i teraz przemawiała do niego w tak protekcyjny sposób.

Jednak Beecot przełknął dumę i przyjął jej zachowanie bez ujawniania zbyt otwarcie odrazy. Pani Krill najwyraźniej uwierzyła, że jego spokój jest szczery, bowiem zaczęła się zachowywać niefrasobliwie.

Córka jej była ubrana podobnie jak matka, tylko zamiast brylantów zdobiły ją perły. Rzadko się odzywała, siedziała, uśmiechając się i sprawiając wrażenie młodszej kopii swojej rodzicielki.

Hay przedstawił też Paula przystojnemu, młodemu mężczyźnie około dwudziestu jeden lat, o raczej nijakiej twarzy. Był to lord George Sandal, gołąbek, którego Hay zamierzał oskubać, i chociaż miał czarujące maniery i światowe obycie, wyraźnie należał do tych arystokratów, którzy urodzili się w siodle i z uzdą w rękach.

Była też obecna trzecia dama, która przedstawiła się jako Aurora Qian i Hay szeptem poinformował przyjaciół, że jest aktorką. Wtedy Paul przypomniał sobie, że widział jej nazwisko w gazetach, gdzie pisano, że grywa w komediach. Była takim ładnym kociątkiem o puszystych włosach i wiecznie uśmiechniętej twarzy. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast między masywną, stanowczą i stateczną panią Krill i tą żywą, dziewczęcą kobietką, jednak Paul czuł instynktownie, że panna Qian mimo prezencji, dziwnego nazwiska i dziewczęcego chichotu, była osobą sprytniejszą, niż na to wyglądała. Wszyscy byli weseli, pogodni i gadatliwi; wszyscy oszczędzali Maud Krill, która uśmiechnięta, wachlując się, siedziała niczym posąg. Jedynie Hay poświęcał jej dużo uwagi i Paul wiedział dlaczego – zamierzał ożenić się z tą milczącą dziewczyną dla jej pieniędzy. Jednak mając taką apodyktyczną teściową (a pani Krill na pewno będzie taką teściową), z pewnością trudno mu będzie się do nich dobrać.

Kolacja była zachwycająca – doskonale przyrządzona, przepięknie i elegancko podana i spożyta w miłej atmosferze. Lampy z czerwonymi abażurami rzucały ciepłe światło na biały obrus, światło skrzyło się w kryształach i odbijało w srebrach. Goście sprawiali wrażenie Muz, może nawet bardziej Gracji – każdy zachowywał się pogodnie i beztrąsko. Tylko Maud Krill znowu trzeba było potraktować jako wyjątek.

Nie rozmawiała dużo przy jedzeniu, a mówiąc do kogoś, zawsze uśmiechała się. Paul przyglądając się jej spokojnej twarzy przez zabarwiony różem blat stołu i zastanawiał się, czy naprawdę jest taka spokojna, na jaką wygląda i czy naprawdę brakowało jej rozumu, który zdawała się posiadać za nią jej matka.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Beecot – rzekł Hay z uśmiechem.

– Ja też się bardzo cieszę – odparł Paul, dostosowując się do sytuacji – szczególnie z powodu tak miłego towarzystwa.

– Jeszcze nie jest pan za bardzo znany – zauważył lord George.

– Nie. Jestem biednym, początkującym pisarzem, który dopiero zdobywa ostrogi w tym zawodzie.

– Ja też chciałem zostać pisarzem – oświadczył młody lord – ale obmyślanie fabuł to straszna mordęga.

– Pewnie chciałby pan, żeby ktoś podsuwał mu pod nos gotowe fabuły – wtrąciła pani Krill, spokojnie, choć nieco pogardliwie zwracając się do Paula.

– O, nie! Pisząc opowiadania dla młodzieży, przeczesuję historię własnej rodziny. Mnóstwo w niej zabawnych historyjek.

– Ale pańskiej rodzinie może się to nie spodobać – zachichotała panna Qian. – Ja też znam różne historie z mojej rodziny i znam wielu krewnych, którzy chętnie by je przeczytali, gdyby je pan Beecot opisał... – Wzruszyła drobnymi ramionami. – Och, kochani, co to byłaby za awantura!

– Myślę, że każdy trzyma jakiś szkielet w szafie – zauważył grzecznie Hay, całkowicie ignorując fakt trzymania u siebie podobnego sublokatora.

– W mojej rodzinie jest co najmniej dwanaście szaf ze szkieletami – zdradził młody lord. – Na przykład moja ciotka, lady Rachel Sandal, została ponad dwadzieścia lat temu zamordowana. A teraz – rozejrzał się po stole – kto może coś opowiedzieć o morderstwie w swojej rodzinie, panie i panowie?

Paul zerknął na panią Krill, zastanawiając się, co na to powie i dziwiąc się, dlaczego lord George nie wie, że była wdową po zamordowanym Lemuelu Krillu, którego nazwisko został szeroko rozpowszechnione. Lecz Hay, ubiegłszy wszystkich, stwierdził autorytatywnie.

– Jakiż to niemiły temat – rzekł ze wzruszeniem ramion – pomówmy o mniej melodramatycznych sprawach.

– Ach... dlaczego? – zaoponowała pani Krill, wachlując się. – Lubię słuchać historyjek o morderstwach.

Lord George dziwnie na nią spojrział.

Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Paul przez moment pomyślał, że wie coś o zbrodni przy Gwynne Street i nawet zamierza na ten temat wtrącić uwagę. Lecz jeśli tak było, to dobre wychowanie podpowiedziało mu, że teraz nie byłoby rozsądnie mówić o tym i poprosił o kolejny kieliszek wina.

Panna Aurora Qian przenosiła swój bystry wzrok od jednej osoby do drugiej.

– Ja lubię czytać *Newgate Calendar*** – oznajmiła, klaszcząc w dłonie. – Tyle tam wspaniałych intryg i dramatów. Nie sądzi pan, panie Beecot?

– Nie czytuję tego rodzaju literatury, panno Qian.

– Zatem nie wie pan, do jakiego okrucieństwa zdolni są ludzie.

– I nie chcę wiedzieć – odparł Paul, stwierdzając, że ten temat jest obrzydliwy i zastawiając się, dlaczego aktorka uważa go za zajmujący. – Wolę pisać opowiadania wzbogacające umysł.

Panna Qian skrzywiła się i rzuciła mu znaczące spojrzenie.

– Nie opłaca się – zachichotała – nie warto ich pisać za te pieniądze.

– Obawiam się, że mnie nie za bardzo chodzi o pieniądze.

– Coś tu się nie zgadza – wtrąciła pani Krill, zwracając się do niego półgłosem. – Wnioskuje to ze sposobu, w jaki pan rozmawiał z panem Pashem w jego biurze.

– Musiałem bronić praw innej osoby.

– I zostanie pan za to nagrodzony – odparła znacząco, ale Paul nie zrozumiał, co przez to miała na myśli.

Zmieniono temat i pozostała część kolacji przebiegła względnie spokojnie. Lord George rozmawiał o wyścigach konnych, a Hay prowadził z nim na ten temat dyskusję. Pani Krill wydawała się zszokowana.

– Nie cierpię hazardu – oświadczyła lodowato.

– Mam nadzieję, że na takim jak ten, który zaproponujemy, nie straciłaby pani wiele – rzekł Hay. – Lord George i ja chcielibyśmy zagrać w brydża z paniami w sąsiednim pokoju.

– Maud może zagrać w parze z panną Qian – zaproponowała wdowa. – A ja porozmawiam sobie z panem Beecotem, chyba że bardziej interesuje go zielony stolik.

– Nie, wolę raczej porozmawiać z panią – odparł Paul, kłaniając się.

Pani Krill skinęła głową i wyszła z pokoju z obiema młodszymi kobietami.

Trzech dżentelmenów napełniło kieliszki porto i Hay przyniósł skrzynkę cygar. Po chwili palili, rozmawiając przyjaźnie. Lord George opowiadał o wyścigach i kartach, a także o tym, że w tym dniu nie miał szczęścia. Hay mało mówił i od czasu do czasu rzucał okiem na Paula, żeby się przekonać, jak ocenia rozmowę. W końcu, gdy Sandal stał się nieco nerwowy w temacie swoich przegranych, Hay szybko zmienił temat i równie szybko napełnił kieliszki.

– Wypijcie zdrowie moje i mojej przyszłej panny młodej – wzniósł toast.

– Czyje? – wykrzyknął Paul, wpatrując się w niego. – Panny Krill?

– W rzeczy samej – odparł chłodno Hay. – Widzisz więc, że poważnie potraktowałem twoją radę i zamierzam ją zrealizować w praktyce. Pash przedstawił mnie obu paniom, kiedy następnym razem przyszły do jego biura i od tego czasu prawie nieustannie przebywam razem z nimi. Ponieważ panna Krill jest wolna, więc za zgodą jej matki została przyrzeczona mi na żonę.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego – wtrącił lord George, opróżniając kieliszek i napełniając go ponownie – i na Jowisza! Spodziewam się, że będzie miała pieniądze!

– O, tak, ona jest zamożna – rzekł Hay. – Co na to powiesz, Paul?

– Gratuluję ci – wyjąkał oszołomiony Beecot – ale to takie niespodziane... Przecież znasz ją tylko trochę więcej niż miesiąc.

– Coś około pięciu tygodni – odpowiedział Hay, po czym uśmiechając się i ścisząc głos, dodał: – Nie mogę sobie pozwolić na zwłokę. Czas ucieka. Ta młoda koza może bryknąć mamuśce, gdy pani Krill wszystko prawnie jej załatwi.

– Ciekaw jestem – wtrącił nagle lord George – kim jest ta pani Krill? Już gdzieś słyszałem to nazwisko.

– Nie jest to jakieś nieznane nazwisko – rzekł szybko Hay. – To bogata wdowa, która niedawno przybyła do Londynu.

– Skąd pochodzi?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Z jakichś pustkowi w Yorkshire. Ale lepiej spytaj ją sam.

– Och, na Jowisza, nie, nie chcę być niegrzeczny. Ale wydaje mi się, że gdzieś już słyszałem to nazwisko. – Paul pomyślał, że jeśli czytywał gazety, to z pewnością trafił na nie i już był skłonny poczynić niestosowną uwagę na ten temat, ale w tym momencie ugryzł się w język, bowiem Hay spojrzał na niego znacząco. Co więcej, gdy dopili wino, aby dołączyć do pań, Hay chwycił przyjaciela za ramię i pociągnął do korytarza.

– Ani słowa o tej śmierci – rzucił cicho. – Sandal nie kojarzy pani Krill z zamordowanym. A ona nie chce, żeby to się rozeszło.

– W takim razie niech jak najszybciej wyjeżdża z Londynu.

– Zamierza to zrobić. Po zawarciu ślubu z Maud wyjedziemy w podróż na rok, dwa, aż cały skandal z tym morderstwem ucichnie. Na szczęście nazwisko Lemuel Krill nie jest często wymieniane w gazetach, a Sandal nie widział ulotek. Myślę, że zgadzasz się ze mną, iż milczenie i cisza to coś w tym wypadku najrozsądniejszego.

– Owszem – zgodził się Paul. – Myślę, że tak.

– Gratulujesz mi zaplanowanego małżeństwa?

– Oczywiście. Teraz, być może, będziesz żył jak Falstaff, po pasowaniu go na rycerza.

Hay nie zrozumiał aluzji i patrzył na Paula, jakby oczekując wyjaśnienia. Jednak zabrakło już na to czasu i musieli iść do salonu. Prawie w tym samym momencie pani Krill skinęła na Paula, żeby dołączył do niej.

– Teraz – rzekła – porozmawiajmy o pannie Norman.

* Tym obcokrajowcem był Johann Wolfgang von Goethe. Pisał w zbiorze *VI Praca i odpoczynek – Ohne Hast, ohne Rast* (przyp. tłum.).

** Inaczej też *Krwawy Rejestr Złoczyńców* z XVIII i XIX wieku. Początkowo był to Biuletyn egzekucji spisywany przez strażnika więzienia Newgate w Londynie (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XV

NOWY TROP

– Nie chcę z panią rozmawiać o pannie Norman – Paul oświadczył prosto z mostu.

– A zatem nie jest pan naprawdę w niej zakochany – ripostowała wdowa.

– Nie zgadzam się z panią. Ktoś naprawdę zakochany nie będzie z każdym rozmawiał o sekretach swego serca. Poza tym pani uwagi podczas naszego ostatniego spotkania były w złym guście.

– Przepraszam – odpowiedziała natychmiast pani Krill – już więcej nie urażę pana w ten sposób. Wtedy pana nie znałam, ale odkąd pan Hay opowiedział mi o panu i zaczęłam pana poznawać, zaczęłam też pana doceniać, panie Beecot.

Lecz Paul nie dał się zwieść pochlebstwom. Im bardziej była dla niego uprzedzająco grzeczna, tym mocniej czuł, że musi być czujny i bardzo mądrze słuchał podpowiedzi swego instynktu.

– Obawiam się, że pani jednak mnie nie zna, pani Krill – stwierdził zimno. – Gdyby było inaczej, nie zaprosiłaby mnie pani do rozmowy o osobie, z którą zamierzam się ożenić.

– Należy pan do ludzi, z którymi trudno się porozumieć – rzekła, ściągając gęste brwi. – Jednak lubię też ludzi trudnych. Dlatego podziwiam pana Haya; nie jest głupim, bezużytecznym motylem, tak jak obecny tu lord.

– Rzeczywiście, nie jest głupi, ale wątpię, by był użyteczny. Na tyle, na ile go znam, mogę powiedzieć, że zajmuje się tylko sobą i nikim więcej.

– Oświadczył się mojej córce.

– Rozumiem – odparł grzecznie Beecot. – Ale ta sprawa należy wyłącznie do pani oceny.

Pani Krill nadal uśmiechała się spokojnie, jednak przez cały czas sprawiała wrażenie skonsternowanej. Od chwili pojawienia się Beecota uznała, że to jeden z tych mężczyzn, których może sobie owinąć wokół palca. Jednak okazał się nie tak łatwy do kierowania, jak się spodziewała i teraz na moment zamilkła, patrząc w kierunku stoliczka brydżystów, przy którym cztery osoby siedziały pochłonięte grą.

– Pan z pewnością tego nie aprobuje, prawda?

– Nie – potwierdził Paul spokojnie – nie aprobuję.

– Jest pan purytaninem, jeśli wolno spytać?

Beecot potrząsnął przecząco głową i roześmiał się.

– Jestem prostym człowiekiem, który próbuje wypełniać swoje obowiązki na tym świecie – rzekł – ale który bardzo często natrafia na trudności.

– Jak pan definiuje te obowiązki, panie Beecot?

– Powinniśmy zacząć wreszcie postępować etycznie – stwierdził Paul z uśmiechem. – Nie bardzo wiem, jak mam dokładniej na to pani odpowiedzieć.

– Zatem spróbujemy o tym pomówić na następnym spotkaniu. Mam bowiem nadzieję – odparła pani Krill, zmuszając się do uśmiechu, chociaż ten wymuszony uśmiech okazał się raczej posępny – że będziemy się często spotykali. Musi pan nas odwiedzić. Właśnie wprowadzamy się do domu w Kensington.

– Wybranego przez pana Haya?

– Tak! On jest naszym mentorem w londyńskim środowisku. Nie sędzę – dodała, obserwując wyraz jego twarzy – żeby pan lubił pana Haya.

– Wobec faktu, że teraz jestem jego gościem – odrzekł Paul sucho – nie mogę odpowiedzieć na to nietaktowne pytanie.

– Ja nie zadałam pytania. To było proste stwierdzenie faktu.

Beecot doszedł do wniosku, że ta rozmowa stała się krępująca. Planował wycisnąć z pani Krill jak najwięcej informacji, tymczasem ta kobieta próbowała robić to samo w stosunku do niego, czego bynajmniej nie chciał tolerować. Zmienił więc temat rozmowy na bardziej atrakcyjny dla niego.

– Miała pani zamiar rozmawiać ze mną o panie Norman.

– Zgadza się – odparła pani Krill, błyskawicznie orientując się w jego zamiarze. – Jednak ten temat jest tak samo niezręczny, jak ten dotyczący Haya.

– Oba tematy są bardzo osobistej natury, pani Krill. Niemniej, jeśli ma pani coś do powiedzenia mnie, coś, czego chętnie wysłuchałaby też panna Norman, jestem do usług.

– Ach! Teraz zachowuj się pan dużo rozsądniej – odpowiedziała uprzejmie. – To co ja czuję, jest czymś zupełnie normalnym, jest mi po prostu bardzo przykro z powodu tej dziewczyny. To przecież nie jej wina, że wbrew woli znalazła się w tak przykrew sytuacji. Nie mogę nadać jej nazwiska, bowiem jej ojciec popełnił grzech przeciwko niej, tak jak w inny sposób popełnił go względem mnie, ale mogę... za pośrednictwem mojej córki, która jest mi posłuszna... przyznać jej pewnego rodzaju wynagrodzenie za poniesioną krzywdę. Nie czuję się bowiem upoważniona do przejęcia wszystkich pieniędzy ze spadku.

– Tymi pieniędzmi powinna dysponować pani córka – wtrącił Beecot.

– Ja i moja córka stanowimy jedno – odparła pani Krill spokojnie – i gdy mówię za siebie, mówię też w jej imieniu. Ale, jak już powiedziałam, nie czuję się kompetentna, by stać się przyczyną biedy panny Norman. Więc proponuję przyznać jej pięćset funtów rocznie – na pewnych warunkach. Czy myśli pan, że ona to przyjmie, panie Beecot?

– Myślę, że mogłaby przyjąć, chociaż wszystko zależy od tych warunków.

– Są bardzo proste – powiedziała pani Krill swym niskim głosem i patrząc prosto w oczy Paula. – Gdy wyjdzie za pana, wyjedziecie oboje do Ameryki.

Twarz Beecota nie zmieniła wyrazu od chwili, gdy spoczął na niej twardy wzrok pani Krill. Jednak Paul, pod maską obojętności, krył wielkie zaniepokojenie,

dlaczego stawia taki warunek. Czemu ta kobieta chce, by Sylwia po poślubieniu Paula udała się na emigrację? Zaczął zatem grać na czas.

– Zrozumiałem, że pani życzeniem jest, aby panna Norman poślubiła mnie – zaczął powoli – to oczywiste... Bardzo mi miło, że się pani tym interesuje. Jednak nie rozumiem, dlaczego po ślubie mamy wyjechać do Ameryki?

– Powód jest zupełnie oczywisty – odpowiedziała pani Krill tak samo czujnie i spokojnie jak przedtem. – Sylwia Norman jest młodą dziewczyną o niezbyt dobrej reputacji i słabym charakterze...

– Nie zgadzam się z panią.

– No dobrze, przyznajmy więc, że ma charakter, ale na pewno brak jej doświadczenia. Świat jest pełen pokus i zasadzek. Z winy ojca znalazła się w złej pozycji. Ona sama jest zupełnie niewinna, więc chcę jej to jakoś wynagrodzić i ułatwić szczęśliwe życie. Właśnie dlatego uważam, że powinna wyjść za pana za męża.

Paul skłonił się, ani przez moment nie wierząc w jej filantropijne chęci.

– Powtarzam jeszcze raz, to dobre dla pani – stwierdził z ironią – ale nawet jeżeli usunę się z pani drogi, służąca Sylwii, Deborah Tawsey, nadal będzie się nią opiekować. Natomiast Sylwia bez względu na wszystko i tak zostanie moją żoną, jak tylko będzie mnie stać na stworzenie jej prawdziwego domu.

– Może pan to zrobić choćby jutro, o ile przyjmie pan moją ofertę – rzekła pani Krill niecierpliwie.

– Dom w Ameryce – zapytał Paul – dlaczego?

– Myślę, że oboje będziecie chcieli być daleko od miejsca, w którym byliście świadkami tak okropnej tragedii.

– Istotnie – Paul nie zamierzał dyskutować na ten temat. – Przypuśćmy, że przyjmiemy pani ofertę – która, muszę przyznać, jest wspaniałomyślna – sugerującą, żebyśmy wyjechali do Stanów.

– Albo do Kanady lub Australii czy – tak naprawdę – dokądkolwiek, byle byście opuścili Anglię. Podkreślam wobec pana, ryzykując nawet zranienie

pańskich uczuć, panie Beecot, ja chcę, aby ta dziewczyna wyjechała z Londynu. Mąż traktował mnie bardzo źle – zawsze był brutalem – i nie chcę mieć tej dziewczyny przed oczami.

– Przecież ona jest niewinna.

– Nie będę tego powtarzać po raz setny – odparła niecierpliwie pani Krill. – To może być tematem innej dyskusji. Akceptuje pan moją ofertę?

– Wpierw muszę przekazać ją panie Norman. To ona podejmie decyzję.

– Jednak będzie pan w pełni uprawnomocniony do decydowania, gdy zostanie pan jej mężem.

– Przepraszam, ale nie. Nigdy nie będę przejmował pełnej odpowiedzialności za drugą osobę na siebie. Przekażę panie Norman to, co mi pani powiedziała, i dostarczę pani jej odpowiedź.

– Dziękuję – powiedziała pani Krill łaskawie. Wyraźnie zirytowało ją, że złota przynęta nie została natychmiast połknięta i mimo jej uprzedzającej grzeczności Paul dostrzegął, że była zdenerwowana, tym bardziej dało się to widzieć, gdy zaczęła wyjaśniać: – Oczywiście rozumie pan, co sama czuję.

– Wyznam, że niezupełnie. Oczywiście faktem jest, że w oczach ogółu jest pani związana z morderstwem...

– Przykro mi – szybko wtrąciła – ale nie jestem. Nazwisko Krill rzadko było wymieniane. Ogół wie, że zamordowano Aarona Normana. Być może spotkam ludzi, którzy mieli styczność z oboma nazwiskami i będą na mnie krzywo patrzeć, lecz większość – takich jak tu obecny lord George – wskazała wachlarzem – nie myśli o mnie w taki sposób. Oni pamiętają moje nazwisko...

– Lord nic nie mówił o pani – wtrącił szybko Paul.

– Ale zrobił to w rozmowie z Hayem, który z kolei powiedział to mnie – szybko wyjaśniła pani Krill.

– Dziś wieczorem? – zapytał Beecot, pamiętając, że Hay nie rozmawiał z panią Krill na osobności po wyjściu z jadalni.

– O, nie... przy innej okazji. Lord George kilka razy nadmieniał, że kojarzy moje nazwisko. Być może mój związek z zamordowanym jakoś wyleciał mu z głowy, a on jest doprawdy tak głupi, że jak mniemam zapomniał już wszystko o całej sprawie.

– Dziwię się, że pani nie zmieniła nazwiska – stwierdził Paul, patrząc na nią badawczo.

– I nie zmienię, chyba że zmusi mnie do tego opinia publiczna – odparła buntowniczo. – Zawsze prowadziłam otwarty tryb życia – jawny i uczciwy, nie taki jak mój mąż.

– Dlaczego on zmienił nazwisko? – natychmiast zapytał Beecot, zapytał w istocie na tyle szybko, żeby nie mogła zmienić tematu.

– Dlaczego pan pyta? – zapytała zimno.

Paul wzruszył ramionami.

– No cóż, to takie zwykłe pytanie, pani Krill. Ale nie chcę wymuszać na pani zwierzeń.

– To nie jest żadne wymuszanie – odparła. – Po prostu przypadł mi pan do gustu, panie Beecot, i chętnie powiem panu wszystko o sobie.

– Liczę, że powie mi pani też o tym, czego nie zechce zrobić.

– Tak, ale raczej powinnam zrobić – sprostowała pani Krill bez ogródek – a co może zapobiec pańskiemu błędnemu mniemaniu, jakie pan sobie o nas wyrobił na skutek usłyszanych plotek. Prawdziwe nazwisko mego męża brzmiało Lemuel Krill. Poślubił mnie trzydzieści lat temu. Chcąc być z panem szczerą, przyznaję, że żadne z nas nie należało do ludzi o łagodnym usposobieniu. Prowadziliśmy zajazd na peryferiach Christchurch, w Hants, o nazwie „Czerwona Świnia”. – Mówiąc to, spojrzała na niego z obawą.

– Dziwna nazwa.

– Pewnie nigdy przedtem jej pan nie słyszał.

– Nie. Gdybym ją słyszał, utkwiliby mi w pamięci ze względu na osobliwość nazwy.

Może Paul się mylił, ale zdawało mu się, że pani Krill odetchnęła z ulgą. Jeżeli miała coś do ukrycia w związku z „Czerwoną Świnia”, to dlaczego w ogóle wymieniła tę nazwę?

– Nie był to hotel pierwszej kategorii – kontynuowała spokojnie, znowu z tym samym fałszywym uśmiechem. – Naszymi klientami byli przeważnie robotnicy rolni. Ale byli to dobrzy klienci i byliśmy z nich bardzo zadowoleni. Niestety potem mój mąż zaczął pić.

– Ale, z całym szacunkiem, zmienił się – wtrącił szybko Paul – bowiem przez cały czas gdy ja go znałem – a trwało to sześć miesięcy – nigdy nie widziałem go pijanego i na pewno nie słyszałem od kogoś, kto go znał, żeby nadużywał alkoholu. Niemniej jednak – dodał Paul, gdyż przypomniawszy mu się rozmowa z Sylwią w parku nad brzegami Tamizy – mógłbym sobie wyobrazić, wnioskując z bladości jego twarzy, drżących rąk i napiętej skóry, że pije.

– Zgadza się. On pił. Pił w dużych ilościach brandy i – co dziwne – nigdy nie był pijany.

– Co pani przez to rozumie? – zapytał zaciekawiony Beecot.

– No – odpowiedziała pani Krill, szczypiąc wierzch wachlarza i nie odrywając od niego wzroku. – Lemuel – nazwała go starym imieniem – Lemuel nigdy nie czerwieniał na twarzy i nawet po latach icia nie wykazywał takiej tendencji i braku umiaru. Ręcezasami mu się trzęsły, ale nigdy nie zauważyłam, żeby jego skóra była napięta, jak pan to określił.

– A także szklisty wzrok – uzupełnił Paul.

– Tak. Tego też nigdy nie zauważyłam. Pił, ale nigdy nie tracił głowy ani równowagi – ciągnęła pani Krill – natomiast wstępował w niego demon.

– Demon?

– Tak – potwierdziła stanowczo. – Z reguły był nieśmiałym, nerwowym człowiekiem, niczym wystraszony królik, i nie skrzywdziłby nawet muchy. Ale alkohol – jak pan wie – zmienia człowieka w jego przeciwieństwo.

– Słyszałem o tym.

– A konkretny przykład mógł pan widzieć w Lemuelu – odpowiedziała. – Pijąc brandy, stawał się królem, sułtanem. Z nieśmiałego zmieniał się w człowieka śmiałego, krzykliwego; z człowieka, który nikomu nie szkodził, stawał się kimś, kto zdolny był mordować. Często ruszał na mnie z pięściami, ale zazwyczaj udawało mi się uciec. Będąc trzeźwy, jęczał i przepraszał w wyjątkowo łzawy sposób. Nienawidziłam go, gardziłam nim – ciągnęła z błyskiem w oczach, ale jednocześnie pilnując, żeby jej głosu nie słyszeli gracze w brydża. – Byłam głupia, wychodząc za niego za mąż. Mój ojciec miał farmę i odebrałam dobre wykształcenie. Zwabił mnie atrakcyjny wygląd Lemuela i uciekłam z nim z posiadłości ojca w Buckinghamshire.

– To tam gdzie jest też Stowley – mruknął Paul.

– Stowley? – powtórzyła obdarzona dobrym słuchem pani Krill. – Tak. Znam to miasto. Dlaczego pan je wymienił?

– Pani mąż miał przebite wargi szpilką broszki z opalu.

– Pamiętam – pani Krill odparł spokojnie. – Mówił mi o tym pan Pash. Ale nie odkryto, w jaki sposób broszka została do tego użyta... to było przerażające. – Zadrżała.

– Mój ojciec kupił broszkę od właściciela lombardu w Stowley i sprezentował ją mojej mamie, która z kolei przysłała ją mnie. Zgubiłem ją podczas wypadku i nie wiem, kto ją znalazł.

– Pewnie znalazł ją morderca – oświadczyła stanowczo pani Krill – bo inaczej nie zostałyby wykorzystana w tak okrutny sposób; chociaż dlaczego użyto do tego akurat tej broszki, zupełnie nie rozumiem. Przypuszczam, że mój mąż nie powiedział panu, czemu chciał odkupić od pana akurat tę broszkę?

– Kto pani powiedział, że chciał ją ode mnie odkupić? – zdziwił się Paul.

– Pan Pash. On opowiedział mi wszystko o tej sprawie, ale nie podał przyczyny, dla której mój mąż chciał mieć broszkę.

– Pash tego nie wiedział – odrzekł Paul – podobnie jak ja. Gdy pierwszy raz pokazałem mu broszkę, pani mąż zasłabł. Nie wiem dlaczego. Nic mi potem nie

wyjaśnił.

Twarz pani Krill ponownie, mimo jej starań, zdradziła uczucie ulgi z powodu jego braku wiedzy na ten temat.

– Wróćmy jednak do mojej opowieści – oznajmiła stanowczym tonem. – Wkrótce wyjechaliśmy. Ja i Lemuel, który następnie rozpoczął wędrowkę z biżuterią. No, wie pan, widział w tym dobry interes, wiedza na ten temat pozwoliła mu potem otworzyć lombard.

– I udało mu się zgromadzić fortunę.

– Pod tym względem nigdy nie darzyłam go uznaniem – stwierdziła pani Krill pogardliwie. – Podczas gdy w Christchurch był tylko pijakiem, trwożliwym na trzeźwo, zaś ogarnięty szalem, gdy się upił, ja musiałam prowadzić cały dom i pielęgnować małą córeczkę. Lemuel podarował mi pieskie życie i wieczne kłopoty. W końcu, gdy Maud wystarczająco podrosła, żeby być mi towarzyszką w niedoli, Lemuel wyjechał. Sama zajęłam się „Czerwoną Świnia” i czekałam na niego. Nigdy jednak już nie wrócił i przez dwadzieścia lat nic o nim nie słyszałam, aż nagle trafiłam na ulotkę z jego podobizną i usłyszałam o jego śmierci. Przyjechałam do pana Pasha... resztę już pan zna.

– Dlaczego uciekł? – spytał Paul.

– Może był zmęczony życiem, jakie pędził i tym, że go nienawidziłam? – brzmiała odpowiedź. – Nic dziwnego, że uciekł od tego. To już wszystko, co mogłoby pana interesować. Pana zadaniem jest przekazanie pannie Norman mojej oferty i przekonanie jej, żeby ją przyjęła. A teraz... – Wstała i wyciągnęła rękę. – Ja też powinnam już wracać do domu. Zechce pan nas odwiedzić? Pan Hay poda panu adres.

– O co chodzi? – zapytał Hay, wstając od stoliczka z kartami. – Pan Becot chce pani adres? Oczywiście. – Podeszedł do stołu i zapisał na wizytówce. – Oto on: „Hunter Street. Kensington, nr 32A”. Przypuszczam, że wkrótce odwiedzi cię mój najlepszy służący. – I posłał czułe spojrzenie Maud, która odpowiedziała zwykłym u niej uśmiechem.

Tymczasem zakończono partię brydża. Maud przegrała kilka funtów, a lord George dużo, dużo więcej. Wygranymi byli Hay i panna Qian.

– Co za nieszczęście! – jęknął młody lord. – Wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

– Wobec tego, gdy panie nas opuszczą, spróbujmy innej gry – zasugerował Hay. Jego dotąd nieruchoma twarz bez wyrazu teraz się rozjaśniła. – Następnie Beecot...

– Muszę już iść – przerwał młody dżentelmen, nie chcąc uczestniczyć w jakiegokolwiek awanturze karcianej.

– Ja też muszę się oddalić – dodał lord George. – Zawsze przegrywam, gdy gram z tobą, Hay.

– Co masz na myśli? – zapytał surowo Grexon.

– Och, on nic takiego nie miał na myśli – wtrąciła panna Qian słodko i otuliła się płaszczem. – Panie Beecot, będzie pan tak łaskaw odprowadzić mnie do dorożki?

– A ja odprowadzę panie do waszej dorożki – rzekł Hay, podając ramię pani Krill, która życzliwie je przyjęła.

Lord George poszedł za nimi, przed wiecznie uśmiechniętą Maud, nieustannie zrzedząc. Panna Qian wsunęła się do dorożki, proponując Paulowi podwiezienie do miasta, ale odmówił. Gdy dorożka ruszała, wychyliła się i szepnęła:

– Bądź ostrożny – rzucając ukośne spojrzenie na Haya.

Paul zaśmiał się. Zdawało się, że wszyscy mają coś do jego szkolnego kumpla. Ale ten dżentelmen, odprowadzając do dorożki panią Krill i jej córkę, rzucił lordowi George'owi uprzejme pytanie:

– Na pewno nie chcesz rewanżu dziś wieczór?

– Nie dołuj mnie – odparł młody lord, nadąsany.

– Wobec tego odwiozę panią Krill na Kensington, potem pojedę tą dorożką na Piccadilly. Dobranoc Sandal, dobranoc Beecot.

Pokiwał im, panie też skłoniły się grzecznie i cała trójka odjechała.

Lord George zapalił cygaro i idąc ulicą, ujął Beecota pod ramię.

- Chodźmy do mojego klubu – zaproponował.
 - Nie, dziękuję – odparł uprzejmie Paul. – Muszę wracać do siebie.
 - Nalegam. Nie lubię być sam, a pan wydaje się dobrym kompanem.
 - No dobrze – zgodził się Beecot, myśląc, że może warto zamienić słówko z tym młodym głupcem – ale nie uprawiam hazardu.
 - Uważa pan, że to ubliżające, prawda?
 - No... tak, myślę, że to głupie.
 - Bo jest głupie – zgodził się lord George szczerze – piekielnie głupie. Hay miał cały czas szczęście. Zastanawiam się, czy grał uczciwie.
- Był to niebezpieczny teren i Paul stchórzył.
- Nie mam pojęcia. Naprawdę – odparł chłodno. – Nie gram w karty.
 - A co pan wie o Hayu? – zapytał Sandal.
 - Tylko tyle, że chodził ze mną do szkoły w Torrington. Pewnego dnia spotkaliśmy się w Londynie i zaprosił mnie na kolację.
 - Torrington. Tak, kiedyś do tej szkoły uczęszczał mój brat – rzekł lord George – ale pan i Hay nie pasujecie do siebie, jak sędzę. Pan jest szczerzy, prostolinijny, natomiast on...
 - Zapomina pan, że przed chwilą jedliśmy u niego kolację... – Paul szybko przerwał.
 - Co z tego? Jadam często z nim i zawsze drogo mnie kosztuje ten przywilej. W ostatnich kilku miesiącach straciłem u niego co najmniej kilka tysięcy funtów.
 - W takim razie mogę panu tylko doradzić, żeby przestał pan grać w karty. To bardzo łatwe – odparł Paul sucho.
 - Nie jest łatwo zrezygnować z gry w karty – stwierdził ponuro Sandal. – Hazard to moja pasja i tylko wtedy wydaje mi się, że żyję, gdy czuję w ręce karty albo kości do gry. Być może jest to coś podobnego do nałogu picia alkoholu.
 - Przyjmij moją radę, lordzie George, i przestań grać w karty.
 - Z Hayem? To ma pan na myśli? – zapytał chytrze lord George.
 - Z każdym. O Hayu nie wiem nic więcej, poza tym co panu powiedziałem.

– Hmmm... – mruknął Sandal – nie sędzę, żeby pan był taki jak on. Ja może i wyglądam na głupiego, ale wcale taki nie jestem i widzę przez ceglany mur to co inni mądrze.

– A kto w ogóle nic nie widzi? – Paul interpolował sucho.

– Ha! Ha! A to dobre. Ależ ja mówię o Hayu. Że mu ten los jakoś dziwnie sprzyjał dziś wieczorem.

– Nie chcę o tym rozmawiać – stwierdził Paul sztywno. Nie chciał zdradzać człowieka, z którym „przełamał się chlebem i solą”.

Sandal kontynuował tak, jakby go nie słyszał.

– Ta aktoreczka to zabawna kobietka – mówił. – Widziałem ją w Trivality... ładnie śpiewa i tańczy. Ale tamte dwie kobiety?

– Pani i panna Krill.

Młody lord zatrzymał się nagle na High Street.

– Gdzie ja już słyzałem to nazwisko? – Uniósł wzrok i wpatrywał się w gwiazdy. – Gdzieś... może na prowincji? Czasami jeżdżę do Hall, tam gdzie rezyduje mój ojciec. Pewnie nie wie pan, gdzie to jest. To trzy mile od Christchurch.

– Tam gdzie leży Hants – dopowiedział Paul, czując, że jest blisko prawdy.

– Tak. Był pan tam?

– Nie. Ale już słyzałem o tym miejscu. Jest tam zajazd o nazwie „Czerwona Świnia”, który, jak sędzę...

– Ha! – wykrzyknął Sandal tak głośno, że przechodnie myśleli, iż jest pijany. – Pamiętam tę nazwę „Czerwona Świnia”, prowadzi go kobieta nazwiskiem Krill.

– Ale to chyba nie ta sama – stwierdził Paul, nie chcąc zdradzać pani Krill.

– Tak, ma pan rację, bowiem gdyby nią była, nie miałyby czelności siedzieć tu razem ze mną... Ale Krill... Tak, pamiętam... moja ciotka, no wie pan...

– Pańska ciotka?

– Tak – odparł niecierpliwie Sandal – moja ciotka została zamordowana albo popełniła samobójstwo właśnie w „Czerwonej Świni”. Rachela Sandal, z tymi jej

nieszczęśliwymi opalami...

- Z nieszczęśliwymi opalami? Co pan chce przez to powiedzieć?
- Nosła broszkę z wężem wyrzeźbionym w opalu – a to przynosi nieszczęście.

ROZDZIAŁ XVI

TEORIA SYLWII

Paul dotarł do swojego poddasza blisko północy. Sandal zawiózł go dorożką na Piccadilly Circus, a stamtąd Beecot poszedł pieszo Oxford Street do Bloomsbury. Nie był już w stanie wydusić z młodego lorda żadnych dalszych informacji. Wyglądało na to, że lady Rachela Sandal, zakochana w kimś z niższych sfer, pokłóciła się z ojcem i pewnej nocy poszła pieszo do Christchurch z zamiarem spotkania się z człowiekiem, którego zamierzała poślubić w Londynie. Jednak noc była burzliwa, a lady Rachela okazała się kobietą wątłą. Schroniła się w gospodzie „Czerwona Świnia”, z zamiarem kontynuowania drogi następnego dnia rano. Jednak następnego dnia rano znaleziono ją uduszoną w wynajętym przez nią pokoju. Sandal nie potrafił podać szczegółów, jako że te wypadki wydarzyły się jeszcze przed jego urodzeniem i znał tylko tę przerażającą historię ze słyszenia.

– Jedni mówili, że lady Rachela została zamordowana – wyjaśnił Sandal – inni, że zabiła się sama. Lecz broszka z opalu, którą z pewnością wtedy nosiła, zniknęła bez śladu. Wokół tej sprawy wybuchł taki skandal, że mój dziadek musiał wszystko wyciszyć. Dlatego nie powiem panu dokładnie, co się tam wydarzyło. Wiem tylko, że ten zajazd i pub prowadziła kobieta nazwiskiem Krill. Myśli pan, że to ta sama osoba?

– Mało prawdopodobne – skłamał Paul. – W jaki sposób ktoś, kto prowadził nędzną gospodę na wsi, stałby się nagle bogaty?

– Tak, to prawda – zgodził się lord George. Dojeżdżali już do Circus. – I gdyby miała coś z tym wspólnego, czy pozwoliłaby sobie na to, by zdradzić swoje nazwisko, wiedząc, kim jestem? Mimo to zamierzam ją kiedyś o to zapytać.

– Proszę to zrobić – rzekł Paul, wysiadając z dorożki. Z przyjemnością dowiedział się, że pani Krill oszukiwała także Sandala.

– Zatem nie pojedzie pan ze mną do mojego klubu? – zapytał Sandal, wychylając się z okna dorożki.

– Nie, dziękuję – odparł Paul. – Dobranoc. – I odszedł.

Faktem było, że Beecot chciał wszystko, co usłyszał tego wieczoru, zapisać i jak najszybciej wysłać Hurdowi.

Po dotarciu na swój strych wykonał dokładny, szczegółowy opis usłyszanych tego wieczoru informacji, dodatkowo opatrując je komentarzem:

„Muszę się jeszcze dowiedzieć, czy lady Rachela popełniła samobójstwo, czy też została uduszona? – pisał. – Z pewnością interesująca jest wzmianka o broszce z węzem z opalu. Może to wydarzenie zdarzyło się w poprzednim życiu Normana i było czymś, co skłoniło go do zmiany nazwiska”.

Potem dodał jeszcze więcej informacji i wyszedł wysłać list. Było już po północy, zatem Hurd mógł dostać go dopiero po południu następnego dnia. Paul czuł jednak, że spełnił swój obowiązek i przekazał informacje tak szybko jak to tylko możliwe, więc mimo tak ekscytującego wieczoru spokojnie położył się spać.

Jednak następnego dnia rano nie był zdolny usiąść do biurka jak zwykle, nie był też zdolny iść do redakcji gazety, poszedł więc do Jubileetown, zobaczyć, jak sobie radzi Sylwia. Przy bramie spotkał Deborah.

– Nie do wiary, panie Beecot – rzekła pani Tawsey, jak zawsze z założonymi na piersiach czerwonymi rękoma – jakiż to cudowny widok dla moich zmęczonych oczu. Dziś moja piękna będzie szczęśliwa i pan pewnie też. Wystawia rachunki za czyszczenie futer i niech ją błogosławią wszyscy święci za pomysłowość.

– Jak idzie interes? – zapytał Paul, przekraczając bramę, którą Deborah przed nim otworzyła.

– Dziękuję, panie Beecot, wkrótce będę bogatą damą – odpowiedziała właścicielka pralni. – Stosujemy tu zdumiewające sposoby prania i jeszcze nigdy pościel nie była taka czysta – mówiła Deborah, trąc silnie nos – gdy jest wyprana na mój sposób... na *mój* sposób. Gdyby pan przyniósł mi swoje koszule, panie Beecot, z dumą pokazałabym panu, co można zrobić z ich frontami i jakie mogą być piękne.

Paul nie odpowiedział, tylko zaśmiał się z roztargnieniem. Zastanawiał się, czy jej dawny pan wspomniał kiedyś cokolwiek na temat miejsca, w którym mieszkał z panią Krill, i kierując się zwykłym impulsem, zadał to pytanie.

– Znasz może Christchurch w Hants?

Deborah potarła nos jeszcze mocniej i spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Jak już mówiłam, nie mam krewnych i powiem teraz prawdę – mówiła trochę nieskładnie – moja siostra, Tilly Junk, przez lata pracowała tutaj dla kogoś. Ale my nigdy dobrze się nie dogadywałyśmy; ona jest nerwowa i apodyktyczna, więc nie zaprosiłam jej na wesele i w ogóle zaprzeczyłam, jakoby była moją krewną. Ostatni raz napisała do mnie przed dziesięciu laty.

– I od tamtej pory nie masz od niej wiadomości? – zapytał z naciskiem Paul.

– Proszę pana, możecie mnie spalić, uwięzić, wbić na pal – oświadczyła pani Tawsey – ale nie będę was oszukiwać. Ja i Tilly nie byliśmy ze sobą szczęśliwe, nie pasowałyśmy do siebie i nie prowadziłyśmy korespondencji. Obie byłyśmy londyńczyki! – krzyknęła Deborah. – Nasz ojciec był domokrażcą, ale dlaczego ona wyjechała na wieś, albo dlaczego ja zatrzymałam się na Gwynne Street – tego to już nikt nie wie. Czy jednak mogę pana spytać, panie Beecot, czemu wypytuje mnie pan teraz o to wszystko?

– Twój zmarły pan pochodził z Christchurch, pani Tawsey. Nigdy nie słyszałaś, żeby o tym wspominał?

– Nigdy nie mówił, skąd pochodzi, panie Beecot. Nigdy nie wiedziałam, co gromadzi w lombardzie i jakie sprzedaje książki. Gdybym wiedziała – dodała

Deborah, podnosząc czerwony palec – że wcześniej był żonaty i że zamierzał porzucić moją ukochaną królową, udusiłabym go własnymi rękami.

– On nie miał zamiaru porzucić Sylwii – rzekł z zadumą Paul – zapisał jej wszystkie swoje pieniądze.

– Więc dlaczego dostała je ta druga?

– W testamencie nie było wymienione imię Sylwii i otrzymała je panna Krill, jako prawnie zalegalizowana córka.

– Nazwij ją, jak chcesz, ale to kocica, jak jej matka, która nią trzęsie – rzuciła z oburzeniem pani Tawsey – i wcale nie jest taka młoda, jak podają. Ma ponad trzydzieści, ja się znam na wieku kobiet.

– Och, nie sądzę, żeby panna Krill miała więcej.

– Jako mężczyzna nie potrafisz tego ocenić, sir. Ona jest taka jak złuszczona farba, młoda już nie jest. Ponad trzydzieści... niech mnie zabiją, jeżeli nie!

– Jednak pani Krill wyszła za mąż za twojego pana przed trzydziestu laty.

– Zatem powinna się wstydzić – krzyknęła władczo Deborah – za to swoje łągarstwo co do jej wieku. Czy mam napisać do mojej siostry, Tilly, i zapytać ją, czy znała mego pana, gdy tam mieszkał przez dziesięć lat, a potem zniknął na lat dwadzieścia?

– Nie, Deborah, lepiej nic nie rób. Ta sprawa jest w rękach Hurda. Przekażę mu to, co powiedziałaś, i niech dalej działa, jak uważa za słuszne. Musisz jednak udawać, że dałaś się oszukać co do wieku panny Krill.

– Mam dwoje oczu i nos – odparła pani Tawsey – więc nie mów mi o daniu się oszukać. Ona ma więcej niż trzydzieści lat i niech sobie ta Jezabel łąze, ile chce, i mówi, co tylko ma ochotę, panie Beecot. A tam jest moja ślicznotka, czeka przy wannie na pana i wygładza te rzeczy, które pani Purr wyprasuje; te koszule... robi to tak cudownie, że nie można temu zaprzeczyć. Oho! – I Deborah ochoczo skoczyła za róg domu, gdzie rosło bujne zboże.

Paul poszedł przez nowo utworzony ogród, w którym dostrzegł wiele dowodów miłości Sylwii do kwiatów, i dotarł do drzwi domu, aby w porę chwycić

dziewczynę w ramiona. Była z radości zarumieniona, jej oczy błyszczały jak gwiazdy.

– Paul, kochany – rzekła, gdy wchodzili do saloniku, gdzie zmagala się z rachunkami. – Cieszę się, że przyszedłeś. Ile jest dziewięć razy dziewięć?

– Osiemdziesiąt jeden – odparł Paul, rzucając okiem na długą listę cyfr, które Sylwia usiłowała dodawać. – Dlaczego przyprawiasz swą nadobną główkę o ból, zajmując się tymi rachunkami, kochanie?

– Chcę pomóc Debby, Paul, i dobrze sobie radzę z arytmetyką.

Wskazała mały podręcznik szkolny, który najwyraźniej studiowała.

– Pozwól, że zdejmę z twych ramion ten ciężar – zaproponował jej ukochany z uśmiechem i usiadł przy stole, na którym leżały porozrzucone rachunki. W ciągu mniej więcej godziny odpowiednio je posortował według różnych klientów Deborah. Potem powkładał do kopert, które Sylwia zakleiła. Cały czas żartowali, śmiali się, gawędzili i mimo nudnej pracy świetnie się bawili.

– Cieszy mnie ten widok, Sylwio – wskazał leżące na sofie trzy opasłe tomy – i to, że od czasu do czasu znajdujesz w tym rozrywkę.

– Och! – rzekła Sylwia, podchodząc do sofy. – Tak jak powiedziałaś, bardzo mnie to bawi. Chcę ci coś na ten temat powiedzieć. – Chwyciła jeden tom, przeczytała tytuł: *Wyznania Thuga** i spojrzała na Paula. – Czytałeś?

Beecot skinął głową.

– Autorem był Meadows Taylor. To bardzo interesująca książka, ale trochę zbyt krwawa jak dla ciebie, kochanie.

– To Debby ją wybrała – wyznała panna Norman – z książek, jakimi klient zapłacił, nie mogąc uregulować rachunku. Paul, to bardzo dziwne, że do tych książek trafiły akurat *Wyznania Thuga***.

– Masz racje, bardzo dziwne. – Beecot uśmiechnął się, trącając palcem staromodne tomisko.

– To chyba palec losu, Paul – powiedziała Sylwia uroczyście, ale widząc zaciekawiony wzrok ukochanego, zaraz dodała: – Myślę, że powinnam dokładnie

zbadać, co znaczy słowo *goor*?

– *Goor*? – Paul był coraz bardziej zaintrygowany.

– To słowo pochodzenia hinduskiego – wyjaśniła Sylwia – i oznacza nierafinowany cukier trzcinowy. Thugowie jedli go przed uduszeniem swojej ofiary.

– Och – zaśmiał się Paul – i ty myślisz, że twojego ojca udusił Thug? Moja droga, Thugowie, czciciele bogini Kali, zostali już dawno zlikwidowani. Jeżeli dobrze pamiętam, możesz o nich przeczytać we wstępie do tej książki. A poza tym, choć czytałem ją dawno temu, kochanie – dodał zaraz, przyciągając ją czule do siebie – pamiętam, że Thugowie nigdy nie przybyli do Anglii.



Niezwykła podobizna bogini Kali ze słynnym naszyjnikiem z czaszek i pasem z odciętych rąk, tym razem ozdobionym dodatkowo kilkoma świeżo uciętymi głowami. Kali jest tu przedstawiona jako bogini pełna wigoru, a nie, jak to często ma miejsce, jako istota rodem z trupiarni.

– Paul – Sylwia, ciągle bardzo poważna, była urażona jego słowami – chyba nie pamiętasz tego Thuga, który przyszedł do naszej księgarni...

– Och, masz z pewnością na myśli tego domokrażcę, z którym rozmawiał Bart. Tak, pamiętam, że zgodnie z tym co mówił Bart, taki Hindus wszedł i chciał

sprzedać sznurowadła, a potem ten łobuz Tray tańczył na jego biednym ciele. Ale ten Hindus nie był Thugiem, Sylwio.

– Ależ tak, on był Thugiem! – wykrzyknęła podekscytowana. – Hokar mówił, że jest Thugiem. Pamiętam. Zostawił garść nierafinowanego brązowego cukru na kontuarze, prawda? Czy Bart nie mówił ci o tym?

Paul podskoczył.

– Tak! Na Jowisza! Mówił – zawołał.

– W takim razie – rzekła z triumfem Sylwia – ten cukier to był *goor* i Thug go jadł przed uduszeniem swej ofiary, a tą ofiarą był mój ojciec.

Beecot był pod wrażeniem jej słów.

– To z pewnością bardzo dziwne – rzekł, patrząc na książkę. – I było też dziwne, iż twój ojciec został uduszony akurat tej nocy, gdy Hindus Hokar zostawił cukier na kontuarze. Co to za osobliwy zbieg okoliczności, kochana Sylwio.

– Ale dlaczego Hokar w ogóle zostawił ten cukier?

– Nie jadł go, ale gdyby był Thugiem, zrobiłby to przed uduszeniem twojego ojca, prawda?

– Nie wiem – stwierdziła Sylwia z uporem. – Pamiętam, w jak okrutny sposób został zamordowany mój ojciec, Paul. Tak właśnie mógł zrobić tylko Hindus... i w dodatku ten cukier, och, to całkiem pewne, że zamordował go ten domokrażca.

Beecot potrząsnął przecząco głową i starał się odwieść ją od tego śmiesznego pomysłu, lecz Sylwia – zwykle podatna na argumenty – tym razem nie chciała wyrzec się swojej teorii i Paul w końcu sam zaczął się zastanawiać nad dziwnym incydentem z cukrem. Postanowił poinformować o tym Hurda i gdy domokrażca zostanie odnaleziony, z pewnością wyjaśni, dlaczego rozsypał *goor* na kontuarze.

– Jednak sekta Thugów już nie istnieje – twierdził z uporem Paul – dlatego nie jest to możliwe, Sylwio.

– Mimo to tak właśnie jest – upierała się – jestem tego pewna.

I nie mógł jej przekonać, że nie miała racji. W końcu gdy odchodził, zabrał ze sobą książki, przyrzekając, że jeszcze raz przeczyta o Thugu. Być może będzie

mógł Sylwii podsunąć coś nowego.

Resztę czasu zakochani spędzili, rozmawiając o przyszłości i Beecot wyraził nadzieję, że już wkrótce zarobi dość pieniędzy, żeby zapewnić Sylwii odpowiedni dom. Potem opowiedział jej o spotkaniu z panią Krill i przedstawił jej propozycję.

– Uważasz, Paul, że powinniśmy przyjąć te pięćset rocznie? – zapytała Sylwia z powątpiewaniem. – Może i poprawiłyby naszą sytuację, ale póki jestem z tobą, nie dbam o to, gdzie mieszkamy.

– O ile pozostawisz mnie decyzję – oświadczył Paul – to chyba najlepiej będzie, jak odrzucę jej ofertę. Coś w tym wszystkim jest nie tak, bo inaczej pani Krill nie zabiegałaby tak uparcie, żebyś szybko wyjechała z kraju.

– Och, Paul, myślisz, że ona coś wie o morderstwie?

– Nie, kochanie, nie sądzę. Pani Krill jest zbyt sprytna, by nadstawiać karku. Jednak może istnieć szansa, że jej córka straci prawo do spadkowych pieniędzy. Sylwio – zapytał nagle – widziałaś Maud Krill? Ile dałabyś jej lat?

– Och, ona jest już dość stara, Paul – odparła Sylwia zdecydowanie. – Ładnie się ubiera i dobrze maluje, ale ma pod czterdziestkę.

– Hm, Sylwio, chyba nie aż tyle.

– No, ma na pewno ponad trzydzieści – upierała się Sylwia, nieco urażona. – Mam tak samo oczy jak Debby. Ta dziewczyna, a raczej powinnam powiedzieć ta kobieta, ma na pewno więcej niż trzydzieści lat, Paul.

– W takim razie – rzekł Beecot, rumieniąc się mocniej – wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego pani Krill chce, żebyś jak najszybciej wyjechała z kraju. Maud – dodał w zadumie – ostatecznie może nie być córką twojego ojca.

– Skąd ta myśl?

– Zgodnie z aktem ślubu i oświadczeniem pani Krill, poślubiła ona twego ojca przed trzydziestu laty... i co? Nie pojmujesz, Sylwio?

– Pojmuję. – Sylwia zaczerwieniła się. – Chcesz powiedzieć, że znajduje się w takiej samej sytuacji jak ja?

– Niezupełnie, kochanie – Paul odpowiedział uspokajająco. – Mam na myśli to, że pani Krill mogła być wtedy wdową z małą dziewczynką, gdy wychodziła za mąż za twojego ojca. W takim razie Maud z całą pewnością nie należą się spadkowe pieniądze i dlatego pani Krill chce, żebyś wyjechała z Anglii.

– Ponieważ te pieniądze należą się mnie – wtrąciła podekscytowana Sylwia. Paul sprawiał wrażenie zaciekawionego i zasmuconego zarazem.

– Tego nie mogę powiedzieć stanowczo – odpowiedział z powątpiewaniem. – Twój ojciec w testamencie najwyraźniej pieniądze pozostawił „mojej córce”, ponieważ jednak małżeństwo z twoją matką, niestety, jest nieważne, obawiam się, że nic nie odziedzicysz. A jednak – stwierdził ponuro – odebranie spadku tej dziewczynie byłoby dużą satysfakcją. Maud jest tylko marionetką w rękach matki – roześmiał się. – I Hay poślubi biedną pannę młodą – zakończył nieco złośliwie.

Sylwia chyba nie wszystko z tego dobrze zrozumiała i poddała się. Już nie miała zamiaru dłużej rozwiązywać tej kwestii i wykonała całkiem uroczy gest zobojętnienia.

– No i co ty teraz zrobisz, Paul? – zapytała.

– Zobaczę się z Hurdem i przekażę mu, co ty i Deborah sądzicie o wieku Maud Krill.

– Dlaczego nie powiesz tego panu Pashowi?

– Ponieważ on mnie zdradził – stwierdził ponuro Beecot – i wiedząc, że stracił twoje zaufanie, z pewnością będzie chciał, i zrobi to, przekaże wszystkie pieniądze Maud Krill. Nie, raczej porozmawiam z Hurdem, moim i twoim przyjacielem – jest sprytny i bystry, z pewnością będzie mógł rozwikłać tę zagadkę.

– Powiedz mu też o *goor*.

– Tak, wyjawię mu wszystko, co tylko będę mógł, a potem każę pojechać do Christchurch i zbadać, co się tam stało, gdy twój ojciec mieszkał tam z matką Maud.

– A co się tam stało, Paul? – zapytała zaniepokojona Sylwia.

– Nic – odparł pospiesznie, łapiąc się na nieostrożnym zdradzeniu Sylwii tego, czego nie chciał jej powiedzieć, czyli o losie lady Racheli Sandal. – Ale musimy odsłonić przeszłość twojego ojca i ustalić, co doprowadziło do jego zamordowania.

– Myślisz, że pani Krill ma coś z tym wspólnego?

– Już raz o to pytałaś. Nie, tak nie myślę, ale nigdy nie wiadomo. Natomiast uważam, że pani Krill jest kobietą niebezpieczną, chociaż wydaje mi się, że jest zbyt sprytna, żeby ryzykować szubienicą. Hurd może się dowiedzieć, czy była w Londynie tej nocy, gdy twój ojciec został zamordowany.

– To było szóstego lipca – wtrąciła Sylwia.

– Tak i zamordowano go o dwunastej w nocy.

– Po dwunastej – sprostowała Sylwia. – Słyszałam kroki policjanta kwadrans po dwunastej, potem zeszłam na dół. Biedny ojciec udusił się na naszych oczach – zakończyła, wzdrygając się.

– Cicho, kochanie. Nie myśl już o tym – rzekł Paul, wstając. – Pomówmy o czymś bardziej interesującym.

– Paul, ja nie mogę myśleć o niczym innym, póki nie dowiem się, kto zabił mojego biednego ojca i dlaczego został zamordowany w tak okrutny sposób.

– Zatem musimy cierpliwie czekać, Sylwio. Hurd zajmuje się tą sprawą, a ja mam do niego pełne zaufanie. I, na Jowisza! – dodał Beecot po namyśle – pani Krill podwoiła nagrodę. Gdyby była z tą sprawą jakoś związana, nie ryzykowałaby, żeby w ten sposób zachęcić do intensywniejszego działania tak bystrego detektywa jak Hurd. Nie, Sylwio, ktokolwiek udusił twojego ojca, nie była to pani Krill.

– To był ten Hindus – upierała się Sylwia – i on jest Thugiem.

Paul zaśmiał się, chociaż nie był do końca przekonany, że Sylwia się myli. To, że Thug mógł udusić starego, było oczywiście śmieszne. Po pierwsze, Thugowie już nie istnieli; po drugie, jeżeli nawet jacyś jeszcze gdzieś się zachowali, to z pewnością nie praktykują swej szatańskiej religii w Anglii i po trzecie, Hekar nie miał żadnego motywu, żeby dusić człowieka i składać go w ofierze bogini Bhowanee za to, że ją obraził albo znieważył. I na koniec, jak wyjaśnić obecność

owego dziwnego marynarza, który próbował wyłudzić od Pasha klejnoty. Paul zastanawiał się, co Hurd znalazł na temat tego marynarza.

– To wszystko jest takie trudne – westchnął Beecot – i im bardziej się w to zagłębiamy, tym staje się bardziej skomplikowane. Ale pewnego dnia dostrzeżemy światełko prawdy. Tylko Hurd może nas do niego doprowadzić.

Sylwia zgodziła się z nim.

* Autorem był kapitan Philips Meadows Taylor (1839). *The Confessions of a Thug* była najbardziej sensacyjną etnograficzną fikcją Imperium Brytyjskiego w pierwszej połowie XIX wieku. Autor napisał ją, opierając się na kulcie Thugów w brytyjskich Indiach. Była to jedna z najlepiej sprzedających się powieści kryminalnych XIX wieku i najbardziej wpływowa powieść o Indiach przed powieścią *Kim* Rudyarda Kiplinga (1901). Od słowa „Thug” powstało w języku angielskim pojęcie „zbir” albo „bandyta” (przyp. tłum.).

** Thugowie – czciciele bogini Kali. Obszerny opis można znaleźć u Shelley Klein *Tajne stowarzyszenia* (2007) (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XVII

INFORMACJE HURDA

Przez następne kilka dni Paul był całkowicie skupiony na pracy biurowej, czytając mnóstwo opowiadań, które czekały na jego opinię. Przez wiele godzin usiłował skontaktować się z Billym Hurdem, ale nigdzie nie mógł go spotkać. Zostawił więc notatkę w Scotland Yardzie z pytaniem, czy Hurd zdobył jakieś informacje dotyczące pani Krill, a jeśli tak, to co zamierza z nimi zrobić? Hurd nie odpowiedział i Paula coraz bardziej zastanawiało milczenie detektywa. W końcu nadeszła odpowiedź, nie była pisemna, lecz w postaci samego Hurda, który osobiście odwiedził Beecota.

Młody człowiek właśnie kończył skromny posiłek, siedząc nad wieczorną pracą, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Hurd jak zwykle miał na sobie brązowy garnitur, był chłodny i opanowany. Ale równocześnie bardziej podekscytowany, niż można to sobie wyobrazić, co Paul wywnioskował po wyrazie jego oczu. Detektyw przyjął kubek kawy i zapalił fajkę. Usiadł w fotelu przed kominkiem i przygotował się do złożenia relacji. Paul szczerą ręką dorzucił węgla na tyle, na ile mógł sobie pozwolić na tego rodzaju ekstrawagancję, jako że noc była zimna i domyślał się, iż Hurd ma dużo do powiedzenia. Tak więc, ogólnie rzecz biorąc, odbyli bardzo pouczającą i interesującą rozmowę.

– Przypuszczam, że ucieszył pana mój widok? – zapytał Hurd, pykając w zamyśleniu swoją wrzosową fajkę.

Paul skinął głową.

– Bardzo – odparł – ale oczywiście jeszcze bardziej by mnie ucieszył, gdyby miał pan coś do opowiedzenia na temat pani Krill.

– No cóż – ciągnął detektyw z uśmiechem – przede wszystkim badałem sprawę morderstwa sprzed lat.

– Czyżby lady Racheli Sandal? – zapytał zniecierpliwiony Beecot. – Zatem naprawdę było to morderstwo?

– Uważam, że tak, chociaż niektórzy sądzą, że mieliśmy do czynienia z samobójstwem. Interesujące, że pan właśnie teraz spotkał młodego lorda – kontynuował w zadumie Hurd – i co jeszcze ciekawsze, przebywał on w jednym pokoju z panią Krill i nie przypomniał sobie wówczas jej nazwiska, a przecież swego czasu narobiło ono wielkiego zamieszania.

– Och, ja rozumiem lorda George’a – Beecot natychmiast odpowiedział. – Jeżeli to było morderstwo, a miało miejsce jeszcze przed jego urodzeniem, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia ze skandalem, rodzina wszystko zatuszowała. Ten młody człowiek prawdopodobnie usłyszał strzępy informacji od starych służących, ale z tego co mi powiedział podczas jazdy dorożką, wynikało, że wie bardzo mało.

– Jednak dość, aby mnie skierować na trop wiodący do odkrycia, dlaczego Lemuel Krill opuścił Christchurch.

– Powodem była ta śmierć?

– Dwadzieścia trzy lata temu opuścił Christchurch – to znaczy dokładnie w tym czasie, gdy lady Rachel została zamordowana w jego gospodarstwie. Potem na jakiś czas zniknął, aby rok później zjawić się na Gwynne Street z nową żoną, kobietą, którą w międzyczasie poślubił.

– Z matką Sylwii?

– Właśnie. Panna Norman urodziła się rok później i teraz ma blisko dwadzieścia jeden lat, prawda?

– Tak. Dwadzieścia jeden lat i trzy miesiące.

Hurd skinął głową poważnie.

– Czas się zgadza – rzekł. – Morderstwo popełniono dwadzieścia trzy lata temu, a lord George ma zaledwie lat dwadzieścia. Dlatego jak rozumiem, niewiele wie o tej zbrodni. Jednak czy nie połączył pani Krill z człowiekiem, który został zamordowany na Gwynne Street?

– Nie. Ona to wyjaśniła. Nazwisko Krill pojawiło się tylko kilka razy w gazetach i głównie drukowano je razem z portretem na ulotkach. Nie sądzę, żeby lord George był kimś, kto interesuje się ulotkami.

– Ale równocześnie mógł usłyszeć jakąś rozmowę w swoim klubie. Nie wszyscy są tacy głupi.

– Nie. Niemniej nie wydawał się łączyć osoby pani Krill z martwym mężczyzną. A jeśli chodzi o śmierć jego ciotki, to mógł myśleć, że ta martwa kobieta wcale nie jest jego ciotką.

– No to byłby skończonym głupcem – mruknął Hurd pogardliwie.

– Ja też uważam, że nie ma za dużo rozumu – zgodził się Paul, wzruszając ramionami – a jednak zapytał mnie, czy pani Krill to ta sama osoba, co właścicielka „Czerwonej Świni”, ale zaprzeczyłem. Nie lubię kłamać, jednak w tym wypadku myślę, że mijanie się z prawdą jest usprawiedliwione.

– Zrobił pan bardzo dobrze – przyznał detektyw. – Im mniej osób wie o tych sprawach, tym lepiej, a zwłaszcza taki gaduła jak ten młody głupiec.

– Poznał go pan?

– Owszem, uchodząc za hrabiego de la Tour. Ale znam go jeszcze z innej strony, co wytłumaczę później. Hay ciągle go skubie?

– Tak, ale lord George zaczyna już coś podejrzewać – stwierdził Paul i zrelacjonował swoją rozmowę z tym młodym mężczyzną.

Hurd odchrząknął.

– Przykro mi – rzekł – ale chcę złapać Haya na gorącym uczynku, jednak gdyby lord George zaczął go poważnie podejrzewać, pewnie nie będę mógł tego zrobić.

– No – Paul był już trochę zniecierpliwiony – dość już na temat tego półgłówka. Proszę mi powiedzieć, co pan odkrył?

– Och, wiele interesujących rzeczy. Po otrzymaniu pańskiego listu naturalnie natychmiast skojarzyłem broszkę z opalu z Aaronem Normanem, zmianą jego nazwiska i z morderstwem. Wiedziałem, że Norman przybył na Gwynne Street ponad dwadzieścia lat temu – co ujawniły dowody związane z jego śmiercią. Dlatego dodając dwa do dwóch, przejrzałem gazety z tego okresu i znalazłem to, co chciałem.

– Raport ze sprawy?

– Właśnie. A potem sięgnąłem do archiwum Scotland Yardu, chcąc znaleźć dalsze szczegóły, szczególnie te, które nie zostały upublicznione. Po złożeniu razem wszystkiego co wiedziałem, jestem zupełnie pewien, że Aaron Norman – gdy był Lemuelem Krillem – zamordował lady Rachelę, aby zdobyć tę cenną broszkę.

– Ach – Paul westchnął głęboko – teraz rozumiem, dlaczego zemdłał, gdy znowu ją zobaczył. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że w jego umyśle była związana ze śmiercią lady Racheli.

– Naturalnie. I nic dziwnego, że ten człowiek nieustannie zerkał przez ramię, podejrzewając, iż lada chwila jakiś policjant chwyci go za ramię. Nic dziwnego, że trzymał dom ciągle zamknięty i jednym okiem gapił się w ziemię, nic dziwnego, że potajemnie chodził modlić się do kościoła. Musiał mieć bardzo ciężkie życie i – na mą duszę! – chociaż był złym człowiekiem, żał mi go!

– Mnie też – dodał Paul. – A poza tym był ojcem Sylwii.

– Biedna dziewczyna, miała za ojca mordercę.

Beecot zbladł.

– Kocham Sylwię dla niej samej – powiedział z trudem – i gdyby jej ojciec popełnił nawet dwadzieścia morderstw, nie pozwoliłbym jej odejść. Ale ona nie powinna się o tym nigdy dowiedzieć.

– Tak, ma pan rację. – Hurd wyciągnął rękę i przyjaźnie uścisnął Paula. – Wiedziałem, że jej pan nie porzuci. Nie można panny Sylwii winić za to, co zrobił ojciec przed jej narodzinami.

– Musimy utrzymać to wszystko przed nią w tajemnicy, Hurd. Weźmiemy ślub i wywozę ją za granicę, zanim zdąży się dowiedzieć o tym dawnym morderstwie. Czy pan wie, jak do niego doszło?

– Tak, mogę to panu opowiedzieć w kilka minut. – Hurd wstał i zaczął spacerować po ograniczonej przestrzeni małego pokoju. – A przy okazji... Czy wie pan, że Norman upijał się brandy?

Paul skinął głową i opowiedział detektywowi, czego się dowiedział od pani Krill. Hurd był zaskoczony jej inteligencją.

– Widzę, że to, co powiedziała pani Krill – stwierdził – było całkowitą prawdą. Alkohol bardzo zmienia człowieka, często w coś absolutnie przeciwnego. Krill trzeźwy był nieśmiałym króliczkiem – Krill pijany był mordercą i złodziejem. Dobry Boże, jak on pił!

– Skąd pan wie?

– No cóż... – wyznał Hurd, głaszcząc się po brodzie. – Ja i Pash poszliśmy przeszukać dom przy Gwynne Street, w celu znalezienia – o ile to możliwe – czegoś, co wiązałoby się z tekstem na skrawku papieru znalezionym przez Deborah Junk. Na nic nie natrafiliśmy, ale w sypialni Normana, do której przedtem nikt nie wchodził, znaleźliśmy niezliczoną ilość butelek po brandy. Wały się pod łóżkiem, leżały rzędem wzdłuż ścian, wypełniały szafki, stały pochowane w pudłach. Z ciekawości policzyłem je. W sumie znaleźliśmy tam jakieś pięćset sztuk, a Bóg raczy wiedzieć, ilu musiał się pozbyć, gdy stwierdził, że ich natłok zaczyna stawać się dla niego uciążliwy.

„Osobiście jestem przekonany, że upijał się co noc – pomyślał Paul. – Teraz już rozumiem, dlaczego zamykał Sylwię i Deborah na górze. Mógł wtedy schodzić do piwnicy i zabierać klucz do księgarni, który Bart zwykle wieszał na gwoździu. Potem, wolny od wszelkich ingerencji, pił do upadłego”.

– Nie sędę, aby upijał się do nieprzytomności. – Beecot tymczasem kontynuował, przypominając sobie to, co powiedziała pani Krill – trzymał się prosto i myślę, że ta brandy jedynie zmieniała go w demona.

– A także w cwane go człowieka interesu – dodał Hurd. – Przecież pan wie, że Aaron Norman nie za bardzo znał się na książkach. Sprzedawał je Bart. Ale po siódmej wieczorem Aaron stawał się Shylockiem w swym lombardzie. Teraz to rozumiem. Trzeźwy był bojaźliwym głupcem; pijany był śmiałym, przebiegłym łotrem.

– Moja biedna Sylwia i taki ojciec – westchnął Paul. – Jednak ta dawna zbrodnia...

– Zaraz o niej opowiem. Lemuel Krill i jego żona prowadzili „Czerwoną Świnie” w Christchurch, małą gospodę na przedmieściach miasteczka, którą zazwyczaj odwiedzali robotnicy rolni i im podobni. Interes szedł dobrze, ale nie mieli ambicji zbiecia na nim fortuny. Pani Krill była córką farmera.

– Farmera z Buckinghamshire – wtrącił Paul.

– Skąd pan wie? Och! – dodał po otrzymaniu informacji. – Powiedziała to panu pani Krill? Biorąc pod uwagę morderstwo lady Racheli, lepiej by zrobiła, trzymając język za zębami, i zaczęła nowe życie z pieniędzmi swego zmarłego męża. Niemniej to sprytna baba – dodał w zadumie Hurd – chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego była niepotrzebnie szczera.

– Nieważne, proszę mówić dalej – ponaglił go niecierpliwie Paul.

Hurd wrócił na swoje miejsce i ponownie napełnił fajkę.

– No cóż – kontynuował – Krill upijał się i sprawiał mnóstwo kłopotów żonie. Czasami bił ją, podbijał oczy i źle traktował córkę.

– Ile lat miała córka?

– Nie wiem. Dlaczego pan pyta?

– Powiem później. Proszę kontynuować.

– Dobrze. Więc pani Krill zawsze wyżywała się na mężu, gdy ten był trzeźwy i bojaźliwy; ta para doskonale się uzupełniała – Krill był panem po pijaku, żona

panią, gdy był trzeźwy. Taki rodzaj huśtawki prowadzonego przez nich trybu życia.

– Kiedy pojawia się w tym lady Rachela?

– Jest pan niecierpliwy – zaprotestował Hurd przyjaznym tonem. – Właśnie do tego zmierzam. Lady Rachela pokłóciła się z ojcem o pewnego młodego artystę, którego chciała poślubić. Ojciec powiedział, że nie wpuści go do dworu, na co lady Rachela oświadczyła, że raczej się zabije, niż z niego zrezygnuje.

– No i tak też zrobiła – rzekł Paul, mając na myśli teorię o samobójstwie.

– Proszę mi nie przerywać, inaczej nigdy nie skończę.

– Przepraszam. Już nie będę.

Hurd skinął głową i kontynuował z uśmiechem:

– Pewnej nocy... ciemnej i burzliwej... Lady Rachela srodze pokłóciła się z ojcem. Wybiegła z dworu, mówiąc, że ten już nigdy nie zobaczy jej żywej. Może i miała zamiar popełnić samobójstwo, ale może zamierzała dołączyć do ukochanego w Londynie. Cokolwiek chciała zrobić, ochłodził ją padający deszcz. Dobrnęła do Christchurch i padła nieprzytomna u drzwi gospody „Czerwona Świnia”, skąd zabrała ją pani Krill i położyła do łóżka.

– Wiedziała, kim była ta kobieta?

Hurd potrząsnął przecząco głową.

– W swoich zeznaniach zaprzeczyła, ale ponieważ mieszkała w okolicy dworu lady Racheli, musiała więc ją widywać. Krill, jak zwykle, był pijany. Cały dzień pił mocny alkohol z kapitanem jakiegoś statku z Southampton. Nie nadawał się do niczego, więc pani Krill wszystko musiała robić sama. Oświadczyła, że poszła na spoczynek o jedenastej w nocy, zostawiając lady Rachelę śpiącą.

– Czy lady Rachela odzyskała zmysły?

– Tak – według pani Krill – ale nie chciała powiedzieć, kim jest. Pani Krill po prostu stwierdziła, że ta kobieta tamtej nocy spała w gospodzie „Czerwona Świnia” i że następnego dnia rano miała się udać do Londynu. Pani Krill przysięgała, że lady Rachela nie miała zamiaru popełnić samobójstwa. Gdzieś koło północy panią Krill, która spała w jednym pokoju z córką, obudziły głośne krzyki. Zerwała się

z łóżka i wybiegła z pokoju. Obudziła się też jej córka. Były przerażone. Pani Krill stwierdziła, że jej mąż dostał alkoholowego szału i roztrzaskał meble w pokoju poniżej. Kapitan...

– Jak się nazywał ten kapitan?

– Jessop... Jarvey Jessop. No cóż, on też był w pewnym sensie pijany i poszedł do łóżka, ale po drodze przypadkiem zatoczył się do pokoju, w którym leżała lady Rachel. Znalazł tam martwą kobietę i zawołał o pomoc. Biedna denatka miała zaciśniętą na gardle jedwabną chustę, która została przywiązana do słupka łóżka. Jessop po ujrzeniu tego wybiegł spanikowany z gospody. Pani Krill ruszyła, by zaalarmować sąsiadów, ale nie zdążyła, bowiem Krill uderzył ją i upadła, a potem zadał też cios jej córce, powodując, że zaczęła jej ciec krew z ust. Zniknęła broszka z opalu, którą nosiła lady Rachel, ale pani Krill dowiedziała się o tym dopiero następnego dnia. Nie doznała żadnej poważnej krzywdy od uderzenia Krilla, jednak córka pobiegła sprowadzić pomoc. Kiedy zjawili się sąsiedzi, Krilla nie można było nigdzie znaleźć i mimo intensywnych poszukiwań nikt nie wpadł przez lata na jego trop.

– A Jessop?

– Policja znalazła go potem na statku w Southampton, gdzie złożył zeznanie. Powiedział, że Krill był pijany i zachowywał się jak szaleniec – że wstąpił w niego demon, tak jak mówiła pani Krill. Opuszczał pokój kilka razy. Ostatnim razem gdy wrócił, wypił z kapitanem pożegnalnego drinka, a potem Jessop wyszedł... i przypadkiem trafił na pokój z ciałem. Policja podejrzewała, że Krill zabił lady Rachelę ze względu na broszkę z opalu, której później nigdzie nie odnaleziono...

– Ale ta broszka...

– Nie tak szybko. Wiem, co chce pan powiedzieć. Zaraz do tego dojdziemy. Proszę pozwolić mi dokończyć ten wątek. Z ostatnich słów, jakie w kłótni wypowiedziała do ojca, z położenia ciała i szyi przywiązanej do słupka łóżka uznano, że popełniła samobójstwo. Pani Krill, jak już powiedziałem, oświadczyła, że zmarła nic nie mówiła o pomyśle skończenia ze sobą. Jednak ucieczka Krilla

i to, że był wtedy pijany, sprawiły, iż uznano, iż mógł ją udusić, aby zdobyć broszkę, potem więc wielu podchwyciło ten trop, twierdząc, że to on był winowajcą, szczególnie gdy Jessop zeznał, że Krill zobaczył broszkę i zwrócił uwagę na opale.

– Według jego żony był wcześniej domokrążcą sprzedającym biżuterię.

– Tak, ale rzucił to, aby zostać oberżystą. Potem zniknął – jak mówiłem – i pojawił się jako właściciel lombardu przy Gwynne Street. Podczas śledztwa sędziowie przysięgli nie mogli między sobą dojść do porozumienia. Jedni uważali, że lady Rachela popełniła samobójstwo, inni, że zamordował ją Krill. Rodzina nie chciała skandalu, zatem jedynym sposobem było wyciszenie sprawy. W tej sytuacji sąd przysięgłych większością głosów wydał werdykt na rzecz samobójstwa, ale można się było przekonać, jak przysięgli byli podzieleni. Ciało lady Racheli zostało złożone w rodzinnej krypcie i więcej już nie słyszano o Lemuelu Krillu.

– Co zrobiła wtedy pani Krill?

– Pozostała w gospodzie, tak jak panu powiedziała. Ludzie jej współczuli i pomagali, miała się więc całkiem dobrze. Przez te wszystkie lata matka mieszkała z córką w gospodzie „Czerwona Świnia”, w sąsiedztwie bardzo je szanowano, póki nie dotarły tam ulotki o Krillu. Potem pojawiło się żądanie pieniędzy, a ponieważ sprawa śmierci lady Rebeki była już mocno przedawniona, nikt nie uczynił na jej temat wzmianki do chwili, gdy ten młody lord wspomniał o niej przed panem... a ja – jak pan już wie – nie dokopałem się szczegółów.

– Co pan o tym sądzi, Hurd? – zapytał Paul głęboko tym zainteresowany.

– Och, ja myślę, że Krill zamordował tę kobietę, a potem uciekł do Londynu. To tłumaczy ciągle oglądanie się przez ramię i tym podobne, o czym już rozmawialiśmy.

– Ale skąd miał pieniądze na rozpoczęcie biznesu księgarskiego? Na Gwynne Street nikt nie wynajmuje domów za darmo.

– No cóż, mógł mieć pieniądze za broszkę...

– Nie. Broszkę zastawił marynarz – zaczął Paul – i może był to właśnie kapitan Jessop. Pamięta pan? – zapytał podekscytowany.

– Ach – rzekł Hurd, pykając z satysfakcją fajkę. – Widzę, że pan zrozumiał. Wspomniałem o broszce, żeby usłyszeć, co pan na to powie. Tak, to najpewniej Jessop zastawił broszkę w Stowley i z pewnością Jessop był tym marynarzem, który przyszedł do Pasha z listem w sprawie wydania klejnotów.

– Ha! – zawołał Paul, krążąc niespokojnie po pokoju. – Zatem wydaje się, że Jessop i Krill pozostawali w zмовie.

– Ja też tak sędę – zgodził się Hurd, wpatrując się w ogień. – Jednak nie jestem tego pewien. Jessop mógł odkryć, że Krill zabił lady Rachelę i zmusił go szantażem do oddania broszki, a później zastawił ją w lombardzie w Stowley. Ale dlaczego miałyby krążyć wokół starego domu pani Krill, tego nie rozumiem.

– Czy Stowley leży w pobliżu jej starego domu?

– Tak, w Buckinghamshire. Jednak wydaje się, że po zastawieniu broszki Jessop stracił Krilla z oczu, do chwili gdy spotkał go na kilka dni przed jego zamordowaniem. Wtedy wymusił na Krillu podpisanie dokumentu nakazującego wydanie mu klejnotów.

– W istocie był to rodzaj szantażu.

– No... – odparł Hurd z powątpiewaniem – o ile Jessop nie zabił Krilla.

– W jaki jednak sposób Krill zdobył broszkę?

– Tego jeszcze nie wiem, chyba że znalazł ją po prostu na ulicy. Musimy to ustalić. Jadę do Christchurch, żeby tam przeprowadzić śledztwo. Dam znać, co odkryję. – I z tymi słowami Hurd wstał.

– Chwileczkę – Paul szybko go powstrzymał. – Uważa pan, że panna Krill jest córką zamordowanego?

– Oczywiście. To wykapana matka. Dlaczego pan pyta?

Paul przekazał mu to, co powiedziały Sylwia i Deborah.

– Jeżeli ma więcej niż trzydzieści lat – rzekł Beecot – to nie może być córką Krilla, bowiem urodziła się przed poślubieniem przez niego pani Krill. A w takim

razie nie ma prawa do spadku.

– To dziwne – rzekł Hurd w zadumie. – Muszę zbadać ten wątek. A tymczasem mam mnóstwo innych spraw do załatwienia.

– Mam panu jeszcze coś do powiedzenia.

– Wprawia mnie pan w zakłopotanie, panie Beecot. Cóż to takiego?

– Cukier i domokrażca. – Paul zrelacjonował mu to, co powiedziała Sylwia o thugizmie.

Hurd siedział i gapił się zdumiony.

– To bzdety... – rzekł, rzucając okiem na książki – a jednak bardzo niezwykle. Czy może pan – chwycił trzy tomy – pożyczyć mi te książki?

– Bardzo proszę. Tylko proszę uważać, bo nie są moje.

– Będę uważał. Nie zajmę się nimi jeszcze teraz, nie mogę też zająć się zaraz tym Hindusem, proszę pozwolić, że teraz skupię się na wieku panny Krill, zatem pierwszą rzeczą, jaką muszę zrobić, to pojechać do Christchurch i zobaczyć...

– Proszę tam sprawdzić, czy pani Krill była w domu nocą szóstego lipca.

– Och – odpowiedział Hurd sucho – ma pan na myśli noc popełnienia morderstwa w gospodzie? Przyznam, że nie zamierzałem tego robić, jako że nie sposób powiązać z tym pani Krill. Jednak wezmę to pod uwagę i zanotuję sobie. – Zrobił to i kontynuował: – Ale najbardziej zależy mi na odnalezieniu Jessopa. Nie byłbym zaskoczony, gdybym odkrył, że popełnił podwójne morderstwo.

– Podwójne morderstwo?

– Tak. Udusił lady Rachelę, a dwadzieścia lat później zamordował Krilla. Nie mam na to dowodów, ale myślę, że to on jest winny obu tych zbrodni.

ROZDZIAŁ XVIII

W CHRISTCHURCH

Następnego dnia po południu Hurd był w drodze do byłej siedziby pani Krill. W czasie podróży zajrzał do notesu i ustalił, jakie powinien zadawać pytania. Uważał, że pani Krill postąpiła niezrozumiale, zdradzając Paulowi swoje związki z „Czerwoną Świnia”, biorąc pod uwagę, że tam właśnie została zamordowana albo popełniła samobójstwo lady Rachela Sandal. Byłoby lepiej, gdyby pani Krill zmieniła nazwisko i adres pocztowy, a potem za pieniądze zmarłego męża zaczęła wieść nowe życie. W obecnej sytuacji detektyw nie rozumiał powodu jej niepotrzebnej szczerości.

Przed wyjazdem z miasta, aby uzyskać dodatkowe informacje, odwiedził Pasha i zanotował podany przez niego opis marynarza – zapewne Jessopa – który rano, po domniemanym popełnieniu morderstwa na Gwynne Street, próbował wydobyć od niego klejnoty. Dowiedział się wtedy, że mężczyzna (który nie podał ani imienia, ani nazwiska) był wysoki, tęgi, o rumianej cerze człowieka lubiącego alkohol i z częściowo siwymi rudymi włosami. Miał też bliznę, biegnącą od prawej skroni do ust i chociaż częściowo zakrywała ją bujna broda, jednak blizna była wyraźnie widoczna. Mężczyzna miał na sobie garnitur z niebieskiej serży, trzymał duże ręce luźno, z lekko zaciśniętymi pięściami i chodził kołyszącym krokiem. Hurd to wszystko zanotował, chociaż wątpił, czy gdyby spotkał tego mężczyznę, mógłby go po tego rodzaju opisie rozpoznać. Kojarząc go z opisem osoby, która zastawiła broszkę w Stowley, Hurd podejrzewał, że może to być jedna i ta sama osoba – czyli Jessop. Postanowił odszukać go w Southampton, bowiem wnioskując z dowodów

uzyskanych podczas dochodzenia w sprawie lady Racheli, do tego portu zawinął statek marynarza.

Na ostatniej stacji przed Christchurch Hurd zerknął na telegram, który wyjął z notesu, i wychylił się z okna wagonu. Zobaczyła go ładna, gustownie ubrana filigranowa kobietka i śmiejąc się wesoło, natychmiast wsiadła do tego wagonu. Była to panna Aurora Qian i Paul byłby bardzo zaskoczony, gdyby mógł słyszeć jej rozmowę z panem Hurdem. Detektyw i aktoreczka mieli cały przedział dla siebie i mogli swobodnie rozmawiać.

– To najbezpieczniejsze miejsce do rozmowy – wyjaśniła panna Qian, wyjmując torebkę czekoladek i jedząc je w czasie pogawędki. – Powiedziałam gospodyni „Czerwonej Świni”, że przyjeżdża mój brat, więc możemy tam iść, ale w gospodzie ściany mają uszy, a nie sądzę, żeby wagony je miały... a mamy sobie dużo do powiedzenia, Billy.

– Dowiedziałas się czegoś, Auroro? – zapytał Hurd.

Panna Qian skinęła twierdząco głową.

– Bardzo dużo, biorąc pod uwagę, że przebywam tutaj tylko dwadzieścia cztery godziny. Dobrze, że się z nikim nie zaręczyłam, Billy, bo nie miałabym czasu i nie mogłabym wyjechać z Londynu i na przykład śledzić tego Haya. Ja jestem dobrą siostrą.

– Owszem, jesteś. Ale w tym biznesie liczą się też pieniądze. Jeżeli zarobię te tysiąc funciaków, podzielę się z tobą.

– Wiem, że potraktujesz mnie uczciwie, Bill – odparła aktorka z zadowoleniem. – Zawsze mówiłam, że mój brat to solidna firma.

– Do diabła, tak właśnie jest! – Hurd był już zirytowany. – Mam nadzieję, że nie rozgłosisz wszem wobec, że jestem twoim bratem, Auroro?

– Tylko kilku przyjaciółom. Ale bądź pewny, że nie Hayowi. Młody Beecot też nie będzie wiedział, że jesteśmy rodzeństwem.

– Lepiej siedź cicho i nic nie mów, Auroro. Dobrze zrobiłaś, rezygnując z zawodu prywatnego detektywa i przenosząc się na scenę. Za dużo gadasz.

– Och, nie. Nie masz racji – zaprzeczyła panna Qian, zajadając czekoladkę. – Nie bądź taki wredny, Billy, bo nic ci nie powiem.

Brat wzruszył ramionami. Bardzo lubił Aurorę, ale dostrzegał też jej wady; z pewnością miała za długi język, jak na osobę zajmującą się sprawami sekretnymi.

– No i co z tym Hayem? – zapytał.

Aurora podniosła wzrok.

– Myślałam, że chcesz wiedzieć, co odkryłam w Christchurch – odparła, wydymając wargi.

– To też. Ale co z tym Hayem?

– Och, on jest całkiem w porządku. Chce się ożenić z panną Krill dla jej pieniędzy, a na razie goli z kasy tego młodego naiwniaka Sandala. Ten głupiec będzie z nim grał i przegrywał, mimo że go ostrzegałam.

– Więc go już nie ostrzegaj. Chcę złapać Haya na gorącym uczynku.

– Ach – panna Qian skinęła głową – możesz go złapać na czymś gorszym niż hazard.

– Auroro, chyba nie chcesz powiedzieć, że ma coś wspólnego z zamordowaniem Aarona Normana?

– No, nie idę aż tak daleko, Billy. Ale kiedy siedziałam w salonie „Czerwonej Świni”, udając, że przyjechałam odetchnąć świeżym powietrzem i że spodziewam się spotkać tu z bratem...

– Co stanie się też bez twoich kłamstw...

– Tak, w porządku, Billy – przerwała mu niecierpliwie. – Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, był wiszący nad kominkiem portret Grexona Haya w srebrnej ramie.

– Hm... – mruknął Hurd, głaszcząc brodę – może dał go pannie Krill jako prezent zaręczynowy?

– Ośmielam się twierdzić – odparła aktorka poważnie – że był z nią zaręczony już od dawna... no, chyba ze dwa lata.

– Też tak myślę – zgodził się Hurd z zadowoleniem. – Zawsze uważałem, że spotkanie w biurze Pasha było dziwne.

– Dlaczego tak uważałeś?

– Ponieważ, będąc w przebraniu hrabiego de la Tour, usłyszałem, jak Hay zwraca się do panny Krill per Maud – wtedy, gdy pierwszy raz przyszła do niego z matką. Był tam też obecny Sandal i jak zwykle grano w karty. Ja też wtedy przegrałem – zwierzył się Hurd, krzywiąc się – żeby Hay myślał, że jestem kolejnym gołąbkim do oskubania. Jednak zwracanie się do niej po imieniu świadczyło, że on i panna Krill znali się już wcześniej. I właśnie dlatego myślę, że spotkanie w biurze Pasha było zaaranżowanym spektaklem.

– Powtarzasz się, Bill! Tak. Pod tym portretem widniał napis: „Od Grexona dla Maud z wyrazami miłości” – słodkie, co? Kiedy się pomyśli, jakim egoistą jest ten mężczyzna. Widnieje tam też data. Fotografia została zrobiona przed dwoma laty. Podziwiając to zdjęcie, zapytałam gospodynię, kto je wykonał.

– Jak się nazywała gospodyni?

– Matylda Junk.

Hurd podskoczył na siedzeniu.

– To dziwne – rzekł – kobieta, która opiekuje się z całym oddaniem panną Norman i która pielęgnowała ją od dziecka, nazywa się Deborah Junk.

– Wiem – odparła Aurora – nie jestem aż taka głupia, Billy. Wspomniałam Deborah Junk, którą widziałam w czasie śledztwa dotyczącego śmierci Normana. Gospodyni powiedziała, że jest jej siostrą, ale nie miała z nią od wieków kontaktu. Ta Matylda jest podobna do Deborah – taka duża, holenderska lala o oczach jak koraliki i z paskudnie pomalowaną twarzą.

– No cóż, to już kwestia gustu – zauważył Hurd, notując. – Co powiedziała o fotografii?

– Że to jedno z tych zdjęć pana Haya, gdy był młody i że są zaręczeni już od dwóch lat.

– Wydaje się, że ta Matylda lubi paplać.

– Zgadza się. Dużo od niej wyciągnęłam.

– W takim razie nie ma nic do ukrycia, jeśli chodzi o panią Krill?

– No – Aurora wyrzuciła przez okno pustą torebkę po czekoladkach i otrzepała suknię – o ile tylko mogłam się dowiedzieć, pani Krill jest tu osobą szanowaną i od trzydziestu lat zarządza „Czerwoną Świnia”. Matylda wyznała też, że jej pani odziedziczyła pieniądze po Lemuelu Krillu i że wie wszystko o morderstwie.

– Matylda się myli – stwierdził sucho detektyw – to panna Krill dostała pieniądze.

Aurora uśmiechnęła się.

– Z tego co słyszałam, panna Krill zrobi wszystko, co poleci jej matka. Ona jest nikim, matka jest dla niej całym światem. Matylda zwierzyła mi się, że jej pani zawsze była dla niej dobra. A kiedy otrzymała pieniądze, powierzyła opiece „Czerwoną Świnia” Matyldzie i teraz ona jest tam gospodynią.

– Z zastrzeżeniem, żeby trzymała język za zębami.

– Nie. O ile wiem, pani Krill nie miała nic do ukrycia. Nawet jeżeli w Londynie dowiedzą się, że była właścicielką małej gospody, to i tak nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie.

– Zadawałaś pytania dotyczące morderstwa lady Racheli?

– Nie. Wysyłając mnie tam, uczyniłeś w tej sprawie tylko wzmiankę. Nie lubię pracować w terenie, gdzie nie czuję się pewnie, po prostu jestem ostrożniejsza od ciebie.

– Dobrze. A teraz ja ci powiem wszystko, co wiem – oznajmił Hurd i streścił to, czego się dowiedział z gazet i z dokumentacji, jaką znalazł w Scotland Yardzie odnośnie do sprawy Sandal. Aurora pokiwała głową.

– Jednak Matylda nie mówiła o tym. Powiedziała tylko, że Lemuel Krill wyjechał do Londynu ponad dwadzieścia lat temu i że jego żona nic o nim nie wiedziała do czasu, gdy wpadła jej w ręce ulotka.

– Hm... – mruknął Hurd, gdy pociąg zaczął zwalniać przed stacją Christchurch – w tej sytuacji wydaje się, że wszystko jest w porządku i ona rzeczywiście nie ma nic do ukrycia. A co z Jessopem?

– Wiedząc tak mało o sprawie lady Racheli, nie pytałam o niego – odparła Aurora. – Powiedziała ci już wszystko.

– Czy ktoś jeszcze zatrzymał się ostatnio w gospodzie?

– Nie. Poza tym nie jest to wcale takie złe miejsce. Pokoje czyste, jedzenie dobre, opłaty niskie. Wolałabym mieszkać w takiej małej gospodzie jak „Czerwona Świnia” niż w jakimś dużym hotelu. Dania z curry są tam naprawdę wyborne i ostre! – Panna Qian skrzywiła twarz w uśmiechu pełnym ekstazy. – Ale może dlatego, że przyrządza je obcokrajowiec.

Hurd zeszywniał.

– Potrawy z curry... przyrządza obcokrajowiec?

– Tak, mężczyzna, którego nazywają Hokar.

– Auroro, to człowiek, który zostawił cukier na kontuarze w księgarni Normana. Zapomniałem, że ty nic o tym nie wiedziałaś. – Hurd gorączkowo streścił jej ten epizod.

– To rzeczywiście dziwne – stwierdziła panna Qian, kiwając głową. – Z tego można by wywnioskować, iż pani Krill jeszcze przed przeczytaniem ulotki wiedziała, gdzie przebywa jej mąż.

– I może wiedziała też o morderstwie – dodał Hurd.

Brat i siostra spojrzeli po sobie; sprawa stawała się coraz bardziej interesująca. Pani Krill najwyraźniej wiedziała więcej, niż zamierzała się do tego przyznawać. Ale w tym momencie pociąg zatrzymał się i wysiedli.

Hurd zabrał podręczny bagaż i ruszył do miasta ze swą piękną siostrą drepczącą obok niego. Zanim jednak dotarli do „Czerwonej Świni”, Aurora przekazała mu jeszcze jedną informację.

– Ten Hokar wcale nie jest tu popularny – powiedziała – mówią, że je koty i psy. Ot co. Rozmawiałam z kilkoma starymi kobietami i powiedziały, że ginęły im te zwierzęta. Jednego kota znaleziono uduszonego na podwórku...

– Uduszonego...? – Przerwał detektyw. – Ten człowiek jest Hindusem i zapewne Thugiem.

– Kto to jest Thug? – zapytała zdumiona Aurora.

– Wczoraj zacząłem czytać książkę wypożyczoną ostatniej nocy od Beecota – wyjaśnił Hurd i dodał: – Była tak interesująca, że czytałem ją do świtu...

– Mimo to wyglądasz kwitnąco – zauważyła szczerze siostra. – Jednak Thugowie chyba już nie żyją...

– Nie, autor też tak twierdzi. Mimo to duszenie jest dziwne i ten okrutny sposób, w jakim zamordowano Normana... Tak właśnie postępowali Thugowie i ten Hindus... A w dodatku cukier...

– Och, to nonsens! Hokar na pewno zostawił cukier przez przypadek. Gdyby miał zamiar zamordować Normana, nie zdradzałby swojej tożsamości.

– Spodziewam się, że on nigdy nawet nie pomyślał, że ktoś może odgadnąć, iż jest Thugiem. Ta powieść nie jest dziś powszechnie znana. Panna Norman natknęła się na nią zupełnie przypadkowo, ale historia tak nią poruszyła, że opowiedziała o niej Beecotowi.

– Ja nie wierzę w takie zbiegi okoliczności – stwierdziła sucho Aurora, która mimo swego dziewczęcego i figlarnego wyglądu była praktyczną osobką. – Ale oto jesteśmy przed „Czerwoną Świnia”. Ładnie tu i przyjemnie, prawda?

Rzeczywiście, gospoda była bardzo ładna. Stała na skraju miasta pośród rozległych pól otoczona rzędem żywopłotów. Budynek miał charakter typowo rustykalny; pobielony i kryty strzechą, z niezbyt wiernie namalowanym wizerunkiem dużej czerwonej lochy. Na zewnątrz stało kilka ławek, gdzie siadywali podpici klienci. Okna były ukształtowane w uroczym, staromodnym stylu. Ogólnie „Czerwona Świnia” żywo przypominała zajazdy dyliżansów z czasów Dickensa.

Hurd obrzucił przelotnym wzrokiem uroczy budynek. Dłużej zatrzymał się na kobiecie stojącej w drzwiach i osłaniającej dłonią oczy przed promieniami zachodzącego słońca. Ujrzał w niej pewne podobieństwo do Deborah Junk, teraz już Tawsey. Była tak samo masywnie zbudowana, miała tę samą rumianą twarz, przenikliwe czarne oczy i zachowywała się równie hałaśliwie.

Nie patrzyła tak przyjaźnie jak Deborah, a z obu sióstr wolał tę, którą poznał wcześniej.

– Oto mój brat, panno Junk – przedstawiła go Aurora, idąc do drzwi – zostanie tu tylko do jutra.

– Witam pana, sir – rzekła Matylda donośnym, serdecznym głosem, przypominającym detektywowi głos siostry. – Będzie pan tak łaskaw i wejdzie napić się herbaty?

Hurd skinął głową i wszedł do niedużego saloniku, gdzie ujrzał fotografię Haya nad kominkiem. Aurora na znak brata poszła do swego pokoju, żeby się przebrać, a Hurd rozpoczął pogawędkę z Matyldą, gdy ta przyniosła tacę.

– Znam pani siostrę – zagał.

Panna Junk omal nie wypuściła tacy z rąk.

– Wielkie nieba! Tylko pomyśleć! Już dziesięć lat jak nie pisałyśmy do siebie. Ja wyjechałam z Londynu jedenaście lat temu. Jak ona się teraz miewa, proszę pana? Gdzie mieszka?

– Miewa się dobrze. Prowadzi pralnię w Jubileetown pod Londynem i wyszła za mąż za Barta Tawseya.

– Jest mężatką! – wykrzyknęła Matylda, odstawiając tacę i zakładając ręce tak samo jak Deborah. – Boże, a ja ciągle jestem panną. Ale teraz mam tę gospodę i nieco oszczędności. Muszę pomyśleć o wyjściu za mąż... Nie pozwolę, żeby Debby mnie zakrakała.

– Pani siostra przed uruchomieniem pralni służyła u pana Normana – poinformował ją Hurd, nalewając sobie filiżankę herbaty.

– Służyła? Dlaczego odeszła?

Nazwisko Norman najwyraźniej nie było Matyldzie znane, więc Hurd spróbował eksplodować inną bombę:

– Jej chlebodawca został zamordowany, wcześniej nosił nazwisko Lemuel Krill.

– Na litość boską! – Matyllda padła z wstrząsającym całym pokojem łoskotem na krzesło. – Dlaczego? Był przecież mężem i ojcem moich pań!

– Jakich pań? – zapytał Hurd, udając, że nie zrozumiał.

– Moich pań – pani Krill i panny Maud. To one nienagannie prowadziły ten dom. Pracowałam u nich dziesięć lat, a gdy moje panie otrzymały spadek, interes w „Czerwonej Świni” przekazały mnie. A pomyśleć tylko, że Debby wysługiwała się temu biednemu Krillowi aż do jego śmierci. Kto go zabił?

– To twoja pani tego nie wie?

– Ona! – wykrzyknęła Matyllda z oburzeniem. – Przecież ona ciągle szukała męża, chociaż nie za bardzo go kochała. A teraz gdy nie żyje, już nigdy nie zmieni się na lepsze i nikt mu już nic nie robi w sprawie śmierci tej biednej lady tu, w tym domu. Będzie pan dziś spał w jej pokoju – dodała Matyllda, jakby chciała mu tym sprawić przyjemność. – Gdzie została uduszona.

– Coś o tym słyszałem. Ale przecież lady Rachela Sandal popełniła samobójstwo.

Matyllda potarła nos zwyczajem Deborah.

– No cóż, sir, moje panie nigdy nie były przekonane, że tak się stało. Ale oczywiście wydarzyło się to, jeszcze zanim tu nastałam, to znaczy ponad dwadzieścia lat temu. Niemniej ten człowiek już nie żyje, a moje panie dostaną po nim pieniądze. Panna Maud ma zamiar poślubić prawdziwego dżentelmena... – tu Matyllda rzuciła okiem na fotografię – a ja zawsze mówiłam, że on jest dżentelmenem, chociaż spóźnia się na kolację.

– A czy ten prawdziwy dżentelmen był tu kiedyś?

– Tak, przyjeżdżał na parę dni co miesiąc i panna Maud kochała w nim to coś, co miał w sobie okrutnego... Ale i tak pobiorą się i będą szczęśliwi.

– Myślę, że twoje panie spotykały się z tym dżentelmenem w mieście?

– Ma pan na myśli pana Haya? – zdziwiła się szczerze Matyllda. – Tak, sir, spotykały się – raz pojedynczo, raz razem. Wpierw pani, potem panienka, a potem

pani i panienka razem i zabawiały w sklepach w Towers i u Madame Tusard i tym podobne. Pan Hay zawsze się nimi opiekował.

– Czy odwiedziły pana Haya w lipcu?

– Nie, nie odwiedziły – burknęła Matylda, zmieniając głos, co nie umknęło Hurdowi. – Nie wiem, dlaczego zadaje mi pan te pytania.

– Dobra kobieto, ja nie zadaję pytań. Jeśli uważasz, że to robię, to nie musisz odpowiadać. Zmieńmy więc temat. Moja siostra mówiła mi, że macie tu dobre potrawy z curry.

– Przyrządza je Hokar, ale to zwykły kucharz.

– O...! To Hindus?

– Tak, sir. Biedny indyjski rozbitek, którym pani się zaopiekowała, gdy zjawił się tu wycieńczony i przemoczony deszczem. Ach, pani zawsze była litościwa, jak prawdziwa chrześcijanka.

Hurd prywatnie uważał, że ten opis nie pasuje ściśle do tej kobiety, ale żeby nie wzbudzać podejrzeń Matyldy, postanowił nie przeczyć. Więc udał, że przyjmuje jej słowa jako żart.

– Tak sobie myślę, że chyba nie poślubisz tego Hindusa, jednak zatrzymaj go tutaj, żeby zawsze przyrządzał potrawy z curry, o których słyszałem tyle dobrego.

– Ja miałabym poślubić czarnego! – krzyknęła Matylda, potrząsając stanowczo głową. – Nie, sir, nigdy. – Zaczerpnęła tchu. – On jeździ po kraju.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko to co powiedziałam – odparła panna Junk. – Zatrzyma się tu, tak po chrześcijańsku, kilka dni, a potem znowu jedzie na wieś sprzedawać różne towary, jak domokrążca. Mój ojciec też był domokrążcą, ale białym, najlepszym ze wszystkich białych ludzi.

Hurd już miał zadać kolejne pytanie, gdy nagle usłyszał ochryply głos wyśpiewujący coś fałszywie.

– Co to jest? – zapytał ze złością.

– O Boże, niech się pan nie denerwuje. To tylko kapitan Jessop, właśnie chwali się, jaki jest szczęśliwy.

– Kapitan Jessop! – Hurd roześmiał się.

W końcu dopadł tego marynarza.

ROZDZIAŁ XIX

KAPITAN JESSOP

Najwyraźniej Matylda Junk nie miała pojęcia, że z jej kobietami jest coś nie w porządku, chociaż wymigła się od odpowiedzi na pytanie, czy były w Londynie w lipcu. Jednak Hurd dowiedział się, że Grexon Hay był nie tylko ich starym przyjacielem, ale że wiele miesięcy temu zaręczył się z Maud. Te informacje sprawiły, że teraz nie miał już wątpliwości, iż Hay okradł Beecota z opalowej broszki, w chwili gdy ten upadał na ulicy i że przeszła ona z rąk pana Haya do rąk mordercy.

„Zastanawiam się, czy pani Krill mogła zamordować męża w tak okrutny sposób – pomyślał detektyw, popijając herbatę – ale w jakim celu to zrobiła? Gdyby się dowiedziała od Haya, że Aaron Norman to jej mąż – tak mi się przynajmniej wydaje – wtedy mogłaby zechcieć zmusić go, żeby zapłacił jej za milczenie, grożąc ujawnieniem faktu, że przed laty zamordował lady Rachelę. Śmiem twierdzić, że Aaron Norman, w czasie gdy występował pod nazwiskiem Krill, udusił tę kobietę, żeby zdobyć broszkę z opalu, a jego żona mogła wykorzystać wiedzę o tym, żeby nim rządzić. Ale w takim razie po co miałyby go zabijać! Hmmm... Muszę wydusić prawdę z Haya”.

– Aurora! – krzyknął. – Och, już jesteś... – dodał, widząc, jak jego siostra wchodzi do pokoju. – Chcę, żebyś jeszcze dziś wieczorem wróciła do miasta.

– Po co, Billy?

– Możesz postarać się, aby Hay wpadł w tarapaty?

Aurora skinęła głową.

– Mam dowody, że oszukiwał w kartach nie tylko lorda George’a, jeśli ci o to chodzi – oznajmiła – ale ty nie chciałeś tego wykorzystywać.

– Owszem, nie chciałem. To piskorz, który może się nam wyśliznąć. Możesz jednak zorganizować u siebie przyjęcie i zaprosić lorda George’a oraz Haya, a potem zaprosisz ich do gry w karty. Jeżeli Hay zacznie oszukiwać, daj znać lordowi George’owi.

– Na co się to może przydać? – zapytała panna Qian, otwierając szeroko oczy.

– Może pośrednio sprowokuje Haya, żeby przyznał się, aby uniknąć skandalu towarzyskiego, do kradzieży broszki. Pamiętaj, że jedyne co posiada, to reputację i jeśli zostanie przyłapany na oszukiwaniu w kartach, będzie musiał opuścić miasto.

– A co to dla niego ma za znaczenie? On i tak chce się ożenić z panną Krill.

– O ile panna Krill zatrzyma pieniądze, w co wątpię.

– Ale, Billy...

– Nieważne. Nie pytaj, tylko idź się pakować. Kapitan Jessop popija sobie w barze, spróbuję go aresztować. Mam przy sobie nakaz, w razie gdybym go tu znalazł. Mogę zatrzymać go w charakterze podejrzanego i nie wypuszczę do czasu odkrycia prawdy. Twoim zadaniem jest rzucić Haya na kolana i wycisnąć z niego prawdę o broszce z opalu. Znasz tę sprawę?

– Tak – mruknęła Aurora. – Znam. Ale nie podoba mi się taka długa podróż po nocy.

– Każda chwila jest bezcenna. Jeżeli aresztuję tu Jessopa, Matylda Junk doniesie o tym swoim paniom, a one z kolei doniosą Hayowi i wówczas ten dżentelmen może się nam wywinąć. Broszka w tej sprawie jest niezwykle ważna i ja wierzę, że to ona właśnie może dostarczyć nam najważniejszy dowód; ale tylko wtedy, jeśli ten, kto ją posiada, zostanie do tego zmuszony, widzisz więc teraz, że musisz się spieszyć i nie tracić czasu.

Panna Qian skinęła głową i poszła się pakować. Potrzebowała pieniędzy, a Billy obiecał jej spory udział w nagrodzie. Po kilku minutach panna Junk

z „Czerwonej Świni” dowiedziała się, że panna Qian została nagle wezwana do miasta i musi odjechać już za godzinę. Nieświadoma niczego poszła pomóc spakować się Aurorze i ta wkrótce wyjechała wynajętym powozem na stację kolejową, przygotowując się do zastawienia pułapki na Grexona Haya.

Gdy jego siostra już bezpiecznie opuściła gospodę, Hurd udał się do telegrafu, gdzie nadał zaszyfrowaną wiadomość do Yardu, prosząc o przysłanie dwóch agentów w cywilu. Poza tym chciał, żeby ktoś obserwował dom, Hokara i pannę Matyldę Junk, na wypadek gdyby wróciły pani Krill i jej córka. Dodał też, że kapitanem Jessopem zajmie się osobiście. Jednak zbytnio się z tym nie spieszył; miał zamiar po kolacji po cichu aresztować go w salonie. Zdążył już poinformować Matyldę, żeby poprosiła tego dżentelmena, aby dołączył do niego przy posiłku i skosztował przyrządzaną przez Hokara specjalną potrawę z curry. Wspomnienie curry przywiodło mu na myśl Hindusa i gdy wrócił do „Czerwonej Świni”, zaczął wędrować po całym domu, badając dokładnie gospodę, ale tak naprawdę szykując się na rozmowę z Hindusem. Mając nadzieję, że spotka tego człowieka, Hurd starannie nauczył się kilku fraz dotyczących thugizmu – oczywiście tylko po angielsku, jako że nie znał języka hindu. Chciał też użyć w rozmowie z Hokarem kilku słów charakterystycznych dla Thugów, a potem obserwować, jaki wywarły na nim efekt. Wkrótce znalazł Hindusa palącego fajkę i siedzącego na podwórku ze skrzyżowanymi nogami pod drzewem. Najwyraźniej odpoczywał po pracy. Pamiętając opis podany przez Barta, detektyw stwierdził, że był to ten sam człowiek, który wszedł wtedy do księgarni Normana. Był tak samo ubrany i sprawiał podobnie podejrzaną wrażeń złego, bezpańskiego psa.

– Halo – rzucił od niechcienia Hurd – co tu robisz? Mówisz po angielsku?

– Tak, sir – odparł spokojnie Hokar. – Ja mówić dobrze angielski. Misjonarz uczył Hokar angielski.

– Cieszę się; więc możemy ze sobą pogadać – stwierdził Hurd, wyjmując fajkę. Jednak przy okazji wyjął jeszcze coś, w co zaopatrzył się, wracając z poczty. W następnym momencie Hokar patrzył już na małą paczuszkę surowego, brązowego cukru. Przy całej swej orientalnej flegmie ten mężczyzna nie potrafił

zachować niewzruszonego wyrazu twarzy. Przewrócił oczami, co wywołało wrażenie, jakby gałki oczne zapadły się w czaszkę, a potem spojrzał na Hurdę z przerażeniem.

– *Goor* – rzekł, wskazując cukier ustnikiem fajki – *goor!*

W tym momencie Hókar, mimo ciemnej karnacji skóry, prawie zzieleniał i uniósł się, aby uciec, ale nogi go zawiodły i siedząc, próbował się opanować.

– A więc czcisz Bhowanee!? – znęcał się nad nim jego oprawca.

Teraz twarz Hindusa zdradzała żywe zainteresowanie.

– Wielka bogini.

– Tak. Ty to wiesz, *Kali*. Czy złożyłeś *tupounee* po użyciu *roomal* na Aaronie Normanie?

Hókar wydał gardłowy okrzyk i zaczął rozpaczliwie dyszeć. *Tupounee* to złożenie ofiary przez Thugów po dokonaniu udanego zabójstwa, a *roomal* oznacza chustę, którą duszą swe ofiary. Te informacje Hurdę zaczerpnął z książki Meadowa Taylora.

– No – rzekł detektyw, paląc spokojnie fajkę – i co pan na to, panie Hókar?

– Ja nic nie rozumiem – odparł Hindus ponuro, ale wyraźnie śmiertelnie przerażony.

– Ależ tak, rozumiesz. Siedź spokojnie – rozkazał Hurdę, nagle przybierając surowy ton. – Jeżeli spróbujesz uciec, zostaniesz przeze mnie aresztowany. Oczy agentów są na ciebie skierowane, nie uczynisz kroku bez mojej wiedzy.

Przy słabej znajomości angielskiego niektóre słowa nie były dla niego zrozumiałe. Jednak wiedział dobrze, że prawo położy na nim rękę, jeżeli nie posłucha tego sahiba i ruszy się z miejsca.

– Ja nic nie rozumiem – powtórzył, szcękając zębami.

– Rozumiesz. Jesteś Thugiem.

– Nie ma Thugów.

– Tak, zgadzam się z tobą – przyznał Hurdę. – Jesteś ostatnim z nich. Chcę wiedzieć, dlaczego złożyłeś Aarona Normana w ofierze Bhowanee?

Słyszając to święte imię, Hokar uczynił na czole jakiś dziwny znak i coś wymruczał – zapewne modlitwę w rodzinnym języku, potem uniósł wzrok i powtórzył:

– Ja nic nie rozumiem.

– Nie powtarzaj mi tu tych bzdur – rzucił spokojnie Hurd. – Sprzedawałaś sznurowadła do butów w księgarni przy Gwynne Street w dniu, kiedy zginął jej właściciel. Był mężem pani Krill, kobiety, która ci pomogła.

– Ty mówić źle – stwierdził Hindus beznamiętnie.

– Ale mogę to udowodnić. Chłopak imieniem Tray – w każdej chwili mogę go złapać – widział ciebie, a także widział ciebie Bart Tawsey, sprzedawca. Zostawiłeś tam garść cukru, którego nie zjadłeś, czego nie mogę zrozumieć.

Twarz Hokara pojaśniała i wyszczerzył zęby z pogardą.

– Och, wy, sahibowie, nic nie rozumiem! – rzekł, wyciągając przed siebie szczupłe, brązowe ręce. – Sklepy... ach tak, byłem tam, tak. Ale nie użyć *roomal*.

– Nie wtedy, ale może później.

Hokar potrząsnął głową.

– Ja nie używać *roomal*. Ten sahib miał jedno oko – a to źle, bardzo źle. Bhowanee nie lubi jednego oka. Ani Bhungees, ani Bhats, nie...

– O czym ty gadasz? – spytał ze złością Hurd. Bowiem nie wyczytał z pożyczonej książki o tym, że Thugowie nie mogą składać bogini ofiar z ludzi okaleczonych. Bhungees, Bhats to boginie czczone przez dusicieli i każda ma dla nich swoje znaczenie. – Zabiłeś tego człowieka. Kto ci kazał to zrobić?

– Nic nie wiem! Nie zabiłem. Bhowanee nie chce jednookich ludzi.

Hurd z trudem kontynuował rozmowę, musiałby mieć tłumacza z hindi. Ale w tym czasie Hokar mógł uciec; dlatego Hurd żałował, że się trochę pospieszył z jego przesłuchaniem. Jednak kiwnął Hokarowi i odszedł przekonany, że Hindus nie ulotni się tak zaraz.

Potem Hurd udał się na posterunek miejscowej policji i powiedział posterunkowemu, żeby nie spuszczał oka z tego „cudzoziemca”, jak go nazywała

panna Junk. Kiedy detektyw pokazał mu swoje upoważnienie, policjant o sympatycznej twarzy obiecał spełnić jego życzenie i w pewnej odległości za Hurdem udał się do „Czerwonej Świni”. Wypowiedziana w samą porę prośba o potrawę z curry sprawiła, że Hokar został zatrzymany w kuchni.

– Wydaje się jakiś taki podenerwowany – stwierdziła Matylda, kładąc obrus.

– Mam nadzieję, że nie zepsuje curry – zauważył Hurd i widząc, że Hokar jest pod nadzorem, udał się na spotkanie ze swoją drugą ofiarą.

Kapitan Jarvey Jessop idealnie pasował do opisu podanego przez Pasha. Był wielki, wyglądał jak prawdziwy marynarz, z rudymi włosami poprzetykanymi siwizną i z rudą brodą, która ledwo zasłaniała bliznę biegnącą od skroni do ust.

Wypił już na tyle dużo, żeby być w niezłym nastroju i chętnie wdać się w pogawędkę z Hurdem, który niepotrzebnie wyjaśnił.

– Jestem kupcem – mówił, napełniając szklanki rumem – i lubię sobie pogadać.

– Ja też – mruknął marynarz, chwytając szklankę. – Jestem tu, jakby to pan nazwał, tylko z wizytą i jutro wracam do domu. Potem *mam zamiar wypłynąć do Callao** – wykrzyknął, niemal wyśpiewując w stylu jakiejś ognistej szanty. Hurd od razu zrozumiał, jakiego gatunku marynarzem był kapitan Jarvey. Niewątpliwie kimś w rodzaju korsarza, niemającego tu nic do roboty – w przeciwieństwie do Hokara z jego śmiercionośną chustą. Jednak on także mógł zabić Aarona Normana.

– Wypij! – krzyknął z kolei Hurd. – Mamy tego więcej. *W Callao pod żadnym warunkiem nie ma ekstradycji.*

– O, widzę, że znasz szanty – stwierdził kapitan Jessop.

Hurd mrugnął.

– Kiedyś dużo podróżowałem.

Jessop wyciągnął ogromną łapę.

– Przybij, kumplu! – ryknął niczym syrena przeciwmgielna. – I wypij. Ja stawiam.

Hurd skinął głową i zaczął jowialnie:

– Pod warunkiem że zjesz ze mną kolację. Podobno robią tu dobre curry.

– Często jadałem curry – pochwalił się kapitan – w Kolombo i Hongkongu, ale curry Hokara jest najlepsze.

– Ach! – rzucił przyjaźnie Hurd – więc znasz tego obszarpańca ze slumsów? Jessop spojrział na niego pogardliwie.

– Czy go znam? – zapytał z uśmiechem. – Dlaczego pytasz? Oczywiście, że znam. Chociaż przez ostatnie trzydzieści lat kołysałem się w hamaku.

– Zatem pochodzisz stąd, z Christchurch?

– Nie, kolego. Pochodzę z Buckinghamshire. Urodziłem się w Stowley.

Hurd z trudem się opanował. Stowley to miejsce, gdzie najważniejsza broszka została zastawiona w lombardzie przez żeglarza i tym żeglarzem był bez wątpienia ten właśnie człowiek.

– Powinienem się domyślić, że mieszkałeś blisko morza – zauważył ostrożnie – powiedzmy w Southampton.

– Och, nie, tam jeździłem do mojego statku – wyjaśnił kapitan, osuszając szklaneczkę. – Ale teraz już nie jeżdżę.

– Emerytura, co?

Jessop skinął głową i spojrział na swojego nowego przyjaciela – za którego uważał Hurda od chwili, gdy ten zaprosił go na kolację – przekrwionymi oczami.

– Niech nadciąga burza! Niech zapadnie cisza! – mruknął. – Żeglowałem po morzach i oceanach przez czterdzieści lat. Na pierwszym rejsie byłem piętnastoletnim chłopcem kabinowym... na końcu zostałem kapitanem. Boże! – Jessop klepnął się w kolano. – Czegóż to ja już nie widziałem!

– No to pogadajmy o tym po kolacji – zaproponował Hurd, kiwając zachęcająco głową. – Przypuszczam, że zdążyłeś dorobić się majątku.

– Nie – odparł ponuro kapitan – w każdym razie nie takiego, który mógłbyś określić konkretną sumą pieniędzy. Chociaż mam pewne zabezpieczenie... – Mówiąc to, mrugnął porozumiewawczo.

– Ach! Pewnie zatem ożeniłeś się i masz bogatą żonę?

– To nie ja. Mam dość małżeństwa, będąc kapitanem pewnej gadatliwej syreny... Nie, sir! – ryknął następną linijkę jakiejś szanty krążącej po jego otumanionej alkoholem głowie. – Twardy ze mnie kawaler – i dodał szorstko: – i takim będę do końca mych dni. Mam zaplecze... niepotrzebna mi żona, pieniądze sypie mi się regularnie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. – I znowu mrugnął, susząc następną szklaneczkę.

Hurd pomyślał, że Jessop być może zabił Aarona Normana na zlecenie pani Krill i teraz kobieta regularnie płaci mu za tę usługę! Jednak nie odważył się zadać podobnego pytania, bowiem Jessop znajdował się niebezpiecznie blisko niego, i taka sytuacja mogła się skończyć, jak mówią Irlandczycy, „bliskim spotkaniem”. Dlatego zaproponował przerwę i kontynuację rozmowy w salonie. Jessop niczego nieświadomy zgodził się, nie mając pojęcia, że wpadnie w zastawioną pułapkę. Ten mężczyzna był tak masywnie zbudowany i naturę miał tak nieokrzesałą, że Hurd poluzował rewolwer na pasku przy biodrze, aby móc z łatwością użyć go, w razie gdyby zaszła nagła potrzeba.

Panna Junk osobiście podała kolację i wyjaśniła, że Hokar przyrządził danie z curry, ale nie sądzi, żeby było takie dobre jak zwykle.

– Ten człowiek trząśł się jak galareta – wyjaśniła Matylda – nie wiem dlaczego.

Detektyw skinął głową, ale nie zachęcił jej do rozmowy. Był pewien, że Hokara obserwuje policjant z miejscowego posterunku i że Hindus nie może uciec. Poza tym teraz planował dłuższą rozmowę z kapitanem. Panna Junk, widząc, że nie jest już potrzebna po podaniu curry, wycofała się, zostawiając obu dżentelmenów samych sobie. Hurd usiadł przy ogniu, przy zastawionym stole, czekając, aż kapitan Jarvey Jessop przyzna się do udziału w podwójnym morderstwie lady Racheli Sandal i Aarona Normana.

* Callao – największy i najważniejszy port w Peru (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XX

CZĘŚĆ PRAWDY

Kapitan Jessop jadł łapczywie, podobnie jak przedtem pił alkohol, chwając curry, które było rzeczywiście znakomite. Hurd zrazu nie poruszył żadnego nieprzyjemnego tematu, chcąc, aby marynarz mógł się nacieszyć posiłkiem. Jeśli Jessop był winny, to ta smakowita kolacja byłaby ostatnią, jaką miałyby okazję spożyć przez wiele następnych dni. Hurd ponadto chciał się więcej dowiedzieć o charakterze Jessopa i zasypał go pytaniami, na które niczego się niespodziewający marynarz odpowiadał dość uprzejmie.

– Ja i ty możemy zostać kumplami – mówił Jessop, raz po raz wyciągając potężną łapę i dodając: – Przybij!

– Żeby zostać prawdziwymi kumplami, musimy o sobie więcej wiedzieć – rzekł Hurd ze śmiechem.

– Och, ty jesteś kupcem, jak powiedziałeś, a ja kapitanem najpiękniejszego żaglowca, jaki kiedykolwiek pływał pod Znakiem Kozioroźca. I jak już wspomniałem, podróżowałem po wielu morzach i oceanach.

– Musiało ci brakować oceanu w Stowley.

– Tak, leży w głębi lądu – przyznał marynarz, wyciągając brudną glinianą fajkę na znak zakończenia posiłku – ocean dzieli od tej miejscowości odległość czterech mil, ale za to mam tam swoją rudere i cieszę się szacunkiem.

– Tak, żyjesz tam, mając dobre zaplecze... – Hurd poczynił aluzję.

Jessop drżącą ręką napełnił fajkę bardzo mocnym czarnym tytoniem.

– Ja nie mam dużych wymagań, a ludzie są tam skąpi. Jednak gdy zechcę coś więcej – walnął pięścią w stół – to dostanę. Rozumie pan, panie kupcu?

– Tak, rozumiem – odparł Hurd chłodno. Jessop zaczął się denerwować, więc detektyw musiał być ostrożny. Dobrze wiedział, że następnego dnia rano, gdy marynarz wytrzeźwieje, nie będzie już taki rozmowny, będąc jednak w stanie otumanienia alkoholowego, chętnie otwierał serce. Równocześnie było całkiem pewne, że jeżeli wypije odrobinę za dużo, stanie się kłótlivy, więc Hurd zaproponował kawę, na co marynarz wyraził łaskawą zgodę.

– Kaffa – powtórzył, zapalając fajkę i wypełniając pokój śmierdzącym dymem – oczyszcza głowę, ale nie moją, pamiętaj. Jednak kaffa nie jest zła, gdy rozumu nie za dużo.

– No to potem będziesz miał go więcej – mruknął Hurd.

– Dawaj, kładź tu swoją – rzekł Jessop i detektyw znowu krzywił się od uścisku jego namolnej dłoni.

Na dźwięk dzwonka pojawiła się panna Junk i zabrała nakrycia po kolacji. Potem przyniosła mocną, parującą, czarną kawę. Jessop wypił dwie filiżanki, co go natychmiast uspokoiło. Obaj mężczyźni oddali się miłej pogawędce. Przynajmniej Jessop był o tym przekonany, często składając nowemu kumplowi wyrazy szczerzej przyjaźni. Po chwili nadeszła Matylda z butelką rumu, czajnikiem i dwoma szklankami. Gdy odchodziła, Hurd pospiesznie powiedział, że tej nocy nie będzie już potrzebował jej usług. Prośbę wyszeptał w drzwiach, gdy Jessop stawiał czajnik na ogniu i zanim wrócił na swoje miejsce, przekręcił klucz w zamku drzwi. Teraz miał marynarza wyłącznie dla siebie i natychmiast przystąpił do rzeczy, podczas gdy woda w czajniku zaczęła się gotować.

– Mam wrażenie, że dobrze znasz to miejsce i że bywałeś tu często ostatnimi laty – rzekł Hurd, zajmując krzesło przy stole naprzeciwko Jessopa. – Czy zdarzyło ci się kiedyś spotkać człowieka, który tu mieszkał, o nazwisku Lemuel Krill?

Marynarz zadrżał.

– Skąd to pytanie? – zapytał ochryplym głosem.

– Ja, widzisz, zajmując się handlem książkami, stykałem się z sprzedawcą książek używanych na Gwynne Street. Wydaje się, że ten sprzedawca został niedawno zamordowany. – Mówiąc to, nie spuszczał oczu z Jessopa.

Marynarz skinął głową i opanował się z ogromnym wysiłkiem.

– Tak – odparł ochryple – coś o tym słyszałem. Ale co on ma wspólnego z Lemuelem Krillem?

– No cóż – rzekł obojętnie Hurd – mówią, że ten Aaron Norman wcześniej nazywał się Krill.

– Może i tak. Tego nie wiem – brzmiała szorstka odpowiedź.

– Ach, zatem nie znałeś osobiście Lemuela Krilla?

– No... – kapitan przyznał niechętnie – znałem. Był właścicielem tej gospody i pił jak smok. Boże, ile on mógł wypić i wypijał! Ale uciekł od żony, tak jak to bywa w szantach... no i nigdy więcej już o nim nie usłyszała.

– Póki nie dowiedziała się, że był bogaty i zostawił jej w spadku pięć tysięcy rocznie... – rzucił obojętnie Hurd – jak to kobieta.

– Wygląda na to, że dużo o tym wiesz, szefie? – spytał niespokojnie marynarz.

– No cóż, czytam gazety. Śmierć tego Normana to dziwna sprawa. Myślę, że został uduszony za to, że w ten sam sposób zamordował lady Rachelę Sandal.

Jessop wsparł się rękami na poręczach krzesła, odchylił do tyłu i wpatrywał w detektywa z pobladłą twarzą.

– O tym też wiesz? – wykrztusił.

– Czemu nie? Przecież przed laty dużo się o tej sprawie mówiło. Jeśli dobrze zrozumiałem, bywałeś tu już wtedy – ciągnął swobodnie Hurd – to może coś sobie przypominasz.

Jessop otarł czoło z potu.

– Tak, czegoż to ludzie nie gadają. Ale mówili też, że ta kobieta popełniła samobójstwo.

– Wiem, co mówili, ale chcę wiedzieć, co ty masz na ten temat do powiedzenia?

– Nie będę na ten temat gadał! – wybuchnął ze złością kapitan.

– Daj spokój, nie podnoś głosu – zmiłgował go szybko detektyw – przecież tylko sobie spokojnie gawędzimy.

– Nie chcę o tym rozmawiać – upierał się Jessop drżącym głosem i wstał, zataczając się. Pod wpływem śmiertelnego przerażenia nagle wytrzeźwiał. Hurd nie ruszył się z miejsca, gdy mężczyzna szedł przez pokój, czując, że klucz bezpiecznie tkwi w jego kieszeni.

Marynarz próbował otworzyć drzwi, ale szybko się zorientował, że są zamknięte. Odwrócił się w stronę detektywa, wyrzucając z siebie salwę wyzwisk, ale znalazł się pod lufą wycelowanego w siebie rewolweru.

– Siadaj – rzekł spokojnie Hurd. – Wracaj na swoje miejsce.

Jessop z tępym wzrokiem i wyciągniętymi rękoma oparł się plecami o ścianę.

– Kim ty jesteś? – wykrztusił z trudem.

– Może to coś ci powie – rzekł Hurd, wyciągając nakaz aresztowania i kładąc na blacie.

Jessop zatoczył się, podchodząc do stołu i rzucił okiem na papier. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientował, z czym ma do czynienia, i opadł z jękiem na krzesło, nie ruszając dokumentu. Hurd chwycił nakaz i schował do kieszeni. Bał się, że Jessop zechce go zniszczyć, ale marynarz nie miał zamiaru wszczynać awantury.

– A teraz, gdy już się wzajemnie rozumiemy – powiedział Hurd, chowając broń – porozmawiamy sobie trochę.

– Nic nie powiem – odparł nerwowo Jessop.

– O tak, myślę, że jednak powiesz, bo inaczej sprawię, że będzie ci bardzo nieprzyjemnie.

– Nie możesz mnie aresztować. Nie zrobiłem nic złego.

– Może i nie zrobiłeś, ale mam prawo cię aresztować i nawet zamierzam to zrobić. Jutro rano pojedziesz do Londynu pod opieką policjanta w cywilu, a ja udam się do Stowley.

– Do mego rodzinnego miejsca? Nie zrobisz tego.

– Nie tak zaraz do miejsca, z którego pochodzisz – wyjaśnił sucho Hurd – to zrobię później. Wpierw złożę wizytę w lombardzie. Jestem przekonany, że jeżeli ciebie opiszę – a należysz do ludzi charakterystycznych, kapitanie Jessop – to właściciel lombardu rozpozna w tobie osobę, która zastawiła broszkę z opalowego węża, krótko po śmierci lady Racheli Sandal, do której jak mówią, ta broszka należała.

– To kłamstwo – rzekł teraz już całkiem trzeźwy Jessop ochrypłym głosem.

– Może i kłamstwo, ale czy człowiek podobny do ciebie nie próbował wyłudzić biżuterii od prawnika nazwiskiem Pash...

Jessop stracił panowanie nad sobą, które dotąd próbował rozpaczliwie zachować, zerwał się na nogi z twarzą bladą jak kreda.

– Kim ty jesteś? – krzyknął. – Kim ty jesteś!?

– Nie powiedział ci tego nakaz aresztowania? – odparł jego rozmówca z całkowitym spokojem. – Nazywam się Billy Hurd. Jestem detektywem wyznaczonym do sprawy morderstwa Normana. Od dłuższego czasu obserwowałem ciebie, panie Jessop.

– Ja na temat tej śmierci nic nie wiem.

– Owszem, wiesz; siadaj i mów.

– Rozwalę ci łeb! – krzyknął kapitan, machając ogromnymi łapami.

– Spróbuj – Hurd, ciągle siedząc, wyciągnął rewolwer – a wpakuję ci kulkę. Do licha, człowieku, nie bądź głupcem. Chcę, żeby wszystko było dla ciebie proste i łatwe... jak to tylko możliwe. Wywołaj tu awanturę, a przekażę ci miejscowej policji. Noc w wiejskim areszcie z pewnością ostudzi twój zapał. Powiedziałem, siadaj!

Marynarz wyszczerzył zęby niczym warczący wściekłe pies, jakby chciał się rzucić na siedzącego detektywa, ale nagle zmienił zamiar, uświadamiając sobie, w jakim się znalazł niebezpieczeństwie. Opadł na krzesło, zakrywając twarz dłońmi, i głośno jęknął.

– Tak już lepiej – rzekł Hurd, chowając rewolwer. – Łyknij sobie kapkę rumu i gadaj wszystko, co wiesz.

– Jestem niewinny – jęknął Jessop.

– Każdy człowiek jest niewinny, póki nie osądzi go i nie skaze sąd przysięgłych – wyjaśnił spokojnie Hurd. – Potraktuj mnie jak ławę przysięgłych i gdy poznam całą prawdę, osądzę twoją sprawę. Orzeknę, czy jesteś naprawdę niewinny obu morderstw.

– Lady Rachela popełniła samobójstwo – sprostował Jessop, unosząc głowę i ukazując wychudzoną twarz. – To wiem i tego się trzymam, sir. A jeżeli chodzi o śmierć Krilla w Londynie, nawet go nie dotknąłem, przysięgam, nie dotknąłem.

– Ale widziałeś się z nim tamtej nocy?

– Jak pan to udowodni?

– Bardzo prosto, Norman – albo Krill, jeśli wolisz poprzednie nazwisko – krótko przed śmiercią oddał w depozyt Pashowi pewną ilość biżuterii. Pokazałeś Pashowi papier, bez wątpienia napisany i podpisany ręką starego, który upoważniał okaziciela do odbioru biżuterii. Krill przed zanieśieniem tej biżuterii do Pasha nie mógł napisać tego polecenia, zatem musiałeś się z nim widzieć w ciągu kilku godzin, jakie upłynęły między jego wizytą u Pasha a śmiercią.

To był ważny argument i Jessop nie mógł mu zaprzeczyć.

– Ale zostawiłem go zupełnie zdrowego.

– W piwnicy przy Gwynne Street?

– Tak, w piwnicy – przyznał Jessop.

– O której godzinie?

– Około ósmej trzydzieści.... no, powiedzmy między ósmą i dziewiątą.

– Co się potem stało? – zapytał Hurd, spokojnie paląc fajkę.

Marynarz jęknął i zaczął wykręcać ogromne dłonie. Wreszcie położył głowę na stole i zaczął szlochać, mówiąc chrapliwie przerywanym głosem.

– Tak, zrobiłem to. – Z trudem łapał oddech. – Wiedziałem, że do tego dojdzie, ale to nie ja, nie... nie ja, przykro mi. Długo dręczyły mnie senne koszmary. Och,

odkąd zastawiłem tę broszkę...

– Ach, więc zastawiłeś broszkę w lombardzie, w Stowley?

Jessop usiadł i otarł oczy.

– Tak, zastawiłem. Ale czapką zasłoniłem oczy i szczelnie zapiąłem kurtkę. Ani przez moment nie pomyślałem, że stary Tinker mnie rozpozna.

– Czy to nie zbyt ryzyko zastawiać taką broszkę w miejscu, gdzie byłeś dobrze znany?

– Nie byłem dobrze znany, bywałem tam rzadko, a potem znikąłem. Stary Tinker widział mnie raz, może dwa razy, a poza tym zawsze zasłaniałem twarz i... – Jessop drżąc, zaczął to opisywać od nowa, ale Hurd mu przerwał:

– Przestań. Powiedziałaś, że jesteś niewinny?

– Przysięgam! – wykrztusił Jessop.

– Wobec tego dam ci szansę to udowodnić. Nie mam interesu wieszając niewinnych. Łyknij szklaneczkę rumu i opowiedz wszystko, co wiesz, zaczynając od pierwszego spotkania z Krillem, aż do śmierci lady Racheli i ostatniego spotkania w piwnicy przy Gwynne Street.

– Po co, jeżeli i tak wiesz wszystko?

– Muszę się przekonać, czy mówisz prawdę.

– Aresztujesz mnie?

– Ja już ciebie aresztowałem. Nie targuj się ze mną, człowieku – rzekł Hurd poważnie. – Jest późno, a ja chcę dotrzeć do sedna sprawy, zanim się położę spać. Napij się rumu.

Kapitan, widząc, że musi wszystko wyznać i powiedzieć całą prawdę, nie tracił czasu na bezużyteczne biadolenie. Mógłby z łatwością zmiażdżyć Hurda, nawet ryzykując kulkę z rewolweru. Jednak taka awantura skończyłaby się dla niego udziałem miejscowej policji, a kapitan wiedział, że byłby to jego koniec. Dlatego uspokoił się i rozpoczynając zwierzenia, nagle poczuł ulgę.

– To był koszmar – zaczął, wycierając czoło. – Nawet się cieszę, że poszedłem do tego prawnika. Krilla spotkałem przypadkowo, że tak to określe, przed około

dwudziestu pięciu laty – tu rzucił dziwne spojrzenie detektywowi – tak, przypadkowo, panie Hurd. Odkryłem, że prowadzi pub, a że to niedaleko Southampton, więc przyjeżdżałem tu, gdy mój statek stał tam na kotwicy. Ja i Krill zostaliśmy dobrymi kumplami, pasowaliśmy do siebie jak... jakby to nazwać?... jak dwie ćwiartki. Tak, sir, to pewne.

– Bardzo wielkoduszny był ten pan Krill – zauważył sucho Hurd, zastanawiając się, co się pod tym kryło.

– Och, na trzeźwo był dobrym kumplem, ale alkohol czynił z niego wściekłego psa – kontynuował Jessop. – Nie było nikogo takiego jak Krill, który po pijanemu miałby tak mordercze chęci i chwycił za nóż.

– Ale najwyraźniej preferował duszenie.

– Nie tak szybko, kolego. – Jessop pociągnął następny łyk rumu. – Byłem tu owej nocy. Obaj daliśmy sobie ostro w gardło, jak byś to określił, a pani Krill, która bardzo tego nie lubiła, poszła z dzieckiem spać.

– Ile lat miało to dziecko?

– Maud? Och, mogła mieć trzynaście, piętnaście. Nie jestem pewien. A o co chodzi?

Hurd w tych słowach usłyszał potwierdzenie faktu, że Maud albo nie była córką Krilla, albo była dzieckiem nieślubnym, a co za tym idzie, nie mogła dziedziczyć pieniędzy. I to też potwierdzało jego przeczucia. Podał jakąś banalną wymówkę, nie chcąc zanadto się odsłaniać przed Jessopem z tym, co już wie, i poprosił kapitana o kontynuowanie.

– Dobrze – zgodził się ten, napełniając następną szklankę rumem. – No więc pani poszła wcześniej z panienką do łóżka. Tego wieczoru Krill powiedział jej, że dostanie piękną broszkę z opalu, taką jaką bardzo chciała mieć, tak jak on pragnął pieniędzy.

– Czy Krill był ekspertem od klejnotów?

– Kiedyś handlował precjozami – rzekł kapitan. – Na zdrowie! Potrafił bardzo szybko ocenić wartość cennego kamienia. Ale wtedy siedział ze mną, pijąc i raz po

raz wychodził z pokoju, a czasem nie było go przez dobry kwadrans.

– Czy potem wspomniał jeszcze o broszce z opalu?

– Nie – odparł Jessop po chwili zastanowienia – nie wspomniał. Ale upił się do tego stopnia, że zaczął ujawniać chęć do bijatyki, na co zawsze miał ochotę, gdy był pijany, chociaż na trzeźwo był raczej nieśmiały. Ja nie chciałem wdawać się w awantury, tylko spokojnie udałem się po schodach położyć w moim hamaku. Ale przez pomyłkę wszedłem ze świecą do pokoju tej nieszczęsnej kobiety i zobaczyłem, że jest przywiązana do słupka łóżka i nie żyje uduszona jedwabną chustą. Krzyknąłem, że popełniono tu morderstwo i pani Krill, razem z córką, zbiegły z hałasem na dół. Byłem tak przerażony – dodał Jessop, ponownie wycierając czoło na wspomnienie tego przerażającego widoku – że uciekłem z oboziska.

– Co można było zrobić?

– Doprawdy nie wiem – wyznał mężczyzna, cały drżąc. – Opadłem z sił, tak jakby uszło ze mnie powietrze, jakbym to określił, i pewnie z godzinę biegałem w deszczu. Potem pomyślałem, że przecież jestem niewinny, więc zawróciłem, wróciłem tutaj.

– Dowiedziałeś się od jego żony, co się wydarzyło?

– Och, ona leżała na podłodze bez zmysłów, tam gdzie ją powalił. A dziewczynka... Boże – Jessop splunął – dziewczynka leżała w rogu pokoju z ustami spiętymi broszką.

– Co?! – krzyknął Hurd, gwałtownie wstając. – Była tak samo okaleczona... Tak samo jak Norman przed swą śmiercią?

Jessop skinął głową i łyknął rumu.

– Wtedy zrobiło mi się niedobrze. Odpiąłem broszkę i wsunąłem ją do kieszeni. Dziewczynka powiedziała mi, że ojciec zapieczętował jej usta broszką i uderzył matkę, która próbowała interweniować, powalając ją na podłogę. Pomogłem pani Krill i zostawiłem z córką. Potem pojechałem do Southampton, gdzie znalazła mnie policja, której powiedziałem to samo co tobie.

– Opowiedziałeś też o broszce?

– No cóż, nie powiedziałem – odparł chłodno Jessop – a ponieważ ani dziecko, ani matka też nic nie powiedzieli, uważałem, że jeżeli chcę pieniędzy, powinienem się tego trzymać. Pojechałem więc do Stowley i zastawiłem broszkę, a potem przez rok pływałem po morzach. Kiedy wróciłem, wszystko już przycichło.

– Myślisz, że Krill zabił tę kobietę? – zapytał Hurd, pomijając fakt, że Jessop ukradł broszkę.

– Twierdził, że nie zabił – odparł kapitan z naciskiem – ale ja święcie wierzę, że jednak tak. Zrobił to wtedy, gdy będąc szalony pod wpływem alkoholu, wyszedł z pokoju. On pragnął mieć tę broszkę... tylko dlaczego użył jej do zamknięcia ust dziecka, tego nie wiem.

– Kiedy znowu spotkałeś Krilla?

– No... – odparł Jessop, przesuwając dłonią przez usta – bywałem tu często, kiedy rzucała mnie tu fala...

– Grexon Hay – przerwał Hurd, wskazując fotografię.

– Tak. To on naprowadził nas na jego trop – rzekł Jessop, wpatrując się w zdjęcie. – Nienawidziłem go; to jego ironiczne, badawcze spojrzenie. On się zakochał w tym dzieciaku, no wiesz, w tej teraz już dorosłej dziewczynie i często tu przyjeżdżał, a w czerwcu – tak jakoś pod koniec – słyszałem, że mówił pani Krill, która ciągle szukała swego męża, że jednooki handlarz ksiązek z Gwynne Street zemdlał na widok bardzo podobnej broszki, którą pokazał mu jakiś gość.

– Beecot. Tak, wiem.

– Czy nie zdziwiło cię, w jaki sposób broszka została zabrana z lombardu? – zapytał z naciskiem Hurd.

– Nie, nie zdziwiło – mruknął Jessop, denerwując się coraz bardziej. – Wiedziałem, że asystent starego Tinkera sprzedał komuś broszkę, czego nie powinien był robić, jako że powiedziałem, iż będę chciał ją wykupić. Tinker powiedział, że napisał do tego, który ją kupił, aby zwrócił broszkę.

– Czyli do pana Simone'a Beecota z Wargrove w Essex.

– Tak, to był on; ale nie zwrócił i przypuszczalnie dał synowi. Kiedy pani Krill usłyszała, że ten jednooki zemdlał na widok broszki, domyśliła się, że to jej mąż.

– Pojechała się z nim spotkać?

– No... – odpowiedział wolno Jessop – dokładnie nie wiem, co zrobiła, ale w każdym razie pojechała. Nie wiem, czy spotkała się z Krillem w jego księgarni, ale mogła się z nim widzieć u Pasha, prawnika pana Haya, u tej brudnej małpy, jaką w istocie jest.

– Ha – mruknął do siebie Hurd. – Miałem wrażenie, że Pash już przedtem znał te kobiety. Nic dziwnego, że przylgnął do nich i biednej pannie Norman powiedział „żegnaj”. – Zatarł dłonie i zachichotał. – Doskonale, zobaczymy, co dalej w tej sprawie. Mów!

– Nie mam już wiele do powiedzenia – warknął kapitan. – Usłyszałem to, czego nie miałem usłyszeć. I pomyślałem, że pójdę tam i zobaczę, czy uda mi się wydusić forszę od Krilla, mówiąc mu, że rozgłoszę, iż to on zamordował lady Rachelę.

– Jesteś łajdakiem – stwierdził chłodno Hurd.

– To było dla mnie trudne – tłumaczył się kapitan – nie chciałem, naprawdę... Jednak w sprawach dotyczących pieniędzy działałem bezwzględnie. Więc wybrałem się tam w lipcu.

– Szóstego lipca?

– O ile w tym dniu popełniono morderstwo – to tak. A więc pojechałem tam i włóczyłem się, aż zrobiło się ciemniej, i o ósmej wśliznąłem się bocznym pasażem na spotkanie z Krillem.

– Skąd wiedziałeś, gdzie go znaleźć?

– Od Haya, który doskonale był zorientowany, jakie Krill prowadzi po siódmej interesy w piwnicy. Zatem miałem nadzieję, że wpuści mnie do środka, myśląc, że jestem klientem. Trochę już wcześniej wypił i był nastawiony wojowniczo. Ale gdy powiedziałem mu to, co miałem do powiedzenia, że zabił lady Rachelę, zaczął przysięgać, że jest niewinny jak nowo narodzone dziecko i rozplakał się, i mówił, że ten alkohol kiedyś przyprawi go o śmierć.

– Prorocze słowa, jak się później okazało – wtrącił Hurd z uśmiechem.

– Nie tak szybko, panie kumplu – mruknął kapitan opryskliwie. – Ja się nie bałem, bo nie zrobiłem nic złego. Powiedziałem Krillowi, że jeżeli mi zapłaci, nic nie będę milczał. Wtedy zarzekał się, że nie ma w domu gotówki, ale że zdeponował wiele cennych rzeczy u Pasha i że mogę je dostać. I dał mi ten dokument upoważniający do odebrania klejnotów. Poszedłem następnego dnia rano do Pasha i wpadłem w kłopoty. Usłyszałem też, przypadkowo – i Jessop znowu rzucił Hurdowi dziwne spojrzenie – że Krill został zamordowany, więc nie czekając na powrót prawnika, pojechałem do Southampton, a potem udałem się w krótką podróż. Po powrocie przyjechałem tu i zostałem przez ciebie złapany. – Mówiąc to, Jessop wypił rum do dna. – I to wszystko, co wiem.

– Możesz przysiąc, że zostawiłeś Aarona Normana żywego?

– Masz na myśli Krilla? Mogę na to przysiąc. Dla mnie nie byłby nic wart martwy, przecież to on dał mi upoważnienie do odbioru klejnotów od Pasha.

– Ale kto cię poinformował o śmierci Krilla, gdy czekałeś u Pasha?

Jessop wyraźnie nie był chętny do odpowiedzi, jednak gdy Hurd go nacisnął, wybuchnął:

– Ten mały obdartus o brudnej twarzy.

– Tray – rzekł Hurd. – Hm! Zastanawiające, skąd wiedział o morderstwie, zanim wiadomość dostała się do gazet?

ROZDZIAŁ XXI

PRZYJĘCIE U PANNY QIAN

Siostra Hurda była sprytną młodą kobietą i w swoim czasie odgrywała wiele rozmaitych ról. Karierę prywatnego detektywa rozpoczęła razem z bratem, lecz gdy ten wstąpił do służby państwowej, pomyślała, że lepiej się będzie prezentować, występując na scenie i dlatego przyjęła oryginalne imię i nazwisko: Aurora Qian. Wykonując zawód detektywa, często musiała przebierać się w celu zebrania dowodów i była szczególnie utalentowana w odmienianiu twarzy i figury. Ta zdolność przyczyniła się również do sukcesu w jej nowym zawodzie i szybko stała się znana z wcielania się w różne postaci. Na przykład jako Becky Sharp* albo Mała Dorrit. Mówiono, iż jest w tym niepowtarzalna i po wystąpieniu pod wieloma reżyserami rozpoczęła działać na własną rękę, co wkrótce przyniosło jej niemały majątek.

Lecz jej wielką wadą, między pomniejszych, była próżność i ekstrawagancja, więc ciągle brakowało jej pieniędzy i gdy nadarzała się okazja – najczęściej za pośrednictwem brata – nie wzbraniała się wracać do zawodu detektywa. Doszło nawet do tego, że obserwowała pana Grexona Haya przez wiele dni i nocy, a on nigdy nie podejrzewał, że słodziutka, pusząca się jak kotek panna Qian jest na usługach prawa. W konsekwencji, gdy Aurora Qian zaprosiła go do swojego mieszkania na karciane przyjęcie, Hay przyjął je chętnie, chociaż akurat w tym czasie nie cierpiał na brak gotówki.

Panna Qian wynajmowała małe mieszkanie na ostatnim piętrze ogromnego budynku w Kensington. Lokum to było tandetnie i pospolicie urządzone i przystrojone – kolorowo, bez gustu, na pokaz. Każdy pokój wymalowany został w innym kolorze, z dostosowanymi do niego meblami i draperiami. Salon był różowy, jadalnia zielona, sypialnia pani domu błękitna, hol wejściowy żółty, a dodatkowa sypialnia przeznaczona dla jej towarzyszki, panny Stably, utrzymana w fiolecie. Ktoś błyskotliwy nazwał jej mieszkanie „pudełkiem z farbami” i rzeczywiście określenie to nieźle do niego pasowało.

Tak jak Becky Sharp, w którą wcielała się przy lada okazji z wielkim powodzeniem, panna Qian musiała też posiadać „psa owczarka”, nie dlatego, żeby chciała, ale dlatego, że to odpowiednio dobrze wyglądało i dobrze brzmiało. A rolę tę odgrywała panna Stably, która była dość ograniczoną starą kobietą, szczególnie brzydko ubraną i poświęcającą całe swe życie szydełkowaniu szali. Po zakończeniu jednego szala nawet nie wiedziała, co się z nim dzieje; chociaż zawsze widziano ją z dwoma długimi drewnianymi drutami szybko migającymi w rękach przy dzierganiu następnego szala dla jakiegoś nieznanego zleceniodawcy. Mówiła bardzo mało, a gdy już to robiła, zawsze zgadzała się ze swoją niezwykle bystrą, małą panią. Za to dużo jadła i po kolacji szczęśliwa zasiadała z książką na kolanach i nieodłączną robótką w kościstych rękach. Należała do grona wielu tych nijakich kobiet, które wydają się niezbyt pasować niebiosom, ale nie są wystarczająco złe, żeby przynależeć do innego miejsca. Aurora często zastanawiała się, co się stanie z panną Stably, gdy jej zabraknie i zostawi ją przy szydełkowaniu szali. Jednak ta stara kobieta nigdy nie dała powodu, żeby się nią zbyt przejmować, żyła spokojnym, uczciwym życiem, jedząc, czytając powieści i chodząc regularnie do kościoła w niedzielę, gdzie bez szczególnego zaangażowania oddawała cześć temu, do kogo się modliła i na którego cześć odprawiano mszę.

Tego rodzaju osoba idealnie pasowała pannie Qian, która chciała mieć nie szczekającego zbyt często i głośno psa, tylko cicho siedzącą towarzyszkę. I właśnie tę umiejętność posiadała panna Stably od paru lat żyjąca na utrzymaniu Aurory w tym jej nieco zwariowanym świecie. Na swój własny trochę dziwny sposób

lubiła młodą kobietę, ale daleka była od podejrzewania, że Aurora miała jakikolwiek związek z działaniami na rzecz prawa. Taka wiedza byłaby dla panny Stably porażająca, jako że żywiła wyjątkowy strach przed działaniami wymiaru sprawiedliwości i czytając gazety, zawsze omijała kolumnę policyjną.

I właśnie ta stara kobieta siedziała teraz w różowym salonie, odgrywając stosowną rolę, jaką wyznaczyła jej panna Qian. Obecny był też lord Sandal sprawiający wrażenie nieco zmęczonego, ale jak zawsze zachowując się niczym prawdziwy dżentelmen.

Był tam też Hay, z nieodłącznym monoklem w oku i wiecznie goszczącym na twarzy zimnym uśmieszkiem, ale poza nimi był tam ktoś trzeci, adorujący pannę Qian, traktujący ją jako zwykłą aktoreczkę i uśmiechający się głupio nad karcianym stołem do swej boginki.

Ta czwórka grała w karty, a w tej grze można było wygrać lub przegrać mnóstwo pieniędzy. Angażowali się w tę rozrywkę już około godziny. Panna Stably zjadła obfitą kolację i rozpoczęła właśnie nowy szal, a teraz modliła się i drzemała w kącie, kompletnie nie zwracając uwagi na graczy.

– Dobrze, że zaniechaliśmy stosowania naszych haków w tej grze – stwierdziła panna Qian, paląc cienkiego papierosa. – Będąc pańską partnerką Sandal – do przyjaciół zawsze zwracała się tak bezpośrednio – zawsze przegrywam. Ależ ty masz fatalne szczęście!

– Ja nigdy nie wygrywam – biadał lord George. – Gdy już myślę, że idzie dobrze... wszystko nagle obraca się na moją niekorzyść.

– Całą forszę zgarnia Hay – stwierdził, głupio się uśmiechając, adorator panny Qian, który przedstawiał się nazwiskiem Tempest. – On i pani, panno Qian, jesteście wygrani.

– Ja wygrałam bardzo mało – odparła. – Hay za to zgromadził całą garść funtów.

– Kto ma szczęście w miłości, nie ma szczęścia w kartach – rzekł sentencjonalnie Hay, który nie lubił komentowania swego szczęścia w hazardzie, ze

znanych pannie Qian powodów. – U mnie jest na odwrót... ja mam szczęście w kartach...

– ...ale też szczęście w miłości – przerwała Aurora, krzywiąc się. – Będiesz się żenił z dziedziczką fortuny Krilla... O ile jest jej dziedziczką.

– Co masz na myśli? – zapytał Hay, rozdając karty.

– Zajmij się grą i nie zadawaj pytań – zmitygowała go ostro panna Qian. – Sandal, nie rozglądaj się, tylko skup się na kartach. – I ukradkiem mrugnęła do młodego lorda, gdy Hay rozmawiał z Tempestem. Lord, z którym rozmawiała krótko przed kolacją, dobrze wiedział, co to znaczy. Hay miał robić to, co zwykle robił, grając w karty, a Sandal w ciągu kilku minut musiał się o tym przekonać.

Hay szybko rozdawał karty, które fruwały po stole niczym liście opadające z drzew.

Przy jego łokciu piętrzył się już okazały stosik złota, a przy Tempeście, srebra. Rozpoczęła się gra i wkrótce gracze byli nią całkiem pochłonięci, nie zwracając uwagi na pogrążoną w drzemce pannę Stably, która uległa tej słabości na skutek późnej pory.

Nagle lord George poczuł, że pod stołem trąca jego stopę stopa panny Qian. Natychmiast wstał i przykrył dłonią złoto leżące przy Hayu.

– O co chodzi? – zawołał ten ze złością.

– Oszukujesz! – rzucił Sandal. – Nie będę już dłużej z tobą grał.

– To kłamstwo. Nie oszukuję.

– Owszem, oszukujesz! – krzyknęła panna Qian, pochylając się nad stolikiem i chwytając karty. – Obserwowaliśmy cię. Tempest...

– Wszystko dobrze widziałem – wtrącił Tempest – jak chwyciłeś tego króla...

– ...i okazało się, że jest znaczony – uzupełniła Aurora. – Myślę, Hay, że wysuwasz karty z rękawa. Obejrzyjmy je.

Hay, blady jak ściana, ale ciągle trzymając fason, próbował protestować, lecz dwóch młodych mężczyzn chwyciło go i trzymało mocno, podczas gdy panna Qian z wprawą nabytą w zawodzie detektywa szybko przeszukała mu kieszenie.

– Tu mamy drugą talię! – wykrzyknęła i wytrząsnęła z rękawa asa i króla – i te dwie karty...

Sandal chwycił jedną z nich i przybliżył do światła.

– Na Jowisza! Znaczone! – krzyknął i brzydtko zaklął – tu... przekłute szpilką.

– Mylisz się... – zaczął Hay.

– Nie – wtrącił zimno Tempest – nie mylimy się. Panna Qian mówiła nam, że oszukujesz i zastawiliśmy na ciebie pułapkę. Dziś wieczór kilka razy próbowałeś zastąpić karty kartami znaczonymi.

– I robiłeś to przedtem wiele razy – dodała szybko Aurora. – Bywałam w wielu miejscach, gdzie Hay grał i wszędzie oszukiwał.

– Jeżeli tak było – rzekł Hay drżącymi wargami – to dlaczego wtedy mnie nie oskarżyłaś?

– Dlatego, że właśnie teraz chcę ciebie oskarżyć o oszukiwanie w kartach – wyjaśniła. – Jesteś już załatwiony na amen, mój drogi. Ci chłopcy rozgłoszą to publicznie.

– Na Jowisza, tak! – krzyknął Sandal, patrząc ze wstrętem na Haya. – A ja zaskarżę ciebie o zwrot tych wszystkich tysięcy, które wyłudziłeś ode mnie, oszukując w kartach.

– Ja nigdy...

– Ten człowiek śledził cię od miesięcy! – krzyknęła panna Qian. – Tempest, wezwij policję. Oddamy pod jej opiekę tego oszusta.

– Nie! Nie! – wrzasnął Hay, puściły mu nerwy pod wpływem groźby ujawnienia oszustw. – Dostaniesz swoje pieniądze, Sandal, przysięgam.

– Lord George chce je zaraz, kanalio, a jak możesz zapłacić, skoro nie masz pensa przy duszy?

– On chce je wydusić od dziedziczki – zachichotała Aurora.

– Och, moja droga! – rozległ się żalospny głos z kąta pokoju. – Co tu się dzieje, Auroro? Czy to coś złego?

– Złapaliśmy Haya na oszustwie, to wszystko. I policja...

– Och, Auroro, nie sprowadzaj tu policji.

– Nie, nie rób tego – wtrącił Hay, teraz cały się trzęsąc. – Zrobię wszystko, co chcecie. Nie wzywajcie policji. Wkrótce się żenię...

– Nie, nie zrobisz tego. Osobiście znam tę dziewczynę i nie dopuszczę, żeby wpadła w twoje sidła! – krzyknął Tempest.

– Nie udowodnisz, że oszukiwałem. – Hay bronił się rozpaczliwie.

– Owszem, udowodnimy ci to – rzekł George. – Ja, panna Qian i Tempest, wszyscy widzieliśmy, jak oszukujesz, a panna Qian ma znaczony karty.

– Nie róbcie tego. Ja... ja... – Hay przerwał i odwrócił się z wyrazem rozpacz na twarzy. W duszy przeklinał się, że wdawał się w oszustwa, gdy sprawy małżeństwa z Maud Krill posunęły się tak daleko i wszystko układało się dla niego pomyślnie. – Panno Qian! – krzyknął pełen udręki – daj mi szansę.

Aurora, grając swoją rolę, o której pozostała dwójka nie miała pojęcia, okazała mu teraz współczucie. Skinęła na pannę Stably.

– Zabierz pana Haya do jadalni – poleciła – a ja zastanowię się, co robić. Niczego nie próbuj, Hay, bo inaczej jutro cały West End będzie huczał od nowin.

– Nic nie zrobię – zapewnił Hay, teraz śmiertelnie blady, i bez słowa poszedł za panną Stably do jadalni, cierpiąc katusze, które lepiej można było sobie wyobrazić, niż opisać. Po ich wyjściu panna Qian zwróciła się do gości.

– Posłuchajcie, chłopcy – zaczęła bez ogródek – to paskudna sprawa i nie chcę zostać w nią wmieszana.

– Ale Hay powinien zostać zdemaskowany – nalegał Sandal – on mnie oszukiwał, jak sądzę, już od wielu miesięcy.

– Tak, ale sprawił ci też wiele radości i dał ci możliwość rozrywki – wypomniała mu Aurora bez skrępowań. – A ja przez cały czas ostrzegałam ciebie przed nim. Gdyby wybuchła awantura, to co się ze mną stanie?

– Przecież ciebie to nie dotyczy – wtrącił z przejęciem Tempest.

– Och, czyżby? Uprawianie hazardu w moim mieszkaniu i cała reszta. Wy, chłopcy, myślicie, że ja żyję sobie tak jak krezus, ale tak nie jest, ja tylko stwarzam

pozory. Nikt nie może mi nic zarzucić i przez takiego kanciarza jak Hay nie chcę wdawać się w awantury i zyskać opinii oszustki. Zatem, moi chłopcy, trzymajcie języki za zębami.

– Nie – sprzeciwił się Sandal – moje pieniądze...

– Och, zwracanie głowy... Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś Żydem. Hay ci je zwróci. Ożeni się z Krillówną, a ona dostarczy kasy.

– Tylko że ta dziewczyna nie powinna wychodzić za mąż za takiego łajdaka – wtrącił Tempest.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – skarciła go ostro Aurora. – Dziewczyna jest w nim zakochana i mimo wszystko chce go poślubić. Chociaż ja osobiście nie dałabym za to pensa. Sandal, jeżeli załatwię ci zwrot tych pieniędzy, czy będziesz milczał?

Lord George pomyślał, co by jego szlachetny ojciec powiedział, gdyby został wyciągnięty skandal związany z grą w karty przy udziale aktoreczki, i stwierdził, że najlepiej się z nią zgodzić.

– Tak – rzekł po chwili wahania – będę milczał, o ile załatwisz zwrot moich pieniędzy. Ale jeśli Hay publicznie zwróci się do mnie choćby jednym słowem, kopnę go w...

– To już sprawa między wami – stwierdziła Aurora, zadowolona z osiągniętego sukcesu. – A ty, Tempest, też nie będziesz gadał?

– Tak, też nie powiem słówka – odparł młody człowiek, wzruszając ramionami – chociaż nie jestem pewny, czy słusznie dbam o dobre imię tego oszusta.

– To już moja sprawa i nie popełnij jakiegoś błędu. Więc mam od was obu zapewnienie, że nie puścicie pary z gęby?

– Zgoda – odparli Sandal i Tempest, uważając, że najlepiej tę sprawę wyciszyć – chociaż Hay...

– Pogadam z nim, a wy, chłopcy, zmywajcie się stąd, wracajcie do domu i grzecznie połóżcie się do łóżeczek.

– Nie możemy pozostawić ciebie sam na sam z Hayem – stwierdził Tempest.

– Nie będę z nim sama! – wykrzyknęła mała kobietka stanowczo – jest ze mną moja towarzyszka. A wy co sobie myślicie?

– No... myślimy, że Hay może ci zrobić krzywdę.

– Och! On? Chyba bierzecie mnie za kompletną idiotkę. Idźcie już i pozwólcie mi wszystko załatwić do końca.

Młodzi mężczyźni znowu zaprotestowali, ale Aurora, niepokojąc się już o rozmowę z Hayem, wypchnęła ich z mieszkania, odczekała, aż usłyszy, jak wzywają dorożkę i zatrzasnęła drzwi. Potem poszła do jadalni.

– Chodź ze mną do salonu – poleciła Hayowi. – Panna Stably zostaje tutaj.

– Nie mam tu swojego szala... – biadała stara kobieta.

– Och, zawracanie głowy. – Aurora pobiegła do drugiego pokoju, chwyciła szal i po chwili, prowadząc Haya do salonu, mogła już widzieć pannę Stably siedzącą i machającą drutami.

Hay, wchodząc, rozejrzał się po pokoju.

– Gdzie oni są? – zapytał, siadając.

– Poszli, ale wszystko już załatwiłam. Przyrzekli mi, że nic nie powiedzą...

Grexon Hay nie pozwolił jej dokończyć. Padł przed nią na kolana i zaczął całować po rękach. Jego twarz była blada, lecz oczy pełne wdzięczności, gdy bełkotał wyrazy wdzięczności. Teraz nikt nie mógłby powiedzieć, że jest wyniosły, nieczuły i zimny. Jednak panna Qian nie tolerowała tego rodzaju ujawniania uczuć, chociaż w tym wypadku w istocie były absolutnie szczerze.

– Wstań – nakazała, cofając rękę. – Chcę z tobą poważnie porozmawiać. Zrobiłam dla ciebie dużo i teraz życzę sobie, żebyś tyle samo zrobił dla mnie.

– Wszystko... wszystko – powtarzał Hay, którego twarz zaczynała nabierać normalnych kolorów. – Ocaliłaś mnie... tak, ocaliłaś.

– No, no, mogą być jeszcze następne sprawy, od których musiałabym ciebie ocalić. Za tydzień, czy więcej, może zaczniesz znowu oszukiwać...

– Nie! – krzyknął Hay stanowczo – przysięgam; nigdy nie dotknę kart! Ożenię się z Maud i zmienię w człowieka uczciwego i szanowanego. Och, jakąż potworną lekcję tu dostałem! Jesteś pewna, że będą milczeć?

– Będą milczeć. Wszystko jest załatwione. Jeżeli zechcesz oszukiwać jak dotąd – panna Qian podniosła palec – to wpierw musisz zwrócić to, co ukradłeś Sandalowi.

– Tak, zrobię to, Maud pożycz mi pieniądze. On chce wszystko na raz?

– Dwa tysiące zamkną mu usta. Nie wychodź jeszcze, siadaj i przestań się trząść jak galareta.

– Jesteś dla mnie taka dobra... – zaczął słabym głosem.

– Nie popełnij tylko jakiegoś błędu. O ile wiem, potrafisz zawsze wdepnąć w jakieś bagno. Pomogłam ci dlatego, że chcę, abyś ty pomógł mnie. Potrzebuję pieniędzy...

– Mogę ci dać trochę.

– Wydłubanych z kieszeni dziewczyny – domyśliła się Aurora. – Nie, dziękuję. Pobrudziłyby mi palce. Posłuchaj, wyznaczono nagrodę za znalezienie mordercy Aarona Normana. Chcę dostać te tysiąc funtów i ty mi w tym pomożesz.

Hay ze zdumieniem zerwał się na równe nogi. Ze wszystkich żądań, jakich mógł się od niej spodziewać, nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że wysunie właśnie takie.

– Morderca Aarona Normana? – powtórzył. – Co ty wiesz o tym morderstwie?

– Bardzo mało, ale ty wiesz więcej.

– Nie wiem, przysięgam, nie wiem.

– Pfi! – krzyknęła władczo panna Qian – pamiętaj, że mamy na ciebie bat, mój chłopcze. Powiedz mi tylko, w jaki sposób pani Krill mogła udusić...

– Pani Krill? – Hay znowu zbladł i z oka wypadł mu monokl. – Ona nie ma z tą sprawą nic wspólnego, przysięgam...

– Strasznie mnie przytłaczają te pańskie przysięgi, panie Hay. A co z tą broszką z opalu, którą ukradłeś Beecotowi, gdy miał wypadek?

– Nie ukradłem. Od tego wypadku nigdy już więcej jej nie widziałem.

– Zatem dostałeś ją, kiedy skradł ją Tray.

– Nic nie wiem o tym chłopcu. A nawiasem mówiąc, po co miałbym kraść broszę z węzłem z opalu?

– To dlaczego chciałeś ją kupić od Beecota?

Hay sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– Jak to dlaczego? Dla damy!

– Pani Krill?

– Przyznaję, pani Krill chciała ją mieć. Miała jakieś wspomnienia związane z tą broszką.

– Tak, wiem – wtrąciła Aurora, zerkając na zegar – ale nie traćmy czasu na gadanie o śmierci lady Racheli Sandal...

– Skąd o tym wiesz? – wyjąkał Hay, zupełnie skołowany.

– Wiem o wielu rzeczach – rzekła spokojnie panna Qian – i mogę ci teraz powiedzieć szczerze, bo jestem pewna, że się nie wygadasz, że długo pracowałam w tajnej służbie i byłam detektywem. Mam obowiązek dostarczyć komuś dowody w tej sprawie i jestem przekonana, że ty masz na jej temat dużą wiedzę.

Mężczyzna zadrżał. Zdawał sobie sprawę, że sam nie jest w dobrych stosunkach z policją i ogarnął go strach, co ta mała, pusząca się kobietka może jeszcze zrobić. Aurora jakby czytała w jego myślach.

– Tak – powiedziała – w Scotland Yardzie dużo wiemy o tobie i jeżeli nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz, mogę sprawić, że będzie ci bardzo gorąco. Dzisiejsze oszustwo to drobiazg w porównaniu z innymi sprawami. Wiem, że jesteś kimś, kogo nazywają „mężczyzną na rynku”, panie Hay.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? – zapytał załamany.

– Wszystko o związku pani Krill z tym morderstwem.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego. Naprawdę. Co prawda Aaron był jej mężem, ale...

– Tak, mężem, który uciekł od niej ponad dwadzieścia lat temu. Ale kto poinformował panią Krill, gdzie obecnie przebywa jej mąż?

– Ja – wyznał gładko Hay, uważając, że najlepiej będzie zrzucić z siebie ten ciężar. – Z paniami Krill spotkałem się trzy lata temu, gdy byłem w Bournemouth. Jak wiesz, mieszkały w Christchurch.

– Tak. Miały tam hotel. No i co dalej?

– Zakochałem się w Maud, więc pojechałem do Christchurch, gdzie zatrzymałem się w „Czerwonej Świni”. Ona też mnie pokochała i po roku byliśmy już zaręczeni. Ale nie miałem pieniędzy, żeby się z nią ożenić; ona też ich nie miała. Podczas jednego z moich pobytów u nich pani Krill powiedziała mi o swoim mężu i o śmierci lady Racheli.

– O morderstwie czy o samobójstwie?

– Pani Krill mówiła o samobójstwie – odparł Hay szczerze. – Powiedziała mi też o broszce z opalu. Kiedy zobaczyłem broszkę u Beecota, chciałem ją kupić dla pani Krill, ale nie chciał jej sprzedać. Kiedy drugi raz go spotkałem, powiedział mi, że Aaron Norman zemdlał na widok broszki. Pomyślałem, że to dziwne i opowiedziałem o tym pani Krill. Opisała mi swego męża, podkreślając, że ma tylko jedno oko. Poszedłem z Beecotem do księgarni na Gwynne Street i wystarczyło jedno spojrzenie, aby przekonać się, że Aaron Norman to Lemuel Krill. Powiedziałem o tym jego żonie, która natychmiast chciała tam przyjechać. Wiedziałem, że Aaron jest bardzo bogaty – co usłyszałem od Pasha, który był też moim prawnikiem. Zasugerowałem, że obie panie Krill winne tu przyjechać i zobaczyć się z nim.

– Zrobiły to przed morderstwem?

– Tak. Pash był zdumiony i gdy usłyszał, że pani Krill jest żoną jego klienta, stwierdził, że Aaron Norman – jak on nazywał siebie – popełnił bigamię i że Sylwia...

– Tak... nie musimy o tym mówić – przerwała panna Qian z gniewem. – Ona warta jest tuzina dziewcząt, które ty chciałbyś poślubić. Ale dlaczego udawałeś, że

po raz pierwszy spotkałeś panią Krill i jej córkę u Pasha?

– Żeby oszukać Beecota. Gdy one wyszły od Pasha, znajdowaliśmy się w przedpokoju i ja udałem, że widzę je po raz pierwszy. Potem powiedziałem Beecotowi, że zostałem przedstawiony Maud w biurze Pasha. Taki bystry chłopak jak Beecot, i w dodatku zaręczony z Sylwią Norman, mógłby zbyt dużo domyślić się.

– Na temat morderstwa?

Wyprostował się, sprawiając poważne wrażenie.

– Przysięgam, że nic na ten temat nie wiem – rzekł stanowczo. – Obie panie Krill były tak samo zaskoczone jak ja, gdy usłyszały o jego śmierci. Za radą Pasha miały pójść i zobaczyć się z nim, a pani Krill zamierzała oskarżyć go o bigamię... no, chyba że ofiaruje jej znaczną gratyfikację. Śmierć to wszystko udaremniła, więc sfabrykowała opowieść o widzianych gdzieś ulotkach, a potem testament w oczywisty sposób zagwarantował pieniądze Maud, która była już ze mną zaręczona.

– Ten testament, albo raczej to, co nazywają testamentem, przeznaczył w spadku pieniądze Sylwii – sprostowała zdecydowanym tonem Aurora – ale co z tą broszką... Nie zabrałeś jej?

– Przysięgam, że nie. Chciała ją mieć pani Krill, ale ja nie miałem pojęcia, że ten przedmiot ma jakieś specjalne znaczenie. Zapewniam cię, że nigdy nie ryzykowałbym, okradając Beecota, i nigdy nie mówiłem, że ukradł ją ten chłopak, Tray.

– Kto więc zabrał broszkę?

– Tego nie wiem. Powiedziałem już wszystko, co wiem.

– Hmm... – Aurora mruknęła, w tej chwili bardzo przypominając swego brata. – To tyle na dzisiejszy wieczór, jeżeli jednak będę miała jeszcze jakieś pytania, musisz mi odpowiedzieć, teraz jednak możesz już iść. A tak przy okazji, ta broszka bardzo cię zbliżyła do Beecota, prawda?

– Tak – Hay przyznał szczerze – on sam był dla mnie bez wartości. Ale odkąd posiadał broszkę, przylepiłem się do niego, żeby jakoś wyszarpać ją od niego dla pani Krill.

– To dziwne – rzekła panna Qian – zastanawiam się, dlaczego tak bardzo chciała ją mieć?!

Ale na to pytanie Hay nie był w stanie odpowiedzieć.

* Postać z powieści W. M. Thackeraya – *Targowisko próżności* (przyp.tłum.).

ROZDZIAŁ XXII

DALSZE DOWODY

Ostatecznie Hurd nie wysłał Jessopa do miasta, tak jak groził, że zrobi. Najwyraźniej kapitan powiedział mu wszystko, co wiedział, i co świadczyło o tym, iż jest niewinny śmierci Krilla. Jednak mimo jego wyraźnej szczerości detektywowi wydawało się, że coś zataił i postanowił to zbadać. Ale myślami był już gdzie indziej na skutek notatki Beecota, którą ten przysłał do niego, do „Czerwonej Świni”, prosząc go, żeby natychmiast przybył do pralni w Jubileetown.

„Jestem przekonany, że znaleźliśmy osobę, która ukradła mi broszkę z opalu – pisał Paul – i Deborah odkryła związek z Normanem, mogący być wskazówką dla śledztwa”.

Zastanawiając się nad tym, co by to mogło być i kto mógł ukraść broszkę, Hurd postanowił zostawić Jessopa i Hokara w Christchurch pod okiem dwóch agentów w cywilu. Zorganizował to tak sprytnie, że Matylda Junk niczego się nie domyśliła. Poza tym poinformowała detektywa, którego uważała za kupca, że zamierza złożyć wizytę swojej siostrze, pani Tawsey, i prosi o jej adres, który Hurd podał jej bardzo chętnie. Pomyślał, że jeżeli Matylda wie coś istotnego dla sprawy, na przykład na temat nieobecności pani Krill w hotelu na początku lipca – to Deborah z łatwością wyciągnie to od niej.

Hokar był twardym orzechem do zgryzienia, może rzeczywiście był zbyt zobowiązany pani Krill, albo naprawdę nie rozumiał, o co go pytano, jako że na pewno okazał dużą zdolność trzymania języka za zębami. Jednak Hurd był

przekonany, że ten człowiek bał się prawa sahibów i gdy sprawy posunęły się już tak daleko i groził kryzys, Hokaar musiał spróbować udowodnić swoją niewinność, nawet kosztem wmieszania w to innych osób.

Dlatego detektyw z czystym sumieniem zostawił w Christchurch obu świadków pod okiem agentów i wyjechał do miasta, gdzie Aurora streściła mu rozmowę z Hayem. Bill w pełni aprobował wszystko, co siostra zrobiła.

– Ja też odkryłem, że to Hay był osobą, która naprowadziła panią Krill na ślad jej męża – rzekł z zadowoleniem – nie byłem jednak pewny, po czym go rozpoznał.

– Och, po tym jego jednym oku – wyjaśniła Aurora, jedząc jak zwykle czekoladki – a poza tym Norman zemdlał na widok broszki i to potwierdziło przekonanie Haya, z kim właściwie ma do czynienia. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zamierzał wejść z Normanem w jakieś układy, aby odnieść z tego korzyść.

Hurd potrząsnął przecząco głową.

– Nie posunąłbym się we wnioskach aż tak daleko – stwierdził. – Norman pewnie zechciałby mu ofiarować jakąś drobną sumkę, podczas gdy teraz na skutek morderstwa Hay zyskał pięć tysięcy rocznie – o ile oczywiście ożeni się z dziewczyną. W każdym razie Hay postąpił rozsądnie.

– Jednak już ci mówiłam, że Hay nie ma nic wspólnego z morderstwem.

– Może i tak, ale ja mu nie ufam. Pani Krill mogła udusić męża dla jego pieniędzy.

– Skąd ci przyszło na myśl, że to zrobiła? – zapytała z powątpiewaniem Aurora.

– Widzisz, z tego co opowiedział Jessop, wynika, że pani Krill jest mocno związana z Maud i być może bardzo jej zależało, żeby córka zemściła się na Krillu. Zachował się potwornie, zapieczętował jej usta w tak okrutny sposób, więc pani Krill postanowiła potraktować go w ten sam sposób.

– Hmm... – mruknęła panna Qian, zastanawiając się – czy jesteś w stanie dowieść, że pani Krill była w mieście w nocy popełnienia morderstwa?

– Właśnie to robię – potwierdził Hurd. – A tobie nie wolno spuszczać z oczu Haya...

– Och, on nie będzie podskakiwał, jeśli o to ci chodzi. Myślę, że wszystko jest już ustalone i moi chłopcy nie puszczą pary z ust. On chce się ożenić z Maud i zgarnąć forszę.

– Tak, może się ożenić z Maud – stwierdził poważnie Hurd – ale z pewnością nie dostanie tych tysięcy, dostanie je panna Norman.

– Nie tak szybko! – wykrzyknęła Aurora. – Maud prawdopodobnie nie jest córką Lemuela Krilla i urodziła się przedtem, nim Krill poślubił jej matkę, natomiast Sylwia Norman nie jest dzieckiem urodzonym w legalnym związku małżeńskim. Krill z pewnością popełnił bigamię, zatem jego córka, Sylwia, nie może dziedziczyć.

– No, ja tego nie mogę autorytatywnie stwierdzić – rzekł Hurd. – Muszę się w tej sprawie skonsultować z Pashem. Poza tym Norman napisał w testamencie, że zostawia pieniądze „swojej córce”, a Sylwia niewątpliwie jest jego córką, podczas gdy Maud może nią nie być. Twierdzą też, Auroro, że powinnaś wybrać się do Stowley w Buckinghamshire. Ja nie mam teraz czasu tam jechać.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Znajdź wszystkie możliwe informacje o życiu pani Krill przed poślubieniem Aarona, a potem pojedź do Christchurch. Ona była córką farmera o nazwisku... – Hurd poszukał w kopii certyfikatu małżeństwa pani Krill, którą dostał od Pasha – ...jej nazwisko panięńskie brzmiało Anna Tyler. Odszukaj wszystkich o tym nazwisku i wyciągnij od nich, co tylko się da. Ślub z Krillem wzięła w Beechill.

Panna Qian chwyciła kopię certyfikatu małżeństwa i wyszła, zrzedzając na ogrom pracy, jaki ją czeka, po to tylko, żeby dostać nędzny udział w nagrodzie. Natomiast Hurd wsiadł do metra jadącego na stację Liverpool Street, a potem pojechał autobusem do Jubileetown. Przybył o dwunastej i został serdecznie powitany przez Paula.

– Wyglądałem pana przez całe przedpołudnie. – Beecot był zaczerwieniony i podekscytowany. – Sylwia i ja dokonaliśmy pewnego odkrycia.

Hurd, wchodząc do domu, dobroduszenie skinął głową i przywitał się z dziewczyną.

– Panna Norman na własną rękę wcieliła się w rolę detektywa – zauważył z uśmiechem. – Halo, a tam kto?

Pani Purr, dotąd siedząca w kącie pokoju z zaczerwienionymi oczami, nagle wstała i złożyła mu paradny ukłon.

– Muszę panu powiedzieć coś, na co złożyłam przysięgę na Biblię – rzekła podekscytowana pani Purr.

– Pani Purr może złożyć bardzo cenne zeznanie – uzupełnił szybko Paul.

– Och, doprawdy? Później wysłucham, co ma do powiedzenia. Wpierw powiem wam, co odkryłem w Christchurch.

Tak więc pani Purr niechętnie, jako że czuła się ważna, wyszła z pokoju i Hurd usiadł, aby zrelacjonować swoje ostatnie przygody. Zrobił to jasno i zwięźle, jego opowieść często przerywały okrzyki zdumienia ze strony obojga słuchaczy.

– No, teraz już macie początek i koniec.

– Zatem uważa pan, że to pani Krill zabiła swego męża? – zapytał Paul z powątpiewaniem.

– Tego nie jestem całkiem pewny – brzmiała ostrożna odpowiedź – ale w świetle dowodów, które usłyszeliście, wszystko na to wskazuje. Co wy na to?

– Nie mamy nic do dodania – rzekła Sylwia, ubiegając Paula. – Panie Hurd, powinien pan przeczytać ten dokument. Deborah znalazła go w starej skrzyni należącej do mojego ojca. Przyniosła ją z Gwynne Street.

Podawała detektywowi kilka spiętych razem arkuszy papieru, ciasno zapisanych odręcznym pismem Aarona Normana. Hurd spojrział na nie ze zdziwieniem.

– Co to jest? – zapytał.

– Ten dokument nawiązuje do skrawka papieru znalezionego za sejfem – wyjaśnił Paul. – Norman, po napisaniu tego, schował arkusze do kieszeni i potem

o nich najwyraźniej zapomniał. Deborah znalazła je w kieszeni starego płaszcza, który odkryła w zamkniętej skrzyni z jego rzeczami.

– Debby w ogóle nie wiedziała o istnieniu tej skrzyni – wtrąciła Sylwia z uśmiechem. – Dowiedziała się o niej dopiero, gdy pani Krill oświadczyła, że wzięła już wszystko, co chciała wziąć i więcej niczego nie chce.

– O czym Norman tu pisze? – zapytał Hurd, kartkując arkusze papieru. – Oszczędzajmy czas, jeśli to możliwe; czy możecie mi streścić tylko to co najważniejsze?

– Dobrze, mogę to zrobić – odparł zdecydowanie Paul. – Została tu zapisana historia życia Normana od chwili, gdy opuścił Christchurch.

– Hmm... – oczy Hurda rozbliły się. – Przeczytam w wolnym czasie, ale teraz proszę powiedzieć, o co w tym chodzi.

– Większość jest oczywiście już panu znana – zauważył Paul, zaczynając na znak dany przez Sylwię. – Wydaje się, że Norman – zostańmy przy jego londyńskim nazwisku – wyjechał z Christchurch, ponieważ bał się, że zostanie oskarżony o zamordowanie lady Racheli.

– Ale czy ją zamordował?

– Norman twierdzi, że nie. Przysięga, że nic o tej sprawie nie wie. Pierwszego szoku doznał, gdy Jessop zszedł na dół z wiadomością o znalezieniu nieżywej kobiety. Wtedy uczynił aluzję, że zrobiła to pani Krill.

– Czy mógł to udowodnić?

– Nie, nie podał żadnego dowodu ani też żadnych konkretnych danych. Oznajmił tylko o tym, gdy jego żona i córka...

– Och, proszę nie nazywać Maud jego córką!

– Tak. Pomówimy o tym później – zgodził się niecierpliwie Paul. – Norman pisał, że był wtedy wstrząśnięty. Jessop uciekł, ale Norman wiedział, że nie będzie wszczynał alarmu, sam bojąc się oskarżenia o zamordowanie lady Racheli. Maud, która widziała zwłoki, chciała zaraz biec i wezwać sąsiadów.

– Ile mogła mieć wtedy lat według Normana?

– Około piętnastu; była już wystarczająco duża, żeby narobić szkód.

– Zatem nie może dziedziczyć pieniędzy po Normanie – stwierdził stanowczo Hurd.

– Nie! – wykrzyknął szybko Beecot, – Ja i Sylwia też tak myślimy. Mów dalej, o czym Norman pisze w tym dokumencie.

– Otóż, nie pozwolił Maud, żeby wybiegła na dwór. Zaczęła głośno krzyczeć i bał się, że w ten sposób zaalarmuje sąsiadów. Wpierw zakneblował jej usta chustką, ale się uwolniła i znowu zaczęła się wydzierać. Więc w okrutny sposób spiął jej wargi szpilą od broszki z opalu.

– Dlaczego tak się zachowywał, skoro był niewinny?

– Oświadczył, że obserwował żonę z salonu i stwierdził, że to ona udusiła lady Rachelę i zrobiła to dla pieniędzy, których rozpaczliwie potrzebowała dla Maud.

– To by się zgadzało – wtrącił Hurd. – Proszę opowiadać dalej.

– Kiedy Norman zamknął usta dziewczynie, pani Krill rzuciła się na niego z wściekłością. Uderzył ją i straciła przytomność, a on uciekł. Krążył po nocy aż do świtu, wreszcie dotarł do odległej stacji kolejowej. Kupił bilet i pojechał do Londynu. Ukrył się tak, aby go nie znaleziono, a pewnego dnia przeczytał wyrok sądu w gazetach. Mimo wszystko postanowił nie wracać do żony, ponieważ mu groziła.

– W jaki sposób?

– Ach – rzekł Paul. Sylwia zadrżała. – W dziwny. Kiedy zapieczętował usta dziewczynie, pani Krill krzyczała, że pewnego dnia zrobi mu to samo.

Hurd krzyknął zdumiony.

– Dlatego chciała tak bardzo zdobyć tę broszkę!

– Tak. Powiedziała o tym Hayowi, nie podając przyczyny. Mówiła, że jeśli dostanie od niego broszkę, pozwoli na małżeństwo z Maud, w której Hay był śmiertelnie zakochany. Hay natknął się na mnie przypadkiem, gdy miałem przy sobie broszkę. Resztę pan zna.

– Nie – zaprzeczył Hurd. – Nie wiem, w jaki sposób broszka znowu trafiła do pani Krill, żeby ta mogła jej użyć w tak okrutny sposób, w jaki groziła, że użyje.

– No – wtrąciła Sylwia – nie jesteśmy pewni, czy pani Krill dostała broszkę.

– Dowody świadczą przeciwko niej – rzekł Hurd – proszę przypomnieć sobie jej groźbę...

– Tak, ale wpierw proszę wysłuchać pani Purr – stwierdził Paul. – Ale jeszcze chwileczkę, Hurd. Musi się pan dowiedzieć, jak Norman położył podwaliny pod swoją fortunę.

– Ach tak, zapomniałem! No więc...? – Detektyw nadstawił uszu.

– Długo po przybyciu do Londynu cierpiał biedę i głodował – wyjaśnił Paul – potem dostał posadę w księgarni handlującej używanymi książkami, należącej do człowieka nazwiskiem Garner, w Minories, w pobliżu Tower of London. Garner miał córkę Lilian...

– Moją matkę – wtrąciła łagodnie Sylwia.

– Tak – dodał szybko Beecot – i ta dziewczyna zakochała się w Normanie, jak się wtedy nazywał. Z tym jednym okiem nie był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, więc trudno teraz powiedzieć, dlaczego panna Garner się akurat w nim zadurzyła. Jednak ostatecznie wyszła za niego za mąż. Szczegółowe wyjaśnienie tego znajdzie pan w tym dokumencie. Kiedy stary Garner zmarł, Lilian odziedziczyła znaczną sumę pieniędzy i akcje. Jej mąż przeniósł księgarnię na Gwynne Street i tam zaczął prowadzić interesy. Mając pieniądze, zajął się biżuterią i kamieniami szlachetnymi, a wie pan, jak mu z tym dobrze szło.

– Tak, to wszystko jest dość proste – stwierdził Hurd, chowając wyznania Normana do kieszeni. – I, jak sądzę, tam wróciły mu w pamięci pogróżki pierwszej żony.

– Oczywiście! Właśnie dlatego zemdłał na widok broszki. Nie wiedział, że to Jessop usunął ją z warg dziewczyny i zastawił w lombardzie...

– Co do tego, nie jestem taki pewien – szybko wtrącił Hurd. – Bart podsłuchał jego rozmowę w Stowley z właścicielem tamtejszego lombardu.

– No cóż – rzekł Paul, wzruszając ramionami – nic na ten temat nie pisze. Być może śledził losy broszki aż do Stowley, lecz jeśli tak, dziwne jest, że jej stamtąd nie zabrał. Jednak kiedy zobaczył, że to ja mam broszkę, pomyślał, że mogłem znać panią Krill. Stąd jego utrata przytomności. Potem dowiedział się, w jaki sposób broszka trafiła do mnie i próbował ją ode mnie odkupić. Następnie doszło do wypadku na ulicy, a ja przez jakiś czas naprawdę wierzyłem, że Hay mi ją ukradł.

– Aurora przysięga, że tego nie zrobił.

– Ma rację – rzekł Paul, podchodząc do drzwi. – Pani Purr!

– Chyba nie sądzicie, że to, co pani Purr powie, jest godne zaufania? – zapytał Hurd.

– Nie. Ale to ona przestrzegła mnie przed tym Trayem w dniu, gdy Deborah brała ślub. Później spytałem ją, skąd jej to przyszło do głowy i ona powiedziała, że dowiedziała się od babci Traya, starej pijaczki i złodziejki, że chłopak przyniósł do domu broszkę z opalu i...

W tym momencie do pokoju weszła pani Purr, znowu składając paradny ukłon przed Hurdem jako reprezentantem prawa. Natychmiast rozpoczęła swoją przemowę, przerywając piskliwym głosem Paulowi.

– Babka Clump – zaczęła, zakładając ręce pod fartuchem – to znaczy babcia Traya, który nazywa się Tray Clump, przysięgam na Biblię. Ta niegodziwa stara kobieta, jak ją nazywają z powodu picia...

– Słyszałem – wtrącił detektyw – że już od pewnego czasu nie pije.

– Ale i tak nie jest z nią lepiej – jęknęła pani Purr, nieco bełkotliwie, jako że przed tą rozmową dodała sobie animuszu kilkoma łykami dżinu. – Och, ależ to piekielnie ostry trunek, sir! Ale babcia Clump chorowała na płuca, a ja pomagam w takich wypadkach, mając cały kosz orzechów i nie oszukuję, jako że ze mnie dobra samarytanka. Jednak ona, okropnie przeklinając, chciała ode mnie tylko dżinu i biżuterii, bransoletek i kamieni, tak jakbym mogła je mieć. Wtedy ten Tray

przyniósł jej tę kosztowną broszkę i nie zaniósł jej do biura prawnika – gdzie pracował, żeby zarobić na życie – który nazywa się Pash.

– Ha! – Hurd zamyślił się. – Możemy zobaczyć się z tym chłopcem?

– Tak, i to zaraz – rzekł nieoczekiwanie Paul. – Kiedy dowiedziałem się o tym od pani Purr i wiedząc, że pan przyjdzie, wysłałem po tego urwisa do biura Pasha. Przyszedł tu, niczego nie podejrzewając, ale nie chciał mówić. Zamknąłem go w tylnym pokoju i pilnuje go Deborah...

– To tam siedzi ten łobuz! – krzyknęła pani Purr, unosząc ręce.

– Przyprawiajcie go – polecił Hurd. – Panno Norman, nie musi pani wysłuchiwać jego brukowego języka.

Sylwia, która już słyszała Traya mówiącego w ten sposób, nie potrzebowała tego rodzaju ostrzeżeń i szybko wyszła z pokoju powiedzieć Deborah, żeby przyprowadziła więźnia.

Wkrótce usłyszeli odgłosy kopniaków i ordynarne słowa, a potem w drzwiach pojawiła się Deborah z zaciśniętymi ustami, trzymając za kołnierz małego chłopca z czerwoną i wykrzywioną wściekłością twarzą.

– Tam! – krzyknęła Deborah, ciskając Traya do stóp detektywa. – Gdybym z Bartem doczekała się takiego bachora, to chyba udusilibyśmy go już w kołysce, żeby nie wyrósł na takiego łobuza używającego słów przyprawiających mnie o dreszcze. – I pogroziła mu pięścią. – Ty zmij z Old Bailey.

– Puśćcie mnie! – wrzasnął Tray, wstając rozczochrany i blady. – Puśćcie mnie. Doniosę na was!

– Nie musisz, ja tu jestem prawem, mój chłopcze – rzekł Hurd sucho. – Gadaj, skąd miałeś broszkę?

– Nie powiem! – krzyknął chłopiec i pokazał język.

Hurd spoliczkował go otwartą dłonią i Clump zaczął beczeć.

– To napaść... Och, co to za gówno – warknął wściekle w swoim charakterystycznym języku. – Poskarżę się mojemu panu prawnikowi i on zamknie ci dziób.

– Odpowiedz na moje pytanie – Hurd surowo rozkazał – albo będę zmuszony znowu uderzyć. Wiesz, kim jestem. Wyrzuć to z siebie, ty mały diable, inaczej cię zamknę.

– Jeżeli wyrzucę to z siebie, puścisz mnie? – Tray zaczął skamleć, ale z chytrym błyskiem w oczach.

– Zobaczę, gdy usłyszę, co masz do powiedzenia.

Tray rozejrzał się po pokoju, żeby się przekonać, czy istnieje jakaś szansa ucieczki. Jednak Paul pilnował zamkniętego okna, a Deborah, na widok której chłopak dostawał mdłości, stała przy drzwiach. Przed sobą miał detektywa o surowej twarzy, z którym – o czym Tray dobrze wiedział – nie było żartów. Pomyślał, że w tej sytuacji lepiej powiedzieć wszystko, co wie.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał zrezygnowany.

– Gdzie znalazłeś tę broszkę?

– W kieszeni pana Beecota, podczas wypadku.

– Czy pan Hay polecił ci, żebyś ją ukradł?

– Nie, nie zrobił tego.

– Skąd wiedziałeś, że broszka jest właśnie w tej kieszeni? – zapytał Paul.

– Kiedy myszkowałem w księgarni – wyjaśnił Tray – usłyszałem, jak pan Norman rozmawia z panem Beecotem o broszce; pan Beecot powiedział, że ma broszkę w kieszeni.

– Tak rzeczywiście było – Paul potwierdził, przypominając sobie tę rozmowę.

– No i gdy zdarzył się ten wypadek, skorzystałem ze sposobności i wyciągnąłem ją stamtąd. To było dość łatwe. – Tray wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wyciągnąłem ją z kieszeni. Chciałem zanieść do jednego takiego gościa, co dałby mi za nią furę siana... tak mówił. Ale zaraz po wypadku wróciłem do domu, do babci i ukryłem broszkę. W nocy sprawdziłem, czy tam jeszcze jest, bojąc się, żeby babka jej nie zgarnęła – wobec tego, nie chcąc być okradziony przez tę głupią staruchę, zabrałem moje rzeczy.

– Co zrobiłeś potem?

Tray otarł usta rękawem.

– Usłyszałem, że pan Norman nie żyje...

– Tak... i powiedziałaś o tym Jessopowi w biurze. Jak się o tym dowiedziałeś?

– Wcześniej rano poszedłem sprzedać broszkę temu mojemu znajomemu. Ale go nie zastałem, więc zaniósłem broszkę panu Pashowi, jego prawnikowi, i powiedziałem, że chcę ją spieniężyć.

– Co takiego!?! – krzyknął Hurd, wstając. – Dałeś broszkę panu Pashowi?

– Tak. Powiedział, że wybroni mnie od zarzutu kradzieży. I powiedział też, że będę jego nowym chłopcem biurowym. Pomyślałem, że to dla mnie zaszczyt, więc się zgodziłem – zakończył Clump ponuro – teraz wie pan już wszystko, a że nic nie zrobiłem, więc puśćcie mnie.

Deborah przebiegła przez pokój, chwyciła chłopca za kurtkę, pociągnęła go i rzuciła na środek pokoju. Hurd położył na nim rękę.

– Pojedziesz ze mną – rzekł – skonfrontuję cię z Pashem.

Tray zaczął jęczeć z przerażenia.

– On mnie zabije! – wrzeszczał. – Tak jak zabił starego. Tak! On to zrobił. Pash to zrobił. – I znowu zaczął jęczeć.

ROZDZIAŁ XXIII

CO POWIEDZIAŁ PASH

Hurd podsumował egzaminowanie Traya w przedziale dla pałacych, który cała trójka miał do swojej dyspozycji. Znajdowali się teraz w drodze do stacji Liverpool Street, skąd detektyw zamierzał zabrać chłopca do biura Pasha przy Chancery Lane. Paul siedział w rogu podekscytowany ostatnimi wypadkami. Zaczynał już myśleć, że są blisko znalezienia mordercy Aarona Normana. Co więcej, wierzył, że Sylwia jednak odziedziczy pięć tysięcy rocznie, do których miała moralne, jeśli nie formalne prawo. Siedzący w drugim kącie Hurd pchnął Traya w jego kierunku, grożąc palcem. Chłopiec był nadąsany i nastrojony buntowniczo, mimo to w jego oczach czaił się strach i Hurd postanowił poznać jego powód.

– Jesteś młodym łgarzem – rzekł stanowczo – i do tego niezbyt sprytnym. Myślisz, że masz przed sobą idiotę?

– Powiedziałem wszystko szczerze – obruszył się Tray.

– Nie, nie zrobiłeś tego. Każdy widzi, że popełniłeś błąd. Ale zostawiam to panu Beecotowi.

– Ten błąd zrobiłeś przeze mnie – rzekł Paul. – Chodzi o rozbieżność w czasie.

Clump zadrzał i jeszcze bardziej spochmurniał. Spuścił oczy i gdy Hurd zrobił mu wykład, zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Dobrze wiesz – rzekł ostro detektyw – że broszkę skradłeś wieczorem tego samego dnia, kiedy w nocy miało miejsce morderstwo. I że kradzież miała miejsce

w chwili wypadku pana Beecota. Dlatego nie mogłeś zanieść broszki następnego dnia rano, jako że została ona użyta w wiadomym celu poprzedniej nocy.

– Już nic więcej nie powiem – odparł Tray buntowniczo.

– O, czyżby? – zapytał Hurd ironicznie. – Zobaczymy. Skłamałeś odnośnie do czasu, bo wiedziałeś o morderstwie wcześniej niż inni.

– Nie – Tray stanowczo zaprzeczył. – Do księgarni poszedłem rano.

– Może i tak, ale nie sprzedałeś broszki. Pan Pash dostał ją od ciebie poprzedniego wieczoru.

– Nieprawda! – zaprzeczył chłopiec.

– Zatem w tej sprawie skłamałeś. Pash nigdy nie miał broszki i nie miał nic wspólnego z morderstwem.

– On dostał broszkę ode mnie i to on zabił tego starucha.

– Dobrze, zobaczymy więc, co na to powie Pash, gdy rzucisz mu w twarz oskarżenie – rzekł Hurd. – Ja jednak nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Według mnie jeszcze tego samego wieczoru, gdy ją ukradłeś, dałeś broszkę innej osobie. No to gadaj zaraz, komu ją ofiarowałeś?

– Panu Pashowi – upierał się Tray.

– Tego samego wieczoru?

Tray zacisnął usta i nie chciał mówić. Hurd znowu pogroził mu palcem.

– Nie pogrywaj tak ze mną, chłopcze – rzekł groźnie. – Jeżeli wtedy nie rozstałeś się z broszką, to jesteś zamieszany w morderstwo. A może nawet to ty zapieczętowałeś nią usta temu nieszczęśnikowi. A to byłaby najokrutniejsza rzecz, jaką taki młody Kain jak ty mógł zrobić.

– Nie zrobiłem tego – powtórzył Clump z uporem – proszę mnie zabrać do mego pana i powiem mu to samo, co powiedziałem panu. Tylko jemu.

Hurd potrząsnął chłopcem, żeby go zmusić do mówienia, ale Tray tylko rzucił się na podłogę przedziału i zaczął wyć. Więc detektyw podniósł go i wcisnął do rogu.

– Siedź tu, ty mały zbóju – rzucił poważnie zirytowany nieposłuszeństwem chłopca. – Pogadamy w biurze pana Pasha.

Tray skulił się na siedzeniu i dzikim wzrokiem wpatrując się w detektywa, milczał.

– Jaki, według pana, będzie koniec tego wszystkiego? – zapytał Paul, widząc zachowanie Clumpa.

– Bóg jeden wie – odparł Hurd, ocierając twarz z potu. – Jeszcze nie miałem tak trudnej sprawy. Myślałem, że Hay maczał w tym palce, ale wydaje się jednak, że nie był aż takim łajdakiem, jakim w istocie jest, prosząc pana o przysługę, panie Beecot, jego przyjaciela.

– Nie jestem jego przyjacielem – zaprzeczył Beecot stanowczo. – Znam pewnego młodego prawnika, nazwiskiem Ford. Poszedłem do niego dowiedzieć się, jaką szansę ma Sylwia na te pieniądze. Chodziliśmy razem do szkoły i on też pamięta Haya. Powiedział mi, że Hay został wydalony z Torrington za kradzież.

– Przecież pan musiał o tym wiedzieć.

– Nie, bowiem opuściłem szkołę wcześniej, leżałem w domu chory na szkarlatynę. Ale Hay najwyraźniej zawsze był łajdakiem. Doskonale pasuje do Krillów. Wierzę, że matka może być złą kobietą, nawet jeżeli jej córka, Maud, taka nie jest. A przy okazji jej wiek...

Hurd skinął głową.

– Dowiedziałem się, że w czasie śmierci lady Racheli miała piętnaście lat, więc nie może legalnie dziedziczyć, ponieważ zapewne nie jest nawet córką Aarona Normana. Jednak poprosiłem moją siostrę, żeby sprawdziła przeszłość pani Krill w Stowley, skąd pochodzi.

– Czy poślubiła Krilla w Stowley?

– Nie. Ale mieszkała tam jako Anna Tyler. Według aktu ślubu poślubiła Krilla w kościele niewielkiej parafii, położonej dwadzieścia mil od Stowley – dokąd Aurora też pojedzie. Ale ja chcę, żeby wpierw zatrzymała się w Stowley i dowiedziała się wszystkiego co tylko może o Annie Tyler.

– Ta parafia, w której poślubiła Krilla, zanim przybyła do Christchurch, nazywa się Beechill – dodał w zamyśleniu Paul – i myślę, że ona tam właśnie mieszkała. Panna Qian może poszukać świadectwa urodzenia Maud Krill.

– Powiedziałem jej o tym i żeby ewentualnie poszukała go w Christchurch. Musimy wydostać to świadectwo.

– Hurd – rzekł Paul, trochę nieśmiało – mam nadzieję, że nie będzie pan się denerwował, ale prosiłem mego przyjaciela, Forda, żeby posłał notatkę do Pasha w sprawie udostępnienia nam tego dokumentu.

– No cóż – odparł detektyw – szkoda, że mi pan o tym nie powiedział, mam nadzieję, że nie wyrządził pan tym żadnej szkody. I co na to Pash?

– Nie wiem. Ford jeszcze nie dał mi znać. Ale oto jesteśmy na miejscu.

Pociąg zatrzymał się na stacji Liverpool Street. Wielu ludzi wracało z pracy w mieście na prowincję i peron był zatłoczony. Hurd chwycił Clumpa za rękę i pociągnął ze sobą. Lecz w zamieszaniu podczas szukania biletu przy bramce wyjściowej puścił go na moment i wtedy Tray przeskoczył barierkę i zniknął w tłumie. Hurd rzucił się za nim, zostawiając Paula, żeby ten wyjaśnił, co się stało. Paul szybko to załatwił i zaraz pobiegł sprawdzić, czy Hurd złapał chłopca.

Jednak nigdzie nie widział ani Hurda, ani Traya. Tłum gęstniał i Beecot stracił orientację. Czekał przez godzinę i gdy nie trafił na ślad tej pary, pomyślał, że powinien pojechać do biura Pasha. Jeżeli Hurd złapie Traya, z pewnością natychmiast tam go zawiezie. Więc Paul wsiadł do kolejki miejskiej i wysiadł na stacji Temple, skąd pieszo udał się do biura przy Chancery Lane.

– Jest tu Tray? – zapytał urzędnika piszącego coś spokojnie w poczekalni.

– Nie wiem, sir – odparł urzędnik – wyszedł dziś rano i nie wrócił przez cały dzień. Pan Pash bardzo się na niego gniewa.

Najwyraźniej Hurd nie złapał jeszcze chłopca, albo jeżeli złapał, nie zdążył dowieźć do biura Pasha.

– Mogę się widzieć z panem Pashem? – zapytał Paul, myśląc już, jak spożytkować stracony czas.

Urzędnik poszedł spytać prawnika, czy zechce przyjąć Beecota, i po chwili zaprowadził go do gabinetu, gdzie adwokat siedział za biurkiem, jeszcze bardziej niż zwykle przypominając małpę. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego z widoku młodego mężczyzny i zassał policzek, nabierając powietrza.

– No, panie Beecot, co mogę dla pana zrobić? – mruknął.

– Przede wszystkim mógłby pan być uprzejmy – odparł szybko Paul, zajmując krzesło. – Dotychczas nie zachował się pan zbyt elegancko wobec mnie i panny Norman.

– Och – rzekł zimno Pash – chyba nie przyszedł pan, żeby mi robić tego rodzaju wyrzuty?

– Nie, nigdy nie tracę czasu – odparł równie chłodno Paul. – Zostawiam to pańskiemu sumieniu.

Pash wzruszył ramionami i położył stopy na poprzeczce fotela.

– Myślę, że moje sumienie jakoś to zniesie – stwierdził – tu się robi interesy, panie Beecot... interesy! A przy okazji otrzymałem od pana Forda z Cheapside prośbę o przedstawienie świadectwa urodzenia panny Krill. Co to ma znaczyć?

– Myślę, że wie pan bardzo dobrze, panie Pash.

– Przykro mi za moją ignorancję – rzekł ironicznie Pash; chociaż usiłował sprawiać wrażenie spokojnego, wyraźnie widać było, że kłamie.

– W tej sprawie lepiej, żeby pan zaczekał na to, co ma do powiedzenia pan Ford.

– Czy to pan zatrudnił pana Forda, jeśli wolno spytać?

Paul skinął głową twierdząco.

– Jako pełnomocnika panny Norman – wyjaśnił chłodno.

– Ach – małpishon uśmiechnął się ironicznie – pan myśli, że dostanie te pieniądze.

– Niech pan zaczeka na to, co powie pan Ford – powtórzył Paul i z zadowoleniem zobaczył, jak zmienia się wyraz pomarszczonej twarzy pana

Pasha. – A tak przy okazji, dlaczego nie powiedział pan Hurdowi, że Tray oddał panu broszkę z opalu?

Twarz pana Pasha mocno poczerwieniała.

– To, że z litości zatrudniłem go w moim biurze, nie znaczy, że coś takiego zrobił.

– Tak, zrobił i co więcej, pan Hurd przyprowadzi go tutaj, żeby złożył przed panem oświadczenie. Jestem zdecydowany sięgnąć do samego dna sprawy Normana. Posiadając informacje o broszce, mam ważny trop.

– W jaki sposób?

– Osoba, która posiadała broszkę w wieczór szóstego lipca, zamordowała Normana – Paul wyjaśnił spokojnie.

Pash aż podskoczył i zaczął skrzeczeć niczym wściekły pawian.

– Pan mnie oskarża!?! – wykrzyknął z pianą na ustach. – Niech pan uważa... niech pan uważa.

– Ja jeszcze pana nie oskarżam. Natomiast zrobił to już Tray.

– To kłamstwo... Kłamstwo...

– Proszę się tak nie unosić, panie Pash. Będzie pan musiał użyć wszystkich argumentów, na jakie pana stać, żeby przekonać Hurda. Tray pana oskarża, Hurd pana podejrzewa. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– To pan poszczuł na mnie Hurda – pienił się Pash, z trudem mogąc mówić.

– Proszę wybaczyć, ale Hurd pracuje, aby zasłużyć na nagrodę wyznaczoną przez pana klientkę. Nie uważa pan, że to było trochę głupie z jej strony wyznaczać taką dużą nagrodę tylko po to, żeby uniknąć podejrzeń?

Twarz prawnika zmieniła barwę.

– Nie rozumiem pana.

Paul wzruszył ramionami i wstał z zamiarem wyjścia.

– Może pan Hurd to panu wyjaśni – rzekł i ruszył do drzwi.

Pash, ze swą małą twarzą zlaną potem, siedział zgarbiony w fotelu, gryząc palce. Gdy Paul kładł rękę na gałce drzwi, zawołał nerwowo:

– Mogę to wyjaśnić!

– Ale nie mnie – odparł chłodno Paul.

– Wolę wyjaśnić to panu – rzucił pośpiesznie prawnik.

– Dlaczego?

– Ponieważ uważam, że nie postąpiłem zbyt uczciwie w sprawie panny Norman i... i gdy się pan już z nią ożeni, będzie pan mógł zaaranżować...

– Wszystko, aby uspokoić sprawę, czy to miał pan na myśli? – wtrącił gwałtownie Beecot. – Nie, panie Pash, pan się wtedy zachował jak łajdak. Zostawił pan tę biedną dziewczynę na lodzie, jak tylko się pan dowiedział, że panna Krill – tak pan sądził – ma legalne prawo do dziedziczenia pieniędzy.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „tak pan sądził”, czy to jest aluzja do tego, że ona nie ma prawa?

– Doskonale pan wie, w jakim jest wieku – odrzekł Paul. – I ta sprawa zostanie, panie Pash, dokładnie zbadana przez mojego przyjaciela, Forda, i jeżeli sprawy przedstawiają się tak, jak ja uważam, to panna Krill nie dostanie ani pensa. Pan wie bardzo dobrze, że...

– Panna Norman też nie dostanie ani pensa – warknął Pash – o tym też wiem bardzo dobrze. Nie dostanie, przynajmniej bez mojego udziału – dodał.

– Tak, bez udziału pańskich pokrętnych oszustw – Paul wtrącił z oburzeniem. – Opowiedz pan to wszystko Hurdowi, ja nie mam zamiaru tego wysłuchiwać.

Mówiąc to, otworzył drzwi i stanął oko w oko z Hurdem. Był spocony i czerwony na twarzy.

Detektyw, wchodząc do gabinetu i mijając Paula, wyszeptał:

– Nic nie mów o chłopcu. – Następnie odwrócił się do Pasha: – No, sir – wysapał – byłem zajęty i miałem kłopot z dogonieniem pana Beecota. Niewątpliwie wie pan, dlaczego przyszedłem?

– Nie – odrzekł Pash sucho. – Nie widziałem Traya.

– Tray został zatrzymany. Musiałem go umieścić pod kluczem. Kiedy go złapałem, pomyślałem, że muszę dać mu sposobność spokojnego zastanowienia się

nad sobą.

– Po co? – spytał Pash.

Hurd spojrział na Beecota i ten odpowiedział za niego:

– Pan Pash dobrze wie, że Tray oskarża go o popełnienie tej zbrodni. Porozmawiałem sobie z nim i zadeklarował gotowość wyjaśnienia tego.

– Ach – Hurd szybko wtrącił – zamknij pan drzwi, Beecot. Nie każdy w Londynie musi znać prawdę.

– Ja, na przykład, jej nie znam – stwierdził Pash, gdy Paul zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce.

– Doskonale – odparł spokojnie detektyw – z uwagi na obecnie posiadaną wiedzę możemy założyć, że pan nie udusił Normana.

– Na pewno tego nie zrobiłem.

– Ale wie pan, kto to zrobił. A więc, sir, niech pan sobie przypomni – Hurd polecił surowo. – Ten chłopak, Tray, powiedział, że dał panu broszkę z opalu. I ja jestem przekonany, że tak właśnie było. Nie zatrudniłby pan w biurze takiego źle się zachowującego ulicznika, chyba że chciał go pan przekupić, aby trzymał język za zębami.

– Nie musiałem tego robić – stwierdził Pash, ogryzając paznokcie i kuląc się na fotelu przed tak bezpośrednim atakiem. – Ten chłopak pokazał mi broszkę z opalu, a ja zabrałem ją, żeby zwrócić Normanowi.

– Kiedy to się wydarzyło? – zapytał Hurd, wyjmując notes. – Niech pan uważa, panie Pash, będę notował pańskie słowa.

– Nie mam nic do ukrycia – rzekł Pash, niepotrzebnie urażony. – Zatrudniłem tego chłopca tylko do kilku spraw. Wiedział, że byłem prawnikiem reprezentującym interesy Normana. Wieczorem szóstego lipca...

– To znaczy w wieczór, kiedy nocą popełniono morderstwo – wtrącił Hurd. – Jest pan tego pewien?

– Mogę na to przysiąc. Chłopiec powiedział mi, że pan Beecot miał wypadek i że z jego kieszeni wypadła niebieska kasetka zawierająca broszkę.

– I że została skradziona – dodał pospiesznie Beecot.

– Tray nie był taki głupi, żeby mi to powiedzieć – odparł sucho prawnik – powiedział, że podniósł ją z błota i zaniósł do domu, do swojego pokoju. Chciała mu ją zabrać babcia, notoryczna złodziejka, żeby zastawić w lombardzie i za uzyskane pieniądze kupić alkohol; ale Tray zabrał kasetkę i uciekł, przynosząc broszkę do mnie około piątej po południu. Dał mi ją, prosząc, żebym się nią zaopiekował – spodziewał się, że dostanie za nią pieniądze od Aarona Normana.

– Tray podsłuchał moją rozmowę z Normanem – rzekł ze złością Paul – i wiedział, że broszka należała do mnie. Powiedział o tym panu, panie Pash.

– I co z tego? – zapytał sucho prawnik. – Norman był moim klientem i chciał mieć broszkę. Zamierzałem ją zatrzymać, pokazać panu i ustalić, jak zorganizować sprzedaż. Norman mówił mi o tej broszce wiele razy, jednak dlaczego chciał ją mieć, tego nie wiem.

– Ale my wiemy – rzekł uszczypliwie Hurd – wiemy dużo więcej, niż się panu wydaje, panie Pash. Dobrze, więc później tego wieczoru widział się pan z Normanem w sprawie tej biżuterii. Przypuszczam, że zamierzał pan powiedzieć nam, że oddał mu broszkę?

– Nie miałem takiego zamiaru – odparł pan Pash po chwili namysłu. – Widzę, że sprawa zbliża się do punktu krytycznego i wolałbym, żeby panie Norman przywrócono prawo do spadku.

– Och! – Paul krzyknął gniewnie – ale na początku scedował pan pieniądze na rzecz Maud Krill!

– Ponieważ wierzyłem, iż to właśnie ona ma do nich wszelkie prawa – wyjaśnił bez przekonania Pash – ale odkąd... nie. – Przerwał. – Teraz już nic nie powiem. Mogę osobiście poprowadzić tę sprawę, ale pod warunkiem że otrzymam od panny Norman przyrzeczenie, iż będę reprezentował jej interesy.

Paul już zaczął mówić, że nie przyjmie tej propozycji, ale Hurd, bardziej od niego przebiegły, wtrącił się, nie dopuszczając go do głosu.

– Dobrze, pomówimy o tym później, panie Pash – powiedział ugodowo – a teraz niech pan nam powie, co zrobił wtedy z broszką?

– Położyłem ją tu, na biurku. Sprawa była otwarta i musiałem mieć ją na oku. Wysłałem Traya z pokoju i przystąpiłem do załatwiania bieżących spraw. Wchodziło i wychodziło wielu klientów i zapomniałem o broszce. Potem wyszedłem powiedzieć urzędnikowi, żeby odszukał mi akta jakiejś sprawy. Spędziłem z nim kilka minut. O broszce przypomniałem sobie przed wyjściem do domu, ponieważ chciałem zabrać ją ze sobą...

– Stop – przerwał Hurd – jeżeli był pan tu do chwili, gdy Aaron Norman przyszedł z klejnotami, to broszka musiała zniknąć przed jego przyjściem, albo to on ją zabrał, widząc, że leży na biurku.

– Mój wielce szanowny klient nie przyszedł przed siódmą wieczorem – stwierdził Pash rozdrażniony, że złapano go na oszustwie. – Przyszedł z woreczkami pełnymi klejnotów i jakiś czas nie mógł się zdecydować, czy zostawić je u mnie, czy samemu sprzedać.

– Pewnie spodziewał się wizyty żony?

– Tego nie wiem – odparł prawnik z wyrazem zniechęcenia. – Jednak z pewnością miał zamiar ulokować klejnoty w bezpiecznym miejscu na wypadek, gdyby przyszedł ktoś związany z broszką z opalu.

– Może chodzi tu o kapitana Jessopa, który potem się zjawił – wtrącił nagle Paul.

– Nie wymienił nazwiska Jessop – rzekł ze złością Pash. – Zrobił tylko aluzję do marynarza, więc wiedziałem, kim był mój gość.

– My już wszystko o tym wiemy – rzekł Hurd, machając ręką. – Ale jeżeli Norman przyszedł do pana o siódmej, to jak pan to zorganizował, żeby nie spotkał się ze swoją żoną u pana w biurze?

– Och, ona była... Ale o co właściwie panu chodzi? – zapytał Pash, przerywając i uświadamiając sobie, że wymknęło mu się coś, czego raczej nie chciał, żeby usłyszano.

Hurd dostrzegł zakłopotanie Pasha i natychmiast skorzystał z okazji. W rzeczywistości blefował i grożąc mu palcem, zbliżył się do prawnika.

– Myśli pan, że przyszedłem tu nieprzygotowany? – zapytał stanowczo. – Myśli pan, że nie byłem w „Czerwonej Świni”, w Christchurch, i nie dowiedziałem się tam, że pani Krill za pośrednictwem Haya dowiedziała się, gdzie mieszka jej mąż, i to na długo przed tym dniem, w którym przyszła z kłamliwą opowieścią o ulotkach? Z zamiarem zgłoszenia pretensji do swojego udziału – z fałszywym przedstawieniem sprawy, aby zmylić pana Beecota, wiedząc, iż broni on interesów panny Norman. Czy pan myśli, że nie wiem, iż ta kobieta, pani Krill, przyszła spotkać się z panem za pośrednictwem Haya tylko dlatego, żeby zobaczyć, czyim jest pan prawnikiem? Ona tu była w ów fatalny wieczór – kończył, zadając ostateczny cios – żeby się przekonać, w jaki sposób wszystko pan zorganizuje, aby zapobiec jej spotkaniu się z Normanem?

Pash był kompletnie wyprowadzony z równowagi tą salwą zarzutów i informacji.

– Pani Krill wyszła stąd o szóstej – wyjąkał, opierając się o ścianę.

– Zabierając ze sobą broszkę?

– Nie jestem pewien... tego nie mogę potwierdzić... Wtedy nie było już broszki...

– To znaczy, po wyjściu pani Krill?

– Nie, nie było jej już wtedy, gdy przyszedł Norman. Chciałem mu pokazać broszkę, ale stwierdziłem, że zniknęła.

– Pani Krill wyszła o szóstej, a do siódmej nie było żadnego klienta w biurze?

– Tak... nie... nie wiem... – Pash przerwał, widząc, że nikt już nie wierzy w jego kłamstwa. – Według mnie broszkę ukradła pani Krill.

– Jeśli tak, to ona zamordowała swego męża! – Hurd po tych słowach ruszył do drzwi i po drodze chwycił Beecota za rękę. – Mam tylko nadzieję, że pan nie zostanie oskarżony o współudział, panie Pash. – I nie zważając na okrzyki prawnika, wyciągnął Paula z gabinetu. Na ulicy rzekł do niego:

– Dobrze blefowałem. Ten chłopak zniknął. Nigdzie nie mogłem go znaleźć.
Ale w końcu dotarliśmy do prawdy.

ROZDZIAŁ XXIV

PANI KRILL

Następnego dnia Hurd nie poszedł zobaczyć się z panią Krill, tak jak zamierzał, ale cały czas polował na zaginionego chłopca, jednak nie znalazł Traya. Chłopiec, będąc ulicznikiem przyzwyczajonym do wymykania się policji, znakomicie potrafił się kryć i niewątpliwie schował się w takiej dziurze, w jakiej żadnemu stróżowi prawa nawet do głowy nie wpadnie, żeby go szukać. Jednak faktem jest, że mimo poszukiwań detektywa władze były tym bardzo rozdrażnione. Żeby sprawę wyjaśnić do końca, Tray był niezbędnym świadkiem – a po wysłuchaniu dodatkowych informacji w Jubileetown Hurd słusznie podejrzewał, że nie wyznał całej prawdy. Robiąc tyle, ile mógł, Hurd wysłał kilku agentów w cywilu, żeby szukali chłopca.

Pash na wszelki wypadek przez następne dwadzieścia cztery godziny siedział cicho. Hurd nie wiedział, czy w tym czasie widział się z panią Krill, ale prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Prawnik niewątpliwie zachował się nieetycznie i jeżeli sprawa stanie się publiczna, istniała duża szansa, że zostanie skreślony z listy adwokatów. Aby tego uniknąć, Pash gotów był sprzedać panią Krill – i w ogóle każdego, kto byłby związany z tajemnicą zamordowania Aarona Normana. Hurd uważał też, że prawnik kolejny raz oferując swoją osobę jako reprezentanta interesów panny Norman, robił to dla pieniędzy – dając w ten sposób do zrozumienia, że jeżeli do niej wróci, przy jego pomocy sprawa potoczy się dla niej pomyślnie. Teraz Hurd był pewien, że pani Krill jest winna śmierci Normana.

„Poznała Pasha za pośrednictwem Haya – rozmyślał detektyw – i niewątpliwie przysłała tu, aby przed śmiercią Normana jeszcze się z nim zobaczyć w celu udowodnienia, że stary popełnił bigamię. Pani Krill była w biurze przy Chancery Lane, kiedy jeszcze znajdowała się tam broszka pozostawiona na biurku przez Traya. I pani Krill niewątpliwie wsunęła ją do kieszeni, gdy Pash wyszedł porozmawiać z urzędnikiem w innym pokoju. Potem, jak sędzę, postanowiła ukarać męża, spinając mu szpilką od broszki wargi w taki sam sposób, w jaki zrobił to jej córce ponad dwadzieścia lat temu. Jednak nie wiem dokładnie, dlaczego go udusiła. – Hurd przerwał na chwilę rozmyślenia. – Przecież mogła dostać od niego pieniądze, nie posuwając się aż do takiej skrajności. A jednak ten człowiek nie żył i to ona go zabiła. Teraz muszę przygotować nakaz i natychmiast ją aresztować. Mam wystarczające dowody, żeby ją oskarżyć. Hmmm! Zastanawiam się tylko, czy w jakiś sposób mogła wykorzystać tego małego diabła, Traya? No – wstał i przeciągnął się – teraz gdy ją przypnę do ściany, będzie musiała mówić”.

Układając sobie wszystko w myślach, Hurd natychmiast przystąpił do działania i następnego dnia późnym popołudniem pojechał dorożką pod numer 32A przy Hunter Street w Kensington, z nakazem aresztowania w kieszeni. Miał też przy sobie list od panny Qian, który ta wysłała z Beechill w Buckinghamshire. Aurora dobrze spożytkowała czas i dowiedziała się wielu faktów związanych z wczesnymi latami życia pani Krill, które mogły służyć za dowód przeciwko tej kobiecie. W każdym razie teraz sprawa wydawała się już prosta i jasna, a detektyw nabrał pewności, że zasłużył na nagrodę. Ironią było to, że właśnie pani Krill, która cały czas mydliła oczy wymiarowi sprawiedliwości, ofiarowała – w formie łapówki – tysiąc funtów za wykrycie mordercy. Czyżby nie zastanowiła się, że w ten sposób plecie sznur na swoją szyję?

Hurd zabrał ze sobą policjanta w cywilu i zostawił go przed domem, po czym zadzwonił do drzwi. Po kilku minutach otworzyły się i detektyw podał swoją wizytówkę. Okazało się, że pani Krill jest w domu i zgodziła się go przyjąć, więc wkrótce znalazł się w elegancko urządzonym salonie, gdzie skłonił się przed milczącą, nieruchomą jak zawsze córką.

– Pan życzy sobie widzieć się z moją matką. – Maud powitała go z wiecznie przyklepionym do twarzy uśmiechem. – Zejdzie za kilka minut.

– Zaczekam – rzekł Hurd, podziwiając urodę młodej kobiety, chociaż teraz wyraźnie mógł widzieć, że nie była już – jak to określił – „niewinnym kurczątkiem”.

Panna Krill po kilku minutach zadzwoniła.

– Usunę stąd te rzeczy – wskazała koszyczek z robótką i kilka damskich kapeluszy, którymi się zajmowała, gdy zaanonsowano Hurda – i zostawię pana z mamą.

Detektyw zastanawiał się, czy ma jakąś dziewczynę do posług, żeby ją w tym wyręczyła, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i ku jego zdumieniu pojawiła się w nich ni mniej, ni więcej tylko Matylda Junk. Natychmiast odgadł, że gospodyni „Czerwonej Świni”, która przyjechała tu zobaczyć się z siostrą, zjawiała się w związku z gościem pani Krill. Zapewne pani Krill przewidziała, że Hurd będzie zadawał jej pytania i może chciała, żeby Matylda była świadkiem, czy detektyw zachowa się kulturalnie. Z pewnością tak się zachował, gdy panna Junk wyrzuciła ręce w górę z okrzykiem:

– To ten kupiec!

– O, nie – rzuciła Maud, uśmiechając się. – To pan Hurd, detektyw, który szuka mordercy mojego kochanego ojca.

– Boże! – Matylda zaczerwieniła się. – To ten sam człowiek, który zadawał mi pytania w hotelu. Co za bezczelność z pańskiej strony, panie policjancie.

– No cóż – odparł Hurd, leniwie kołyszając kapeluszem i przenosząc wzrok od jednej kobiety do drugiej – odpowiedziała mi pani na kilka pytań, więc wszystko w porządku.

– Dlaczego pojechał pan do Christchurch? – spytała panna Krill.

– Jeżeli mam znaleźć mordercę pani ojca – wyjaśnił Hurd, akcentując słowo „ojca” – to musiałem się dowiedzieć o jego przeszłym życiu pod nazwiskiem Lemuel Krill.

– Moja matka mogła pana o tym poinformować, sir.

– Tak, zapewne mogła, gdybym sam nie mógł się tego dowiedzieć od panny Junk. Ach, oto i ona. – Hurd wstał i skłonił się. – Cieszę się, że panią widzę, Madam.

Pani Krill, pulchna, jak zwykle uśmiechnięta, o gładkiej twarzy, ale też o poważnych oczach, również skłoniła się i zatarła białe dłonie.

Na znak Maud Matylda zabrała jej robótkę i wyszła z pokoju, ciągle oglądając się za siebie. Była oburzona podstępem Hurda.

– Życzy pan sobie, żeby moja córka została w pokoju? – zapytała spokojnie pani Krill.

– Jak pani uważa – rzekł detektyw.

– Nie, dziękuję, mam – wtrąciła Maud, wzruszając ramionami. – Już dość usłyszałam o tej strasznej zbrodni popełnionej na moim ojcu. – I z nieodstępnym uśmiechem wymknęła się z salonu.

– Biedne dziecko, jest takie wrażliwe – westchnęła pani Krill, siadając tyłem do okna. Pewnie dlatego, żeby ukryć wiek, albo wyraz twarzy w czasie rozmowy, która mogła być dla niej nieprzyjemna. Ale tego Hurd nie mógł jednoznacznie ustalić. – Ufam, panie Hurd, że przyszedł pan z dobrymi wiadomościami – rzekła wdowa.

– Co nazywa pani dobrymi wiadomościami? – zapytał sucho detektyw.

– Że wpadł pan na trop zabójcy – odrzekła zimno.

Hurda zdumiało tak bezwstydyne przekonanie o niemożności podważenia jej niewinności i pomyślał, że pani Krill musiała być całkowicie pewna, iż zatarła za sobą wszystkie ślady prowadzące do jej związku z morderstwem.

– To, czy mi się powiodło, pozostawię do pani oceny – rzekł spokojnie.

– Miło mi to słyszeć – brzmiała równie spokojna odpowiedź.

Ale pani Krill, mówiąc to, spojrzała w stronę wspaniałej zasłony z gobelinu na końcu pokoju i Hurdowi wydało się, że widzi, jak ta poruszyła się. Nagle przyszło mu na myśl, że stała za nią Maud. Dlaczego wolała ten potajemny sposób

podśłuchiwania, kiedy mogła po prostu pozostać w pokoju? Pomyślał, że chyba się jednak pomylił. Mimo wszystko to, czy podśluchiwała, czy słuchała otwarcie, nie miało dla niego żadnego znaczenia, więc Hurd zwrócił się do pani Krill, mówiąc wyraźnie i głośno. Pani Krill słuchała spokojnie, z nikłym uśmiechem na twarzy i najwyraźniej nie przeczuwała, że to co usłyszy, może być dla niej bardzo niemiłe.

– Niedawno byłem w Christchurch, proszę pani...

– Mówiła mi o tym służąca, Matylda Junk.

– Musiałem tam pojechać, żeby zbadać przeszłość pani męża. Miałem nadzieję, że tam znajdę motyw popełnienia morderstwa.

– Mogłam oszczędzić panu tej podróży – wtrąciła pani Krill, wzruszając pulchnymi ramionami. – Mogłam powiedzieć panu wszystko, co pan chciał wiedzieć.

– Zaraz pani opowiem, czego się dowiedziałem, i proszę mnie korygować, jeżeli będę się mylił.

Pani Krill skinęła tylko głową, nic już nie mówiąc.

Chcąc wywołać zamierzony efekt, detektyw wyjął notes, chociaż w rzeczywistości większość punktów sprawy miał w małym palcu.

– Proszę mi wybaczyć, jeżeli poruszę ściśle prywatne kwestie – uprzedził przepaszająco – ale skoro jesteśmy tu sami... – Pani Krill znowu zerknęła w kierunku zasłony, jakby potwierdzając podejrzenie Hurda o niewidocznym podśluchiwaczu. – Może nie chce pani, żebym mówił o sprawach natury osobistej?

– Osobistej – powtórzyła pani Krill, patrząc na niego przenikliwie i przestając rozcierać dłonie.

– Właśnie – przyznał Hurd z udawaną niechęcią. – Zbadałem pani przeszłość równie skrupulatnie jak przeszłość pani męża.

Oczy pani Krill nabrały twardszego niż zwykle wyrazu. Wyczuwała niebezpieczeństwo.

– Moja przeszłość nie jest interesująca – rzekła chłodno. – Urodziłam się w Stowley w Buckinghamshire i poślubiłam pana Krilla w Beechill, miejscowości

oddalonej kilka mil od miasta. Był okreśnym sprzedawcą biżuterii, ale jako, że nie lubiłam, by mnie zostawiał samą w domu, nakłoniłam go do wynajęcia „Czerwonej Świni” w Christchurch, dokąd się przeprowadziliśmy. Potem mnie opuścił...

– Ze względu na morderstwo lady Racheli Sandal?

Pani Krill doskonale nad sobą panowała, chociaż była zaskoczona kierunkiem, w jaki zmierzała ta rozmowa, co wyraźnie widać było po wyrazie jej oczu.

– Ta biedna kobieta popełniła samobójstwo – stwierdziła ostrożnie. – Śledztwo i sąd tak orzekły...

– Większością zaledwie jednego głosu – Hurd dodał szybko. – Wydaje się, że wokół przyczyny jej śmierci narosło dużo wątpliwości.

– Śmierć nastąpiła na skutek uduszenia – pani Krill mówiła stanowczo. – Jeżeli pan wie wszystko o tej sprawie, to również i to, że ja i moja córka oddaliśmy się do sypialni po upewnieniu się, że lady Rachela jest zdrowa i bezpieczna w swoim pokoju na noc. Jej śmierć odkrył towarzysz mego męża, z którym w tym czasie pili alkohol.

– Wiem o tym. Wiem też, że zeszła pani na dół z córką, gdy wszczęto alarm. Jak również, że Krill zasznurował usta pani córki, używając szpilki od broszki z opalem, którą znaleziono w salonie.

– Kto panu o tym powiedział? – Pani Krill była zdenerwowana.

– Jessop, ten kompan, o którym pani mówiła.

– Tak – potwierdziła, z trudem tłumiąc zdenerwowanie. – Matylda mówiła, że zjadł z nim pan wspólnie kolację. Co jeszcze panu powiedział? – spytała po chwili wahania.

– Dużo mniej, niż chciałbym wiedzieć – powiedział Hurd, przygotowując się do zdjęcia maski – ale dowiedziałem się od niego dużo innych rzeczy, które z kolei bardzo mnie zainteresowały. Między innymi to, że Grexon Hay był od dwóch lat zaręczony z pani córką.

– Tak? – pani Krill zapytała zimno. – I co z tego?

– Nic szczególnego – zaripostował równie zimno Hurd – tylko dziwię się, że zadała pani sobie tyle trudu, żeby udać, iż spotkała pani Haya w biurze Pasha po raz pierwszy.

– To był taki głupi romantyczny pomysł mojej córki. Nie chcieliśmy się przyznawać do starej znajomości z panem Hayem.

– Dziwaczny pomysł... – mruknął Hurd. – Czy to Hay powiedział pani, że Aaron Norman jest pani mężem?

– Nie – pani Krill zaprzeczyła stanowczo. – O moim mężu dowiedziałam się z ulotki...

– Nieprawda – Hurd przerwał zdecydowanie. – Hay przyznał się do tego.

– Nie miał się do czego przyznawać! – pani Krill wykrzyknęła głośno.

– Och, jednak myślę, że miał – stwierdził detektyw, notując w pamięci, że kobieta zaczyna tracić równowagę. – Pani nie chciała, żeby wiedziano, iż poznała tożsamość Normana przed jego śmiercią. Zaprzecza pani?

– Zaprzeczam wszystkiemu – wykrztusiła pani Krill. Jej ręce zaczęły się trząść.

– To przykre. Bowiem chciałem, żeby pani potwierdziła pewne fakty związane z Anną Tyler. Zna pani to nazwisko?

– To moje panińskie nazwisko – rzekła wdowa i w jej twardych oczach pojawił się wyraz strachu. – Skąd pan o tym wie?

– Z aktu małżeństwa, dostarczonego przez Pasha.

– Nie miał prawa udostępniać go panu.

– Nie zrobił tego. Posiadam tylko kopię. I tę kopię wysłałem pewnej upoważnionej przeze mnie osobie do Beechill. I ta osoba ustaliła, że jako Anna Tyler wyszła pani za mąż za Lemuela Krilla w kościele parafialnym, dwadzieścia mil od miejsca pani urodzenia.

Pani Krill westchnęła z ulgą.

– I co z tego? – spytała buntowniczo. – Czy jest w tym coś złego?

– Nie. Ale ta osoba również wypytywała o panią w Stowley. Jest pani córką farmera.

– Już o tym wspomniałam.

– Tak. Ale nie wspomniała pani, że jej matka została powieszona za otrucie męża.

Pani Krill zbladła jak upiór.

– Nie – odparła zduszonym głosem. – To był przypadek i chyba nie dziwi się pan, że nie chciałam o tym mówić? Moja córka nic o tym nie wiedziała... ani mój mąż...

– Mówi pani o Krillu czy o Jessopie? – zapytał Hurd.

Pani Krill zakrztusiła się i wstała chwiejnie.

– Co pan tu opowiada, człowieku?

– Twierdzę – rzekł detektyw, również wstając – że ta osoba, która badała wczesne lata życia Anny Tyler w Stowley, nie tylko odkryła, że Anna była córką kobiety powieszanej za morderstwo i mężczyzny, który został zamordowany. Ta osoba odkryła też, że Anna Tyler wyszła za mąż za marynarza nazwiskiem Jarvey Jessop na kilka lat przed popełnieniem bigamii z Lemuelem Krillem w kościele Beechill...

– To kłamstwo! – wrzasnęła pani Krill, całkowicie tracąc samokontrolę. – Jak pan śmiał tu przyjść z takimi podłymi kłamstwami?

– To nie są kłamstwa, Anno Tyler, *alias* Anno Jessop, *alias* Anno Krill – odparł Hurd, mówiąc szybko i jak zwykle, gdy był śmiertelnie poważny, każde słowo akcentując podniesionym palcem. – Wyszła pani za mąż za Jessopa w kościele w Stowley i urodziła mu córkę o imieniu Maud, Maud Jessop, którą ochrzczono w tym samym kościele. Osoba, o której mówiłem, wysłała mi kopie aktu ślubu i urodzenia. A zatem ślub z Lemuelem Krillem był fałszywy i jego małżeństwo z Lillian Garner w świetle prawa nie jest bigamią. A to oznacza, pani Jessop – Hurd cisnął w nią tym słowem tak gwałtownie, że aż się skurczyła – że Sylwia Norman, albo Sylwia Krill, jest prawowitą dziedziczką pieniędzy, których obecnie bezprawnie ją pozbawiono. W testamencie widniał zapis pięć tysięcy rocznie

„mojej córce” i Sylwia jest jedyną córką i jedynym dzieckiem – dzieckiem legalnym, niech pani to zapamięta – Lemuela Krilla.

– Kłamstwo... kłamstwo... kłamstwo! – wściekała się pani Krill, gdy została nazwana, chociaż w sposób legalny, panią Jessop. – Będę bronić sprawy na korzyść mojej córki.

– Tak, pani córki, to się zgadza – rzekł Hurd – ale nie córki Krilla.

– Nieprawda!

– A ja twierdzę, że to prawda. Kiedy zamordowano lady Rachelę, pani córka miała piętnaście lat i Jessop, jej ojciec, przyznał to. Wiedziałem, że ten człowiek coś ukrywa, ale nie podejrzewałem, że dotyczyło to wcześniejszego małżeństwa. Nic dziwnego, że miał darmową kwatery w „Czerwonej Świni”. Mógł panią oskarżyć o bigamię, podobnie jak pani mogła to zrobić w stosunku do Krilla, bez potrzeby zabijania go.

Pani Krill krzyknęła, jej oczy płonęły.

– Ty psie! – krzyczała. – Chcesz mnie o to oskarżyć?

– Zrobię więcej, aresztuję panią. – Hurd pokazał jej nakaz. – W dorożce czeka mój człowiek. Osobiście zawiozę panią do więzienia, pani Jessop.

– Nie udowodni mi pan tego – ciężko dyszała – i nie pojedę z panem... Nie! Nie! – Skierowała oczy na gobelin.

– Panno Jessop, proszę wyjść – rzekł Hurd zimno – jeżeli pani nie wyjdzie, wezwę policjantów, żeby panią wyprowadzili.

– Jak pan śmie obrażać mnie i moją córkę?

– Szybciej, szybciej – poganiał surowo detektyw. – Mam już tego dosyć. Ofiarowała pani tysiąc funtów za wykrycie mordercy pani tak zwanego męża, Krilla. No więc, zasłużyłem na tę nagrodę...

– Jestem niewinna. Nawet nie dotknęłam tego człowieka.

– Zdecyduje o tym sąd przysięgłych, pani Jessop.

– Krill, nazywam się Krill.

Hurd roześmiał się i skierował do zasłony.

– I co pani na to, panno Jessop? – zapytał.

Widząc, że dalsze ukrywanie się nie ma sensu, Maud uniosła gobelin, za którym kryły się małe drzwi, przez które mogła cicho się wśliznąć i podsłuchiwać ukryta za zasłoną.

Wyszła spokojnie.

– Słyszałam całą pańską rozmowę z moją matką – wyznała z błyszczącymi oczami – i ani jedno słowo, jakie padło z pańskich ust, nie jest prawdą. Jestem córką Lemuela Krilla.

– Przekona się pani, że trudno będzie tego dowieść w świetle pani świadectwa urodzenia i aktu małżeńskiego pani matki z kapitanem Jessopem, pani ojcem.

– Możemy wszystko wyjaśnić.

– Tak... i panna Norman otrzyma pieniądze.

– Ta dziewczyna... Nigdy! – krzyknęła ze złością Maud.

W tym momencie zupełnie przypominała matkę. Chociaż szybko się uspokoiła pod wpływem jej wzroku.

– I nie zabierze pan stąd mojej mamy! – krzyknęła, grożąc mu.

– Nie chcę wywoływać skandalu w tej okolicy – rzekł Hurd, wyjmując z kieszeni mały gwizdek – ale jeżeli zagwiżdżę, wówczas zostanie wezwany oczekujący policjant i...

– To zbędne – wtrąciła pani Krill, odzyskując równowagę. – Maud. Podejź tu do mnie. Na jakiej podstawie, panie Hurd, oskarża mnie pan o popełnienie tej zbrodni? Nie było mnie w mieście w...

– Ależ tak, była pani, panno Jessop. Pash może zeznać, że była pani u niego w biurze i zabrała stamtąd broszkę pozostawioną przez Traya na biurku. Nie wiem tylko, gdzie zatrzymała się pani na noc...

– W hotelu Judson na Standzie! – krzyknęła Maud, zajmując miejsce obok matki. – I każdy w tym hotelu może zaświadczyć, że mama i ja nie wychodziłyśmy z niego po powrocie z teatru Terry, gdzie spędziłyśmy wieczór, kiedy mój ojciec – bo Krill był moim ojcem – został zamordowany po dwunastej w nocy, i obie

leżałyśmy w łóżkach w naszym pokoju – tak więc pańskie oskarżenia są bezpodstawne. Mama cały czas była ze mną i nie opuściła mnie ani na moment przez cały wieczór. Następnego dnia wyjechałyśmy do Christchurch.

Hurd był nieco zaskoczony tą stanowczą odpowiedzią młodej kobiety. Jednak nie wahał się, fakty były dla niego zbyt jasne.

– Muszę panią zmartwić, ale pójdzie pani ze mną – rzekł. – Nie, nie, proszę nie wychodzić z pokoju!

– Mogę nałożyć płaszcz i kapelusz? – zapytała pani Krill. – Zaraz wrócę, nie chcę skandalu. Jestem pewna, że gdy sędzia usłyszy to, co mam do powiedzenia, puści mnie wolno.

– Ja też mam nadzieję, że tak będzie. Ale proszę nie wychodzić z pokoju. Matyllda wszystko pani przyniesie.

W czasie gdy Maud blada z wściekłości spacerowała po pokoju, Pani Krill nacisnęła przycisk dzwonka elektrycznego.

– Powinien to widzieć pan Hay – rzuciła z lodowatą złością.

– Pan Hay ma dość do roboty, żeby zadbać o siebie – odparł zimno detektyw. – Proszę uspokoić mamę tak, żeby mogła cicho wyjść, a ja nic nie powiem Matyldzie Junk.

– Tak, Maud, pan Hurd ma rację – powiedziała pani Krill, kładąc rękę na szczupłym ramieniu córki. – Tak będzie lepiej. Wszystko będzie dobrze, gdy sędzia usłyszy wszystko, co mam do powiedzenia.

– Co zamierzasz mu powiedzieć, mamo? – zapytała Maud.

– Że jestem niewinna i że tak samo jak ty nie mam pojęcia, kto zabił twojego nieszczęsnego ojca.

Gdy Matyllda weszła do pokoju, usłyszała, że pani Krill wychodzi w jakiejś sprawie z panem Hurdem. Po otrzymaniu polecenia po chwili wróciła z płaszczem i kapeluszem. Pani Krill, teraz już znowu zupełnie spokojna, ubrała się. Hurd mógł tylko podziwiać sposób, w jaki zachowuje się w obliczu tej strasznej sytuacji.

Zdawało się, że Maud jest dużo bardziej zdenerwowana i Hurd zastanawiał się, czy młoda kobieta znała prawdę.

Pani Krill zwróciła się do niej pocieszająco.

– Wszystko będzie dobrze, moja droga. Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze... – powtórzyła to kilka razy.

Panna Junk wyszła i pani Krill oznajmiła, że jest gotowa do wyjścia. Hurd podał jej ramię, ale nie przyjęła go i poszła do drzwi, stawiając stanowcze, zdecydowane kroki; jej twarz była upiornie blada. Przy drzwiach uściskała córkę i pocałowała kilka razy, szepcząc jej coś do ucha, po czym zeszła schodami w towarzystwie detektywa. Maud udała się za nimi. Jej wargi były pozbawione koloru, policzki blade, oczy suche. Kiedy jej matka wsiadała do dorożki, za nią wsiadł też policjant po cywilnemu i Hurd miał już po nich zająć swoje miejsce, gdy Maud szybko zbiegła kilka stopni i chwyciła detektywa za rękę.

– Zniszczył pan moją matkę! – krzyknęła zimnym, twardym głosem. – Mnie pan obrabował z pieniędzy i pozbawił szansy poślubienia mężczyzny, którego kocham. Nie mogę się panu niczym podobnym odpłacić, ale ta dziewczyna, Sylwia... ona nigdy nie dostanie nawet pensa... proszę to zapamiętać!

Hurd wyrwał rękę, wsiadł do dorożki i ruszyli.

Pani Krill spojrzała na niego z obawą.

– Co ona mówiła, panie Hurd? – spytała.

Hurd powtórzył jej. Pani Krill zagryzła wargi.

– Maud ma zupełną rację – powiedziała z dziwnym uśmiechem. – Sylwia nigdy nie dostanie tych pieniędzy.

ROZDZIAŁA XXV

OKRUTNA KOBIETA

– Chcę ci coś przypomnieć, moja piękna królewno – rzekła pani Tawsey, stojąc w drzwiach salonu i patrząc na Sylwię czytającą pokryty bazgrołami list. – Teraz jest dwunasta i nie będzie mnie aż do piątej, a może i dłużej, bo będę cieszyć się spotkaniem z Matyldą.

– Tak, musisz już iść – rzekła Sylwia, odkładając list. – Jestem pewna, że twoja siostra spotka się z tobą z radością, Debby.

Deborah powąchała się pod pachą i podrapała w łokieć.

– W naszej rodzinie nie wszyscy zachowywali się w stosunku do siebie przyjaźnie – stwierdziła, potrząsając głową – co by pani mówiła, moja słodka. Ojciec bił mamę po pijaku i kończył w policyjnym areszcie. Miałam też trzech braci i wszyscy chętnie używali pięści, ponieważ nie mogli ze sobą żyć w pokoju, bez podbitych oczu i guzów. Matylda... ona nigdy nic mi nie zrobiła tylko dlatego, że jako młodsza mało spędzała czasu ze mną. Nie widziałyśmy się kupę lat i to spotkanie może być całkiem chłodne. Co gorsza, nie może mi wybaczyć, że zostałam panną młodą, podczas gdy ona ciągle jest sama.

– Nie kłóć się z nią, Debby. Napisała bardzo miły list, zapraszając cię do domu pani Krill w Kensington, widocznie naprawdę chce się z tobą spotkać przed powrotem do Christchurch.

– Tak, pójdę tam – rzekła nagle Deborah – ale nie lubię zostawiać cię samej, mój kwiatuszku.

– Nie martw się, Debby. Paul przyjdzie o czwartej, a ty wrócisz o piątej.

– A może nawet szybciej, jeżeli nie będziemy się ze sobą zgadzały, bo spodziewam się, że się pokłócimy. Barta nie będzie aż do szóstej i nikt nie przypilnuje tej całej czwórki od prania – dodała pani Tawsey, trąc nos – są takie leniwe jak jeżozwierze.

– Może ich doglądać pani Purr.

– Ona bardziej pilnuje dzinu – odparła pogardliwie Deborah. – Popija go zupełnie jak wodę. A poza tym też jest leniwa. Nawet nie mogę jej nazywać „panią Purr” – dodała z naciskiem. – A to, że tyle pani płacę za pracę, czy nie jest po prostu głupie? – zwróciła się wprost do pani Purr, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

Ale ta była zbyt podekscytowana, żeby odpowiedzieć. Przemknęła obok swej oburzonej pracodawczyni i zwracając się wprost do Sylwii, zamachała brudnym kawałkiem papieru.

– O Boże, panienko! – prawie krzyczała. – Mówiła pani, że chce wiedzieć, czy ten łobuz, Tray, został złapany...

– Tak... tak – odparła Sylwia, wstając – uciekł panu Hurdowi, a my bardzo chcemy go znaleźć...

– Oto list od niego – mówiła pani Purr, wpychając papier w rękę Sylwii. – Píše tak, jakby nigdy nie chodził do szkoły. Jest gdzieś w Lambeth, leży chory. Chce, żebym do niego przyszła. Ale ja nie mogę zostawić prasowania.

– Ależ możesz – wtrąciła nagle Deborah – teraz to konieczność, pani Purr, więc nakładaj czepek i idź prosto do biura pana Hurda w Scotland Yardzie i zabierz go ze sobą.

– Och, ale ja nie mogę...

– Idź – poleciła pani Tawsey. – Oni dają pięć funtów za znalezienie tego łobuza.

– Pięć funtów! – wykrzyknęła pani Purr, trzęsąc się. – Boże, i ja mogę je dostać! Więc idę... idę. Znam Yard, wiem, co tam w moich czasach robiono, panno Sylwio...

– Tak, więc niech pani idzie, pani Purr, i spotka się z Hurdem. Da ci pięć funtów, jeżeli zaprowadzisz go do Traya. – Sylwia oddała jej papier. – Wydaje się, że Tray rzeczywiście jest chory.

– Chory czy zdrowy, nie chcę stracić pięciu funtów. Mogę nawet sama go zawlec tam, żeby go zamknęli – oznajmiła pani Purr stanowczo. – Gdzie mój czepek... szal... och, pięć funtów! – I wybiegła, z trudem przebierając nogami z podniecenia.

– To znakomita wiadomość dla pani, panno Sylwio?

– Debby – rzekła Sylwia po namyśle. – Zaprowadź ją do Yardu, do pana Hurda, a potem jedź do Kensington porozmawiać z siostrą.

– Dobrze, zrobię tak, skoro to takie ważne – odparła pani Tawsey, trąc nos silniej niż zwykle. – Mam jednak nadzieję, że długo nie będziesz tu sama, moja gołąbeczko.

– Och, nie – odparła Sylwia, całując ją i popychając w kierunku drzwi. – Sprawdzę, co robią te cztery kobiety w pralni i poczytam sobie nową książkę. Potem muszę przygotować herbatę dla Paula, który przyjdzie o czwartej. Popołudnie minie bardzo szybko.

– Jeśli będę mogła, wrócę o piątej, albo nawet szybciej, o ile Matylda okaże się taka, jak ją sobie wyobrażam – oznajmiła pani Tawsey. – Więc zostań tu i baw się dobrze, po powrocie chcę zobaczyć ciebie uśmiechniętą.

Pani Tawsey przebrała się w ciągu piętnastu minut w swój ślubny strój, aby olśnić Matyldę splendorem – i poszła ścieżką ogrodową dołączyć do pani Purr ubranej w coś czarnego w rodzaju pajęczyny na głowie, co nazywała czepek, i czarny szal. Deborah, wysoka, cała w bieli, i pani Purr, niska, cała w czerni – tworzyły dziwną parę.

Sylwia pokiwała z okna Debby, gdy ta wierna istota odwróciła głowę, żeby rzucić okiem na dom i młodą panią, którą tak uwielbiała. Ta duża, masywna, szorstka kobieta była jej wierna niczym pies.

Sylwia, zostając w domu sama, postanowiła zająć się uporządkowaniem spraw bieżących. Udała się do oddalonej od domu pralni i zobaczyła, że zatrudnione przez Deborah cztery kobiety pilnie piorą. Przy pracy rozmawiały ze sobą, śmiejąc się wesoło i Sylwia po wyrażeniu kilku pochlebnych słów wróciła do salonu. Tu zajęła się przygotowaniem herbaty, chociaż było jeszcze dużo czasu, a w końcu zasiadła do czytania jednej z dwóch interesujących powieści pani Henry Wood. Była w domu zupełnie sama i cieszyła się tą samotnością. Pralnia znajdowała się w sporym oddaleniu, na skraju podwórka, tak że z trudem dochodziły stamtąd nawet głośne krzyki. Droga przed „Różanym Dworkiem” była mało uczęszczana. Sylwia mogła widzieć przez okno szereg surowych willi z czerwonej cegły, a niekiedy smugę dymu sygnalizującą miejsce, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Mogła też widzieć zielone pola i żywopłoty z czerwonymi jagodami, co wróżyło ostrą zimę. Dzień był słoneczny, lecz chłodny i w powietrzu czuło się już jesień. Deborah przed wyjściem rozpałała ogień, żeby jej pani czuła się komfortowo, więc Sylwia usiadła teraz przed kominkiem i czytała przez godzinę, często przerywając i rozmyślając o Paulu, zastanawiając się, czy przyjdzie o czwartej, a może nieco wcześniej. Grzejąc się, czytając i marząc, zapadła w rodzaj drzemki, z której obudziło ją gwałtowne, uporczywe i głośne pukanie do drzwi. Myśląc, że to może być jej ukochany, Sylwia przetarła oczy i podbiegła do drzwi. Kiedy je otworzyła, stanęła oko w oko z panną Maud Krill.

– Poznajesz mnie, panno Norman? – zapytała Maud, uśmiechając się uprzejmie, chociaż jej twarz pozostawała śmiertelnie blada.

– Tak. Przyszła pani z matką na Gwynne Street – odparła Sylwia, dziwiąc się, dlaczego ta osoba zaszczyciła ją wizytą.

– Zgadza się. Może mi pani poświęcić pięć minut rozmowy?

– Oczywiście. – Sylwia nie widziała powodu, żeby odmówić, mimo iż nie lubiła panny Krill. Pomyślała jednak, że ta może wiedzieć coś ciekawego o morderstwie i wygada się z tym, co stwarzało nadzieję, że Sylwia będzie miała wspaniały temat do rozmowy z Paulem, gdy ten już się zjawi.

– Proszę wejść. – I otworzyła szerzej drzwi do salonu.

– Jest pani sama? – zapytała Maud, wchodząc i siadając blisko ognia.

– Tak – odpowiedziała Sylwia sztywno, zastanawiając się, dlaczego gość o to pyta. – Ale są tu, na miejscu, cztery praczki w pomieszczeniu na tyle podwórza. Pani Tawsey wyjechała spotkać się z siostrą.

– Tak, zjawiła się tam tuż przed moim wyjściem – odparła Maud. – Widziałam, jak przyjaźnie sprzeczzają się ze sobą. Gdzie pan Beecot?

– Spodziewam się go trochę później.

– A ten Bart Tawsey, który ożenił się z pani opiekunką?

– Akurat go nie ma. Mogę spytać, dlaczego zadaje mi pani te wszystkie pytania, panno Krill? – zapytała zimno Sylwia.

– Ponieważ mam pani dużo do powiedzenia i nie chcę, żeby ktoś postronny to usłyszał – brzmiała spokojna odpowiedź. – Ależ ten ogień grzeje! – Mówiąc to, przesunęła krzesło w taki sposób, żeby zablokować Sylwii drogę do drzwi, a przy tym spojrzała w okno i uczyniła ruch, jakby chciała do niego podejść, jednak powstrzymała się i odwróciła spokojną, zimną twarz do gospodyni. – Mam dużo do powiedzenia – powtórzyła.

– Doprawdy? – odparła grzecznie Sylwia. – Nie sądziłam, że potraktuje mnie pani tak uprzejmie, tym bardziej że rozmowa ze mną musi być kłopotliwa. Proszę się streszczać, bowiem o czwartej przyjdzie pan Beecot, a on z pewnością nie będzie zadowolony z pani obecności tutaj.

Maud zerknęła na zegar.

– Mamy więc prawie godzinę – stwierdziła zimno. – Teraz jest kilka minut po trzeciej. Moja sprawa nie zajmie dużo czasu – dodała z nieprzyjemnym uśmiechem.

– Jaka sprawa? – zapytała Sylwia niespokojnie, ponieważ nie spodobał jej się ten uśmiech.

– Proszę usiąść, to wszystko powiem.

Panna Norman usiadła pod ścianą, tak daleko od gościa jak to tylko było możliwe w tak małym pokoju.

Maud zdjęła z szyi czarną, jedwabną chustkę, złożyła ją i położyła na kolanach. Potem patrzyła na Sylwię w zimny, krytyczny sposób.

– Jesteś pani bardzo ładna, moja droga – rzuciła Sylwii bezczelnie.

– Przyszłaś pani tu, żeby mnie o tym poinformować? – zapytała gospodyni tonem wymówki.

– Nie, przyszłam powiedzieć, że moja matka została aresztowana ostatniej nocy za zamordowanie naszego ojca.

– Och! – Sylwia wykrztusiła, opierając się w krześle. – Ta okrutna kobieta zabiła go?

– Nie zrobiła tego! – Maud wykrzyknęła ze złością. – Moja matka jest całkiem niewinna. Ten drań, Hurd, aresztował ją bezprawnie. Podśledzałam całą ich rozmowę i wiem, że to, co mówił, to stek kłamstw. Moja matka nie zabiła naszego ojca.

– Mojego ojca – zaprzeczyła Sylwia stanowczo.

– Jak śmiesz! Lemuel Krill był moim ojcem.

– Nie – upierała się Sylwia. – Nie wiem, kim był pani ojciec, ale wznosząc po wieku, niemożliwe jest...

– Zostaw w spokoju mój wiek! – krzyknęła Maud głośno i zamachała rękami. – Nie mówmy o tym, mamy do omówienia bardziej interesujące sprawy.

– Dłużej nie będę z panią rozmawiać. – Sylwia wstała.

– Siadaj i słuchaj. Musisz mnie wysłuchać – w emocjach zaczęła przemawiać, zwracając się do Sylwii na ty, jakby były bliskimi sobie osobami. – Nie pozwolę, żeby moja matka cierpiała za czyn, którego nie popełniła, i nie pozwolę też, żebyś dostała pieniądze.

– No cóż, one należą się mnie.

– Nie... i nigdy ich nie dostaniesz.

– Paul... pan Beecot będzie dochodził moich praw.

– Tak, może i będzie – odparła Maud i rzuciła okiem na zegar – jeszcze zobaczymy. Nie ma czasu do stracenia. Mam jeszcze sporo do powiedzenia....

– Nic, co może mnie interesować.

– A jednak tak. Myślę, że uznasz naszą rozmowę za bardzo interesującą. Będę z tobą szczerą, bo o tym, o czym ci powiem, nigdy, przenigdy już nie dowie się żadna żywa istota.

– Jeżeli uznam za stosowne, na pewno się dowie! – krzyknęła Sylwia ze złością. – Jak śmiesz mi dyktować, co mam robić!

– Mam, ponieważ zostałam doprowadzona do szału i chcę ocalić moją matkę – a nie wiem, jak to zrobić. Poza tym muszę spowodować, że nie otrzymasz pięciu tysięcy rocznie – tylko że akurat to wiem, jak zrobić – zakończyła panna Krill z okrutnym uśmiechem i błyskiem sprawiających krwiożercze wrażenie zębów. – Ty szczurze!

– Proszę wynieść się z tego pokoju!

– Wyniosę się, kiedy skończę, nie prędeż. A teraz słuchaj, opowiem ci o morderstwie...

– Och. – Sylwia zbladła. – Co masz na myśli?

– Słuchaj – rzekła Maud z drwiącym uśmiechem – już teraz jesteś blada, ale kiedy skończę, zbledniesz śmiertelnie. Widzisz to? – Wskazała palcem wargi. – Widzisz tę bliznę? To sprawka Krilla. – Sylwia zauważyła, że tym razem nie nazwała go swoim ojcem. – Spiał mi wargi tą broszką z opalu, gdy byłam dzieckiem.

– Wiem – odpowiedziała Sylwia, cała drżąc – to było okrutne. Usłyszałam o tym od detektywa i...

– Nie chcę twego współczucia. Miałam wtedy piętnaście lat i tę bliznę będę nosiła do grobu. Będąc dzieckiem, poprzysięgłam zemstę...

– Na swoim ojcu – wtrąciła Sylwia pogardliwie.

– Krill nie był moim ojcem – Maud stwierdziła, zmieniając teraz front – to twój ojciec, nie mój. Moim ojcem jest kapitan Jessop. Wiedziałam o tym od wielu lat. Kapitan Jessop powiedział mi, że jestem jego córką. Moja matka myślała, że ojciec zatonął gdzieś podczas rejsu i wtedy poślubiła Krilla, który był obwoźnym

sprzedawcą biżuterii. On i moja matka wynajęli „Czerwoną Świnie” w Christchurch i przez wiele lat wiedli tam nieszczęśliwe życie.

– Och... – wykrztusiła Sylwia – muszę to powiedzieć Paulowi.

– Nikomu nie powiesz – rzuciła ostro Maud. – Myślisz, że mówię tak szczerze po to, żebyś potem wszystko wypaplała przed całym światem? Ale ty dowiesz się wszystkiego, zanim stąd wyjdę. Lady Rachela Sandal nie popełniła samobójstwa, jak twierdzi moja matka. Została uduszona... przeze mnie!

Sylwia krzyknęła, wyciągając ku niej rękę.

– Przez ciebie?

– Tak. Posiadała piękną broszkę, którą koniecznie chciałam mieć. Mama położyła mnie do łóżka, a ja cały czas myślałam tylko o broszce. Mama była na dole, towarzysząc twojemu pijanemu ojcu. Zakradłam się do pokoju lady Racheli, gdzie znalazłam ją śpiącą. Próbowałam odpiąć broszkę z jej piersi. Obudziła się i chwyciła mnie za rękę. Wyrwałam ją razem z broszką i zanim lady Rachela zdążyła krzyknąć, zarzuciłam jej na szyję jedwabną chustę, którą nosiła, i zacisnęłam najmocniej, jak tylko mogłam. Byłam silnym dzieckiem – byłam zawsze silna, nawet jako piętnastoletnia dziewczynka. Ona zaś była osłabiona, więc szybko umarła. Mama weszła do pokoju i zobaczyła, co zrobiłam. Przeraził ją ten widok, więc zaprowadziła mnie do łóżka, po czym wróciła i przywiązała chustę do słupka łóżka tak, aby wyglądało to na samobójstwo. Potem wróciła do mnie i zabrała broszkę, mówiąc, że za to, co zrobiłam, mogą mnie powiesić, jeżeli znajdą ją u mnie.

Bałam się – przecież byłam tylko piętnastoletnią dziewczynką – i nie żądałam zwrotu broszki. Kiedy kapitan Jessop wszczął alarm, mama zbiegła na dół i rzuciła broszkę na podłogę, żeby sprawiała wrażenie, iż lady Rachela ją zgubiła. Kapitan Jessop wybiegł z domu, chcąc zaalarmować sąsiadów i oskarżyć Krilla o morderstwo. Podobało mi się to rozwiązanie. Wiedziałam, że nie był moim ojcem, a ponadto byłam świadkiem, jak znęcał się nad moją matką. Wtedy jednak Krill chwycił mnie... – mówiąc to, Maud patrzyła na Sylwię dzikim wzrokiem –

i zawiązał chustkę na moich ustach. Krzyczałam, wrywałam się, więc zawiązał mi ręce i nogi, a potem spiął mi wargi szpilką od broszki, którą znalazł na podłodze. Mama walczyła w mojej obronie, ale uderzył ją i powalił jednym ciosem na podłogę. Później uciekł, a z kolei Jessop wrócił po dłuższym czasie, zdjął mi broszkę z ust i rozwiązał ręce i nogi, położył mnie do łóżka i ocucił moją matkę. Następnie przeprowadzono śledztwo, w którym ustalono, że lady Rachela popełniła samobójstwo. Jednak ona nie popełniła samobójstwa! – krzyknęła Maud z triumfem, a w jej oczach pojawił się błysk okrucieństwa. – To ja ją zabiłam... Ja...

– Och – jęknęła Sylwia, opierając się o ścianę z szeroko otwartymi oczami. – Już nic więcej nie mów... to przerażające!

– Nie miaucz, kotko – warknęła Maud pogardliwie – nie dotarłam nawet do połowy. Jeszcze musisz usłyszeć, jak zabiłam Krilla.

Sylwia krzyknęła i padła na krzesło, wpatrując się z przerażeniem w wykrzywioną okrucieństwem twarz Maud.

– Tak! – krzyknęła dziewczyna z dumą. – Tak, zrobiłam to, zabiłam go! Matka podejrzewała mnie, ale nie była pewna. Posłuchaj zatem. Kiedy Hay powiedział mi, że Krill ukrył się pod nazwiskiem Norman przy Gwynne Street, postanowiłam ukarać go z takim samym okrucieństwem, z jakim on mi to zrobił. Nie powiedziałam o tym, ale wydobyłam od Haya przyrzeczenie, że zdobędzie dla mnie od Beecota broszkę z opalu – inaczej nie wyjdę za niego za mąż. Chciałam tą broszką spiąć wargi Krilla, tak samo jak on spiął moje, gdy byłam bezradnym dzieckiem. Ale twój głupi ukochany nie chciał się rozstać z broszką. No więc ten chłopak, Tray, wyciągnął ją z kieszeni Beecota, gdy wydarzył się wypadek...

– Skąd znasz Traya?

– Spotykałam go często w biurze Pasha. Wykonywał różne polecenia adwokata, zanim ten zatrudnił go na stałe. Wiedziałam, jaki jest Tray i uznałam, że może mi się przydać. No tak, znałam dobrze Traya, ale znałam też Hindusa Hokara, tego, co położył na kontuarze cukier. On także poszedł do księgarni na moje polecenie.

Pragnęłam zemsty i pieniędzy. Hokara moja matka uratowała przed śmiercią głodową. Należy do kasty Thugów, jeśli coś wiesz o nich...

– Och! – jęknęła Sylwia, znowu zakrywając twarz.

– Ach, więc wiesz. Tym lepiej. To mi oszczędzi wyjaśniania, jako że pozostało nam już bardzo mało czasu przed przybyciem twojego głupka. Hokar wiedział, jak bardzo lubię znęcać się nad żywymi stworzeniami i nauczył mnie, jak dusić koty, psy i inne takie. Tylko on wiedział, że to ja je zabijam, wszyscy pozostali myśleli, że to on i że potem je zjada. Ale nie zjadał. Dusiałam je, ponieważ sprawiało mi przyjemność patrzeć na ich cierpienie i dlatego, żeby nabrać wprawy w duszeniu na sposób Thugów.

Sylwia była oszołomiona strachem i obrzydzeniem.

– Na litość boską, już więcej nic mi nie mów – błagała.

Mogła równie dobrze zwracać się do granitowej ściany.

– Musisz wysłuchać wszystkiego – ciągnęła uparcie Maud. – Poprosiłam więc Hokara, żeby udusił Krilla. Poszedł do księgarni, ale gdy zobaczył, że Krill ma tylko jedno sprawne oko, nie mógł go złożyć w ofierze bogini Bhowanee. Po zostawieniu cukru na kontuarze przyszedł do mnie, do hotelu Judson, i powiedział, że bogini nie przyjmie ofiary z okaleczonego człowieka. Nie wiedziałam, co robić. Tego dnia poszłyśmy do biura Pasha i tam matka oskarżyła Krilla o bigamię. Właśnie wtedy spotkałam Traya. Powiedział mi, że przyniósł broszkę do Pasha i że leży ona na biurku. Kiedy matka była w gabinecie, ja rozmawiałam z Trayem w poczekalni. Powiedziałam chłopakowi, że chcę zabić Krilla i jeżeli mi pomoże, dam mu dużo pieniędzy. Zgodził się, ponieważ jest taki sam, jak ja byłam w młodości. Chłopcem lubiącym patrzeć na czyjeś cierpienie. Nic w tym dziwnego – ciągnęła panna Krill zimno – moja babka została powieszona za otrucie mojego dziadka i chyba po niej odziedziczyłam mordercze skłonności...

– Nie mogę tego słuchać! – krzyczała Sylwia, trzęsąc się całą.

– Ależ tak, możesz. Wkrótce dotrę do końca – mówiła z okrucieństwem jej prześladowczyni. – No więc, gdy stwierdziłam, że polubił mnie, zdecydowałam się

zabrać broszkę i zranić nią Krilla, tak samo jak on zranił mnie...! – krzyknęła gwałtownie. – Tray powiedział mi o piwnicy i bocznej uliczce. Kiedy mama wyszła z gabinetu razem z Pashem i podeszli do drzwi wyjściowych z biura, wbiegłam do gabinetu i chwyciłam broszkę. Leżała ukryta pod jakimiś papierami i umknęła uwadze mamy. Ale ja tak długo jej szukałam, aż znalazłam i zabrałam. Następnie umówiłam się na spotkanie z Trayem o jedenastej w nocy na rogu Gwynne Street i wróciłam do hotelu, skąd razem z matką poszłam do teatru. Następnie zjadłyśmy kolację i położyłyśmy się do łóżek. To znaczy położyła się moja matka. Z powodu bólu głowy mamy teatr opuściliśmy wcześniej i miałam jeszcze dużo czasu. Matka prawie natychmiast zasnęła. Zeszłam na dół ubrana na czarno i zawoalowana. Prześliznęłam się obok nocnego recepcjonisty i poszłam na spotkanie z Trayem. Razem udaliśmy się boczną uliczką do piwnicy. Krill wpuścił nas, myśląc, że jesteśmy klientami. Tray zamknął za nami drzwi na klucz, a ja rzuciłam się na Krilla. Może nie był zbyt pijany, albo ja nie bardzo sobie z nim radziłam, w każdym razie w czasie zmagania rozpoznał mnie i przerażony... zemdlał. Z pomocą Traya związałam mu ręce na plecach i zaczęliśmy się śmiać rozbawieni. – Zatarła ręce, bardziej przypominając jakiegoś potwora niż kobietę.

Sylwia wstała i zatoczyła się do drzwi.

– Dość... dość...

Maud pchnęła ją z powrotem na krzesło.

– Siedź na miejscu... ty skamląca idiotko! – warknęła ironicznie. – Chcę cię mieć na oku. – Następnie kontynuowała, tym razem szybko, rzucając spojrzenia na zegar, którego duża wskazówka pokazywała za piętnaście czwartą. – Przy pomocy Traya zaniiosłam Krilla do księgarni. Chłopiec znalazł świder i wywiercił w podłodze dziurę. Wtedy wzięłam miedziany drut, służący do wiązania rzeczy Krilla, który przygotowywał się do ucieczki. Położyliśmy Krilla szyją przy tej dziurze i opasaliśmy mu szyję drutem, którego końce wsunęliśmy w otwór. Tray pobiegł do piwnicy i przymocował skrzyżowany ciężki kawał drewna do końca drutu, tak aby nie pozwolił rozluźnić go podczas duszenia...

– Och... Wielkie nieba – jęczała Sylwia, zatykając uszy.

Maud pochyliła się nad nią i oderwała jej rękę od uszu.

– Słuchaj mnie, ty mała bestio – warknęła. – Krill cały czas wszystko czuł. Przytomność odzyskał po związaniu rąk. Ja przedłużałam jego cierpienie tak długo, jak to tylko było możliwe. Kiedy Tray zbiegł na dół sprawdzić drut w piwnicy, ukłękłam przy Krillu i powiedziałam mu, że wiem, iż nie jestem jego córką i że chcę udusić go tak, jak udusiłam lady Rachelę. Krzyknął ze zgrozy. I to był właśnie ten krzyk, który usłyszałaś, kotku, we śnie i który sprowadził cię na dół. Ale tego się nie spodziewałam! – krzyknęła Maud, klaszcząc w dłonie – nie przewidziałam takiego zachowania się Krilla, więc zdusiłam jego okrzyki, spinając mu wargi tak samo, jak on zrobił to mnie ponad dwadzieścia lat temu. Potem usiadłam przy nim i drwiłam z niego. Słyszałam przejeżdżających policjantów i kościelny zegar wybijający kwadrans. Potem usłyszałam kroki i odgadłam, że się zbliżasz. Wtedy pomyślałam, że zrobię ci pokaz, dusząc tego człowieka na twoich oczach, i to będzie dla niego najsurowszą karą, poza spięciem warg broszką, ale powstrzymałam się! – krzyknęła, bijąc się w piersi.

– Och, jak mogłaś... jak mogłaś...

– Ty nędzna istoto – rzuciła Maud pogardliwie i poklepała Sylwię po policzku. – Ty nie byłabyś w stanie tego zrobić... wiem! Ale ja kocham to... Kocham! To była żywa istota, tak, żywa! Zbiegłam do piwnicy i zamknęłam za sobą drzwi. Tray, śmiejąc się, już zaczął naciskać na krzyż z drewna uwieszony na końcach drutów. Powstrzymałam go. Słyszałam ciebie i tę kobietę, która weszła do księgarni, słyszałam też, co powiedziałaś. Przedłużałam cierpienie Krilla, a potem sama ciągnęłam w dół drut tak długo, aż uznałam, że wycisnęłam już życie z tej bestii. Następnie razem z Trayem wyszliśmy z piwnicy, zamknęliśmy drzwi na klucz i uciekliśmy boczną uliczką. Udało nam się uniknąć spotkania z policją i dotarliśmy na Strand. Nie wróciłam do hotelu, tylko całą noc chodziłam razem z Trayem – ciesząc się i tańcząc, zachłystując się sukcesem! – Maud wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie. – Tak, cieszyliśmy się, szkoda, że nie mogłaś tego widzieć ani słyszeć. Do hotelu wróciłam o ósmej rano. Recepcjonista myślał, że wracam z porannego spaceru. Matka...

W tym momencie Sylwia przerwała Maud, patrząc przez ramię w okno, przez które dobrze widziała bramę.

– Paul! Paul! – krzyknęła. – Chodź do mnie!... Chodź tu!...

Maud zarzuciła czarną jedwabną chustkę wokół szyi dziewczyny.

– Nigdy nie dostaniesz tych pieniędzy – wyszeptała – nigdy nikomu nie powiesz tego, co usłyszałaś ode mnie. Teraz pokażę ci, czego nauczył mnie Hoka – i zacisnęła chustkę. Lecz Sylwii udało się wsunąć rękę pod ten okrutny bandaż i zaczęła rozpaczliwie krzyczeć. W końcu usłyszała w odpowiedzi krzyk. Był to głos Deborah.

Maud rzuciła się do drzwi i przekręciła klucz w zamku, potem wróciła i przewróciła Sylwię na podłogę, znowu próbując zacisnąć chustkę. Była blada i dzika, jej oczy błyszczały jak u demona.

– Pomocy!... Pomocy! – krzyczała Sylwia, ale jej głos zaczynał słabnąć. Maud próbowała wlec ją po podłodze, gdy Sylwia rozpaczliwie walczyła, żeby utrzymać rękę między chustką i szyją. Deborah silnym ciałem napierała na drzwi, waląc w nie z wściekłością. Paul podbiegł do okna. Nie było zamknięte, ponieważ Maud, walcząc z Sylwią, nie miała czasu go zamknąć. Paul, krzycząc i wzywając pomocy, wspiął się i wskoczył przez okno do pokoju. W tym momencie Deborah ostatnim wysiłkiem uderzyła ramieniem i drzwi się otwały. Beecot rzucił się na Maud, chcąc odepchnąć ją do tyłu, ale przyłgnęła do Sylwii jak pijawka, zaciskając czarną chustkę. Deborah bez słowa chwyciła chustkę i wyrwała ją z ręki Maud. Podczas gdy Paul walczył z dziką, zrozpaczoną kobietą, Sylwia, zataczając się, śmiertelnie blada padła na plecy, tracąc przytomność.

– Zabiłaś ją! – wrzasnęła Deborah i chwycił dziewczynę silną ręką. – Ty diablico!

I wściekle nią potrząsnęła.

– Teraz ja zabiję ciebie! – I znowu nią potrząsnęła.

Paul padł na kolana przy pozbawionej zmysłów Sylwii, zostawiając Deborah z Maud.

Ta kobieta-potwór dyszała gwałtownie, gdy pani Tawsey miotała nią po pokoju. Zaczęła rozpaczliwie się bronić i obie kobiety walczyły ze sobą, przy okazji rujnując urządzenie pokoju. Paul uniósł w ramionach Sylwię i osłaniając ją swym ciałem, przysunął do ściany.

Nagle w pokoju zjawiała się nowa postać – była nią Matylda. Ujrawszy Maud i Deborah w zwarciu, oderwała siostrę od Maud, skacząc na nią jak tygrysyca. Maud przez chwilę była wolna. Widząc swoją szansę, wyskoczyła przez okno i pobiegła przez ogród do drogi i dalej w kierunku stacji kolejowej. Być może miała nadzieję uciec. Deborah z ogromnym wysiłkiem odepchnęła od siebie Matyldę i wybiegła z domu, ścigając morderczynię. Matylda, wierna swej pani, również pobiegła, tylko że w celu udzielenia pomocy Maud Krill, tak więc obie kobiety pędziły w ślad za tą szaloną dziewczyną biegnącą prosto na stację. Ludzie zaczęli się za nimi oglądać i gromadzili się jak za skinieniem czarodziejkiej różdżki, aż utworzył się tłum. W ciągu kilku minut Maud zaczął ścigać pokaźny tłum. Biegła jak zając. Niebiosa tylko wiedzą, czy po usiłowaniu zabicia Sylwii miała jeszcze nadzieję na ucieczkę, mimo to biegła na oślep. Po jakimś czasie miała już za sobą wrzeszczący tłum. Wpadła na główną arterię, lecz Deborah z dzikim błyskiem w oczach nie pozostawała w tyle. Do pościgu przyłączyło się kilku policjantów, chociaż nikt nie wiedział, co zrobiła kobieta, którą ścigano. Maud nagle skręciła na zbocze wiodące ku stacji kolejowej. Dopadła drzwi budynku stacji, wpadła do środka ku przerażeniu człowieka przy bramce i z zaciśniętymi pięściami zatrzymała się na peronie tyłem do torów kolejowych. Deborah skoczyła do przodu – Maud wydała dziki okrzyk i uskoczyła w bok; wtem zatoczyła się i spadła z peronu. W tym właśnie momencie pociąg wolno wjechał na stację i nieszczęsna kobieta znalazła się pod kołami. Kiedy ją stamtąd wyciągnięto, była prawie posiekana na kawałki. Lady Rachel i Lemuel Krill zostali pomszczeni.

ROZDZIAŁ XXVI

OSTATECZNE WYJAŚNIENIE

Sylwia długo chorowała po tym strasznym przejściu. Chociaż Maud nie udało się jej udusić, jednak czarna chustka pozostawiła ślady na szyi. Sama walka, przeżyty szok i wspomnienie grozy pozostawiły ślad na psychice biednej młodej kobiety, który objawił się nerwową gorączką ciągnącą się przez wiele tygodni, zanim na tyle wyzdrowiała, aby móc cieszyć się życiem. Deborah nigdy nie wybaczyła sobie, że zostawiła Sylwię samą, i pielęgnowała ją z ogromną czułością pobudzaną wyrzutami sumienia.

– Gdyby ten potwór zabił moją ukochaną panią – mówiła do Paula – to chyba też bym ją zabiła, nawet gdybym miała za to zawisnąć pięć razy.

– Bóg ukarał tę kobietę – odparł uroczyście Paul. – Spotkała ją potworna śmierć pod kołami pociągu.

– I słusznie – wtórowała szczerze Deborah. – Takich ludzi Bóg karze bezwzględnie. Och, panie Beecot – tu zalała się łzami – jakąż straszną grozę musiała przeżyć moja ukochana dziewczynka! Próbowала mi to wszystko opowiedzieć, ale przerwałam jej. Mówiła dalej, a potem to wszystko brzmiało jak jakieś potworne majaczenie. Nigdy w życiu nie słyszałam o takim zabijaniu, o takich morderstwach.

– Zebrałem razem coś z tego, co Sylwia mówiła, gdy wróciliśmy ze stacji – rzekł zatroskany Beecot. – Ale powiedz mi dokładnie, co tobie powiedziała, Deborah.

– Ten potwór, ta Maud już nie żyje i niech spoczywa w pokoju, na co nie zasługuje za zamordowanie lady Racheli Sandal i mego pana.

– Deborah! – zawołał Beecot zdumiony. – Ty chyba się mylisz.

– Nie, nie myślę się, sir. Ona sprawiła, że mój kwiatusek przeżył przerażające chwile. Boże, miej litość nad nami, abyśmy nigdy już nie zetknęli się z takim potworem jak ona. To, co usłyszałam, panie Beecot, wywołało u mnie dreszcze na plecach.

– Myślę, pani Tawsey, że ostatnio nauczyliśmy się czegoś – brzmiała ponura odpowiedź Paula. – Ale opowiedz mi...

– O tym, co powiedziało moje słoneczko? Postaram się, ale jeśli zabrzmi to jak jakiś koszmar, to proszę mnie nie winić.

I pani Tawsey, na swój zwykły, rozwlekły i mało gramatyczny sposób streściła to, co usłyszała od Sylwii. Paul był oszołomiony i chciał się natychmiast widzieć z Sylwią, ale Deborah nie pozwoliła.

– Teraz nasza piękna stokrotka śpi – oświadczyła pani Tawsey – więc nie może pan do niej iść. A później może pan przekazać jej co chce za moim pośrednictwem.

Paul uznał jednak, że lepiej zostawić Sylwię w silnych, czułych rękach jej starej piastunki. Poszedł odszukać Hurda i opowiedzieć mu o wszystkim, co się tu wydarzyło. Kiedy detektyw usłyszał, jaką grozę przeżyła Sylwia, był równie przerażony jak Beecot i zasiadł do pracy, by udowodnić wszystko, co Maud powiedziała Sylwii. Udało mu się to zrobić we względnie krótkim czasie i cała sprawa została zamknięta. Pani Jessop *alias* Krill potwierdziła wszystko w swych zeznaniach; znaleziono Traya i również przebadano go; Matylda także została przesłuchana, Jessop oraz Hoker wszystko wyznali i przyznali się. Jednym słowem zebrano dowody świadczące o tym, że całe przerażające wyznanie Maud Jessop, przed dziewczyną, którą chciała udusić, było prawdziwe. Hurd był zdumiony.

– Już nigdy więcej nie nazywaj mnie detektywem – rzekł do Paula. – Jestem skończonym durniem. Myślałem, że Jessop może być winien, albo że zrobił to

Hokar. Mógłbym przysiąc na Biblię, że pani Krill udusiła Normana; ale nigdy, ani przez moment, nie podejrzewałem tej wiecznie uśmiechniętej młodej kobiety.

– Och – Paul wzruszył ramionami – ona była obłąkana.

– Z pewnością – zastanawiał się detektyw – ale w takim razie nie mogłaby przedstawić wszystkiego tak dokładnie. Dlaczego wyznała pannie Norman, co zrobiła?

– Dlatego, że nigdy nie przypuszczała, iż Sylwia przeżyje i będzie mogła komuś to powtórzyć; opowiedziała wszystko, znęcając się nad dziewczyną w ten sam sposób, w jaki torturowała nieszczęsnego Lemuela. Gdybym nie przybył wcześniej niż zwykle do Różanego Domku i gdyby Deborah nie spotkała mnie niespodzianie na stacji, Sylwia z pewnością by już nie żyła. A potem Maud na pewno udałoby się uciec. Ułożyła sobie dobry plan. To ona nakłaniała Matyldę, żeby sprowadziła do siebie, do Kensington, siostrę na pogawędkę.

– Matylda nie wiedziała, co zamierza Maud?

– Nie. Matyldzie nigdy nie przyszło na myśl, że Maud jest winna dwóch morderstw i planuje udusić Sylwią. Jednak Maud wykorzystała ją, aby wyciągnąć Deborah z jej domu i to właśnie Maud rozkazała Trayowi wysłać list do pani Purr, aby ta do niego przyszła, żeby i ona też usunęła się z jej drogi. W istocie to Maud tak wszystko zaaranżowała, że wszyscy wyszli z domu i Sylwia została sama. Gdyby nie marnowała czasu, opowiadając tę przerażającą historię, miałaby czas na zabicie mojej ukochanej. Sylwia była wystarczająco osłabiona walką.

– Poszedłem – włączył się Hurd – z tą starą kobietą pod adres podany w liście Traya, ale już go tam nie było, mogłem się więc domyślić, że to zostało specjalnie zaaranżowane.

– Jednak złapałeś go?

– Tak, na Hunter Street. Całą noc obijał się tam, czekając na Maud, zupełnie nieświadomy, co się z nią wydarzyło. Zmusiłem go, żeby mi powiedział wszystko o sprawie i swoim z nią związku. Ten chłopak jest równie zły jak ta kobieta, ale ona

przynajmniej miała wymówkę, mówiąc, że jej babcia była morderczynią. Tray jest tylko niegodziwym małym łobuzem.

– Mogą go powiesić?

– Myślę, że nie. Jego atutem jest młodość, chociaż ja osobiście byłbym go powiesił, gdybym mógł – żeby nie dopuścić, aby jeszcze komuś zrobił krzywdę. Jednak spodziewam się, że zostanie skazany na długoletnie więzienie.

– A pani Krill?

– Ma pan na myśli panią Jessop. Hmm... nie jestem pewien. Zapewne nie wiedziała, że to Maud zabiła Krilla, chociaż mogła coś wywnioskować po sposobie, w jaki została zamordowana lady Rachela. Przypuszczam więc, że domyślała się. Poza tym widziałem się z nią krótko, musząc powiedzieć jej o potwornej śmierci córki.

Paul nie zamierzał przedłużać tej rozmowy. Był wprost chory ze zgrozy i przerażony tym, co się stało, a ponadto bardzo się niepokoił o zdrowie Sylwii. Zostawił całą resztę w rękach Hurda i zapewnił go, że detektyw otrzyma ofiarowaną przez panią Krill nagrodę w wysokości tysiąca funtów, którą teraz wypłaci mu panna Norman.

Pash oczywiście od pewnego czasu wiedział już, że Maud była w zbyt zaawansowanym wieku, aby być córką z drugiego małżeństwa pani Jessop z Krillem. Nie wiedział jednak, że wdowa popełniła bigamię. Liczył, że zamknie jej usta, grożąc udowodnieniem, iż Maud nie ma prawa do spadku. Jednak gdy panna Qian zrobiła odkrycie w kościołach w Beechill oraz w Stowley, prawnik o małpiej twarzy nie mógł już nic zdziałać. Beecot miał możliwość ujawnić jego przekręty i zniszczyć karierę prawniczą, ale po prostu ukarał go, odbierając pełnomocnictwa Sylwii i przekazując je Fordowi. Ten bardzo bystry i zdolny młody prawnik szybko ulokował sprawy finansowe na właściwym miejscu i sprawił, że Sylwii przywrócono prawo do przejęcia spadku. Nie było to trudne zadanie w sytuacji, gdy okazało się, że była jedynym dzieckiem Krilla i jego jedyną spadkobierczynią. Obie kobiety, które nielegalnie weszły w posiadanie pieniędzy, wydały ich

w bezsensowny sposób dość dużo, lecz inwestycje zamordowanego były tak doskonale i rozsądnie zabezpieczone, że Sylwia relatywnie niewiele straciła i miała otrzymywać prawie pięć tysięcy funtów rocznie, z perspektywą zwiększenia tej sumy. Teraz jednak czuła się zbyt chora, by docenić to szczęście. Sprawa trafiła do gazet i wszyscy byli zdumieni kontynuacją tajemnicy Gwynne Street.

Beecot senior, czytając gazety, dowiedział się, że Sylwia znowu jest prawowitą dziedziczką i natychmiast przesłał Paulowi gałązkę oliwną. Co więcej, ten porywczy starzec – jak go nazywała Deborah – naprawdę zaczął odczuwać ciężar swych lat i dostrzegł, że dotąd zbyt surowo traktował syna; dlatego wspaniałomyślnie ogłosił bezwarunkowe przebaczenie win Paula. Młody człowiek ze względu na matkę spuścił zasłonę milczenia nad przeszłością i postanowił wrócić do domu, gdzie został powitany z honorami przez ojca i ze łzami przez matkę. Ojciec bardzo chciał usłyszeć szczegóły dotyczące całej sprawy, szczególnie te, które nie zostały upublicznione w prasie. Paul spełnił jego prośbę i w efekcie Beecot senior wyraził swoją wściekłość z powodu tak bezmiernego i odpychającego okrucieństwa. Wszystko to jednak było już zbyt przerażające dla pani Beecot, która jak zwykle poszła się położyć, zażywając środki uspokajające. Natomiast Paul do późna w nocy siedział, dyskutując na ten temat z ojcem.

– A teraz, mój drogi – rzekł Beecot senior, chwytając kieliszek z winem, tak jakby chciał nim rzucić w syna – pozwól, że zbierzemy razem wszystkie wątki tej niesławnej sprawy. Przede wszystkim ta przerażająca kobieta, która próbowała udusić twoją przyszłą żonę?

– Została szybko pochowana. W pogrzebie wzięła udział jej matka, był też obecny ojciec.

– Piękna para. – Ojciec połknął porcję indyka i zaczerwienił się. – Przypuszczam, że władze powieszają oboje?

– Nie. Kapitan Jessop nie miał nic wspólnego z morderstwem. Ani Sylwia, ani ja nie mamy podstaw do oskarżenia go dlatego tylko, że usiłował wyłudzić od Pasha biżuterię.

– A powinieneś to zrobić, jesteś to winien społeczeństwu.

Paul potrząsnął przecząco głową.

– Myślę, że lepiej zostawić sprawy takimi, jakie są, ojczy – rzekł łagodnie – szczególnie dlatego, że pani Jessop zapadła na zdrowiu po tym przerażającym końcu córki i wróciła z mężem do domu w Stowley.

– Co takiego! – krzyknął Beecot senior – więc ten szatan nie kobieta też pozostanie na wolności?

– Nie sądzę, żeby była taka zła, jak myśleliśmy – stwierdził Paul. – Wyobrażałem sobie, że jest z gruntu złą kobietą, ale chyba tak nie było. Z pewnością popełniła bigamię, ale wtedy szczerze wierzyła, że Jessop utonął. Kiedy okazało się, że przeżył, zdecydowała się mieszkać z Krillem, który był bogatszy od Jessopa.

– Jessop, jak mówiłeś, dostał od niej darmowe mieszkanie w „Czerwonej Świni”. To, mój synu, była najbardziej niemoralna kobieta... tak, najbardziej niemoralna. Powinna za to ponieść karę.

– Biedna ofiara – rzekł Paul – doznała szoku i omal nie oszalała z powodu śmierci córki. Kochała to dziecko i chroniła je przed konsekwencjami zabicia lady Racheli. Rodzina Sandal nie chciała wznowiać sprawy, szczególnie dlatego, że Maud już nie żyje, więc pani Jessop – jak teraz nazywała się już oficjalnie – może żyć i umrzeć w spokoju. W tych okolicznościach rząd postanowił puścić ją wolno.

– Bzdura – oburzył się Beecot senior – to lukrowane gówno i idiotyzm. Nic w tym kraju nie będzie zrobione w sposób właściwy, póki będziemy mieli taki rząd. I tak się stanie – rąbnął pięścią w stół – jeżeli nie zrobię czegoś w tej sprawie. Tak więc pani Krill, albo Jessop, może sobie swobodnie zabijać i...

– Ona nikogo nie zabiła – Paul szybko wtrącił. – Wiedziała tylko, że jej córka zabiła lady Rachelę i chroniła ją. Jednak nigdy nie była pewna, czy Maud udusiła Krilla, ale bała się ją o to zapytać. Dziewczyny nie było w hotelu całą noc, podczas której dokonano tego morderstwa, więc pani Jessop, jak sądzę, wiedziała więcej, niż się do tego przyznaje. Ale Skarb Państwa nie chce ponieść kosztów jej ścigania,

a poza tym jej umysł jest teraz mocno nadwreżony. Pozwólmy więc tej nieszczęsnej kobiecie doczekać końca swych dni razem z Jessopem, ojciec. Jest coś jeszcze, co chciałbyś wiedzieć?

– A ten chłopak, Tray?

– Sądono go za współudział w morderstwie, ale jego obrońca podniósł problem wieku chłopca i jaki miała na niego wpływ Maud. Został wysłany na wiele lat do domu poprawczego. Może go tam poprawią.

– Złudne nadzieje – warknął stary dżentelmen – nie w dzisiejszych czasach, mój chłopcze. Jeszcze o nim usłyszymy. No a ten szubrawiec, Hay?

– Uciekł za granicę i pewnie już nie wróci. Sandal i Tempest dotrzymali słowa, ale myślę, że Hurd rozpowszechnił informację, iż Hay jest oszustem i łajdakiem. Biedny Hay – westchnął Paul – zrujnował swoją karierę.

– Przecież on nie zrobił żadnej kariery! Jeżeli współczujesz takim jak on łajdakom, to co możesz myśleć o ludziach dobrych i uczciwych?

– Takich jak Deborah, która opiekuje się moją ukochaną Sylwią? Myślę, że jest jedną z najlepszych kobiet na świecie.

– Tak jak twoja matka?

Paul omal nie spadł z krzesła, słysząc to pytanie. Beecot senior z pewnością był szczery; teraz trochę się uspokoił, jednak nie przestał ciągle niepokoić się o panią Beecot, czego nigdy nie poniechał do końca jej życia.

– Przypuszczam też, że Matylda Junk nie miała nic wspólnego z morderstwem? – zapytał Beecot senior, po kłopotliwej przerwie ze strony syna.

– Nie miała nic wspólnego, a Deborah zaatakowała tylko dlatego, że uważała, że siostra zaatakowała jej panią, czyli Maud. Jednak potem siostry się pogodziły i Matylda wróciła do „Czerwonej Świni”. Nawiasem mówiąc, jest równie przyzwoitą kobietą jak Deborah i nie miała pojęcia, jak podłą istotą była Maud. Hurd doszedł do takiego wniosku, rozmawiając z nią w Christchurch.

– A ten Thug?

– Hoka? Och, to nie jest prawdziwy Thug, lecz tylko potomek Thugów. Nie udowodniono mu uduszenia człowieka, a jedynie kilku kotów i psów, wtedy gdy pokazywał Maud, jak posługiwać się *roomalem* – czyli chustą, której Thugowie używali do duszenia swych ofiar.

– Nie jestem zupełnym ignorantem – mruknął ojciec Paula – i wiem o tym. Zatem Hoka też jest na wolności?

– Tak. On nie mógłby udusić Aarona Normana dlatego, że Norman miał tylko jedno zdrowe oko, a Bhowanee nie przyjmuje w ofierze ludzi okaleczonych. W tej sytuacji Maud musiała sama się tym zająć, mając do pomocy tylko Traya.

– A ten detektyw?

– No, w tym wypadku Ford na polecenie Sylwii wpłaci mu tysiąc funtów, którymi podzielił się z siostrą, Aurorą Qian. Gdyby nie jej poszukiwania w Stowley i Beechill, nic nie wiedzielibyśmy o małżeństwie. No wiesz.

– Nie, nie wiem. Ale to zdecydowanie za dużo dla nich. Bigamia i tak wyszłaby na jaw. Ale jeśli chcesz wyrzucać pieniądze, rób tak dalej; to nie moje pieniądze.

– Ani też moje, ojciec – rzucił porywczo Paul. – Nie uszczupli to majątku Sylwii, a ja nie należę do mężczyzn żyjących na koszt żon. Po ślubie mam zamiar kupić dom w mieście i tam kontynuować pisanie.

– Nie mając bodźca twórczego w postaci biedy, nigdy nie stworzysz czegoś, co będzie hitem wydawniczym. – Stary dżentelmen uśmiechnął się. – Ale możesz przecież zamieszkać tam, gdzie będziesz miał ochotę. Nie mój interes, jednak jako twój pobłażliwy ojciec proponuję, abyś sprowadził tu Sylwię, przynajmniej trzy razy w roku. Chcę się przekonać, jak będzie się u mnie czuła.

– Tak, sprowadzę ją tu w przyszłym tygodniu – zgodziła się Paul, myśląc o matce. – Deborah też może przyjechać, ona nie opuści Sylwii.

– Nasz dom jest wystarczająco duży. Więc możesz też sprowadzić panią Tawsey – już nie mogę się doczekać, żeby ją poznać. Sylwia będzie dobrą towarzyszką dla twojej matki.

I tak wszystko odpowiednio zorganizowano. Gdy Paul wrócił do miasta, natychmiast udał się do Sylwii, aby opowiedzieć jej o pogodzeniu się z ojcem. Zastał ją siedzącą przy kominku, opartą na poduszkach, ale robiącą już o wiele lepsze wrażenie, chociaż ciągle jeszcze wyglądała mizernie i była wychudzona. Wokół niej krzątała się Deborah, mówiąc ostrożnym szeptem, co było niezwykle irytujące. Sylwia, widząc Paula, zaróżowiła się i po usłyszeniu dobrej nowiny nabrała żywszych kolorów.

– Tak się cieszę, kochanie – powiedziała, trzymając dłoń Paula w swych szczupłych rękach. – Nie chciałabym, abyś nasze małżeństwo ukrywał przed ojcem.

Pani Tawsey aż prychnęła.

– Ten szalony człowiek – wtrąciła – no, gdy go spotkam, to niech tylko ośmieli się powiedzieć słówko przeciwko mojej ślicznotce...

– Mój ojciec gotów jest powitać ją jak swoją córkę – szybko wtrącił Paul.

– I do tego niebiedną! – krzyknęła Deborah z triumfem. – Pięć tysięcy rocznie, jak powiedział ten miły młody człowiek, pan Ford, to całkiem w porządku. Boże! Pojedziesz tam swoim własnym rydwanem i zapomnisz o Debby.

– Nie wygłupiaj się – zganiała ją łagodnie Sylwia – opiekowałam się mną, gdy miałam kłopoty i razem ze mną będziesz dzieliła radości.

– Pociesza mnie to, że nie muszę zostawiać pralni tylko na łasce Barta i pani Purr, bo oboje w sumie to głupiutkie dzieciaki, jedno trzyma się dżinu, drugie ma słaby umysł. Dobrze, że wymogłam na Barcie obietnicę, że będzie mnie kochał, szanował i będzie mi posłuszny, panie Beecot, tak samo jak pan musi być względem mojego kwiatuszka.

– Nie, to ja będę go kochać, szanować i przyrzeknę posłuszeństwo memu Paulowi! – wykrzyknęła Sylwia.

– Kiedy? – spytał, biorąc ją w ramiona.

– Jak tylko stanę przed ołtarzem – odrzekła, rumieniąc się, gdy Deborah klasnęła w dłonie.

– Ślub, ślub i znowu ślub! – wołała pani Tawsey. – Moja siostra, Matylda, znudzona staropanieństwem, zmieniła zamiary i chce teraz poślubić pierwszego lepszego, który ofiaruje jej rękę. I poprowadzi do tańca!... Och nie, nie tylko!

– No, Deborah – rzekł Beecot – mamy za co być wszystkim wdzięczni, więc spróbujmy to okazać jeszcze w naszym życiu.

– No cóż, może pan to i tak ująć – stwierdziła pani Tawsey na swój pobożny sposób. – Ale kto by pomyślał, że wszystko się tak potoczy i dobiegnie tak szczęśliwego końca. Teraz napijesz się bulionu, mój skarbie, aby twoje policzki nabrały kolorów. – I z tymi słowami wybiegła z pokoju.

Serce Sylwii był zbyt przepełnione wrażeniami, żeby mogła coś jeszcze powiedzieć. Leżała w silnych ramionach Paula, tuląc policzek do jego policzka. I tak to zostanie do końca ich życia, mimo wielu zawieruch i niebezpieczeństw.

Siedzieli w milczeniu, słuchając tykania starego zegara dziadka, jedyne wielkiego skarbu Deborah, który teraz wybił dwa razy, a potem jeszcze raz.

Paul zaśmiał się cicho.

– Brzmi jak dzwony weselne – szepnął, a jego przyszła żona westchnęła z sercem pełnym radości.

Spis treści:

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ I. DON KICHOT W LONDYNIE

ROZDZIAŁ II. DEBORAH JUNK

ROZDZIAŁ III. DULCYNEA Z GWYNNE STREET

ROZDZIAŁ IV. NIEPRZEWIDZIANE

ROZDZIAŁ V. ZMARTWIENIE

ROZDZIAŁ VI. HAŁAS W NOCY

ROZDZIAŁ VII. PRZERAŻAJĄCA NOC

ROZDZIAŁ VIII. WERDYKT SĘDZIÓW PRZYSIĘGŁYCH

ROZDZIAŁ IX. ZAMKI NA LODZIE

ROZDZIAŁ X. GROM Z JASNEGO NIEBA

ROZDZIAŁ XI. KUKUŁCZE GNIAZDO

ROZDZIAŁ XII. NOWE ŻYCIE

ROZDZIAŁ XIII. OPINIE DETEKTYWA

ROZDZIAŁ XIV. KOLACYJKA U PANA HAYA

ROZDZIAŁ XV. NOWY TROP

ROZDZIAŁ XVI. TEORIA SYLWII

ROZDZIAŁ XVII. INFORMACJE HURDA

ROZDZIAŁ XVIII. W CHRISTCHURCH

ROZDZIAŁ XIX. KAPITAN JESSOP

ROZDZIAŁ XX. CZĘŚĆ PRAWDY

ROZDZIAŁ XXI. PRZYJĘCIE U PANNY QIAN

ROZDZIAŁ XXII. DALSZE DOWODY

ROZDZIAŁ XXIII. CO POWIEDZIAŁ PASH

ROZDZIAŁ XXIV. PANI KRILL

ROZDZIAŁA XXV. OKRUTNA KOBIETA

ROZDZIAŁ XXVI. OSTATECZNE WYJAŚNIENIE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Opal Serpent*

Copyright © 2020, MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-635-1

Redaktor prowadzący: MR

Projekt okładki: Anna Slotorsz

Zdjęcia i ilustracje użyte na okładce: polona.pl (domena publiczna)

Korekta: Dorota Ring

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek